Sczytane: Zbigniew Solak
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

13 czerwca, rok 1918, czwartek
Ruch był w sądzie dość duży, jak zwykle w dnie targowe, pomimo że targ był dziś niewielki, bo w sąsiednich parafiach – w Stawiskach i Turośli – odpusty.
Między 5 a 14 czerwca projektowałem wykonać wycieczkę pieszą do Myszyńca. Umyślnie nawet w tym celu zrobiłem w tym czasie przerwę w sesjach sądowych. Nie wykonałem jednak tego projektu, na razie przyszedł w tym czasie wyjazd do Łomży, potem brak było pogody mocnej (nie doszło przecież do deszczów), po tym w sądzie było dużo pracy do wtorku i tak się jakoś czas zwlekał; trochę i lenistwo działało. Szkoda, bo będę się musiał zupełnie takiej wycieczki wyrzec: gdyby nie wydelegowanie mnie na lipiec do Szczuczyna, mógłbym w lipcu to zrobić, a potem, w sierpniu i wrześniu, będę zmuszony jednym ciągiem sesje odbywać, by wypchać zaległości. Szkoda, bo byłaby to dobra okazja do bliższego poznania się z Kurpiami. Wprawdzie znam już wielu Kurpiów i to znam dobrze na skutek częstej styczności z niemi w sądzie i nieźle już poznałem ich typ i charakter, jednak w wycieczce takiej przyjrzałbym się lepiej ich zwyczajom, trybowi domowemu, w ogóle środowisku jako takiemu. Kurp jednak mocno się różni psychicznie od Mazura, przynajmniej jakim zwykliśmy sobie Mazura wyobrażać. Jest więcej skupiony w sobie, powściągliwszy, bardzo nieufny, w ruchach zwykle powolny, pozornie nawet ociężały; choć poziom oświaty jest u Kurpiów bardzo niski, analfabetyzm jest masowy, jednak z natury Kurp głupim nie jest bynajmniej: ma spryt, przebiegłość i upór – trzy cechy elementarne inteligencji i charakteru, nadające mu tężyznę życiową. W mowie Kurpiów są pewne właściwości fonetyczne, które, zdaje się, im tylko są właściwe: do takich na przykład należy łącznik przed samogłoską i szeregiem spółgłosek z dźwiękiem z. Zwłaszcza spółgłoski b, p, w łączą się w mowie Kurpiów z dźwiękiem z przed i, zlewając się z tymże dźwiękiem w sposób podobny do formacji dz i dź. Tworzy to takie fonetyczne nowe układy, nieznane w języku polskim, jak bz, pz (względnie ps), wz (względnie ws), które stają się jednolitym w ustach Kurpia i których nie-Kurp nie potrafi wymówić: „Zabiele” (nazwa wioski) będzie brzmiała w ustach Kurpia „Zabziele”, „bić, bije” – „bzić, bzije”, „Pieklik” (nazwa wsi i nazwisko) – „Psieklik” (względnie „Pzieklik”), „mówić”, „mówiła”, „wióry” – „mówzić”, „mówziła”, „wzióry”. Wymawia się to jednak nie oddzielnie „w-z”, ale fonetycznie jednolicie.

14 czerwca, rok 1918, piątek
Karna sesja sądowa. Na wokandzie 10 spraw. Ławnicy – Stachelski[1] i Jerozolimski. Sesja rozpoczęła się o godz. 10 ½ rano; o godz. 1 zarządziłem przerwę, odkładając trzy najgrubsze sprawy, w których miał stawać Goldberg, na poobiedzie, ponieważ wyjechał on rano do Stawisk, gdzie miał również sprawę i prosił zaczekać na powrót. Po przerwie sesja wznowiona została o godz. 3 ½ i trwała do godz. 7 ½ - 8 wieczorem. Rano zatem załatwiliśmy 7 spraw, z których w jednej – o pobicie – zapadł wyrok skazujący na 7 dni aresztu, w jednej – również o pobicie – wyrok uniewinniający, jedna – o kradzież względnie o przywłaszczenie znalezionego drzewa – została odroczona ze względu na niestawiennictwo głównego świadka (świadek został ukarany za to grzywną w ilości marek 50 i zostało nakazane sprowadzenie go na następną rozprawę pod przymusem, dalej – cztery sprawy umorzone, z nich jedna – o pobicie, zniewagę i pogróżki – umorzona na skutek pojednania, druga – o zniesławienie – umorzona na

[1] Franciszek Stachelski, przed 1914 r. kasjer w magistracie kolneńskim, w 1918 r. członek Wydziału Powiatowego w Kolnie.

skutek niestawiennictwa oskarżycielki prywatnej, trzecia – o samowolny wyrąb cudzego drzewa w lasku – umorzona na skutek śmierci oskarżonej i czwarta – ostatnia z cyklu Antonowicz-Olszewski o zniesławienie – umorzona na zasadzie domniemania, że inkryminowany czyn zniesławiający jest tylko epizodem zniesławienia, za które oskarżony Olszewski został już raz skazany wyrokiem sądowym prawomocnym i karę odbył (zasada „*non bis in idem*”[2]). Poza tym, na sesji rannej załatwiliśmy kilka decyzji incydentalnych, takich jak zabezpieczenia powództw, dopuszczenie interwencji osoby trzeciej itp. Po obiedzie szły trzy najgrubsze sprawy: sprawa Marchewków o brutalne obchodzenie się z ojcem, kilkakrotnie odkładana (zapadł wyrok uniewinniający), sprawa braci Małsów – o gwałt na osobie i pogróżki (wyrok uniewinniający) i wreszcie ostatnia, małoletniego Jarkowskiego (o kradzież dwóch kur i zegarka) i Krasińskiej (o kupowanie od tegoż Jarkowskiego kur z wiedzą, że były kradzione). Ta ostatnia sprawa jest zawiła i ciężka do osądzenia; zajęła nam ona dużo czasu i po zbadaniu szeregu świadków została odroczona w celu wezwania i zbadania nowych jeszcze; oskarżeni wykręcają się jak piskorze spod palców wymiaru sprawiedliwości, a że prócz dwóch poszkodowanych, reszta świadków składa się z Żydów, którzy są albo tchórzliwi i boją się zemsty oskarżonych, albo też są w zmowie z oskarżonymi na zasadzie ghettowej solidarności żydowskiej, więc pomimo przekonania sądu o winie Jarkowskiego, bardzo trudno dojść przedmiotowo do prawdy.
Podczas rannej sesji głowa mnie bolała, toteż byłem oszołomiony trochę i nie miałem zwykłej energii w pracy.

15 czerwca, rok 1918, sobota
Dzisiaj miałem po prostu niezwykłe przeładowanie roboty w sądzie. Wszystko się naraz zwaliło, jak z rogu obfitości: i śledztwo, i dopływ nowych spraw, i rozstrzygnięcie całego szeregu aktualnych kwestii przez Sąd Okręgowy, dotyczących naszego sądu, i niezwykła obfitość materiału do pracy z poczty. Czasem są dnie, kiedy kompletnie nic nie ma do roboty, kiedy do sądu ani żywa dusza nie zajrzy, ani z poczty nic nie ma, a znów potem nagle, pewnego dnia, taki tłok roboty się zwali, że trzeba pracować jak wół. Tak oto w tym tygodniu wtorek i środa były zupełnie martwe i było tak nudno w sądzie, że nie wiadomo było, jak czas zabić; a znów poniedziałek zaznaczył się gwałtownym dopływem spraw, dzień zaś dzisiejszy był po prostu szalony: ze wszystkich źródeł waliły się interesy i pilna robota. Siedziałem krukiem w sądzie od godz. 9 rano do godz. 8 wieczór z niespełna godzinną przerwą na obiad. Przez cały czas ani chwili nie próżnowałem, ani trochę się od roboty oderwać nie mogłem. Od samego rana orałem w tej robocie jak galernik, a przede mną na stole rósł stos coraz to nowych do odrobienia papierów. Trzeba było w każdej rzeczy coś odpowiedzieć, przejrzeć, połamać głowę, ustalić decyzję itd. Blisko 11 godzin pracy umysłowej ciągłej to trud nie lada. Ale wziąłem sobie za dewizę w mojej pracy sędziowskiej, żeby, o ile to możliwe, nigdy nic na jutro nie zostawiać, lecz wszystko, co jest do zrobienia, robić – dziś. I dobrze na tym wychodzę, nie tylko ja sam, ale i sąd, który dzięki tej dewizie funkcjonuje sprężyście i możliwie szybko. Rano się ucieszyłem bardzo, bo oto komornik sądowy Użarowski, który jeździł wczoraj do Łomży i przez którego posłałem naglący list do sekretarza Stembrowicza, aby przyspieszył załatwienie zaległości w kwestiach dotyczących mego sądu i w szczególności w kwestii pieniędzy na opłatę komornego za lokal sądowy w Kolnie, przywiózł mi odpowiedź zadowalającą: pieniądze już w poniedziałek wysłane pocztą, lista nowego kompletu zatwierdzonych ławników załączona do odpowiedzi, kilka innych załatwionych zaległości – również.

[2] (łac. ) „nie dwa razy za to samo”;  zasada, w myśl której nie można dwa razy karać za to samo przestępstwo.

Szczególnie się z pieniędzy na komorne ucieszyłem, bo to mi już kamieniem na sercu leżało i stawiało w tak przykre położenie wobec gospodarza domu Szklaniewicza, że się wstydziłem z nim spotkać; jak niewypłacalny dłużnik, chyłkiem się przemykałem po schodach, unikając spotkania ze Szklaniewiczem lub jego żoną. Co do listy ławników, to pośród wybranych kandydatów nominacje wyznaczone zostały tak, jak ja je zaproponowałem ostatecznie. Ławnikami więc są: Stachelski, Remba, Jan Nojda, Stanisław Cieloszczyk i Orbik; zastępcami – Jerozolimski, Rainko[3], Karwowski, Szymański i Pliszka. Spośród zastępców – obu kolneńskich, to znaczy Jerozolimskiego i Rainkę, powoływać będą na sesję na równi z ławnikami, zastępcy zaś z gmin – Karwowski, Szymański i Pliszka – będą powoływani tylko wtedy, gdy właściwy ławnik z odpowiedniej gminy nie będzie mógł się dla jakiejkolwiek przyczyny w dniu wyznaczonym stawić. Nowy komplet ławników zacznie być czynny od 1 lipca. Poza tym, otrzymałem dziś z Sądu Okręgowego załatwienie wszystkich innych zaległości. Powództw cywilnych wpłynęło pięć, oprócz tego przysłano od prokuratora nowe śledztwo do przeprowadzenia w sprawie z oskarżenia 17-letniego Muracha z Zalesia o usiłowanie zgwałcenia 12-letniej dziewczynki (na ślad tego przestępstwa natrafiłem ja sam w toku innego śledztwa z oskarżenia tegoż Muracha i towarzyszy o kradzież nocną, o czym zawiadomiłem prokuratora, który mi to śledztwo przysłał obecnie). Przysłano też od prokuratora ogromne akta sprawy niejakiego Trepanowskiego, która to sprawa była pierwotnie w śledztwie, a teraz z powodu ustalenia właściwości przekazana została do Sądu Pokoju. Miałem też dziś kolejne badanie świadków (już nie pamiętam – które z rzędu) w śledztwie w sprawie Ogrodnikowej.

16 czerwca, rok 1918, niedziela
Tydzień ubiegły zaznaczył się znowu dalszym ogromnym przyrostem spraw w sądzie. Do wyznaczenia na wokandy miałem dziś z tygodnia ubiegłego 30 spraw, w ciągu zaś tygodnia, na jedynej sesji piątkowej, rozstrzygniętych zostało 8 spraw, czyli że przewyżka[4] wynosi 22 sprawy: o tyle wzrosła w ciągu tygodnia masa zaległości. Ze względu na długą lipcową przerwę w sesjach zmuszony byłem cały szereg spraw wyznaczać aż na sierpień (sesje są już powyznaczane do 16 sierpnia), chociaż wokandy w nich jeszcze nie całkowicie wypełnione. Ogólna ilość spraw już powyznaczanych na wokandy wynosi przeszło 90; nigdy takiego nagromadzenia nie miałem. Jeżeli do tego dodać sprawy z różnych względów odroczone, które jeszcze do wyznaczenia nie poszły, to masa zaległości wyniesie z górą 100 spraw. I tendencja dalszego wzrostu nie ustaje.
Stefuś[5] dziś się znowu wybrał z wędką na ryby do Skrody. Miał iść z Miętkiewiczem o świcie i w tym celu miał wstać o godz. 1 ½ nad ranem. Z powodu deszczu jednak, który spełniając wreszcie tęsknotę rolników padał obficie w nocy, nie poszedł. Rano jednak, pomimo deszczu wyruszył. Deszcz w ciągu dnia ustał. Stefuś wrócił o godz. 9 ½ wieczorem i przyniósł jako plon całego dnia – dwie rybki!
Sprawa mojego powrotu do Litwy zasuwa się coraz bardziej mgłą, traci swoją aktualność i wyrazistość pierwotną, staje się czymś, co nie tyle jest projektem i programem realnym, celem usiłowań, ile jakąś abstrakcyjną, teoretyczną możliwością. Przyjechałem w roku zeszłym do Kolna pod znakiem tymczasowości, wpatrzony w

---

[3] Józef Rainko, w Polsce niepodległej urzędnik powiatu i starostwa kolneńskiego.
[4] współcz. – nadwyżka
[5] Stefan Römer (1900-1951), syn Marii i Witolda Römerów, artysta malarz, studiował w ukraińskiej Akademii Sztuk Pięknych w Pradze (1928-29). W styczniu 1925 r. poślubił Marię Narbutt. Mieszkał w majątku Szaszewicze pod Kownem. Krótko uczył rysunku w gimnazjum w Poniewieżu. W 1926 r. na wystawie w Poniewieżu jego praca „W knajpie" uzyskała I nagrodę. Od połowy lat trzydziestych cierpiał na nieuleczalną chorobę, która uniemożliwiła mu wykonywanie zawodu.

gwiazdę powrotu do Litwy. Przez zimę całą aż do wiosny pod tym znakiem żyłem, mierząc tęsknotę powrotu na miesiące. Im wszakże więcej czasu upływało, tym gwiazda powrotu gdzieś się coraz dalej w odległość abstrakcji odsuwała, stateczniał natomiast mój pobyt realny w Kolnie. Z jednej strony, perspektywy realnego rozpoczęcia budowy państwowej Litwy i w szczególności organizacji sądownictwa litewskiego, umożliwiającej mi konkretnie powrót i byt materialny w kraju, z bliskich, jak się chwilami zdawało, stawały się dalekimi, jak wszystko w tej wojnie – z drugiej strony prawdą jest, że człowiek ma w sobie coś z kamienia, który na miejscu mchem porasta. Pobyt przedłużając się w czasie sam przez się przykuwa człowieka do miejsca. Z ciągłością pobytu człowiek się oswaja i powoli wrasta w miejsce. Im dłużej, tym trudniej się ruszyć. Faktem jest, że kamienieję w pobycie moim w Kolnie. I faktem jest również, że przywiązałem się do tej pracy i do tego sądu w Kolnie. Sumienie mnie gryzie, serce mi się ściska nieraz, gdy czytam krajowe pisma litewskie i białoruskie, gdy dowiaduję się z nich o coraz liczniejszym powrocie wygnańców i uchodźców, podczas gdy ja tu marudzę, gdy wreszcie z pracy tej odzywa się do mnie tętno pulsujących spraw i zagadnień krajowych w tej historycznej dobie tworzenia się. Tęsknota wyje we mnie, jakiś robak smokcze[6] mi wnętrze. Litwa oto powstaje, a ciebie, Michale Römerze, tam nie ma, ciebie, któryś się związał z nią ślubem wszystkich wierzeń i ideałów, wszystkich ambicji i bolesnych ofiar! Jesteś sędzią pokoju... w Kolnie! W pracy bieżącej sądowej, którą lubię, i którą nawet – muszę się przyznać – kocham, topię i głuszę tęsknotę i wyrzut całej młodości mojej. O, żebyż to, Boże, Litwę i sąd połączyć! Aninko[7], do Ciebie myśl Twego Michasia w trosce biegnie.

17 czerwca, rok 1918, poniedziałek
Znowu dziś śledztwo w sądzie, dzień, w którym trzeba było orać zaiste – jak wół. Nienawidzę tych śledztw, które się wloką jak żółw, a czasem pochłaniają takie ilości czasu, że doprawdy są niewspółmierne wydajnością swoją do nakładu pracy. Czasem doprawdy rozpacz ogarnia przy tej robocie śledczej, bo niepodobna jej skończyć: z jednego badania oskarżonych lub świadków wyłaniają się nowe okoliczności, nowe szczegóły, nowi świadkowie, z tych znowu dalsze i nowe itd., itd. – w nieskończoność. A prokuratura żąda pedanterii ogromnej. Śledztwo jest zbudowane na średniowiecznych inkwizycyjnych metodach procedury papierowej, niesłychanie szczegółowej i przewlekłej. Sprawa, która w sądzie byłaby zakończona na jednej lub dwóch sesjach, w śledztwie będzie się ciągnęła miesiące i wymagała dziesięciokrotnego wzywania oskarżonych, poszkodowanych, świadków. Badanie świadka, które w sądzie, przy rozprawie ustnej i bezpośredniej, jest krótkie i w protokóle streszcza się zwięźle, w śledztwie rozrasta się do dłuższej papierowej, niesłychanie drobiazgowej indagacji. Bo w śledztwie całkowity obraz faktów i okoliczności musi być odtworzony na papierze w aktach sprawy. A śledztw tych prokuratura nasyła coraz więcej. W ostatnich dniach całą paczkę ich otrzymałem: w sobotę – jedno, a dziś – aż trzy. Cztery nowe sprawy w Sądzie Pokoju – to bagatelka, ale cztery nowe śledztwa – to katorga. Wolę 50 spraw sądowych, jak jedno śledztwo. Sprawy sądowe moje lubię i znajduję w pracy nad nimi prawdziwą przyjemność; sesja sądowa, choć wymaga intensywnej pracy, jest rozrywką i jest czymś żywym. Natomiast robota śledcza jest nużąca i nudna. Narzucenie sędziom pokoju czynności śledczych, choć może usprawiedliwione chwilową koniecznością sądownictwa polskiego, jest w zasadzie bardzo niepożądane: zakłócają one bowiem bezpośrednią pracę sędziowską, wnoszą element obcy do działalności sędziego, odrywają go od jego zasadniczych obowiązków, a mogą nawet pewien wpływ paczący

[6] Archaizm bądź regionalizm, tu w znaczeniu: ssie, wysysa.
[7] Anna Wolberg (1891-1914), łotewska dziewczyna, towarzyszka życia Römera w l. 1911-1914.

wywierać na jego czysto sędziowskie metody pracy. W toku nudnych i uciążliwych śledztw tęsknię do moich spraw sądowych, które prawdziwie lubię. Dziś aż do godz. 8 wieczorem siedziałem przykuty do tych naleciałości śledczych, co dziś do wykonania miałem. Toczyłem badania świadków w dwóch śledztwach, a nowych śledztw nadesłanych jeszcze wcale nie przejrzałem.

18 czerwca, rok 1918, wtorek
Dziś już trochę lżej było w sądzie. Wykańczałem głównie robotę wczorajszą, która cały zator zrobiła w pracy bieżącej – głównie nadesłane od prokuratora śledztwa. Trzeba się było w nich rozejrzeć i nadać im ruch. Są to zaniedbane stare śledztwa, które od miesięcy leżały u Wojchta w Szczuczynie. Widocznie teraz Wojcht, przed wyjazdem na urlop, postanowił dokonać generalnej sanacji swoich śledczych stajen Augiaszowych i powybierał wszystkie zaniedbane, zaległe śmiecie, które porozpychał za pośrednictwem prokuratora między sędziów pokoju. Intensywnie pracując, koło godz. 5 zakończyłem robotę.

19 czerwca, rok 1918, środa
Dzień sesji sądowej. Ławnicy: Remba i Kocik. Na wokandzie było 9 spraw, w tej liczbie pośród cywilnych jedna zabłąkana karna. Sesja trwała od godz. 10 do 3 po południu. Sesja była urozmaicona i dość ciekawa. Zreferuję pokrótce sprawy. A więc: w sprawie karnej oskarżony o kradzież zegarka niejaki Tadeusz Mizgier, biedny chłopiec 16-letni z wygnańców z Białej Rusi (Litwy), z powiatu słonimskiego. Sądziłem więc rodaka mojego; miłą mi była jego mowa z akcentem litewskim, cała postawa, twarz i oczy dziecka naszego ludu. Biedny chłopiec, najstarszy z sześciorga dzieci wygnańczych, którzy tu wraz z matką w nędzy żywot pędzą, utrzymując się z ubogiego zarobku i żebraniny – będąc u zegarmistrza, gdzie dawał swój zegarek do naprawy, dał się skusić i ukradł zegarek. Zatrzymano go wkrótce na skutek podejrzenia zegarmistrza; przyznał się do kradzieży i wskazał miejsce w domu, gdzie schował skradziony zegarek. Z twarzy poczciwej i zbiedzonej widać było, że to nie złodziej zawodowy. Bronił go Goldberg, zdobywając się na patos i grając na rzewnych strunach współczucia, tak że niektórzy na sali płakali, płakała też matka oskarżonego, a sam Tadeusz miał oczy dużych niemych łez pełne. Sąd go uznał winnym, ale zastosowując jeden z artykułów przepisów przechodnich uwolnił od kary na tej zasadzie, że kradzież popełniona została z nędzy. Wśród spraw cywilnych były dziś dwie, w których brały udział osoby, należące już do kategorii moich tzw. znajomych osobistych: w jednej powodem był Mystkowski, w drugiej pozwanym – fotograf Silbersztejn. Wypadło tak, że obaj musieli pozostać niezadowoleni z wyroków. Mystkowski skarżył szewca, któremu dał swoje buty na drewnianych podeszwach w celu oddania do specjalnej naprawy; kwestia o te buty trwa już od grudnia; Mystkowski już go raz skarżył i dwukrotnie odwlekał sprawę, nie stając do niej, wreszcie teraz wytoczył nową, żądając zwrotu wartości obuwia i licząc sobie fantastyczne wynagrodzenie – po 20 marek miesięcznie za czas, przez który był pozbawiony używania obuwia; ponieważ wszakże Goldberg, postawiony przez Mystkowskiego za świadka, stwierdził, że Mystkowski ułożył się z pozwanym szewcem przed paru miesiącami, że tenże albo mu w ciągu dwóch tygodni zwróci naprawione obuwie albo 60 marek odszkodowania, zasądziliśmy 60 marek i basta, zamiast 200 żądanych przez Mystkowskiego; Mystkowski wyszedł srodze zawiedziony i zły. Fotograf Silbersztejn przegrał z kretesem, bo zasądziliśmy od niego całą żądaną przez powoda sumę należnego czynszu za plac, na którym stoi szopa zakładu fotograficznego; fotograf bronił się tym, że został w szopie tej zainstalowany przez naczelnika powiatu i że za szopę opłaca dzierżawę krewnym jej nieobecnego

właściciela; ale że szopa stoi na cudzym placu i że nikt się nie może wzbogacać cudzym kosztem, zasądziliśmy całą sumę powództwa; nic nie pomogła obrona Goldberga. Dalej były dwie grube sprawy – o dział osady i o wykup sprzedanej przez współspadkobiercę w obce ręce schedy; obie te sprawy, należące do najgrubszych we właściwości sądu pokoju, zostały odroczone na zasadzie pewnych decyzji incydentalnych. Dalej dokonane było zbadanie w charakterze świadka, na skutek rekwizycji Sądu Pokoju w Stawiskach, weterynarza powiatowego Bayera, z którym w jesieni na gruncie wzywania go do sądu miałem scysję. Wreszcie była sprawa o spór co do własności sumy odszkodowania rekwizycyjnego – odroczona.

20 czerwca, rok 1918, czwartek
Teraz jest regularnie w sądzie roboty huk. Wyjątkiem byłby dzień, w którym można byłoby wytchnąć chwilę w ciągu dnia i skończyć robotę do obiadu. Jeżeli tak jest co dzień, to tym bardziej w czwartek. Jak zawsze zaś – najwięcej pochłaniają czasu śledztwa – czynność obca w Sądzie Pokoju. Śledztwa te w Sądzie Pokoju – to jak kukułcze jaja, podrzucone w gnieździe innych ptasząt. Pisklęta kukułki, nienasycone, zabierają lwią część pokarmu i tuczą się kosztem prawowitych dziedziców gniazda. Tak jest i u mnie obecnie. Nieznośne pasierby – śledztwa – więcej zabierają mi czasu i pracy od prawowitych dzieci, spraw sądowych. Kosztem zaniedbania tych ostatnich, dla których mam o wiele więcej miłości, muszę ślęczeć nad pierwszymi. Tymczasem teraz samych spraw sądowych tyle przybywa, że gdyby nawet nie śledztwa – musiałbym niemało nad nimi pracować. Dochodzi do tego, że zaczynam już tracić panowanie nad ogółem spraw sądowych, których całość coraz mi już trudniej ogarnąć. Obawiam się zaś tego, że dla dobrego pełnienia czynności sędziowskiej, jak zresztą każdej innej, potrzebne jest panowanie nad materiałem i przedmiotem, ogarnianie wzrokiem i myślą całości, bliski kontakt z każdą poszczególną sprawą, którą trzeba poznać, wyczuć, wchłonąć w siebie jej istotę i potrzeby. Dotychczas miałem to. Jak dobry gospodarz zna każde pólko swego majątku, śledzi los każdego zasiewu, wie o każdej czynności i myślą całość ujmuje i wiąże, tak ja miałem tę gospodarza czujność i pamięć w moim sądzie. Każda poszczególna sprawa przemawiała do mnie swoim własnym żywym językiem indywidualnych potrzeb i właściwości; każdą rozumiałem, czułem i znałem. Teraz coraz mi trudniej utrzymać ten bezpośredni kontakt ze sprawami. Przede wszystkim, coraz rzadziej protokołuję osobiście skargi powodowe, zmuszony z braku czasu zlecać to kancelarii, która nie potrafi zrobić tego tak ściśle, jak ja. W ogóle ruch spraw, który stał się gorączkowym biegiem, sam przez się coraz utrudnia tę dokładną pieczołowitość, która charakteryzowała mój stosunek do sądu. Stosunek mój do sądu ma cechę stosunku gospodarza do swojej fermy albo matki do dziecka.
Spraw dzisiaj nowych wpłynęła do sądu cała garść. W ich liczbie była jedna, wytoczona przeciwko Rembie o usunięcie z mieszkania. Spraw tego rodzaju jest teraz dużo, ponieważ św. Jan jest w Kolnie zwyczajowym terminem najmu mieszkań, a właściciele domów, korzystając z przeludnienia Kolna w stosunku do ilości ocalałych po pożarach zabudowanych nieruchomości, wyprawiają prawdziwą orgię spekulacji na zwyżce cen. Kwestia mieszkaniowa jest w Kolnie jedną z bardzo ostrych; wśród śledztw, które prowadzę, jest jedno niezwykłe: ciekawe jest i ciężkie, dotyczące zbrodni paskudnej i usiłowania zgwałcenia 12-letniej dziewczynki przez 17-letniego łobuza.

21 czerwca, rok 1918, piątek
Dzień sesji sądowej. Ławnicy – Kocik i Jerozolimski. Na wokandzie 9 spraw cywilnych. Sesja trwała od godz. 10 rano do godz. 6 ½ z przerwą obiadową. Kilka spraw było ciekawych, dość dużo zostało odroczonych. Na wokandzie była dziś sprawa

robotnika Łuckiego, Żyda, wygnańca z Białej Rusi, przeciwko niejakiemu Aszowi, również Żydowi, przedsiębiorcy przemysłu leśnego, o odszkodowanie za nieszczęśliwy wypadek, któremu uległ robotnik. Pierwszy raz w mojej praktyce miałem tego rodzaju powództwo i pierwszy raz stosowałem specjalne przepisy z roku 1903 o wynagrodzeniu robotników zakładów przemysłowych za nieszczęśliwe wypadki. Mimo że Asz się energicznie bronił układem pojednawczym, jaki rzekomo zawarty został po wypadku między nim a poszkodowanym robotnikiem przy pośrednictwie biura przy Urzędzie Powiatowym, zasądziłem wynagrodzenie w myśl powyższych przepisów, które anulują wszelkie nieformalnie zawarte układy jako zdziałane z ujmą dla gwarancji poszkodowanego robotnika. Ta sprawa była centralną w sesji dzisiejszej. Była też sprawa o wynagrodzenie służącej, oddalonej przez gospodarza, wytoczona przez opiekuna nieletniej dziewczyny; doszło do wniosku pojednawczego, którego uprawnienie się jest wszakże zależne od upoważnienia *ad hoc* opiekuna przez radę familijną, w którym to celu sprawa została odroczona. Dalej były dwie sprawy mieszkaniowe o ustalenie stosunku prawnego z tytułu najmu mieszkania, z których jedna została zakończona układem pojednawczym, druga – spadła z wokandy za niestawiennictwem stron. Następnie była sprawa niefortunnej Rybki, rzeźniczki z Wincenty, która po raz drugi przegrywa u mnie w sądzie z powodu wadliwego wytoczenia powództwa, chociaż tym razem była ona niewątpliwie pokrzywdzona; wytoczyła ona jednak powództwo przeciwko niewłaściwemu pozwanemu i musiała przegrać; chodziło o świnię, którą kupiła od gospodarza Bazydły z Czerwonego i która, po przepędzeniu jej do nabywczyni, uciekła z jej podwórza i została schwytana oraz przywłaszczona przez Sawickiego z tejże Wincenty; Sawicki usiłował przywłaszczenie uprawnić, chcąc Bazydle cenę zapłacić, czego Bazydło nie przyjął; Rybka zamiast Sawickiego skarżyła Bazydłę. Następnie była sprawa Juszka Stawiskiego przeciwko gospodarzowi Chaberkowi o zwrot krowy, którą Stawiski, jak to teraz Żydzi i zwłaszcza rzeźnicy pospolicie robią, w celu ukrycia zakupionych krów od rekwizycji, dał gospodarzowi Chaberkowi na utrzymanie przez zimę bez specjalnej umowy, za co teraz Chaberek żąda nadmiernego wynagrodzenia, wstrzymując zwrot krowy. Sprawa ta została odroczona w celu zbadania świadków, powołanych przez pozwanego Chaberka na poparcie jego zarzutów. Była też dziś sprawa Grzegorza Sielawy z Zabiela przeciwko wdowie Władysławie Bazydło o przywrócenie zakłóconego posiadania sadu przez zniszczenie ogrodzenia tegoż. Sprawę tę również odroczyliśmy w celu dokonania oględzin miejscowych, które poleciliśmy dokonać ławnikowi Kocikowi. Wreszcie jeszcze parę spraw drobnych i bezbarwnych. Lubię moje sesje sądowe. Co za porównanie do nudnych papierowych śledztw, do mozolnych pedantycznych badań świadków w śledztwach! W sprawach sądowych jest żywy nerw bezpośredniej ustnej rozprawy, współubieganie się stron, jest akcja. Oto z ogólnej rezerwy moich spraw na każdą wokandę wypływa ich kilka – jedne tętniące ruchem, pełne namiętności, inne anemiczne, jedne – skomplikowane, inne – proste, każda z własnym indywidualnym obliczem i każda żyje, gra swoją akcję na scenie, umiera wreszcie w wyroku lub spada znów do masy rezerwy, aby po jakimś czasie znowu na którejś wokandzie wypłynąć. Lubię to, bo jest ciekawe i żywe. Życie tych spraw sądowych jest pełne właściwych barw, ulega pewnym prawom, ma poza tym swoją tęczę indywidualności.
Stefuś poszedł dziś na całą noc na ryby nad rzekę Skrodę. To rybołówstwo – sport wędkowy – stał się dla niego manią pod wpływem Miętkiewicza. I w tym także wyraża się charakterystyczny brak samodzielności Stefusia: jest to w nim ten instynkt małpiarstwa i uganianie się oraz naśladowanie tego, co mu imponuje. Jest lekkomyślność i motylkowe chwytanie się różnych rzeczy, a nic stateczności i jakiegoś charakteru własnego. Ale przynajmniej dotąd nie robi żadnych łajdactw.

W spokojnych błogosławionych stronach Kolna mnożą się, niestety, w tych czasach napaści i rabunki. Sprawcami ich są zbiegli jeńcy rosyjscy, tułający się po lasach. Co dzień niemal o nich słychać; raz w raz gdzieś się ukazują, nachodzą wioski i drobne osady. Przed kilku dniami zdarzył się napad na pograniczną wieś Rzepin, przesadzony w opowiadaniach. Widziano ich też w okopach, w żytach między Zabielem a Pastorczykiem; 10-letni Staś Pikulicz, syn mego gospodarza, spotkał ich dwóch uzbrojonych w karabiny; prosili go o chleb, którego im udzielił. Przed dwoma dniami pięciu ich przyszło w nocy do Pastorczyka skąd ich właściciel folwarku Skrodzki i Kulisiowie wygnali, a nazajutrz znaleźli dwóch nocujących w stodole.

22 czerwca, rok 1918, sobota
W sądzie roboty tak jak zwykle w ostatnich czasach. Pracowałem do godz. 6 ½ wieczorem; były wpływy nowych spraw, decyzje w śledztwach, różna robota bieżąca. Nie ma już teraz tego, żeby w sądzie nie było nic do roboty i żeby jeszcze przed obiadem móc usiąść z założonymi rękami lub wypatrywać oknem, czy się jakiś zabłąkany interesant nie zgłosi i nie wypełni pustki przymusowego bezrobocia; i już chyba nieprędko tak będzie: bo oto teraz w najbliższych dwóch tygodniach będą po trzy sesje na tydzień, oprócz tego parę śledztw, następnie – wyjazd do Szczuczyna na miesięczną orkę śledczą, a po powrocie stamtąd do Kolna – odrabianie zatoru zaległości. Słowem – przewiduję na długi czas roboty huk. Nie sarkam. Wolę to niż próżnię bezrobocia, jaka się czasem zimą tygodniami trafiała. Czasem tylko, gdy już bardzo zmęczony 10 godzinami nieustającej pracy jestem, doznaję niesmaku przeładowania, ale to się stosuje szczególnie do śledztw. Ugrzęzłem w Kolnie, zdaje się na dobre. Nie przewiduję, jak i kiedy się stąd wyrwę. Już za rzecz normalną uważam drugą zimę w Kolnie i oswoiłem się z tą myślą zupełnie, i nawet bezwiednie planuję sobie czas na zimę. Czyżbym się spodziewał, przyjeżdżając do Kolna w roku zeszłym, że mi tu tyle zim zimować wypadnie!
Ciekaw jestem, czy ten nawał pracy w sądzie jest zjawiskiem przejściowym, wywołanym głównie przez czasowe zakłócenie stosunków na skutek nagłego masowego powrotu uchodźców, czy też ustali się ostatecznie, świadcząc bądź co bądź o pewnym przywróceniu równowagi w życiu społeczno-gospodarczym.
Do Kolna w tych dniach przybył pewien nowy kandydat, ubiegający się o stanowisko obrońcy sądowego. Jest nim niejaki Lis, który świeżo wrócił z uchodźstwa w Rosji i ma tu teścia w Kolnie, toteż pragnąłby się tu zainstalować. Był on podobno obrońcą (czyli adwokatem) prywatnym (tzw. частный поверенный) za czasów rosyjskich przy zjeździe sędziów pokoju w Suwałkach. Teraz zamierza robić starania w Sądzie Okręgowym w Łomży o zatwierdzenie go w charakterze obrońcy sądowego w sądach pokoju Okręgu Łomżyńskiego z siedzibą w Kolnie. Był dziś u mnie i prosił o poparcie u prezesa. Nie znając, kto to zacz, nie mogłem mu stanowczego poparcia obiecać, jeno zapewniłem, że z mojej strony przeszkód nie będzie. Goldberg jest wielce zaniepokojony i strapiony wyrastającą ewentualnie konkurencją drugiego adwokata; szczególnie obawia się agitacji klerykalnej na rzecz adwokata katolika przeciwko Żydowi. Zdaje mi się jednak, że wielkiego niebezpieczeństwa konkurencji nie będzie, bo odebranie np. Goldbergowi pewnej części klienteli skompensuje się przez podnietę rywalizacji wzajemnej przez obustronne w wielu wypadkach korzystanie z usług adwokatów w procesie, wreszcie przez ewentualne wzmożenie ruchu spraw na skutek obecności adwokata. Bo adwokat jest zawsze bodźcem pieniactwa (używam wyrazu „pieniactwo” nie w tym szczególnym ujemnym znaczeniu, w jakim się on zwykle używa).

Na obiedzie u Chodnickiej nie byłem. Zaprosili mnie dziś Szklaniewiczowie, gospodarze domu, w którym mieści się sąd – Mosek Szklaniewicz z małżonką – na gęś pieczoną. Wyprawili mi tę ucztę w podziękowaniu za komorne, które im wreszcie w pięknej sumie 900 marek (po 100 marek za miesiąc) wypłacono. Przyjąłem zaproszenie, bo nie miało charakteru łapówki lub prośby o cokolwiek. Była ćwiartka gęsi pieczonej, poprzedzona paru kawałkami szczupaka po żydowsku i zalana jakimś mocnym i nawet nienajgorszym winem, zapewne – reńskim.

23 czerwca, rok 1918, niedziela
Pomimo że niedziela, czas był zapełniony. Rano wyznaczyłem na wokandy sprawy z tygodnia. Ogółem było ich 23 numerów. Osądzonych w ciągu tygodnia na dwóch sesjach było 12 spraw, czyli że nadwyżka na rzecz przyrostu zaległości wynosi 11 spraw; jest to mniejszy przyrost, niż w dwóch tygodniach ubiegłych, ale bądź co bądź znaczny. Z tygodnia na tydzień zaległość rośnie bezwzględnie.
Napisałem też dziś wyrok w formie ostatecznej (motywowany) w zasądzonej we środę sprawie Ozorowicza przeciwko fotografowi Silbersztejnowi o czynsz za plac pod altanę fotograficzną; Silbersztejn ma apelować.
Rada Opiekuńcza wyznaczyła na dziś w Kolnie kwestę, znaną pod nazwą „Ratujcie dzieci"; jest to wielka kwesta ogólnokrajowa, którą Rada Główna Opiekuńcza[8] co roku od lat trzech organizuje. Była sprzedaż uliczna bławatków przez kilka par kwestarek i kwestarzy, oprócz tego stał stolik na cmentarzu kościelnym, przy którym sprzedawano popularne kolorowe obrazki stosownej treści, specjalnie na ten cel wydane. Do stolika tego byłem i ja też zaproszony. Siedziałem przy nim ja, doktorowa Dąbrowska z córką i młody Śniegocki. Towarzystwo miałem miłe, bo doktorowa jest osobą przyjemną, a jej córka jest przystojną i ma dużo wyrazistego wdzięku młodości (ma lat około 18, była na uchodźstwie w Mińsku koleżanką szkolną Irki i Józi Pruszanowskich, moich siostrzenic rodzonych).[9] Kwestowaliśmy przy stoliku pod kościołem od godz. 10 aż do ukończenia nabożeństwa, to znaczy do godz. 1. Mało jednak uzbieraliśmy, ogółem trochę ponad 50 marek; głównymi i niemal jedynymi odbiorcami obrazków były dzieci i czasem kobiety. Chłopi tu są skąpi, nie kwapią się do ofiarności, pomimo że pieniędzy w obecnych czasach mają bez liku. Uspołecznienie stoi na poziomie bardzo niskim.
Następnie w lokalu szkoły miejskiej odbyło się zebranie członków miejscowej spółki spożywczej, która od lat kilku jest nieczynna. Na domaganie się wielu członków zarząd tej kooperatywy, na którego czele stoi Józef Pikuliński, zwołał zebranie dzisiejsze w celu omówienia ewentualnego projektu wznowienia sklepu spółkowego. Ja byłem zaproszony na zebranie w charakterze gościa i na prośbę zgromadzonych przewodniczyłem. Na zebraniu jednak prawie nikt nie zabierał głosu oprócz prezesa zarządu Pikulińskiego, ks. wikarego Budrewicza, gospodarza Józefa Kulągowskiego, oraz ks. Pomichowskiego. W głosowaniu ogólne zebranie wyraziło w zasadzie pożądaność wznowienia sklepu, uznało to wszakże za przedwczesne i postanowiło zalokować kapitał spółkowy na przechowanie do banku w Łomży. Rzeczywiście rozpoczynać dziś handel spółkowy z niespełna 2 tysiącami rubli przy obecnej drożyźnie wszelkich artykułów i niesłychanej trudności sprowadzenia towaru – byłoby niepraktyczną lekkomyślnością.

[8] Rada Główna Opiekuńcza (RGO), naczelna organizacja pomocy ofiarom wojny działająca w Królestwie Polskim w latach 1916-1918. Prezesi S. Wierzbicki, E. Sapieha.
[9] Irena (1899-?) i Józefa (1901-?), córki Konstancji i Ezechiela Pruszanowskich. Irena zamężna Węglowska, w niepodległej Polsce mieszkała w Słoninie. Józefa poślubiła Antoniego Römera z Ozieran, następnie Ciświckiego, w czasie okupacji prowadziła sklep w Wilnie.

24 czerwca, rok 1918, poniedziałek

Sesja sądowa. Ławnicy – Stachelski i Kocik. Kocik – po raz ostatni. Na wokandzie – 9 spraw cywilnych. Sesja, z przerwą obiadową, trwała od 10 rano do 5 po południu. Większość spraw, bo siedem z dziewięciu, zakończona została wyrokami. W liczbie spraw wokandy dzisiejszej były aż trzy sprawy gospodarcze Albina (jak się on sam pisze z kurpiowska – „Albzina") Stachelskiego z Kolna, częstego gościa w sądzie, który, zdaje się, zdobył rekord ilością procesów. Z tych spraw dzisiejszych Stachelskiego jedna stanowiła „*clou*" całej sesji. Była to sprawa o pług, który odebrał Stachelskiemu młody gospodarz Tomasz Pomichowski. Stachelski wytoczył przeciwko niemu powództwo o zwrot pługa. Na stronę zarówno pozwanego, jak powoda wstąpiły do sprawy w drodze interwencji osoby trzecie, mianowicie na stronę pozwanego jego matka Ewa Pomichowska, na stronę zaś powoda – brat pozwanego Franciszek Pomichowski, od którego Stachelski przed paru laty pług ten kupił. Pozwany wraz z matką interwenientką bronili się tym, że Franciszek Pomichowski, jako jeden ze współsukcesorów nie podzielonej gospodarki, nie miał prawa pługa z tegoż gospodarstwa spadkowego sprzedać i że zatem sprzedaż taka była nieważna, a więc współsukcesor Tomasz Pomichowski, odbierając pług, zrealizował prawo własności. Spór był na sądzie namiętny, a sprawa ta budziła sensację w stosunkach gospodarskich w Kolnie, tym bardziej, że Albin Stachelski jest nielubiany i ma opinię kręciela. Sąd wszakże zasądził na rzecz Stachelskiego zwrot pługa, uznając że sprzedaż przedmiotu ruchomości spadkowej przez jednego ze współwłaścicieli, który w czasie sprzedaży jawnie prowadził gospodarkę wspólną, jest ważną. W przeciwnym razie bowiem kupujący cokolwiek bądź od gospodarza jawnego musiałby zawsze albo być narażony na to, że po jakimś czasie (w tym wypadku po dwóch leciech) nagle się zgłosi jakiś pretendent do rzeczy z własnym tytułem samodzielnym lub współspadkowym i rzecz od nabywcy odbierze, albo sprawdzać poprzednio, czy czasem sprzedawca nie posiada jakichś współwłaścicieli, bądź małoletnich, bądź nieobecnych, i czy istotnie jest on jedynym i prawowitym właścicielem. Zresztą i Kodeks w przepisach swoich o ruchomościach podobnie rzecz traktuje. W obozie pozwanych jednak wyrok nasz nie znalazł uznania i kto wie, czy sprawa nie pójdzie do apelacji. W innej sprawie dzisiejszej wyrok nasz wywołał już apelację, bo powód, który przegrał, oświadczył, że apelować będzie i obstalował kopię motywowanego wyroku. Jest to sprawa z powództwa Waszkiewicza przeciwko Gnozie o zwrot ceny za sprzedane (i następnie zdechłe) cielę z tytułu rękojmi sprzedawcy za wadę ukrytą sprzedanej rzeczy. Nic jednak chyba Waszkiewicz w apelacji nie wygra. Miałby on sprawę czystą z dużymi szansami na zasadzie świadectwa weterynarza o przyczynie śmierci cielęcia, gdyby się nie powołał na świadka, chcąc wzmocnić swoje stanowisko, a właściwie gubiąc je przez to. Świadka tego wezwał na stwierdzenie tego, że sami sprzedawcy wiedzieli o chorobie cielęcia przed sprzedażą, bo ojciec pozwanego Gnozy sam o tym świadkowi mówił. Tymczasem świadek zeznał, że to on, świadek, nastręczył Waszkiewiczowi tę sprzedaż i że przy tym wspominał mu o chorobie cielęcia. Skoro zatem o wadzie Waszkiewicz wiedział, nie może być mowy o rękojmi sprzedawcy za wadę ukrytą. Poza tym, było kilka jeszcze innych spraw, o których już z braku miejsca pisać szczegółowo nie będę. Tak oto sesja dzisiejsza sprowadzi co najmniej jedną, a może i dwie apelacje – zjawisko bardzo rzadkie w praktyce mojego sądu. Apelacji na wyroki moje na ogół jest bardzo mało, a jeszcze mniej złamanych w drodze apelacji wyroków (właściwie całkowitego uchylenia jakiegokolwiek wyroku mojego – nie było nigdy dotąd). Zimą przez jakiś czas było trochę więcej apelacji na moje wyroki, następnie przez wiosnę, wraz z powiększaniem się ruchu spraw, ilość apelacji zaczęła spadać i teraz już od kwietnia

żadnej apelacji nie miałem. Obecnie zaś gotuje się apelacja w sprawie Ozorowicz-Silbersztejn i teraz Waszkiewicz-Gnoza, a może i Stachelski-Pomichowski.

25 czerwca, rok 1918, wtorek

Roboty w sądzie huk. Siedziałem i pracowałem od godz. 9 rano, jak zawsze, aż do 8 wieczorem, z przerwą niespełna godzinową na obiad, który zjedliśmy ze Stefusiem nie u Chłodnickiej, lecz w domu (z okazji kaczki, którą wczoraj kupiłem). Dopływ spraw nowych nie ustaje; sypią się one ze wszystkich stron jak z rękawa: i Goldberg przynosi, i są zgłaszane bezpośrednio, i nadsyłane pocztą. Wczoraj siedem spraw rozstrzygnęliśmy ostatecznie, a oto już przez dzień wczorajszy i dzisiejszy wpłynęło nowych osiem, nie licząc odroczonych, które znów do wyznaczenia przyszły. Niepodobna nadążyć z wypchaniem zaległości nawet teraz, a cóż dopiero będzie, gdy w lipcu będą napływać nowe, a sesji wcale nie będzie! Dziś miałem badania świadków w śledztwie w sprawie Krochmalnika i innych, oskarżonych o kradzież, ale najwięcej czasu mi zajęło napisanie aż dwóch naraz wyroków w formie ostatecznej, obstalowanych dla ewentualnej apelacji – w sprawie wczorajszej Waszkiewicza z Gnozą i w sprawie... Mystkowskiego z Ryszkiem. Mystkowski, niezadowolony z naszego wyroku, myśli o apelacji i jeżeli ją wniesie, to z pewnością przegra, bo nie ma żadnych zasad do zmiany tego wyroku.
Pracuję teraz w sądzie jak *perpetuum mobile*, ale jakaś się we mnie bierze zawziętość do tej pracy i choć się w myśli nieraz przerażam ciągłym gwałtownym przyrostem zaległości, jednak jakimś podświadomym instynktem cieszę się z wielkiego ruchu spraw i witam chętnie każdą sprawę. Wytworzyła się u mnie jakaś namiętność do tej gry spraw, namiętność podobna do karciarstwa. Jak zahipnotyzowany – wpatruję się w ten potok procesów i pracuję w nim z jakąś wściekłością, pochłaniającą całą energię. Tak pracowałem tylko w „Gazecie Wileńskiej”[10] i następnie przy pisaniu *Litwy* [11] w Krzeszowicach w r. 1907. Każda sprawa sądowa jest dla mnie żywą i znajomą indywidualnością; bawię się nimi i gdyby mi przyszło opuścić mój sąd w Kolnie – żałowałbym każdej sprawy; zdaje mi się, że zazdrościłbym nawet, gdyby ktoś inny miał jakąkolwiek z tych moich spraw sądzić.

26 czerwca, rok 1918, środa

Sesja sądowa. Ławnicy: Stachelski i Remba. Na wokandzie dziesięć spraw cywilnych. Sesja trwała z przerwą obiadową do godz. 6. Pierwsze szły dwie analogiczne sprawy z powództwa Ignacego Ruchały, byłego przed wojną pisarza gminnego gminy Czerwone, który był na uchodźstwie w Rosji, skąd przed paru miesiącami wrócił. Były to sprawy przeciwko dzierżawcom gruntu Ruchały w Kolnie – Tyszce i Olczakowi. Ruchała żądał w obu sprawach: 1. wyrugowania dzierżawcy z gruntu, 2. zasądzenia od dzierżawcy czynszu za cztery lata wojny. Te sprawy Ruchały są pierwszymi, które trafiły na wokandę z całego szeregu spraw albo już wniesionych do sądu, albo gotujących się – na gruncie sporów, wynikających z powrotu uchodźców do kraju. W zasadzie jestem zawsze w tych sporach skłonny do popierania tej strony, która została w kraju, przeciwko tej, która uciekała do Rosji; i sprawiedliwość i czynnik obywatelski i nawet prawo daje przewagę tym, co zostali; z drugiej strony wszakże trzeba godzić względy powyższe z formalnymi konsekwencjami własności, na które się powołują uchodźcy; ustalenie tego kompromisu słusznego jest głównym w tych sprawach i nie raz trudnym zadaniem Sądu. Ci, którzy zostali, walczyli z trudnościami, znosili ciężary praw wojennych i okupacji, nie zerwali swego związku z krajem, w pracy, a nawet w dążeniu

---

[10] „Gazeta Wileńska”, tygodnik, który w okresie luty-lipiec 1906, wydawał i redagował Römer.

[11] *Litwa. Studium o odrodzeniu narodu litewskiego.* Lwów 1908 – pierwsza duża praca M. Römera.

do zysku stali przecież na stanowisku obowiązku społecznego. Tamci, którzy uciekli, zdezerterowali z własnego gniazda, przychodzą teraz i z różnych tytułów własności wyciągają ręce po plon pracy i mozołu pierwszych. Pozwani przeciwnicy Ruchały, zwłaszcza pierwszy – Tyszka, chłop mądry i bardzo logiczny – bronili się dzielnie. Obie sprawy zostały odroczone. Ruchała chce jednocześnie i czynszu za rok bieżący, i plonu, i wyrugowania dzierżawcy, i czynszu za wszystkie lata ubiegłe. Nie oblicza natomiast wcale korzyści, jaką odniósł z tego, że zastał swój grunt nie rzucony odłogiem, wyjałowiony i zdziczały, lecz uprawiany, wydajny, obsiany; nie uwzględnia tego, że ludzie, którzy w tych latach na porzuconych gruntach prywatnych gospodarzyli, byli nie tyle związanymi w stosunkach cywilnych z właścicielami nieobecnymi tychże gruntów, ile pełnili zaiste funkcję społecznych wytwórców żywności, a w stosunku do właścicieli byli raczej prowadzącymi cudzy interes, mogącymi nawet ewentualnie wynagrodzenia z tego tytułu żądać.
Poza tym, odroczona została sprawa innego Ruchały przeciwko Kaczyńskiemu z tytułu rękojmi za pokonanie prawem – w celu przypozwania na żądanie pozwanego trzeciej osoby, jak również – sprawa Bageńskiego-Małachowskiego przeciwko Bageńskiej-Małachowskiej o wydanie źrebięcia. W tej ostatniej sprawie odroczonej, dla zbadania świadków, był klasyczny przykład niezaradności strony, która nie ma adwokata. Chodziło o wydanie źrebięcia (właściwie starego już obecnie konia, jeżeli jeszcze żyje), darowanego przed wielu laty (w r. 1895) powodowi przez ojca i spadkodawcę pozwanej. Darowizna była uczyniona aktem rejentalnym wraz z działem majątku ciepłą ręką przez starego spadkodawcę. Otóż darowizna ta, nie wiadomo dlaczego, została przyjęta w akcie na rzecz małoletniego podówczas obdarowanego nie przez jego ojca i opiekuna, lecz przez jego babkę, żonę darczyńcy. Takie przyjęcie, dokonane w imieniu małoletniego nie przez opiekuna – ojca, jest wadliwe, a ponieważ Kodeks Cywilny Napoleona żąda dla załatwienia wszelkiej darowizny – nie tylko darowania, ale i przyjęcia, więc darowizny w istocie rzeczy nie było. Przy czytaniu aktu tego w sądzie zwróciłem głośno na okoliczność tę uwagę. Goldberg stawał ze strony powoda, toteż zaczął zaraz powoływać jakieś wyjaśnienia b. Senatu rosyjskiego, rzekomo uznające taką wadliwość za obojętną i nie skutkującą nieważności darowizny. Pozwana zaś, w której interesie byłaby nieważność darowizny, ani nawet skapowała[12], przyznając darowiznę za dokonaną, jeno podnosząc zarzut, że sam darczyńca za życia swego źrebię to sprzedał i przeto konia tego w inwentarzu gospodarskim po śmierci jego już nie było. A mogłaby dwoma słowami całe powództwo wniwecz obrócić. Spośród zasądzonych dziś spraw była sprawa mojej sąsiadki Mincowej przeciwko Ciszewskiemu o zakłócenie posiadania – spór sąsiedzki o płot graniczny – w którym wygrywającą stroną była Mincowa. Zakończona też została sprawa Ruszczyka przeciwko Czerwińskiemu, ciągnąca się od Nowego Roku, ostatnia z całego cyklu spraw między nimi dwoma. Przegrał Ruszczyk na skutek niedołęstwa swego, ponieważ nie umiał zebrać dowodów, choć już kilkakrotnie, więcej nawet, niż wolno – sąd sprawę odraczał i udzielał mu długich terminów na wystaranie się o dowody. Wreszcie toczył się epizod ze sporu spadkowego Kojmanów po zmarłym w maju Herszku Kojmanie, bogatym kupcu kolneńskim, o którym wspominałem w dzienniku w jesieni z okazji procesu jego synowej Zełdy o alimenta. Po śmierci starego Herszka dzieci jego z dwóch małżeństw chcą sobie wydzierać majątek. Dzieci z drugiego małżeństwa wraz z wdową usiłują spadek ukryć i przywłaszczyć, córka zaś z pierwszego małżeństwa wraz ze swym mężem walczą i zarządzają środki zabezpieczenia spadku, jak opieczętowanie, spis inwentarza itd. Chodziło dziś o odjęcie pieczęci od sklepu jako należącego niby

[12] Wyrażenie gwarowe, tu w znaczeniu: zrozumiała, pojęła.

osobiście do Abrama Kojmana. Sąd nakazał sklep odpieczętować, ale towary zapieczętowane przenieść na skład do innego miejsca.

27 czerwca, rok 1918, czwartek
Wczoraj wieczorem o godzinie może 9 wieczorem lub nawet nieco później, gdy już zapadł zmrok i jam siedział zmęczony po pracy dziennej w domu, nagle usłyszałem pukanie do drzwi. Otwieram i kogoż widzę u progu? Stoi tam piękna Sima Fuks, jak zjawa strojna, wcielenie tęsknoty zmysłowej. W białych pantofelkach i pończoszkach, w krótkiej sukni, szalik koronkowy na ramionach, dwa czarne warkocze w nieładzie, spadające z głowy otwartej, zwinna i smukła w ruchach, czarne wyraziste duże oczy i czerwona linia zmysłowych ust na twarzy bladej i nieco zmęczonej, stanęła przede mną młoda Żydówka i subtelnym, pieszczotliwym gestem, żywiej i więcej mówiącym od słów, spytała mnie o pozwolenie wejścia. Z radością i niepokojem zmysłowym przyjąłem niezwykłego w mej samotni męskiej gościa. Jej cała postać, młody dźwięk jej mowy, subtelny zapach kobiety – uderzyły mię narkotykiem. Sima Fuks przyszła do mnie na skargę i na poradę. Mówiła po niemiecku, usprawiedliwiając się, że językiem polskim prawie że nie włada. W moim klasztornym trybie życia w Kolnie Sima Fuks dawno mi wpadła w oko i była przedmiotem zmysłowej tęsknoty mojej. Nie znałem jej dotąd osobiście, jeno widywałem na balkonie domu, w którym mieszka tuż obok sądu; jest ona około 20-letnią dziewczyną, córką bogatego kupca Moszka Fuksa, podobno jest chora na suchoty; jest w niej wielka dystynkcja i zarazem ogromna siła zmysłowa kobieca, która tryska z jej wzroku, cery, ust i całej giętkiej kibici oraz członków długich i smukłych, ciągłych jak lepki słodki płyn. Szukałem często przelotnie jej widoku, połączenia z jej spojrzeniem, choć, mając ciężar mojego wieku, byłbym oczywiście za dumny, aby jej okazywać jakiś pozór myśli zalotnej i na śmieszność podtatusiałego lowelasa się w oczach dziewczęcia narażać. Wizyta jej wczorajsza była wszakże ucztą dla mnie, choć polegała tylko z jej strony na opowieści skargi, z mojej – na jej wysłuchaniu i wskazówkach. Żaliła się na parę sąsiedzką małżeństwa żydowskiego, które ją prześladuje i znieważa wyzwiskami; z przeproszeniem i zastrzeżeniami, ale dość odważnie powtarzała mi te obelżywe słowa – „kurwa" (w jej ustach brzmiało to jak „kurkwi"), „kurwa francowata". W toku jej skargi przyszedł wszakże również jej ojciec, przerywając moje cudowne z nią *tête à tête*. Poleciłem jej przyjść dziś rano do sądu i zameldować skargę formalną. Zrobiła to dziś rano, przychodząc z ojcem. Ten epizod był dla mnie ostrym narkotykiem, choć tak niewinny w treści, sprawił duże wrażenie zmysłowe. Wszak kobieta młoda w sądzie – to osobliwość; jako sędzia mam styczność albo z mężczyznami, albo, jeżeli są kobiety, to ze starymi i z nieznośnymi babami. A tutaj nie tylko że młoda dziewczyna, ale kto? – Sima! Nie dotknąłem jej cieleśnie, prócz długich uścisków jej rąk, ale doznałem rozkoszy obcowania z nią i cząstkowej spowiedzi. Spowiedzi oczywiście jednostronnej, bo skargi tylko, w której się żaliła na innych, swego „ja" mi przecie nie otwierając, bo w tym „ja" mogły być winy równoważące skargę, ale przynajmniej pozorów spowiedzi, bo dla obudzenia mojego współczucia dziewczyna uderzała w ton serdeczny zwierzenia, a może nawet świadomie igrając z nerwami mych zmysłów męskich, by z nich sobie broń protekcji wykuć. Rozkoszna to była chwila. Gdybym z nią tak częściej bez ojca obcował i... nie dokończę.

28 czerwca, rok 1918, piątek
Znowu sesja sądowa. Ławników Stachelskiego i Jerozolimskiego wezwałem na godz. 9, prosząc, aby się nie spóźnili. Punktualnie o godz. 9 otworzyłem sesję i wywołałem pierwszą sprawę. Chodziło o pośpiech, bo spraw na wokandzie było 10, a byłem

zaproszony na popisy do szkół – na godz. 11 do szkoły żydowskiej i na 4 do szkoły polskiej – i poza tym na godz. 7 wieczór zaproszony byłem przez Niemców na kolację do kasyna powiatowego. Obawiałem się, że nie zdążę całej wokandy wyczerpać do godz. 7 wieczorem z powodu konieczności co najmniej dwóch przerw na pójście do szkół. Trafiły się jednak sprawy dość lekkie; tylko kilka było dłuższych – o zakłócenie posiadania i służebności przechodu. Sesję z przerwą godzinową na popis w szkole żydowskiej, zakończyliśmy przed czwartą.
Popisy w szkołach, na które byłem zaproszony, odbywały się z okazji zakończenia roku szkolnego. W szkole żydowskiej trafiłem na popis oddziału dziewcząt z języka polskiego, niemieckiego i historii. Wśród zaproszonych było grono poważniejszych Żydów, jak rabin Kapłon, prezes gminy starozakonnej (dozoru bożnianego) Zamek, adwokat Goldberg z synem i kilku innych, z Polaków dr Dąbrowski, Miętkiewicz, był także naczelnik powiatu v. Cornberg z nadleśniczym Hielscherem. Dziewczynki-Żydówki, choć nie wyzbyły się akcentu w wymowie polskiej, jednak na ogół wcale nieźle się popisywały w zakresie gramatyki polskiej, a jedna ślicznie deklamowała wiersz Syrokomli[13] o słowiku. W szkole polskiej był na popisie ks. biskup sejneński, Karaś[14], bawiący tu przelotnie, do którego diecezji ta część b. guberni łomżyńskiej należy. Obecność wszystkich czterech księży z Kolna i księdza biskupa, który zasiadł w fotelu na podwyższeniu, zasłanym dywanem i usypanym kwiatami, nadawała popisowi w szkole polskiej wybitną cechę uroczystości klerykalnej. Choć inspektor szkolny Cynarski jest zdeklarowanym antyklerykałem i rad by z pewnością nadmiar klerykalnych wpływów ze szkoły wyplenić, jednak nie tak łatwo w katolickiej Polsce zachłanność kleru ująć w karby. A dokąd się kler dostanie, tam zaraz wprowadzić usiłuje swoją wszechmoc i wyłączność, usuwając wszystko i wszystkich w cień do roli podrzędnej; a swój wpływ ubiera w popularny bałwochwalczy kult osoby księdza, kult bardzo rozwinięty w ludzie katolickich krajów.
Wieczorem byłem w kasynie gościem u Niemców. Byłem zaproszony ja i dr Dąbrowski, dwaj urzędnicy polscy i dwaj jedyni inteligenci w Kolnie poza Niemcami. Kolacja była dobra, następnie wino i biskwity. Z Niemców był v. Cornberg, dr Rauch, nadleśniczy Hielscher, budowniczy i kapitan-komendant załogi zbrojnej w Kolnie. Dr Dąbrowski tak mało rozumie po niemiecku, że w rozmowie ogólnej brać udziału nie mógł i musiał się dobrze wynudzić. Zabawiliśmy u Niemców od 7 do 10 ½.

29 czerwca, rok 1918, sobota
Z powodu święta Piotra i Pawła w sądzie normalnych zajęć nie było. Jednak spędziłem w sądzie parę godzin przed obiadem na wyznaczaniu spraw z ubiegłego tygodnia oraz studiowaniu spraw na nadchodzące sesje, po obiedzie zaś musiałem przesłuchać oskarżonego w śledztwie o kradzież Szewczyka, który się dotąd ukrywał, obecnie zaś został przez żandarmerię niemiecką zaaresztowany i sprowadzony do sądu; nakazałem jego zaaresztowanie i skierowanie do więzienia w Łomży. Spraw z ubiegłego tygodnia miałem do wyznaczenia 26, co znowu wynosi więcej, niż liczba rozpoznanych na trzech sesjach z tegoż tygodnia. Parę spraw wyznaczyłem już aż na wrzesień. Bilans ruchu spraw z miesiąca czerwca wykazuje ogromny przyrost zaległości. Na 1 czerwca było nierozpoznanych spraw (będących w toku) – 74, na 1 lipca jest ich – 119. Spraw karnych wpłynęło w ciągu miesiąca 20 (dotąd najwyższa liczba dopływu spraw karnych w ciągu miesiąca wynosiła w maju – 13 spraw), spraw cywilnych wpłynęło – 62 (dotąd

[13] Władysław Syrokomla, właśc. Ludwik Kondratowicz (1823-1862), poeta, tłumacz, twórca gawęd ludowych, pisał też dramaty historyczne.
[14] Antoni Karaś (lit. Antanas Karosas), (1856-1947), biskup sejneński, w niepodległej Litwie, biskup w Wyłkowyszkach (lit. Vilkaviškis).

najwyższe liczby w listopadzie i w maju wynosiły trzydzieści parę spraw, nie licząc jednorazowego i wyjątkowego dopływu w lutym serii spraw rewersowych Kolneńskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego). W celu odrobienia tej masy zaległości, które rosną stale, a które zwłaszcza w lipcu, podczas mojej nieobecności będą się mnożyły z zatrważającą szybkością – wpadłem na pomysł, by we wrześniu pewien tydzień poświęcić w całości na sesje, od poniedziałku aż do soboty włącznie. Innego ratunku nie będzie.
Z Rosji przychodzą do gazet wieści o zamordowaniu b. cara Mikołaja[15] w Jekaterynburgu. Gdy go chciano stamtąd wywieźć, Mikołaj zaczął się kłócić z eskortą bolszewicką i został przez nią zabity. Zdaje się, że b. car chciał przez zwłokę w wyjeździe wygrać na czasie, licząc na nadejście zbuntowanych przeciwko bolszewikom kontrrewolucyjnych oddziałów czesko-słowackich[16], potworzonych ongi w Rosji z ochotników, zbiegów i jeńców z armii austriackiej. Nie jestem jeszcze pewny, czy wiadomość o zabiciu b. cara zostanie potwierdzona! Śmierć tego nędznika nie obudzi chyba nigdzie żywszych uczuć żalu. Nawet bowiem monarchiści nie darzyli sympatią tego nędznego tchórza i niedołęgę, przypisując jemu winę upadku i depopularyzacji caratu. Pod złowieszczym znakiem rozpoczęło się jego panowanie, napiętnowane krwawą katastrofą na Chodyńskim Polu w Moskwie w dniu jego koronacji[17]. Dzieje jego życia i panowania są jednym łańcuchem klęsk, podłości i niedołęstwa – ponure i krwawe jak wyrzut sumienia złoczyńcy. Jeżeli dla kogo stworzone jest piekło, to w pierwszym rzędzie dla takich, jak b. car Mikołaj. Był on gorszy od najkrwawszych mocarzy, którzy srogość i okrucieństwo opłacali przynajmniej jakąś ideą lub czynem wielkim. Piotr Wielki[18], a nawet Iwan Groźny[19], chociaż krwawymi się zapisali zgłoskami i chociaż dzikie spełnili akty gwałtu, byli przecież ludźmi pewnej idei, ludźmi charakteru i woli. Pierwszy z nich stworzyć zdołał dzieło wielkie, drugi był jednak przecież człowiekiem; chociaż był zbrodniarzem, miał jednak siłę namiętności, miał myśl jakąś własną. B. car Mikołaj niegodny jest imienia człowieka i był to tchórz podły, słaby niedołęga, który ohydy krwawych zbrodni, wykonywanych jego imieniem i jego dopuszczeniem, nie opłacał ani ideą, ani myślą, ani namiętnością. Zabici ręką

---

[15] Mikołaj II Romanow (1868-1918), ostatni imperator rosyjski, syn Aleksandra III, panował od 1894 r., w polityce zagranicznej i wewnętrznej kontynuator polityki ojca, przeciwnik wszelkich reform. Podczas rewolucji 1905-1907 początkowo nieustępliwy wobec żądań liberalizacji, zmuszony był podpisać *Manifest październikowy 17 (30) X 1905,* ograniczający samodzierżawie. Po upadku rewolucji powrócił do rządów silnej ręki. W czasie I wojny światowej (od sierpnia 1915 r. ) objął stanowisko naczelnego wodza. Po wybuchu rewolucji lutowej zmuszony do złożenia władzy, abdykował 2 (15) III 1917 r. Aresztowany 8 III 1917 przebywał początkowo w Carskim Siole, a następnie w Tobolsku. Po rewolucji bolszewickiej w październiku 1917 r. wraz z żoną i dziećmi został przewieziony do Jekaterynburga. Tam w nocy z 16/17 VII 1917 r. został na rozkaz władz bolszewickich rozstrzelany wraz z rodziną.
[16] Oddziały Korpusu Czechosłowackiego, sformowane w Rosji spośród Czechów i Słowaków, jeńców i dezerterów armii austro-wegierskiej, które podczas I wojny światowej jako Legion Czechosłowacki walczyły u boku armii rosyjskiej. Po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej oddziały te na podstawie porozumienia zawartego w lutym 1918 r. pomiędzy władzami Rosji Sowieckiej a przedstawicielami czeskiej Rady Narodowej miały być ewakuowane koleją transsyberyjską do Władywostoku, a stamtąd do Europy. W końcu maja 1918 r. podniosły one bunt w Czelabińsku i wkrótce opanowały większość ośrodków na trasie transsyberyjskiej. Po połączeniu z armią admirała Kołczaka kontynuowały walkę z bolszewikami. W wyniku poniesionych porażek zmuszone zostały do wycofania na Syberię. Następnie część z nich kontynuowała walkę w ramach armii Kołczaka, większość jednak w początkach 1919 r. wyjechała przez Władywostok do Europy.
[17] Mowa o tragedii na tzw. Polu Chodyńskim w zachodniej części Moskwy, gdzie w czasie uroczystości koronacyjnych Mikołaja II w maju 1896 r. przeszło tysiąc osób zostało zadeptanych na śmierć.
[18] Piotr I Romanow zwany Wielkim (1672-1725), car rosyjski 1682-1696 wespół z bratem Iwanem V, samodzielnie 1696-1725, od 1721 używał tytułu imperatora.
[19] Iwan IV Groźny (1530-1584), wielki książę moskiewski od 1533 r. i pierwszy car rosyjski 1547-1584.

terrorystów jego ministrowie, wojna japońska, rewolucja r. 1905, ohydne oszustwo caratu z fikcją konstytucji, z manifestem 17 października, wydanym pod wpływem strachu i złamanym natychmiast po rewolucji zgnieceniu, represje Stołypina[20], reakcja głupia, bez żadnej idei wielkiej, stosy ofiar, las szubienic, rozpętanie wielkiej wojny, cały ciąg straszliwej podłości. Zdechnij łajdaku, niegodny litości ni żalu! Nie byłeś człowiekiem!

30 czerwca, rok 1918, niedziela
Napisałem dziś wyrok w formie ostatecznej, to znaczy motywowany, w sprawie Łuckiego przeciwko Aszowi z tytułu wsparcia dla robotnika, poszkodowanego na skutek nieszczęśliwego wypadku. W ostatnich czasach dużo obstalowano tych wypadków. Czwarty już piszę wyrok w ciągu dwóch tygodni ostatnich (poprzednio w ciągu dwóch miesięcy nie obstalowano żadnego wyroku). Zdaje się jednak, że bynajmniej nie wszyscy, którzy obstalowali wyroki motywowane, będą apelować. Nie jestem pewny, czy choć w jednej z tych spraw wniesiona będzie apelacja. Ludzie obstalowują wyroki, zapoznają się z motywami i ostatecznie na apelację się nie zdobędą. Tylko mnie roboty przysporzą i na tym koniec. Robota ta jest pożyteczna dla mnie, dająca możność pogłębienia analizy prawnej, ale uciążliwa.
W gazetach jest zaprzeczenie pogłoski o zabiciu b. cara Mikołaja, o której wspominałem wczoraj. Nie można atoli być pewnym, jak jest w istocie, bo z drugiej strony są przytaczane szczegóły o tym zdarzeniu. Zresztą wielkiej wagi to nie ma, bo nikt, zdaje się, w Rosji, nie wyłączając monarchistów, nie myśli o powołaniu go na tron. W knowaniach kontrrewolucyjnych w rachubę wchodzi nie b. car Mikołaj, lecz albo jego brat Michał[21], albo wielki książę Mikołaj Mikołajewicz[22], b. wódz naczelny armii w pierwszym roku wojny. Jakieś tam wypadki w Rosji się dokonywają, wichrzenie wciąż nie ustaje. Po buncie oddziałów czesko-słowackich, które grasują w Rosji Wschodniej i Syberii Zachodniej, po kontrrewolucyjnym ruchu Syberii, który, jak głoszą wieści, doprowadził do utworzenia odrębnego rządu syberyjskiego, przeciwstawiającemu się bolszewickiemu rządowi Sowietów, dziś nadeszły pogłoski o zajęciu przez kontrrewolucyjne wojska generałów Kaledina[23] i Korniłowa[24] – Moskwy i Petersburga. Trzeba jednak w dawaniu wiary tym pogłoskom i pierwszym wieściom z chaosu rosyjskiego być bardzo ostrożnym, bo wieści te często zawodzą. Ileż to razy już najróżniejsze notowano rewolucyjne i kontrrewolucyjne osobliwości, które się potem nie sprawdziły. Że jednak Rosja daleka jest jeszcze od ustatkowania się władzy i formy rządu – to niewątpliwe. Bo też ile czynników tam w grę wchodzi. Może tym razem ruch kontrrewolucyjny zyskuje na sile i może Rosja, zmęczona rozprzężeniem, podda się fali wstecznej, która pewien ład przywróci. Jednocześnie też kotłują w stosunkach międzynarodowych jakieś wielkie plany kombinacji z Japonią i ewentualne uderzenie

---

[20] Piotr Stołypin (1862-1911), minister spraw wewnętrznych i premier Rosji 1906-1911, w walce z ruchem rewolucyjnym stosował krwawy terror, doprowadził do ograniczenia kompetencji sejmu fińskiego, wprowadzenia ziemstw i wyłączenia Chełmszczyzny z Królestwa. Przeprowadził reformę agrarną, która zezwalała chłopom na występowanie ze wspólnoty gminnej (*obszcziny*) z jednoczesnym wydzieleniem obrabianej przez nich ziemi. Zabity w wyniku zamachu przez agenta ochrany Dymitra Bogrowa.
[21] Michał Romanow (1878-1918), wielki książę rosyjski.
[22] Mikołaj Mikołajewicz Romanow (1856-1929), głównodowodzący armią rosyjską w l. 1914-1915.
[23] Aleksiej M. Kaledin (1861-1918), gen. rosyjski, ataman kozackiego Wojska Dońskiego, jeden z twórców białej armii.
[24] Ławr G. Korniłow (1870-1918), gen. rosyjski, w czasie I wojny dowodził dywizją, następnie korpusem, w lipcu 1917 mianowany naczelnym wodzem, po nieudanej próbie zamachu aresztowany na polecenie Rządu Tymczasowego, po przewrocie bolszewickim zbiegł nad Don, gdzie był jednym z twórców Armii Ochotniczej.

na Niemców przez Syberię, plany, które jeszcze w konkretnej postaci się nie wyraziły, ale które się zdają przeczuwać i do których wciąż w różnych układach powracają pogłoski, wersje i doniesienia. Co to jeszcze z tego będzie? Wojna może jeszcze nosić w swym łonie nieprzewidziane zagadki, które mogą całkowicie zrewolucjonizować tę katastrofę i nadać jej oblicze, o którym się dotąd nie śniło.

1 lipca, rok 1918, poniedziałek
Od dziś zaczyna być czynny nowy komplet ławników w sądzie. Na pierwszą sesję w dniu dzisiejszym wyznaczyłem dwóch pierwszych starych ławników, tworzących najlepszy komplet sesji – Stachelskiego i Rembę. Sesja rozpoczęta o godz. 10 rano, trwała z przerwą obiadową do godz. mniej więcej 5-6. Na wokandzie było 10 spraw, z których dwie, najgrubsze i najcięższe, zostały jeszcze odroczone.
W ostatnich czasach tyle mam roboty w sądzie, że niemal zupełnie zaniechałem korespondencji prywatnej, którą do końca maja prowadziłem bardzo regularnie. Gdy zaś się dowiedziałem od naczelnika powiatu, że przez zimę tego roku nie będzie wcale dowozu nafty, przestałem zupełnie używać światła, aby oszczędzić jak najbardziej ten skromny zapas szacownego płynu świetlnego, jaki mi jeszcze pozostaje. Wskutek tego korespondencja prywatna, którą załatwiałem wieczorem, ostatecznie wypadła z czynności moich. Wielką też przeto osobliwością było napisanie przeze mnie listu do porucznika Sadowskiego[25] w Ostrowiu. Listem tym dotknąłem spraw, które w ostatnich czasach bardzo odbiegły od moich nie tylko zajęć, ale nawet myśli. Tak się pogrążyłem w pracę sądową, oddając się jej bez reszty, że gdy mi przychodzi, tak jak wczoraj w liście do Sadowskiego, dotknąć jakichś zagadnień innego zakresu, czuję się tak, jak gdybym przychodził do życia z jakiegoś odrębnego zamkniętego świata. Dotyczy to zwłaszcza zagadnień politycznych, wypadków w sferze pewnych ruchów i zjawisk ogólniejszego znaczenia. Kwestia obecnych stadiów sprawy polskiej, działalności Rady Stanu[26], sprawa wojska polskiego – są to dla mnie jakieś dalekie zagadnienia, o których istnieniu wiem, ale które są dla mnie jakąś abstrakcją, nie powiązaną z realną treścią życia. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak się oddaliłem od ogólnych wielkich prądów życia w pustelnię wyłącznej pracy mojej, jak oto teraz. Choć jestem w Polsce, od bieżących spraw polskich stałem się zupełnie daleki. A nawet sprawy Litwy, które mnie interesują żywiej, leżą w myślach moich w zaniedbaniu i ledwie odczytuję z dużym opóźnieniem nadchodzące numery prasy litewskiej i białoruskiej. Żyję jakimś rozpędem jednostronnym pracy sądowej, pochłonięty przez nią, automatyczny na zewnątrz, dokładny w niej jednej jak lunatyk.

2 lipca, rok 1918, wtorek
Do sądu wpłynął dziś cały szereg spraw mieszkaniowych. W Kolnie termin zwyczajowego najmu mieszkań rocznych wypada na św. Jana albo na 1 lipca, co się mniej więcej równa jedno drugiemu. Toteż obecnie jest klasyczny w Kolnie moment sporów i rugów mieszkaniowych. Zwykle sprawy mieszkaniowe są wyznaczane na najbliższe sesje w sądach i jak najśpieszniej rozstrzygane, aby szybciej opróżnić mieszkanie i dać ewentualnie możność nowemu lokatorowi wniesienie się doń. Ze względu wszakże na mój wyjazd i na to, że sesji w najbliższym czasie nie będzie, prócz paru, które są już zapełnione, sprawy mieszkaniowe, wpływające obecnie, będą, ku

---

[25] Przypuszczalnie Jan Sadowski pseud. Jagmin (1885-1977) lub Jan Sadowski, pseud. Lubicz.
[26] Rada Stanu Królestwa Polskiego, władza ustawodawcza powołana na mocy ustawy Rady Regencyjnej z 4 II 1918; miała współdziałać z władzami okupacyjnymi w uchwaleniu ustaw, przygotować projekt konstytucji. Uzależniona od władz okupacyjnych, nie odegrała większej roli i została rozwiązana przez Radę Regencyjną 7 X 1918 r.

wielkiemu zmartwieniu właścicieli domów, sądzone dopiero w sierpniu. Tylko te, które zostały wniesione w przeszłym i pozaprzeszłym tygodniach, trafiły na wokandy na lipiec. Zresztą świadomie nie stosuję pośpiechu do spraw mieszkaniowych w roku bieżącym. Kwestia bowiem mieszkaniowa jest z powodu braku tychże w Kolnie – tak ciężka, że w imię sprawiedliwości sąd zmuszony jest otaczać pewną protekcją interesy lokatorów, udzielając im ulg w ramach, jakie prawo dopuszcza do szafowania przez sądy. Po pożarach w czasie wojny, które zniszczyły kilka dużych dzielnic Kolna, domów w Kolnie jest za mało w stosunku do ilości zaludnienia, tym bardziej, że w Kolnie jest osiedlona duża ilość wygnańców z Białej Rusi, w ostatnich zaś czasach wróciła z Rosji znaczna ilość uchodźców. Od dawna już w Kolnie był dotkliwy brak mieszkań, obecnie zaś właściciele domów rozpoczęli spekulację na szalonej zwyżce cen komornego. W najbliższych czasach spodziewane jest uchwalenie przez Radę Stanu specjalnego prawa o ochronie lokatorów, zabraniającego dowolne śrubowanie cen najmu małych mieszkań. W oczekiwaniu tego prawa nie śpieszę się zbytnio z wyznaczaniem spraw mieszkaniowych i niezależnie od tego w wyrokach zasądzających eksmisję udzielam dłuższych terminów lokatorom na usunięcie się dobrowolne pod warunkiem uiszczenia komornego za czas prolongaty; dla właścicieli nie ma krzywdy, bo kiedykolwiek by się lokator wyniósł, mieszkanie zawsze natychmiast znajdzie nowego lokatora, a za czas prolongaty właściciel swoje z góry odbierze; wprawdzie pewne niedogodności mogą stąd powstać dla właściciela, na przykład, gdy mieszkanie już jest komu innemu zakontraktowane, ale w braku mieszkań niepodobna wyrzucać lokatorów na bruk z bezwzględnością, właściwą czasom normalnym.
U Pikulińskich dziś wielki płacz i bieda: mieli oni na Pastorczyku u szwagra Pikulińskich, Skrodzkiego, swojego byczka rocznego i jałówkę; Niemcy im dziś tego byczka zabrali w drodze rekwizycji. Pikulińscy liczyli zarobić na tym byczku może i do 2000 marek, co przy dzisiejszym wzroście cen na jesieni będzie bardzo prawdopodobne, i za tą cenę ubrać i obuć dzieci na zimę albo też w gospodarstwie coś zrobić, a tu – trach! – byczka wzięli i dadzą ze 200 marek. Płacz i wyklinanie Niemców u Pikulińskich. Ale czy może być inny dziś sposób prowiantowania miast i wojska przy takich skokach cen, jak drogą rekwizycji.

3 lipca, rok 1918, środa
Dzień sesji sądowej. Ławnicy – Stachelski i Jerozolimski. Gdyby nie jedna gruba sprawa o dział, sesja byłaby się zakończyła zaraz po południu, bo sprawy były drobne i łatwe. Ta jedna gruba – z powództwa Zabłockiej przeciwko małżonkom Długozimom – zajęła parę godzin czasu. Samo odczytywanie wszystkich aktów, załączonych do sprawy, jak również protokołów całego łańcucha posiedzeń w tej długiej sprawie, zajmuje dużo czasu. Sprawa ta ciągnie się już od dwóch lat i nie może dobiec do rozwiązania, a apelacja będzie w niej pewna. Jest w niej i adwokat, i kuratorowie niektórych stron nieobecnych, i osoby trzecie, uczestniczące w niej na zasadzie interwencji. Dosyć poważną też była dziś sprawa między Winkielmanem, podupadłym dziedzicem resztek majątku Czernice, a odprawionym przezeń parobkiem Trepanowskim, w kwestii prawa tegoż Trepanowskiego do zbioru posadzonych kartofli i do korzystania nadal z mieszkania u Winkielmana. Niedołęga Winkielman nie ma szczęścia do sądu: ile miał u mnie spraw – zawsze wszystkie przegrał; przegrał i dzisiejszą, bo nie udowodnił jakiejkolwiek podstawy słusznej do wydalenia Trepanowskiego, prócz gołosłownych podejrzeń. Trepanowski jest wprawdzie osadzony w areszcie prewencyjnym jako oskarżony o kradzież koni, ale wina jego bynajmniej ustalona nie została, a nieposłuszeństwa, niesumienności w robocie, lenistwa itd., jako przyczyn, które posłużyły Winkielmanowi do odprawienia go,

Winkielman nie udowodnił. O trzeciej skończyła się sesja. Po obiedzie musiałem jeszcze napisać w jednej z dzisiejszych spraw mieszkaniowych wyrok motywowany w formie ostatecznej, obstalowany do apelacji przez stronę, która częściowo przegrała. Wyroków motywowanych do apelacji musiałem w ostatnich czasach pisać bardzo dużo. Ale co będzie, gdy jeszcze wypadnie pisać wyrok, gdy mnie nie będzie w Kolnie? Stachelski nie potrafi tego zrobić dobrze, bo motywowany wyrok – to jedna z najistotniejszych i najtrudniejszych czynności sędziowskich. Wyjeżdżam do Szczuczyna już pojutrze.

4 lipca, rok 1918, czwartek
Miałem pierwszą przykrość z racji Stefusia. Wypadkowo, będąc w sklepie Borkowskiego, dowiedziałem się, że Stefuś coś tam nabrał na kredyt, na marek 16. Borkowski wspominał o cukierkach. Po przyjściu do domu ostro wypomniałem Stefusiowi jego niepoprawność i tę nieszczęsną pokątność, z jaką on wszystko robi, co go wreszcie do łajdactwa prowadzi. Jak to się wykryło, to się już zapierać nie mógł, ale nadrabiał miną i odpowiadał mi tonem sztywnym, zdawkowym, że przecie zarabia lekcjami i sam dług zapłaci. Samo przez się nabranie w sklepie cukierków nie byłoby wielką zbrodnią, gdyby nie przeszłość Stefusia i precedensy analogiczne, które dochodziły do oszustw i kradzieży domowych. Istotnie zarabia lekcjami i to niemało, bo będzie miał z tego do 200 marek. Kupił, jak się okazało dwa funty cukierków po 8 marek! Oczywiście lekkomyślność, nowa próbka dogadzania sobie i swemu głupiemu łakomstwu bez żadnej myśli, bez żadnego poczucia obowiązku. Ten brak charakteru, ta słabość, niepanowanie nad doraźnymi zachciankami, brak rzetelnej uczciwości i dyscypliny obowiązku, które nakazywałyby mu pomyśleć o tym, że matka jego ciężką pracą musi łożyć na jego koszta, gdy on, zarabiając, niczym się nie przyczynia do ulżenia jej, a jeszcze, jak kapryśny panicz, zaspakaja jakieś przelotne dziecinne zachcianki... To jedna strona medalu, brzydka, ale tylko jedna. Panicz! Kaprysy i zachcianki, dogadzanie sobie, lekkomyślność dziecinna! Uczyć się nie chciał, nic nie skończył, pozostał zwichniętym, a przecież pokory i odmówienia sobie czegokolwiek, jakiegoś hartu i dyscypliny wewnętrznej – ani za grosz. Gorszą wszakże jeszcze jest druga strona medalu: podłe tchórzostwo, wstyd fałszywy, jak choroba, maska na zewnątrz taka równa, jakby wody nikomu nie zmącił, chodzenie ciągłe krętymi ścieżkami pokątnych sprawek. Pozornie jest posłuszny, uległy, nie objawiający żadnej woli; o nic nigdy nie poprosi i nie upomni się, nie zbuntuje się jawnie, nie zwróci szczerze, choćby za słabostką jaką, ale za to zawsze coś cichaczem po kryjomu obmyśla i robi. Gdyby był głodny u mnie, o nic nie poprosi i nie upomni się, ale za to tym bardziej pod sekretem coś spłata. Ale nie chodzi o głód i potrzeby, jeno o łakomstwo i zachcianki. Dostrzegłem już, że pokątnie, w tajemnicy ode mnie, kupuje i zjada jagody; a oto natrafiłem na ślad kupowania cukierków na kredyt. Bagatela to pozornie, ale znając jego charakter, wiem, że stąd krok tylko do prawdziwych łajdactw, malwersacji i kradzieży, których ma tyle w przeszłości na sumieniu! Ta jego słabość, pokątność i podłość tchórzostwa – to jak choroba. I to taki charakter, że żadnego wstydu i poczucia odpowiedzialności ani obowiązku wobec własnego sumienia nie ma, a natomiast jedyny chorobliwy wstyd – wstyd na oko ludzkie. Po cichu, pokątnie każde łotrostwo spełni, byle tylko na oko ludzkie się nie wydało. Zmiękł i zrozumiał, bo przecie jest niegłupi i bardzo wrażliwy, gdym na jego sztywne usprawiedliwianie się dał odprawę, wskazując, że to, co u innego byłoby tylko drobnym wykroczeniem, łatwym do darowania, to u niego, który ma tyle łajdactwa w całym postępowaniu swoim, każdy taki drobiazg jest charakterystycznym znamieniem i że o ile ktoś przygodnie błądzący z łatwością się usprawiedliwi, o tyle on, by dziś, po takich winach, jakie ma, mógł zdobyć szacunek i

odzyskać wiarę i dobre imię, musi ciężko i szczególnie pracować nad sobą i czynami dzielnymi się legitymować. Zaprowadziłem go zaraz do sklepu Borkowskiego i przy nim Borkowskiemu zapowiedziałem, aby mu nic na kredyt nie dawał, wskazując, że nie po raz pierwszy Stefuś nadużycia i oszustwa popełniał. Miał karę dotkliwą, bo wstydu się musiał boleśnie nałykać wobec Borkowskiego, a dla niego upokorzenie wobec ludzi – to najboleśniejsza rzecz. Z jego charakterem to nawet niepodobna zgadnąć, jaka metoda jest lepsza: czy oszczędzać mu upokorzenia, czy go nim karać? Bez upokorzenia nie ma dlań kary, bo wszystko inne jest dla niego obojętne, a sumienie ma zupełnie znieczulone; natomiast upokorzenie oswaja go z brzemieniem winy i hańby i czoło jego miedzianym robi, co też jest złe; upokorzenie doświadcza boleśnie, ale hardo, podnosi łeb i sztywnieje jak kamień. Co za trudny charakter! Czyż zaiste rośnie w jego osobie zbrodniarz i łajdak, który się nie dźwignie nigdy! I z tymi wadami tchórzostwa, braku obowiązkowości, dogadzania przelotnym zachciankom łączy się w Stefusiu miłość do pięknych wierszy, do tęsknych uczuć, kochliwość, głębokie życie wewnętrzne, tajemne rozmyślania nad grą najsubtelniejszych duszy ludzkiej ruchów; pamiętniki jego, albumy poezji są pełne uroczej głębi, tęczowej gry uczuć. Obłuda czy zboczenie jakiejś dziwnej perwersji? Zaprowadziłem go do ks. Budrewicza, ostro o nim prawdę wyznałem, aż mi się żal Stefusia zrobiło, gdym nań spojrzał: stał sztywny, dziwnie sczerniały, mizerny, bo też zaiste przepracowany jest; trzymam go w sądzie do obiadu, po obiedzie jeszcze sześć godzin udzielanych różnym uczniom lekcji. Sam nie wiem, co o nim sądzić. Czy to łajdak skończony, czy biedne nieszczęśliwe dziecko?

5 lipca, rok 1918, piątek

Dzień mojego wyjazdu do Szczuczyna na zastępstwo sędziego śledczego Wojchta, ale zarazem pracowity ostatni dzień w Kolnie. Zdaje się, że sumiennie i starannie wszystko, co było bieżącego do zrobienia – zrobiłem, żeby zlecić memu zastępcy, Stachelskiemu, sąd w porządku. Pomimo to, jak zwykle, na ostatnią chwilę przybyły nowe pilne rzeczy. W szczególności Winkielman obstalował wczoraj po obiedzie kopię motywowanego wyroku w sprawie z Trepanowskim, zamierzając apelować. Napisanie motywowanego wyroku jest ponad głowy i umiejętności prawnicze Stachelskiego i Miątkiewicza, szczególnie że w sprawie tej były rozpoznane łącznie dwa powództwa, mające się do siebie jak wzajemne do głównego; toteż ubłagali mnie oni, żebym im choć plan i konspekt wyroku naszkicował, co musiałem raniutko o godz. 7 wykonać. Następnie Mystkowski upominał się koniecznie o sesję hipoteczną przed moim wyjazdem, by pilne zaległe wnioski załatwić. O godz. więc ósmej odbyliśmy krótką sesję hipoteczną. Wreszcie o godz. 9 miałem do rozpoczęcia sesję sądową do spraw karnych. Po raz pierwszy zasiadł nowy ławnik Rainko, gospodarz z Kolna, człowiek stary i zdaje się, mało rozgarnięty, ale bardzo chwalony powszechnie co do uczciwości. Zasiadał on na sesji z ławnikiem Stachelskim. Sesja szła zrazu szybko; rozpoznawaliśmy jedną sprawę za drugą, wszystkie o zniesławienie lub pobicie. We wszystkich też na debiut Rainki wypadły wyroki skazujące – przeważnie po 7 dni aresztu, żadnego wyroku uniewinniającego i tylko jeden wyrok skazujący na miesiąc więzienia (starą Blusiewiczową, matkę właściciela masarni, za zniesławienie czeladnika). Potem przyszła sprawa trzech oskarżonych o wtargnięcie przemocą do cudzego mieszkania i samowolne zabranie rzeczy spornych spadku. Sprawa ta się przeciągnęła parę godzin; po obiedzie zakończenie sesji zleciłem ławnikom (Remba i Rainko pod przewodnictwem Stachelskiego), sam zaś około godz. 5 ½ wyjechałem do Szczuczyna. Drogę miałem dobrą, wdychałem z rozkoszą powietrze pól i w kilku miejscach miły zapach lasów liściastych, którego od dawna nie czułem. Przed godz. 10 przyjechałem do Szczuczyna. Miasteczko jest na oko większe i ładniejsze od Kolna; ma więcej drzew,

jest bardziej rozległe, nie tak zagęszczone, jak Kolno; z daleka zwraca uwagę piękny okazały kościół. Ulice są szersze, regularniejsze i liczniejsze. Zajechałem do jakiegoś prywatnego zajeździku żydowskiego, gdzie Żydóweczki nakarmiły mnie rybą, gęsią, miodem i herbatą. Na wygodnym miękkim posłaniu rychło spocząłem snem sprawiedliwego.

6 lipca, rok 1918, sobota
Wstałem raniutko i poszedłem na zwiady. Szczuczyn jeszcze spał. Obszedłem sąsiednie uliczki, natrafiłem w pobliżu ulicy Łomżyńskiej na lasek, dawniejszy ogród miejski, przypominający trochę w zmniejszeniu ogród przy dworcu kolejowym w Piotrkowie, stamtąd ujrzałem w ładnym zagłębieniu stawek i na wzgórzu za domkami duży młyn wietrzny. Niebrzydkie są widoczki miejskie. W każdym razie Kolno co do wyglądu ustępuje Szczuczynowi. Błądząc po mieście zaszedłem na rynek; w miasteczkach takich rynek jest zawsze najładniejszą częścią miasta. Jak w Kolnie, tak tu – rynek jest duży; okazały brukowany plac rynku, może trochę mniejszy niż w Kolnie, ma w środku grupę drzew, studnię i szereg kołków – zapewne do uwiązania koni. Kwadrat rynku zabudowany jest domkami nieco większymi niż w Kolnie, ale jak w Kolnie – ładnymi, pełnymi indywidualizmu i staroświecczyzny. Obchodząc kwadrat rynku, natrafiłem na Sąd Pokoju, potem na szyld sędziego śledczego Wojchta. O to mi właśnie chodziło. Wstąpiłem, ale dowiedziałem się, że jest jeszcze za wcześnie, bo Wojcht śpi. Dopiero w godzinę później wróciłem do Wojchta. Wyjeżdża on na urlop jutro. Tymczasem przekazał mi akta, powybierał te, którymi ja mam się zająć i na tym się tymczasowo czynność nasza skończyła. Dopiero od poniedziałku zacznę funkcjonować. Na obiad poszedłem do restauracji czy kawiarni niejakiej Różańskiej, czyli do lokalu tzw. klubu. Źle trafiłem jednak. Podano mi mięso zupełnie zgniłe, zamaskowane sosem grzybowym. Nie tknąłem tego mięsa, jeno nie chcąc robić przykrości gospodyni, odłożyłem je do papieru i wyniosłem wychodząc, a potem gdzieś rzuciłem. Wałęsałem się dzień cały dość bezładnie. Szukałem sobie mieszkanka i za wskazówką p. Różańskiej znalazłem dwa maciupkie skromnie umeblowane pokoiki u niejakiej Kaszubskiej za 20 marek na miesiąc z usługą. Stosunki mieszkaniowe nie są tu tak ciężkie, jak w Kolnie. O mieszkanie lub pokój umeblowany łatwo i ceny są niezbyt wygórowane. Po przeniesieniu powiatu ze Szczuczyna do Grajewa mnóstwo się lokali po Niemcach opróżniło. Mieszkanka u Kaszubskiej jeszcze ostatecznie nie nająłem. Dopiero jutro Kaszubska ma mi dać odpowiedź. Pod wieczór przyszli do mnie do Żydóweczek, u których mieszkam, szczuczyński sędzia pokoju Rogowski i komornik sądowy Użarowski, który od tygodnia przeniósł się na stałe z Kolna do Szczuczyna. Zabawili u mnie z godzinkę, a potem przeszliśmy się we trójkę po mieście.

7 lipca, rok 1918, niedziela
Byłem coś niezdrów. W nocy ziębiło mi i rzucało w poty. Rano miałem głowę ciężką, szum w uszach, łamanie kości, usposobienie katarowe. Potem w ciągu dnia samo to jakoś przeszło, tylko na wieczór miałem newralgiczny ból całej lewej połowy twarzy. Wynająłem dziś sobie pokój, ale nie tam, gdzie myślałem wczoraj. U Kaszubskiej mieszkanko zajął ktoś inny, mnie zaś ona skierowała do niejakich Dzwonnickich, u których nająłem pokój umeblowany. Ci Dzwonnicy – są to Żydzi, mają domek przy ulicy zwanej wspaniale „Senatorską”. Pokój nająłem w ich własnym mieszkaniu. Jest to nieduży salonik o dwóch oknach na parterze, dosyć przyćmiony, bo okna są dość głębokie w grubym murze, zawieszone firankami. Umeblowanie wygodne: duża zielona bardzo wygodna sofa, spory porządny stolik, krzesła obite ceratą, duże lustro między dwoma oknami, na podłodze wielki dywan, ogromna szafa, której połowa będzie do

mojego użytku, łóżko ze stolikiem nocnym i dywanikiem z futra borsuczego, obicie zielonkawoszare, na ścianach kilka reprodukcji z obrazów, na stolikach, na lustrze – dużo ciętych kwiatów naturalnych w naczyniach szklanych, całość – przyjemna, gustowna i – czystość. Umawiała się ze mną i urządzała pokój wyłącznie córka gospodarzy, panna Dzwonnicka, która się widocznie lokatorami zajmuje. W porównaniu do mojego spartańskiego mieszkania w Kolnie, ten pokój jest wzorem wykwintu i komfortu.
Dzień mi zszedł leniwie. Miałem dziś dwa obiady; jeden zjadłem w restauracyjce Antoniewicza, u którego się będę prawdopodobnie stołować, obiad jarski – bo teraz latem unikam mięsa – drugi zaś u komornika Użarowskiego, do którego byłem zaproszony. Użarowscy mieszkają bardzo wygodnie, mają obszerne mieszkanie i dobre umeblowanie. Taki komornik, choć człowiek bez wyższego wykształcenia, społecznie znacznie niżej stojący od sędziego, ma jednak dochody, które skromną pensję sędziego zaćmiewają zupełnie – żyje jak pan. Dość powiedzieć, że w obecnych czasach ma konia i dwie krowy i trzyma służącą.

8 lipca, rok 1918, poniedziałek
Rozpocząłem dziś wykonywać czynnie zastępstwo sędziego śledczego. Będę się starał głównie ograniczyć do badania świadków w różnych śledztwach, będących w toku, pozostawiając, o ile tylko nie zajdzie konieczność, wszelkie wnioski i decyzje do powrotu Wojchta. Szereg akt śledczych dziś przejrzałem i powyznaczałem w nich badanie świadków. Poza tym wpłynęły dwa nowe śledztwa, jedno z oskarżenia o nadużycie władzy przez milicjanta w Szczuczynie i drugie – o kradzież konia bez określonej osoby podejrzanego. Wreszcie zbadałem wezwaną na dziś pokrzywdzoną 27-letnią Żydówkę, która uległa zgwałceniu w biały dzień na drodze publicznej pod Radziwiłowem przez nieujawnionego złoczyńcę.
Robota ta zajęła mi czas od godz. 9 rano do godz. 6 po obiedzie. Mój Boże, co za nieznośnie nudna robota – te śledztwa! W niektórych są dziesiątki arkuszy pozaprzepisowych zeznań świadków; trzeba się w tym wszystkim orientować, poprzez fale drobiazgów chwytać wątek istotnych poszlak, pamiętać role i ustosunkowanie świadków, nie tracić nigdy z oka jądra rzeczy i kierunków śledztwa, a jednocześnie ujmować formalizm procedury, wymagający nieraz całego mnóstwa czynności w istocie zupełnie zbytecznych. A śledztw tych są dziesiątki i trzeba się wciąż od jednego do drugiego przerzucać, urywając wątek porozpoczynanych i tonąc w papierowości akt, piętrzących się rozpaczliwie jak góry piasku w pustyni.

9 lipca, rok 1918, wtorek
Mógłbym dzień w dzień określać przebieg czasu jednym słowem: „pracowałem". Od rana do godz. 7 ½ wieczorem siedziałem przy biurku Wojchta i studiowałem akta śledcze. Przerwałem tylko pracę na obiad i poza tym pozwoliłem sobie wymknąć się z biura na godzinkę, od czwartej do piątej, by się zdrzemnąć, bo akta śledcze usposobiły mnie tak sennie, że już oczy się kleiły i nie mogłem zwalczyć snu. Od jutra rozpoczynam już badanie świadków w różnych sprawach śledczych. Dotąd tylko studiowałem akta i wyznaczałem badanie świadków na różne terminy. Jeszcze wszakże dobrej połowy albo i większości śledztw przejrzeć nie zdołałem. Oby prędzej upłynął ten czas mego wygnania śledczego do Szczuczyna, bym mógł do Kolna do mego sądu wrócić!
Jadam tutaj kosztownie, ale obficie i smacznie, może nawet zanadto. Na kolację miałem dziś bułki ze świeżym masłem i znakomite pieprzne knedle żydowskie ze świeżej siekanej ryby. Na jutro na obiad mieć będę – kurczę. Na obecne czasy są to uczty

luksusowe, nawet zabronione przez prawo (bułki), ale to jedyne, co urozmaica moją monotonną, nudną robotę śledczą. Dobrze, że przynajmniej materialnie będę za tę pracę w Szczuczynie wynagrodzony dobrze (wypada coś po 43-45 marek dziennie).

10 lipca, rok 1918, środa
Dziś miałem roboty dużo. W dwóch śledztwach dokonywałem badania świadków. Oprócz tego, dowiedziawszy się z pewnego doniesienia milicji szczuczyńskiej w sprawie pewnej kradzieży nocnej uprzęży o tym, że dwaj małoletni chłopcy są, na zasadzie li tylko posądzenia poszkodowanych, bez żadnej podstawy prawnej, bez decyzji jakichkolwiek władz sądowych – trzymani już od tygodnia w areszcie, poleciłem sprowadzić ich do mnie niezwłocznie; po przesłuchaniu ich nakazałem uwolnić natychmiast; biednych chłopców przyprowadził z aresztu milicjant skutych za ręce w kajdany.
Ze śledztw, w których dzisiaj badałem świadków, w jednym chodziło o ciekawe, choć bardzo pospolite oszukaństwo. Kilku Żydów kupiło na wiosnę, pod nieobecność właściciela, również Żyda, krowę od jego małoletniego (około 20 lat) syna. Krowa była kupiona tanio. Ojciec, Lejba Fiszer, po wyjściu z aresztu, w którym go Niemcy w drodze administracyjnej osadzili za uchylanie się od kąpieli przymusowej, i po dowiedzeniu się o sprzedaży krowy przez syna Josela, zaskarżył nabywców krowy do sędziego śledczego. Śledztwo zostało wdrożone. Wojcht je rozpoczął, ale było ono zaniedbane i od dłuższego już czasu, po zbadaniu pierwszej serii świadków, oskarżonych i pokrzywdzonego, leżało bez ruchu. Miejsce ukrycia krowy, sprzedanej w trzecie ręce, zostało wykryte i Wojcht wydał stosowne polecenie o zabezpieczeniu krowy od dalszego zbycia. Nabywcy krowy w stan oskarżenia pozostawieni jeszcze nie zostali. Teraz ja te śledztwo podjąłem i pchnąłem. Śledztwo dzisiejsze wykazało, że w rodzinie Fiszerów stosunki były ciężkie. Ojciec, człowiek zły, zaniedbywał i nie dawał na życie ślepej żonie i synowi, który jest niespełna rozumu. W domu były ciągłe kłótnie i stan bardzo ciężki. Syn, ratując siebie i matkę od głodu, sprzedawał pod nieobecność ojca wszystko, cokolwiek mógł mieć pod ręką; tą drogą sprzedał wszystkie meble domowe i zaczął sprzedawać bydło. W sferach żydowskich wiedziano o tych stosunkach. Oczywiście znajdowali się łajdacy, którzy spekulując na tych stosunkach, kupowali od syna Fiszera rzeczy po cenie tańszej. W taki też sposób kupiona została jałówka przez oskarżonych. Chociaż przez kupno dawali oni może ratunek od głodu synowi Fiszera i jego matce, ale jednocześnie na tym zarabiali, wyzyskując sytuację na rzecz taniego kupna. Postawię ich w stan oskarżenia i zastosuję prawdopodobnie, jako środek zapobiegawczy – kaucję.
Parno było i gorąco przez dzień cały. Przed wieczorem strzeliła burza. Po niej powietrze się napełniło przecudną wonią. Po zakończeniu pracy wyszedłem się przejść za miasto, wśród pól i łąk. Ciepłe bez wiatru powietrze, napojone wilgocią, świeżość i siła zapachów, głębokość barw pól, drzew, powietrza i nieba po deszczu, a w oddali błyskawice i głuche echo grzmotów – prześliczny był czas.

11 lipca, rok 1918, czwartek
Zasadnicza głęboka różnica między Sądem Pokoju a pracą sądowo-śledczą. Różnica nie tylko w metodzie i przedmiocie, ale też w środowisku i smaku rzeczy, których się tu i tam dotyka. W Sądzie Pokoju w sprawach przeważnie cywilnych, ale nawet i tych karnych o pobicie, zniewagę, drobne kradzieże – ma się kontakt z realnym ruchem życia, z jego pulsem. Sąd Pokoju daje odbicie społecznego stanu stosunków, przezeń można poznawać zachodzące zjawiska społeczne, widzieć w nich skutki różnych wpływów, ciągłość i genetyczność więzi społeczno-ekonomicznej. Inaczej jest w

śledztwach. Sędzia śledczy ma do czynienia z tym, co jest w społeczeństwie patologią, co ma cechy zboczenia, co nie jest stałym i regularnym. Indywidualnie czasem mogą być ciekawsze przedmioty śledztwa, niż sprawy cywilnej w sądzie, bo są więcej jaskrawe, drażniące, tchnące sensacją lub tajemnicą zbrodni – a w każdym z nas przecie siedzi jakaś drapieżna bestia, chciwa widowisk zbrodni, drżąca jakąś tajemną sensacją na widok rozpasania mętów dzikiej natury ludzkiej – ale społecznie są o wiele mniej ciekawe. W ciekawości śledztw jest pewna niezdrowa podnieta sensacji czy bestializmu ludzkiego. Różnica ta w naturze czynności sądowej i śledczej uwydatnia się też w moim stosunku do Kolna i do Szczuczyna. W Kolnie przez Sąd Pokoju od pierwszych dni zacząłem się oswajać i wciągać w stosunki miejscowe społeczne, w ich całą budowę. Znam Kolno dzisiaj bardzo blisko, znam tak ludzi, jak stosunki, a przecież tej szczególnej patologicznej sfery zbiorowego życia, która się wyraża w różnej zbrodni, w grze szumowin społecznych itd., nie poznałem tak, jak w paru dniach poznawać zacząłem w Szczuczynie. Dziś znów jedno z wielkich śledztw miejskich prowadziłem i od razu to mnie wpędziło na bagniska wiedzy o wszelkim źle i zepsuciu w Szczuczynie.

12 lipca, rok 1918, piątek
Chwalić Boga – mam spokój. Ani razu nie zaszedł jakiś nadzwyczajny wypadek, żadna nagła potrzeba wyjazdu, sekcji trupa itd. Oto już tydzień dobiega, jak spełniam faktycznie zastępstwo Wojchta i dzięki Bogu nic szczególnego nie zakłóciło mojej roboty. W obowiązkach sędziego śledczego jest się zawsze na pogotowiu; to gdzieś zajdzie morderstwo, to trupa znajdą, to jakiś wypadek niezwykłej śmierci, kalectwo – i sędzia śledczy musi pierwszy śpieszyć na miejsce z lekarzem sądowym lub bez niego. Nie należy to przecie do rozrywek „sielsko-anielskich". Dzięki Bogu – morderstwa nie są tu jeszcze częste. Choć bandytyzm, który się w ostatnich czasach szerzy, zdarza się sporadycznie i w tym okręgu śledczym, dotąd jest tu on jeszcze rzadki. Czynności moje przeto ograniczają się do badania świadków i biurowego załatwiania bieżących rzeczy. Chociaż to jest w śledztwie nudne, nie jestem spragniony osobliwych sensacji w postaci sekcji i innych podobnych nadzwyczajności. Olbrzymi jest w aktach śledczych procent kradzieży koni. Około ¼ części wszystkich śledztw – należy do tej kategorii przestępstw. Dotąd zdołałem się rozejrzeć i zająć tylko cząstką tego stosu spraw, które Wojcht dla mnie odłożył (a stos ten jest dopiero częścią góry ogółu śledztw, będących w toku). W szczególności zająłem się energicznie kilku charakterystycznymi śledztwami w sprawach kradzieży, zbywania rzeczy kradzionych i innych malwersacji na tle handlowych stosunków w samym Szczuczynie. Śledztwa te uchyliły mi rąbek zakulisowych stron handlu miasteczkowego, pełnego brudu, krętactwa, oszustwa, spekulacji. Bo też dziś wszelkie zasady normalne handlu upadły. Handel, zawsze skłonny do spekulacji i szalbierstwa, stał się dziś wyłącznie sztuką łajdacką oszustwa. Dziś każdy kupiec handluje wszystkim; specjalizacja zawodowa w handlu ustała; jeżeli istnieje, to tylko pozornie, jako parawanik do przykrycia operacji zakulisowych; tzw. szmuklerstwo[27], przemycanie handlu pokątnego, trudność sprowadzenia towarów, drożyzna wszystkich artykułów, łapanie zysków na wszystkie strony, usprawiedliwione zresztą przerażającym wzrostem niemocy pieniądza, przetworzyło handel w jakiś szczególny dziki bandytyzm spekulacyjny. Stateczny kupiec, handlujący li tylko jawnie w swojej branży zawodowej, jest dziś wyjątkiem. Życie go samo wykoleja i jeżeli tak dalej rzeczy pójdą, a wojna się nie skończy, to uczciwy stateczny kupiec zniknie zgoła z widowni, bo po prostu straci materialną możność bytowania. Dziś jeszcze taki kupiec może się utrzymywać wyprzedając resztki starych zapasów towaru. Jeżeli za jedną

[27] Prawdopodobnie pomyłka Rőmera, chodzi widocznie o szmuglerstwo, nielegalny przewóz towaru.

szypułkę, która kosztowała go kiedyś, gdy ją kupował, kilka kopiejek, a dziś ją sprzedaje po 30 marek, łokieć sukna, który kosztował parę rubli, dziś sprzedaje za setkę i więcej marek, i wszystko inne w tej proporcji, to nawet sprzedając mało, można jeszcze z zyskiem coś w handlu owym wskórać i żyć. Ale to jedynie dopóki są resztki starych przedwojennych towarów, choć i tu musi się on w handlu swoim uciekać do ukrywania zapasów, oczywiście ze szkodą spożywców, i do spekulowania na lichwiarskim wzroście cen. Gdy jednak resztki starych zapasów się wyczerpią, musi dziś każdy kupiec albo jąć się dzisiejszego bandytyzmu handlowego, albo przestać być kupcem. I na to nie będzie lekarstwa, dopóki wojna nie ustanie i dopóki w stosunkach dzisiejszych trwać będzie pierwiastek handlu prywatnego. Jedno z dwojga: albo państwo będzie zmuszone przejąć w swoje ręce organizację wymiany (bądź na zasadach socjalizmu, bądź też na zasadach takiej organizacji, jak w Niemczech, gdzie kupiec prywatny staje się coraz bardziej tylko agentem machiny wymiennej publicznej), albo handel przetworzy się całkowicie na rozbój, jakim się już dziś coraz bardziej staje. Tzw. paskarstwo nie jest li tylko winą złych jednostek, jest ono tragiczną drogą zboczenia handlu, jest zjawiskiem społecznie zupełnie naturalnym w warunkach obecnych. Nienaturalne są warunki, nie zaś ono ani też ludzie, którzy je uprawiają.

13 lipca, rok 1918, sobota
Wczoraj miałem parę listów, które mi urozmaiciły nudę szczuczyńską. Jeden – przywiózł mi od Miętkiewicza z Kolna komornik Użarowski. List Miętkiewicza, stosownie do zalecenia, danego mu przeze mnie na wyjezdnym, zawierał relację z sądu kolneńskiego. Nie zaszło tam nic ważniejszego. Ruch spraw, jak było do przewidzenia, po wyjeździe moim zmalał. Drugi list przyszedł z poczty od Maryńki[28]. Z tego listu otrzymałem trochę nowin o krewnych zza kordonu starego frontu. Do Wilna przyjechała Zuńka Chełchowska[29]. Stroi się, jest rozbawiona, jakby wojny nie czuła wcale. Maryńka jest płochością Zuńki zgorszona. Ha, ziemianie tam nieźle na wojnie zarobili; zawierucha bolszewicka tam w Mińszczyźnie była tylko przelotną: więcej ich nastraszyła niż zaszkodziła. Miała też wreszcie Maryńka list od Elwiry[30], podobno bardzo smutny i pełny rezygnacji. Elwira jest usposobiona pesymistycznie, myśli – nie wiadomo dlaczego – o bliskiej śmierci. Pod wpływem listu Elwiry Maryńka postanowiła wystarać się o przepustkę do Mamyłów[31] w celu odwiedzenia jej; spodziewa się przepustkę uzyskać. Jakbym to ja lubił tak się wyrwać trochę i poodwiedzać najbliższych z rodziny, z którymi się tyle strasznych lat nie widziało! Tu czuję się jak jakimś murem chińskim oddzielony od świata. Polska jest bardzo starannie izolowana od innych krajów okupacji niemieckich. Kontakt między Litwą a Białą Rusią jest o wiele łatwiejszy, niż z Polską.

14 lipca, rok 1918, niedziela
Zaprosił mnie na dziś na obiad sędzia pokoju w Szczuczynie, Rogowski. Jest to człowiek lat koło 60, chory na chorobę cukrową, nie-prawnik, mimo że zajmuje

---

[28] Maria Römer (1878-1837), najmłodsza siostra Michała Römera, od 1898 r. żona Witolda Römera, dziedzica Ikaźni w powiecie dziśnieńskim, matka Heleny Ewy (ur. 1898) i Stefana (ur. 1900), po rozstaniu z mężem, który stracił majątek, a następnie wyjechał do Rosji, powróciła wraz z dziećmi do domu rodziców w Bohdaniszkach. Po stracie męża, który zaginął na terenie Rosji, wyszła ponownie za mąż za Justyna Butkiewicza.
[29] Zuzanna Chełchowska z d. Wołodkowicz, żona Romualda Chełchowskiego, kuzynka M. Römera.
[30] Elwira Mieczkowska z d. Römer (1874-1954), siostra Michała, w 1909 r. poślubiła Stefana Mieczkowskiego, matka Heleny, Andrzeja i Michała.
[31] Mamyły, majątek na Białorusi należący do krewnego Rőmerów Kazimierza Wołodkowicza. W tym czasie przebywała w nim rodzina Mieczkowskich.

stanowisko sędziego w mieście powiatowym, co z reguły należy do prawnika. Nazywa się, że Rogowski ma długoletnią nabytą przez doświadczenie biegłości w rzeczach sądowych, która ma wyrównać braki wykształcenia zawodowego, ale dość z nim o tych rzeczach pomówić i posłuchać, co sam o swojej działalności sądowej opowiada, aby się przekonać, że ta biegłość, to – pożal się Boże! Zresztą człowiek w ogóle mało inteligentny i niewykształcony. Miałbym chętkę posiedzieć u niego w sądzie podczas rozprawy i posłuchać, jak sądzi, ale nie robię tego przez delikatność, bo wiem, że to by go krępowało. Wiem, że czuje swoją niższość wobec prawnika, toteż mógłby nawet przyjąć moją obecność na jego sądzie za pewnego rodzaju impertynencję, za chęć wyśmiania go lub dopatrzenia się błędów i braków. Rogowski obsiadł sąd w Szczuczynie z całą rodziną: syn jest sekretarzem, córka – kancelistką; tylko woźny jest obcy. Rogowski pochodzi z okolicznej szlachty, rozsiadłej gęsto na niezliczonych folwarkach i zaściankach powiatu szczuczyńskiego. Kilka okazów tego gatunku ludzi miałem dziś możność poznania na obiedzie u Rogowskiego; byli to jego kuzyni, rolnicy. Zaiste, nie jest to typ ciekawy i wartościowy, ani społecznie, ani kulturalnie, ani indywidualnie; każdy z tej szlachty ma się za panka, jest zarozumiały, pełny pychy i tzw. honoru, pieniacz, chciwiec, a przy tym głupi, gbur, społecznie zupełnie nierozwinięty. Stokrotnie wolę chłopa, a tym bardziej moich Kurpiów od tej kastowej pretensjonalnej szlachty szczuczyńskiej.

Było też na obiedzie trzech młodych ludzi, którzy wrócili z rozwiązanego świeżo w Bobrujsku korpusu polskiego generała Dowbora-Muśnickiego[32], także krewnych Rogowskiego z tej szlachty zaściankowej. Mój Boże, co za ciemnota, co za dzikość tych ludzi z owego „korpusu polskiego". Jeżeli taki był ogół tego wojska, to zaiste była to tylko banda kontrrewolucyjna, nie zaś żadne rycerstwo, skupione pod znakiem wolności. Wstydziłem się przyznać przed nimi, że jestem b. legionistą-piłsudczykiem. Mieliby mnie za kolegę, a zaiste takie koleżeństwo może być tylko uwłaczającym. Co ich właściwie łączyło, tych ludzi, jaka gwiazda ideału im świeciła? Z ich rozmów niepodobna się ideału doczekać. Lubią wprawdzie mówić o swoim bohaterstwie, chwaląc czyny swoje i męstwo pod niebiosa, używając czasem słowa „Polska" i „Ojczyzna", ale ani gorącego ideału narodowego, ani ducha obywatelskiego nie ma w ich słowach ani za grosz. Nie wiem, czy wszyscy są tacy, ale ton był zapewne taki dominujący. Tylko przechwałki, tylko wymysły na Niemców, tylko opowieści o gnębieniu Żydów i Białorusinów w Mińszczyźnie. Rycerstwa tam w tych aktach gwałtu nad chłopami i Żydami na Białorusi – ani krzty, bohaterstwa i wielkich czynów wojennych w pokonywaniu niesfornych band zdezorientowanego żołnierstwa rosyjskiego w dobie bolszewizmu przed wkroczeniem Niemców – nic, a potem – układ z Niemcami, których się nienawidzi, idea oszukania ich i złamania wiary, a nade wszystko demoralizacja próżniaczego życia. Laury wojenne tych żołnierzy w zwycięstwach nad „bolszewikami", a właściwie, bandyckimi szczątkami armii rosyjskiej – były tanie. Kompromis z Niemcami był obłudą i obraniem drogi najmniejszego oporu, a później – tylko rekwizycje, nękanie ludu białoruskiego i Żydów, przemoc, wymuszanie, próżniactwo i moralność Hotentotów: „Niemiec zły, bo rabuje Polskę, ja – dobry, bo rabuję nie swój lud, lecz obcy, prawosławny i ruski". O, przerażająca nędzo zmysłu moralnego, o, straszliwe przekleństwo zdziczenia, sprawionego przez wojnę. Że takie gniazdo bandytów rozwiązano – to dobrze. Każdy z nich w rodzinie swojej w domu wróci do pracy, do stosunków społecznych współżycia i

[32] Józef Dowbór-Muśnicki (1867-1937), generał, w armii rosyjskiej od 1889 r., w latach 1917-18 organizator i dowódca I Korpusu Polskiego w Rosji, w 1918 r. za zgodą Rady Regencyjnej podporządkował Korpus Niemcom, w czasie powstania wielkopolskiego 1918-19 naczelny dowódca armii wielkopolskiej, w 1920 r. przeniesiony w stan spoczynku.

bodaj stopniowo uobywatelni się społecznie. Nie byłem zbudowany rozmową tych kondotierów kontrrewolucji antybolszewickiej, maskujących się pod płaszczykiem patriotyzmu. Wprawdzie wśród naszych legionistów można było znaleźć sporo chłopców społecznie i moralnie zdziczałych, ale zdaje się, że duch obywatelski Piłsudskiego stawiał nasze Legiony na stopie, która się ani porównać nie da do tego „ducha" kondotierskiego rycerzy Muśnickiego.

15 lipca, rok 1918, poniedziałek
Wreszcie dziś przyszedł pierwszy nagły wyjazd ze Szczuczyna w sprawach śledczych. Rano doniesiono mi telefonicznie, że we wsi Kudłaczewo gminy Wąsosz znaleziono zwłoki zabitego człowieka i że lekarz powiatowy dr Rozen, który wyjechał do Grajewa, przyjedzie wprost na miejsce o godz. 5 po południu. Zamówiłem przez magistrat furmankę i po obiedzie pojechałem do wsi Kudłaczewa, odległej od Szczuczyna o jakąś milę drogi. Po zbadaniu okoliczności przekonałem się, że zachodzi tu podług wszelkiego prawdopodobieństwa pospolity wypadek nagłej śmierci, o morderstwie zaś nie ma mowy. Zmarły jest gospodarzem tejże wsi Janem Mikuckim. Wypadek miał miejsce w następujących okolicznościach. Wczoraj do gospodarza Pawła Tyszkiewicza, u którego siedział też sołtys i gospodarz Drobieński, przyszedł Mikucki ze skargą, że świnia Tyszkiewicza poryła mu kartofle. Wszyscy mieli udać się na miejsce szkody otaksować ją. Mikucki poszedł pierwszy, Tyszkiewicz z sołtysem i Drobieńskim – nieco później. Otóż ci trzej ostatni, wyszedłszy za nim, natknęli się w ogródku Tyszkiewicza na leżącego Mikuckiego, który wnet skonał. Mikucki był dychawiczny. Syn zmarłego, wezwany na miejsce, przerażony widokiem śmierci ojca, zawołał, że go zamordowano, podniósł krzyk we wsi i pojechał do Wąsosza do żandarmów. Na zwłokach nie ma żadnego śladu gwałtownej śmierci. Obejrzałem zewnętrznie trupa, spisałem protokół, zbadałem najpilniejszych świadków. Koło godz. 7 przyjechał dr Rozen, ale z powodu spóźnionej pory sekcję zwłok odłożył do jutra. Po godz. 9 wieczorem wróciłem do Szczuczyna.

16 lipca, rok 1918, wtorek
Rano pojechałem z dr Rozenem do wsi Kudłaczewa na sekcję zwłok gospodarza Jana Mikuckiego. Od czasu paru sekcji, przy których byłem obecny za moich czasów szkolnych w Petersburgu przed laty 20, po raz pierwszy znowu byłem świadkiem tej niewesołej operacji. Ponieważ była pogoda, sekcja została dokonana na wolnym powietrzu; wskutek tego nie było wcale zaduchu i smrodu, właściwego sekcjom i stanowiącego najwstrętniejszy ich przydatek. Nieboszczyk umarł pozawczoraj i już wczoraj czuć było trochę rozkład ciała; pomimo to przy sekcji dziś smrodu, którego się najwięcej lękałem, nie czułem. W ogóle myślałem, że sekcja sprawi na mnie wrażenie cięższe, niż się okazało. Przypominam sobie, że dawniej za czasów szkolnych robiło mi się mdło w dołku na widok krajania ciała ludzkiego. Sekcji dokonywał felczer, którego dr Rozen wziął ze sobą ze Szczuczyna. Baby i dzieci usunęliśmy, aby nie było lamentu i mdlenia, mężczyznom natomiast nie broniliśmy dostępu, toteż sporo się ich zebrało; jak sępy, z wyciągniętymi szyjami, pochłonięci widokiem, wpatrywali się oni ze wszech stron ciekawie w obnażane tajemnice wnętrza człowieka; dziwnie fascynujący ma wpływ na człowieka widok krajania człowieka; jak zbrodnia – budzi ona ciekawość i jednocześnie odrazę, budzi zgrozę, jakieś uczucie lęku i zarazem przykuwa do siebie wzrok i myśl. Ci chłopi nie odrywali oczu, zachodzili dokoła, by lepiej widzieć, a jednocześnie w oczach ich tkwiły strach i zgroza, które jeżyły włosy i rozszerzały źrenice. Oczywiście doktor nie skonstatował żadnej gwałtownej przyczyny śmierci. Felczer zaszył rozprute zwłoki – i odjechaliśmy.

Przykry to zawód sędziego śledczego. Oto wieczorem miałem rzecz, która mi jeszcze bardziej była przykrą od sekcji. Nakazałem zaaresztowanie pewnego gospodarza w sprawie o kradzież konia. Badałem w tej sprawie dziś świadków i w toku badania doszedłem do podejrzenia, na którego skutek postawiłem owego gospodarza w stan oskarżenia. Stary to człowiek; poszlaki na niego są, ale niepewne; nie obawiałem się, że się ukryje, ale uważałem za potrzebne udaremnić mu chwilowo możność zatarcia ewentualnych śladów występku. Wahałem się z decyzją zaaresztowania go, bo mam wątpliwości o jego winie i żal mi starego; bolało mnie to, że mu krzywdę wyrządzam. Zdecydowałem się jednak, ale gryzie mnie niepewność sumienia. Gdybym go sądził, byłbym go uniewinnił, ale to nie sąd, jeno śledztwo: trzeba je prowadzić dalej i szukać wątku, który może z poszlak winę jego wywiedzie; ale może równie dobrze wywieść jego niewinność, a wtedy – jest w zaaresztowaniu krzywda.

17 lipca, rok 1918, środa
W dniu dzisiejszym nic ważniejszego nie zaszło. Miałem różne bieżące czynności śledcze i zacząłem studiować akta śledztwa w sprawie niejakiego Klickiego, b. sędziego pokoju w Goniądzu, oskarżonego o podżeganie do krzywoprzysięstwa (namowa przekupienia świadka). W sprawie tej mam w sobotę zbadać oskarżonych i jednego świadka oraz zastosować środek zapobiegawczy. Śledztwo wszczęte zostało już dawno, ale dopiero przed samym swoim wyjazdem Wojcht zdecydował się na postawienie Klickiego, jak również tego, który najmował świadka i tego, który świadczył fałszywie – w stan oskarżenia. Wojcht bowiem w toku śledztwa doszedł do przekonania, że poszlaki są ważkie. Brzydka to jest sprawa, ale dotąd z samego tylko czytania akt śledczych, które przeglądać jeszcze nie dokończyłem, mam wrażenie, że oskarżenie jest oparte na intrydze mściwej dwóch osobników, z których jeden ma złość do Klickiego, że przegrał w sądzie sprawę, drugi zaś jest człowiekiem bez określonego zajęcia, który bodaj jest materialnie od pierwszego zależny. W każdym razie, jeżeli nawet oskarżenie jest sztuczne i Klicki nie jest winien takiego nadużycia sędziowskiego, oskarżenie znajduje materiał w nietakcie jego i zupełnym nieuzdolnieniu do funkcji sędziego, co niestety jest właściwe większości, nawet ogromnej większości sędziów wiejskich. Chwała Bogu – mój pobyt w Szczuczynie już niedługi. Za parę dni, w sobotę, wyjeżdżam na kilka dni do Kolna, a potem już tylko na tydzień do Szczuczyna. Co mi z tego, że miasto tu trochę większe i ładniejsze niż Kolno. Ja wolę Kolno, bo tam czuję się otoczony miłością i szacunkiem powszechnym, na które sobie zasłużyłem pracą, tam jestem popularny i jestem wielki, tu – jestem nieznany i obcy; i ja Szczuczynowi, i Szczuczyn mnie – obcy. Wolę też lud kolneński od szczuczyńskiego, wolę zwłaszcza Kurpiów od nieznośnej szlachty tutejszej.

18 lipca, rok 1918, czwartek
Tak się pogrążyłem w pracę zawodową, tak moje horyzonty myśli i całego życia zamknąłem ściśle w sferę mego sądu w Kolnie, a chwilowo także czynności śledczych w Szczuczynie, że nawet mi dziwno poruszyć w dzienniku temat stosunków politycznych i zagadnień szerszych, które mnie interesowały zawsze i były pobudką moich czynów. W szczególności np. sprawy litewskie. Są one dziś dla mnie jakby mgłą zasnute, są jakby sceną w teatrze, na którą spadła w antrakcie kurtyna. Minie antrakt i znów się do akcji na scenie zwrócę, ale tymczasem jest ona zawieszona dla mnie. Poczucie tego oderwania się jest u mnie tak silne, że w ostatnich czasach w Kolnie, chociaż otrzymuję pisma litewskie i białoruskie z Wilna, prawie że do nich nie zaglądałem; z rzadka tylko, i to zmuszając się *par force*, przejrzałem któreś z tych pism. A przecież w najgłębszej głębi mojej psyche jest ta płonąca miłość Litwy, najsilniejsze

bodaj z elementarnych uczuć moich. Dlaczego więc tak zaniedbywam to, co się z moim najdroższym łączy? Oto czytanie pism litewskich budzi we mnie ból tęsknoty i wyrzutu, że mnie tam w kraju nie ma. Gdy się Litwy i spraw litewskich w jakikolwiek sposób dotykam, doznaję ostrego gryzącego bólu. Nie tylko to jedno wpływa na moje oderwanie się od spraw litewskich. Niemałą rolę gra też to, że czuję, iż całym moim kierunkiem w tej wojnie zbłądziłem; gdy czytam mój dziennik z roku zeszłego, widzę, jak fałszywą drogą w sprawach Litwy chodziłem i jak ja, jej kochanek wybrany w ideałach moich, stawałem się narzędziem jej ujarzmienia; nie doszło do tego, bo siły nie miałem, ale szedłem po linii, która nie do czego innego, jak do ujarzmienia i niewoli prowadziła. I w tych drogach moich byłem połowiczny, co powodowało zupełną jałowość moich dążeń i niemoc osiągnięcia czegokolwiek. Błądziłem po jakichś ścieżkach pośrednich, które ani nie szły po gościńcu polskich do Litwy aspiracji, ani też po prostych, choć bardzo mozolnych drogach niepodległościowych Litwinów.
Szukałem rozwiązania niepodległości Litwy w postulacie kontaktu z Polską, choć widziałem, że Polska ten kontakt w aneksji realizować pragnie i że nie inne w Polsce do Litwy, jak tylko wszechpolskie płoną ideały. Chciałem wypośrodkować coś sztucznego, co ani polskim, ani litewskim nie było, nie było ani wolnością, ani niewolą, nie odpowiadało żadnym żywotnym procesom, a było jeno misterną fikcją, płodem rezonerstwa. I w instynkcie moim czułem fałsz tej drogi, ale nie miałem odwagi zerwać z kierunkiem, który mnie w Legionach związał. Szukałem usprawiedliwienia i jakiejś bodaj sztucznej podstawy. Straciłem pono zupełnie busolę mojej myśli litewskiej. Nie tu i nie teraz mi to naprawiać. Bóg da, że wrócę do Litwy i na jej łonie odzyskam moją w niej moc obywatelską.
Wreszcie dziś sprawy litewskie smutnie mi się przedstawiają. Cóż po tej niepodległości teoretycznej, kiedy w istocie jest zupełna niewola i bezruch. Inaczej zresztą być nie może. Dopiero rozwiązanie wojny przyniesie rozwiązanie zagadnień. Dziś jest jakieś wielkie Martwe Morze w łonie wojny, z którego żadne twórcze życie wytrysnąć nie jest w stanie. Na Litwie jest zastój, jest beznadziejna inercja okupacji niemieckiej w całej pełni jednostronnej przemocy. To jest treścią i istotą rzeczywistości, wszystko inne – tylko zasadą. W ramach zwycięstwa niemieckiego państwowość Litwy byłaby zapewne wolnością bardzo problematyczną. Oto w Kurlandii Hindenburg[33] już nakreślił program kolonizacji państwowej niemieckiej, prowadzący do tego, by w „niepodległym" kraiku łotewskim z Łotyszów zrobić coś tak wodnistego, jak jacyś Serbowie na Łużycach. A Litwa jest pomostem z Niemiec do krajów nadbałtyckich! Perspektywy jej wolności byłyby niewesołe. Jeno że wojna trwa i jest w stadiach, których rozwoju i wyniku przewidzieć zgoła niepodobna, toteż przedwczesne są wszelkie wnioski o tym, co będzie.

19 lipca, rok 1918, piątek
Miałem dziś gościa z Kolna. Przyjechał obrońca sądowy Goldberg, zdaje się – umyślnie w celu odwiedzenia mnie. Zaprosiłem go na obiad do kawiarenki Antosiewicza, w której się tu stołuję, i spędziłem z nim godzinkę na rozmowie. W Kolnie nic szczególnego nie zaszło – żadnych stamtąd ciekawych wieści. Przywiózł mi Goldberg krótki sprawozdawczy list od Miętkiewicza i garstkę listów, które w tym czasie nadeszły do mnie do Kolna z poczty. Były to listy prawie wyłącznie od moich

[33] Paul von Beneckendorff Hindenburg (1847-1934), niemiecki feldmarszałek i polityk, prezydent Rzeszy 1924-1934.

internowanych b. kolegów-legionistów: od kapitana Orlicza-Dreszera[34] i wachmistrza Olszamowskiego[35] z oficerskiego obozu jeńców w Werl[36] w Westfalii i od kaprala Zagłoby-Kamińskiego i szeregowca Mieszkowskiego z obozu internowanych w Łomży. Niewesoło tam u nich. Obóz w Łomży, po całym roku niewoli, likwiduje się. Ci, którzy są uznani za zdolnych do wojska, zostają stamtąd przeniesieni do Ostrowia i wcielani do wojska „Wehrmachtu"[37], inni uznani za niezdolnych, mogą być puszczeni do cywila. Odszedł już z Łomży transport około 300 ludzi do „Werhmachtu". Zagłoba-Kamiński i Mieszkowski spodziewają się zwolnienia. Tak więc oto bankructwem kończy się cała afera przysięgi. Złamani niewolą – Szczypiorniacy, o ile nie są za niezdolnych uznani, wracają do wojska i – przysięgną. W obozie oficerskim w Werl ta sama wisi kwestia: wrócić czy nie wrócić? Jak wiem od Wąsowicza[38], Dreszer stoi na czele tych, którzy się decydują na złamanie oporu i powrót do wojska. Psychologicznie nie dziwię się jemu. Natury czynne, jak on, nie znoszą bezwładu niewoli i nie pojmują biernego oporu. Zresztą – opór ten jest zupełnie daremny i jałowy co do celów, które sobie w roku zeszłym wytknął. Z drugiej strony, jałowym też, ze stanowiska dawnych ideałów piłsudczyków, jest powrót do „Wehrmachtu", a wytrwanie w oporze, choćby niestety pustym, jest przecie ofiarą honoru, ambicji, konsekwencji czynu swego. Ale najtrudniejszą jest zawsze ofiara bierna i – bezcelowa.
Wracając jeszcze do tego, o czymem wczoraj pisał, dodam, że moją połowicznością, moją sztucznością jakiejś wypośrodkowanej koncepcji w sprawie Litwy – wskórałem jeno to, że w oczach polityków polskich w Warszawie zdobyłem opinię zamaskowanego litwomana, u Litwinów zaś – posądzenie ukrytych tendencji wszechpolskich. Ani tu ani tam – nie zdobyłem posłuchu. Wprawdzie powiadają, że najgłębsze umysły są samotne i niezrozumiane, ale wątpię, aby tu zachodził ten wypadek. Moja koncepcja programowa Litwy na gruncie tej wojny grzeszyła nierealnym ujmowaniem solidarności dziejowej Polski i Litwy w perspektywach, które były bardzo dalekie od rzeczywistych nastrojów i apetytów narodowych.

20 lipca, rok 1918, sobota
Wyjechałem dziś do Kolna na dni sześć, po których jeszcze na jeden tydzień wrócę do Szczuczyna. Wyjechałem o godz. 2 skromną furmaneczką o jednym koniu. Furmankę miałem z nakazu, ale gospodarz, który mnie wiózł, narzekał, że koń jest nieokuty, chory na kopyta i nie zajdzie do Kolna. Przyrzekłem mu, że pojadę z nim do Grabowa, to znaczy na pół drogi do Kolna, a stamtąd zażądam od wójta nowej furmanki. Miłą niezmiernie miałem drogę. Rozkoszny czas w polu; po pracy biurowej człowiek z przedziwnym uczuciem dyszy swobodą pól. Lato w rozkwicie. Żniwa już w toku.

---

[34] Gustaw Orlicz–Dreszer (1889-1936), ppr. rez. armii ros., zdezerterował do Legionów Pol., rotmistrz 1 pułku ułanów, z-ca dowódcy pułku, w niepodległej Polsce generał dyw. WP, m.in. inspektor jazdy, dowódca DK, inspektor armii i obrony powietrznej państwa.
[35] Janusz Olszamowski, pseud. Łaszczyc (1889-1920), członek ZWC sekcji petersburskiej, w 1914 wyjechał do Krakowa na szkolenie i tam wstąpił do I Brygady Legionów, wachmistrz w 1 pułku ułanów, komendant obozu w Szczypiornie, poległ w 1920.
[36] W obozie w Werl od listopada 1917 r. więzili Niemcy najbardziej nieprzejednanych oficerów legionowych z obozów internowania w Beniaminowie i Szczypiornie.
[37] Polski Korpus Posiłkowy (Polnische Wehrmacht), nazwa nadana Legionom Polskim na mocy dekretu cesarza austriackiego 20 IX 1916 r. w związku z pozorną zmianą ich statusu prawnego, po przekazaniu ich Niemcom. Decyzja ta wywołała w Legionach tzw. kryzys przysięgowy. W wyniku odmowy złożenia przysięgi niemieckiemu sojusznikowi setki byłych legionistów zostało internowanych w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie. Natomiast legioniści z Galicji zostali odesłani do Austrii i tam część z nich przeorganizowana w PKP pod dowództwem gen. Z. Zielińskiego.
[38] Wiktor Dunin-Wąsowicz (?), porucznik w 1 pułku Legionów Polskich, polski oficer łącznikowy przy dowództwie litewskim i *attaché* wojskowy w Kownie w latach 1919-1920.

Jarzyny wspaniałe. Wszędzie bujna roślinność, pełnia rozwoju, ciepło, powietrzem płyną tysięczne wonie kwiatów i dojrzałości roślinnej. Człowiek się pławi w cudownej atmosferze barw, woni, kształtów roślinnych, ciepła i ruchu pól. W Grabowie, pomimo usiłowań, nie dostałem furmanki, bo to tylko walką i kłótnią wydostać można, a że dla ludzi obowiązek dostarczania furmanek po taksie urzędowej jest wielkim ciężarem i krzywdą, więc nie mam serca nalegać i zmuszać ich do tego. Obiecałem więc dopłacić sowicie memu woźnicy i pojechałem z nim dalej aż do Kolna. Ze szczególnym uczuciem zbliżałem się do Kolna. Tak polubiłem moje Kolno, tak się przywiązałem do niego i do ludzi, że tęskniłem doń ciągle ze Szczuczyna, a teraz zbliżałem się doń tak, jak ktoś wracający do domu swego z wygnania. Tylko dwa tygodnie bawiłem w Szczuczynie, a już zdawało mi się, że lata czy miesiące upłynęły, jak zostałem od Kolna oderwany. Małe, w gęstym skupieniu domów ześrodkowane Kolno – jakże jest innym, niż rozrzucony Szczuczyn. A przecież wolę Kolno. Zdaje mi się, że ma ono, może dzięki właśnie temu zagęszczeniu, swoje charakterystyczniejsze oblicze, swoje tętno żywsze i bardziej indywidualne od Szczuczyna. O ile też więcej mam sympatii do ludzi w Kolnie, tak Żydów, jak chrześcijan, niż w Szczuczynie. Wyczuwa się tu już w Kolnie u ludzi natura Kurpiów, bardziej prosta, niż znarowiona przez przywary drobnoszlachectwa natura ludności szczuczyńskiej. Zdaje mi się też, że tutaj lud, nie tylko katolicki, ale i żydowski, jest mniej zepsuty, rzetelniejszy i czystszy duchowo. Może to w pewnej mierze dlatego, że tam w Szczuczynie miałem do czynienia ze śledztwami i przez to z natury rzeczy większą styczność ze zbrodnią i brudem, niż tu w Kolnie w sferze działalności sądu pokoju. Powitałem moje Kolenko serdecznie. Całe ono – podobne do jednego skupionego podwórka. W domu przywitał mnie Stefuś. Żadnego nieporządku nie zastałem. W pokoikach moich dużo kwiatów. Gołąbki moje, których już mam dwie dorosłe pary – para starych, wysiadujących już nowe pisklęta i parka młodych, urodzonych w czerwcu i już dorosłych, z których zwłaszcza samczyk o opierzeniu żółto-szarym, grochowym, jest ładny – zdrowe i syte. Widziałem się z Miętkiewiczem i Ranikiem. W sądzie – remont kapitalny, przestawianie pieców. Spraw wpłynęło sporo; kilka też spraw poszło do apelacji: sprawa Waszkiewicza z Gnozą, sprawa Łuckiego z Aszem, skarga incydentalna Jabeka na decyzję naszą w sporze Kośnieniewskiego co do opieczętowania ruchomości spadkowych po Herszku Kojmanie; w poniedziałek też ma wnieść apelację Mystkowski. Poszedłem jeszcze na rynek, witany serdecznie przez przyjaciół, znajomych i ludność, przez którą tu jestem lubiany. Prawdziwie czuję się tu w Kolnie w domu, w otoczeniu swojskim. Spotkałem się i pogawędziłem ze Stachelskim, Borowskim, Rembo, Jerozolimskim. Stefuś poszedł nocować do Miętkiewicza, z którym jutro rano wybiera się on na ryby. Położyłem się do mojego łóżka z uczuciem miłym, że „wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej".

21 lipca, rok 1918, niedziela
Rano przejrzałem wszystkie sprawy, które wpłynęły przez czas mojej nieobecności i powyznaczałem je na sesje. Na obiedzie byłem u Stachelskiego, który mnie zaprosił. Chciałem po obiedzie pójść się przejść, pójść na spotkanie Stefusia, który cały dzień spędził z Miętkiewiczem na rybołówstwie, ale że czas był burzliwy i było duszno, a byłem po obiedzie ociężały, więc dałem spokój. Cieszę się, że jestem w Kolnie i wolałbym już wcale do Szczuczyna nie wracać. Nowin ani zmian żadnych szczególnych w Kolnie nie zastałem. Być może, że rozpocznie się wkrótce w naszym sądzie konkurencja dwóch adwokatów – Goldberga i Lisa, który niedawno wrócił z Rosji i chciałby osiąść i trudnić się w Kolnie adwokaturą. Był on przed wojną obrońcą prywatnym przy Suwalskim Zjeździe Sędziów Pokoju i obecnie stara się w Sądzie Okręgowym w Łomży, aby go zaliczyli w poczet obrońców sądowych przy sądach

pokoju z siedzibą w Kolnie. Tymczasem jeszcze nie ma patentu i dotąd w sprawach w sądzie moim nie stawał, ale już wpłynęło parę powództw, wytoczonych przez niego i zdaje się, że zamierza w kilku sprawach wystąpić. Dopóki nie będzie miał patentu, wolno mu w sądzie stawać w sprawach cywilnych nie więcej, niż trzy razy do roku, w karnych zaś – bez ograniczenia. Goldberg był na razie wielce zaniepokojony ewentualnością konkurencji, obawiając się zwłaszcza nie tyle zawodowych kwalifikacji Lisa, które lekceważy, ile agitacji klerykalnej, która będzie kierowała klientów do Lisa jako katolika. Obaj gotują się teraz do zapasów, dyszą niechęcią i opowiadają jeden o drugim z lekceważeniem. O ile chodzi o interesy sądownictwa, to obecność dwóch adwokatów jest dobra; co innego – czy przy obecnej drożyźnie wytrzymają oni materialnie tę konkurencję. Przypuszczam, że co do sprytu i biegłości zawodowej górą będzie Goldberg, który orientuje się szybko i wcale dobrze prowadzi sprawy, mając tylko jeden kapitalny brak – że ohydnie włada językiem polskim. Ano, przyjrzymy się zapasom zawodowym.

22 lipca, rok 1918, poniedziałek
Choć jestem w Kolnie, prowadzę dalej śledztwa. U Wojchta śledztwa, pochodzące z powiatu kolneńskiego, są straszliwie zaniedbane. Na czas mojego przyjazdu do Kolna wybrałem cały szereg takich zaniedbanych i zależałych śledztw, wzywając świadków i oskarżonych do Kolna na badania. Sprawami ściśle sądu pokoju nie mam czasu się zajmować, nadal zastępuje mnie Stachelski.
Stanowczo Mystkowski nie ma do naszego sądu szczęścia. Dziś wniósł apelację na nasz wyrok w jego sprawie z Ryszkiem, atoli okazało się, że wyrok zapadł w d. 19 VI, czyli że skarga apelacyjna wniesiona po upływie miesięcznego terminu i jako spóźniona ulega zwrotowi. Mystkowski zły jest i zasępiony jak noc. Chciał, aby Miętkiewicz oznaczył przyjęcie skargi wcześniejszą datą, na co oczywiście nie pozwoliłem, ponieważ wyrok uprawomocniony za upływem terminu apelacyjnego, jest nie moją własnością, jeno strony procesującej, toteż nie wolno mi, przez jakąś uprzejmość dla strony przeciwnej, robić ujmę prawu strony, która z wyroku chce skorzystać. Mystkowski w ogóle gniewa się na nasz sąd za ten wyrok. Ze mną prawie się nie wita, a już nie rozmawia i nie odwiedza nigdy. Trudno, niepodobna dogodzić wszystkim.

23 lipca, rok 1918, wtorek
Pracowałem dziś znowu nad śledztwami. Między innymi, prowadziłem też śledztwo z oskarżenia o bigamię – występek dość rzadki; zdaje się jednak, że bigamii w tym wypadku nie ma wcale, a przynajmniej na żaden ślad tejże nie natrafiłem; co najwyżej, może być mowa o cudzołożnym konkubinacie. Od żandarmerii w Rogienicach przyszedł meldunek o wyłapaniu koło wsi Chludnie gminy rogienickiej trupa z Narwi. Będę więc musiał udać się tam jutro z dr Dąbrowskim. Czeka mnie znowu niemiła „przyjemność" oglądania nieboszczyka, a może i sekcji zwłok. W lokalu sądu odbywa się remont – przestawianie pieców, malowanie ścian itp. Tymczasem jeszcze sala posiedzeń jest nie ruszona, tak że w niej pracuję, a kancelaria mieści się chwilowo w małym przedpokoiku hipoteki. Właściwy pokój kancelarii, hipoteka i pokój narad – są w nieładzie; będzie niewygoda dla sesji jutrzejszej. Mystkowskiemu sprawiłem dzisiaj zadowolenie, bo zajrzałem do akt jego sprawy i przekonałem się, że mój zastępca Stachelski niesłusznie odrzucił wczoraj jego apelację, ponieważ wyrok był zaoczny i przeto termin miesięczny liczy się nie od ogłoszenia wyroku, lecz od doręczenia pozwanemu kopii tegoż. Uprzedziłem o tym Mystkowskiego.
Z gazet dowiadujemy się o wielkiej kontrofensywie franko-anglo-amerykańskiej na froncie zachodnim, nad Marną, pod Château-Thierry, pod Soissons. Jeszcze gorliwiej

od gazet szerzą o tym wieść pogłoski kolorujące oczywiście przesadnie „klęskę" niemiecką, straty i cofnięcie się. Nie przywiązuję do tego zbytniej wagi. Co do pogłosek i wieści prywatnych, to wiem, jak są one pochopne do przesady i podawania rzeczy w takim oświetleniu, w jakim to dogadza ich chęci sympatiom. A ponieważ Niemcy lubiani u nas nie są, więc pogłoski mówią zawsze o ich klęskach. Gdy się Niemcom powodzi, pogłoska milczy albo też stara się bagatelizować doniesienia urzędowe o powodzeniu; gdy natomiast się im noga cokolwiek powinie, pogłoska pracować zaczyna gorączkowo i szeptem rozpowiada niesłychane rzeczy o fantastycznych stratach i klęsce. Gdyby zsumować wszystko, co pogłoski o klęskach niemieckich podawały, nie pozostałoby zapewne ani jednego żołnierza niemieckiego i ani piędzi ziemi w ręku Niemców. Gdy Niemcy idą naprzód, to się o tym nie mówi i zaraz zapomina, ale niech się tylko cofną, to już szept biegnie od ucha do ucha i wieść rośnie jak na drożdżach.
Do tych przesunięć linii na froncie zachodnim to na jedną, to na drugą stronę – wielkiej nie przywiązuję wagi. Przy dzisiejszych metodach wojny, o ile obie strony są dobrze zorganizowane, wojna polega po prostu na wzajemnym paraliżowaniu się i nic więcej. Linia jest rzeczą stałą i niewzruszoną. Nikt nikogo nie może odeprzeć. Jeżeli nawet gdzieś się linia przełamie, to przy ruchomych rezerwach wnet się dziura zatka i linia, odrobinkę wygięta, się odrestauruje i nieruchomieje znowu. Front zachodni jest klasycznym tego wzorem. A przecież dotąd, bądź co bądź, górą są tam raczej Niemcy. Ale same działania wojenne już nie są w tej wojnie czymś decydującym i stanowczym. Rozwiązanie przyjdzie chyba na innym gruncie niż czysto wojenne: przypuszczam, że najprawdopodobniej na gruncie albo gospodarczym, albo polityczno-rewolucyjnym.

24 lipca, rok 1918, środa
Dwie rzeczy wypełniły mi dzień: sesja sądowa i oględziny topielca w Chludniach. Na sesji zasiadał dziś po raz pierwszy nowy ławnik Jan Nojda, gospodarz i sołtys z Zabiela. Zasiadał ze Stachelskim jako drugim ławnikiem. Trzeba będzie bardzo uważać, aby nowi ławnicy wyszkolili się w tradycjach naszego sądu i nie pozwalali sobie na granie roli jakichś doradców lub rzeczników tej albo innej strony w procesie, a tym bardziej na przyjmowanie jakichś prezentów od stron. Chłopi nasi są bardzo skorzy do dawania prezentów dla zjednania sobie względów wszelkiego rodzaju „naczelników", a tradycje ławników włościańskich w dawnych sądach gminnych są, niestety, pod tym względem bardzo zabagnione. Przekupstwo, przyjmowanie przez ławników podarków i ugoszczeń, stronność w sądzeniu, kierowanie się względami osobistych sympatii, stosunków, łask itd. było bardzo rozpowszechnione. A że Nojda był ławnikiem za czasów rosyjskich w sądzie gminnym w Turośli czy Małym Płocku, więc może tym bardziej ulegać nałogom dawnych praktyk. Jest to chłop sprytny, ale czy uczciwy rzetelnie – tego nie wiem. Dzisiaj zachowywał się na sądzie niewyraźnie; zdawało się, że nie ma zupełnie swojego zdania; w pokoju narad, w którym zapadają decyzje, był podobniejszy do lokaja, niż do sędziego. Ta uniżoność jego i zacieranie się osobiste nie sprawiły na mnie dobrego wrażenia. Wolę Rainkę, który, choć jest mało inteligentny, ale prosty i szczery w zachowaniu się. Może to tylko taki początek. Wśród spraw, któreśmy dziś sądzili, zakończona została znakomita sprawa Szewczyków o 2 marki za wycięty kół z płota, w której koszta sądowe wyniosły 38 marek, kilka innych spraw i wreszcie ciekawa, a może najdonioślejsza ze wszystkich, które kiedykolwiek sądziłem, i może pierwsza tego rodzaju w Królestwie, służąca za precedens zasadniczej wagi – sprawa z powództwa Górskiego przeciwko gminie Czerwone o odszkodowanie strat z tytułu rekwizycji, dokonanej przez władze okupacyjne. Sprawa ta została odroczona. Ponieważ o godz. 3 po południu musiałem wyjechać, więc zleciłem osądzenie ostatnich

trzech spraw ławnikom Nojdzie i Jerozolimskiemu pod przewodnictwem Stachelskiego jako zastępcy sędziego. Jak się wywiązali z tej czynności – nie wiem, a mieli jedną trudną sprawę do sądzenia, sprawę Baranowicza z Rogińskimi, która się wlecze w naszym sądzie od niepamiętnych czasów.
O godz. 3 pojechałem z dr Dąbrowskim jako lekarzem powiatowym i felczerem Borawskim do wsi Chludnie gminy rogienickiej dla oględzin zwłok topielca. Mieliśmy parę koni i bryczkę resorową z powiatu. Od Małego Płocka zjechaliśmy z szosy na ohydną drogę boczną, której okazało się jeszcze z dobrych 10 wiorst aż do miejsca, bo zwłoki leżały na brzegu Narwi o parę wiorst za Chludniami przy łąkach. Były to zwłoki całkiem nagie mężczyzny, który utonął zapewne, jak określił doktor, przed trzema tygodniami. Trup był już w stanie zupełnego rozkładu. Naskórek był już spłukany. Ciało potwornie wybrzękłe, wszystkie członki zgrubiałe, barwa buro-czerwona i czarna. Prawdopodobnie był to jeniec rosyjski, zbiegły z niewoli niemieckiej, który utonął, chcąc przepłynąć przez Narew. Wielkie ilości tych zbiegów z niewoli ukrywa się po lasach i wędruje na wschód, a przez rzeki, które są strzeżone najpilniej, przepływa nocami. Że to zapewne tak jest, wskazuje sznurek, który przebiega pod lewym ramieniem i otacza szyję z prawej strony. Jeńcy w ten sposób zwykle przytwierdzają do pleców swoją odzież przy przeprawach przez rzekę. Doktor dokonał szczegółowych oględzin trupa, ja spisałem protokół zewnętrznych oględzin i zbadałem świadków, sekcji zaś nie robiliśmy, bo była bezcelowa. Co za kontrast – tu czerwony gnijący olbrzymich rozmiarów trup u brzegu łagodnej wstęgi rzeki na tle dokoła łąk. A gdzieś tam w dalekiej wiosce rosyjskiej jest może jego matka albo żona, która się ani domyśla, że oto tutaj nad Narwi brzegiem wśród łąk i cichej wstęgi wody leży czerwone nagie ciało jej syna lub męża!

25 lipca, rok 1918, czwartek
Zajęty byłem oczywiście nadal śledztwami. Niech diabli wezmą te zastępstwo sędziego śledczego. Żałuję trochę, że się połakomiłem na to podwyższone wynagrodzenie i przyjąłem bez szemrania wydelegowanie mię do tej czynności przez Sąd Okręgowy. Sąd Okręgowy nie miał prawa tego robić. Jest on w stosunku do sędziego pokoju instancją nadzorczą, ale nigdy władzą, która może rozkazywać i wyznaczać sędziego do czynności obcych. Nasz Sąd Okręgowy w Łomży lubi się okazywać w niewłaściwej mu roli przełożonego, lubi dysponować sędziami, ale gdy trzeba ocenić czyjąś pracę i ewentualnie wyciągnąć z tego konsekwencje – o tym się nie pamięta. Oto świeżo teraz zaszedł w sądzie łomżyńskim fakt taki. W etacie sądu stworzono posadę jeszcze jednego sędziego okręgowego. Podług przepisów, kandydata na wszelką wakującą posadę sędziowską wybiera kolegium sędziów. I oto Sąd Okręgowy w Łomży przedstawił kandydata na tę nową posadę nie w osobie któregokolwiek z sędziów pokoju prawników lub sędziów śledczych ze swego okręgu, lecz... jakiegoś b. rejenta, który świeżo wrócił z Rosji z uchodźstwa i nie ma posady. Niechby sobie p. rejent poszedł na sędziego pokoju lub śledczego, jeżeli chce posady, a wyższa posada sędziego okręgowego należy się tym, co do Rosji nie uciekali i co od pierwszych narodzin sądownictwa polskiego dźwigali jego brzemię, tym bardziej, że wśród tych sędziów pokoju i śledczych są przeważnie ludzie, którzy tak wiedzą, doświadczeniem, zasługą, jak nawet wiekiem – są zupełnie do stanowiska sędziego okręgowego wykwalifikowanymi. Nic dziwnego, że wśród wielu sędziów pokoju-prawników i śledczych panuje z tego powodu ogromne rozgoryczenie do Sądu Okręgowego i pęd ucieczki do innego okręgu sądowego. Nie mówię tego bynajmniej *pro domo sua*, albowiem ja wyjątkowo byłem przed kilku miesiącami zapytywany prywatnie przez

prezesa Filochowskiego[39] i sędziego okręgowego Mieczkowskiego, czy bym to stanowisko przyjął i odpowiedziałem, że wolę pozostać sędzią pokoju. Ale w stosunku do ogółu innych, którzy tego życzyli, jak Tarnowski, jak Szyc, jak wielu innych – jest to niesprawiedliwość. Faworyzują przybłędów, a pomijają tych, co zdobyli zasługi w trudnych pierwocinach sądownictwa polskiego. Gdy zaś pracą trzeba kogoś obarczyć, to pamiętają o nim dobrze.

26 lipca, rok 1918, piątek
Jadę jeszcze na tydzień do Szczuczyna, by dokończyć moje nudne zastępstwo Wojchta. Z jaką rozkoszą bym już tam nie pojechał więcej! Furmanka się spóźniła; wyjechałem o godz. 8 rano. Po drodze w Rydzewie, jak mię o to wczoraj prosił Miętkiewicz, zabrałem młodą panienkę, Kiełczewską, którą podwiozłem pod Szczuczyn. Już zaraz za Kolnem, w stronę powiatu szczuczyńskiego, fizjonomia ludu i organizacji społecznej zaczyna się wyraźnie różnić od tej, która charakteryzuje strony na zachód od Kolna, w kierunku Kurpiów, czyli tzw. Puszczy. Kolno jest bodaj na samej rubieży dwóch lokalnych kultur, wprawdzie tylko lokalnych, mało może uświadomionych w całości Polski, ale wyrazistych i indywidualnie charakterystycznych i różnych. Kultura psychiczna i społeczny typ organizacji Kurpiów różni się bardzo od szlacheckiego osadnictwa powiatu szczuczyńskiego. Samo Kolno już należy do strony puszczańskiej. Od Kolna do Pissy jest jakby przedpole Puszczy, coś w rodzaju preludium kurpiowskiego społeczeństwa; jest to wstęp i przejście do społeczności puszczańskiej, ale już w tym pasie lud jest bliższy Kurpiów, choć nie tak czysty w typie psychicznym, jak kraj za Pissą, gdzie się rozpoczyna właściwa Puszcza, czysta dziewicza Kurpiów społeczność. Natomiast tuż za Kolnem na wschód, w kierunku powiatu szczuczyńskiego, zaczyna się typ psychiczny i społeczny ludu przekształcać widocznie. Już Gromadzyn, a za nim Czernice, Pachuczyn, Obiedzin – zaczynają ujawniać cechy od kurpiowskich odrębne. Wschodnie kresy gminy Czerwone powiatu kolneńskiego nad granicą szczuczyńskiego ujawniają już domieszkę ludności szlacheckiej; już się zaczynają folwarki, sady owocowe, a nawet w fizycznym typie ludności zmiana jest wybitna. Charakterystyczne są olbrzymie wąsiska szlacheckie, niespotykane zgoła u Kurpiów; wąsiska tak potworne i charakterystyczne, jak charakterystyczne są znowu wielkie nosy na twarzyczkach Kurpianek. W szczuczyńskim powiecie szlachta już całkowicie dominuje. Nawet w mowie zanikają całkiem właściwości fonetyczne Kurpiów, jak zwłaszcza owe charakterystyczne „bzikania" kurpiowskie („Albzin", „bzije", „mówziła". „psieje" itd.); gdy się usłyszy w szczuczyńskim powiecie w ustach czyich owe „bz", „wz", „ps", można być pewnym, że mamy przed sobą przybysza z powiatu kolneńskiego lub ostrołęckiego – z Puszczy. Żniwa już na ukończeniu. Urodzaje jarzyn są przepyszne. Owsy, ale nade wszystko lny, grochy i kartofle – są na polach wspaniałe, bujne jak tropikalna roślinność. W powiecie szczuczyńskim znać zamożność; po wsiach ogromne stada gęsi, na pastwiskach – stada nie tylko krów, ale i owiec. O ile inteligent, urzędnik, rentier – słowem każdy, żyjący z jakiegoś stałego dochodu pieniężnego, zubożał straszliwie w tej wojnie na skutek kryzysu pieniędzy i szalonego wzrostu cen, o ile znów kupiec wykoleił się i przetworzył na bandytę na skutek tejże przyczyny, o tyle rolnik producent wyrósł do poziomu bogacza i ma dobrobyt niezwykły na czasy obecne w porównaniu do miast. Kiedyś chłop czy tam „kmiotek" był liczony do klasy ludności uboższej, do „młodszej braci", której losem się litowano, a którą społecznie, pomimo frazesów przeciwnych, pogardzano. Dziś „kmiotek" ten stał się panem, każdy mieszczuch i inteligent zazdrości jemu, a gdyby jeszcze nie to, że rewolucja w

[39] Tomasz Filochowski (?), prawnik, w l. 1927-1928 sędzia Sądu Najwyższego w Warszawie.

zwyczajach i potrzebach osobistych nie podąża tak szybko, jak rewolucja w środkach, to już chłop w trybie życia prześcignąłby każdego inteligenta miejskiego i nawet wyższego urzędnika. Urzędnik wobec przeciętnego chłopa – to nędzarz wobec potentata. Stosunki i role się pod tym względem bardzo radykalnie zrewolucjonizowały. Co jest jeszcze ciekawe w obecnych gospodarczych stosunkach wsi – to powrót do gospodarki naturalnej, która charakteryzowała przedkapitalistyczne stosunki średniowieczne. Każda gospodarka wiejska stara się wyprodukować wszystko na własne potrzeby spożycia, a więc i skórę na buty, i mydło, i sukno, i płótno – oczywiście wszystko to pod sekretem, bo wszystko „nie wolno". To, co się dawniej kupowało, teraz się wytwarza w domu. Tendencja w tym kierunku coraz bardziej rośnie. Wymiana coraz bardziej się wykoleja. Towaru sprzedawać nikt się nie kwapi, a jeżeli sprzedaje, to coraz drożej. Przewrót gospodarczy jest zupełny.
W Szczuczynie zastałem prokuratora Urbanowicza, który wczoraj przyjechał z Łomży i jutro wyjeżdża. Nudził on mię więcej niż ułatwił cokolwiek w robocie i zagadnieniach.

27 lipca, rok 1918, sobota
Urbanowicz spędził w Szczuczynie cały dzień wczorajszy i dziś rano odjechał. Jest on wprawdzie bardzo ugrzeczniony, daleki od narzucania swojej zwierzchniczej przewagi, ale narwany i przeto nieznośny w swojej wizytacji. Wolałem się go już pozbyć. Dla mnie oczywiście jest obojętną jego wizytacja, bo dotyczy nie mojej, lecz Wojchta działalności, i ja też, jako sędzia pokoju, który tylko chwilowo spełniam zastępstwo sędziego śledczego, nie jestem prokuratora podwładnym, ale bądź co bądź ta dorywcza przygodna drobiazgowość, z jaką Urbanowicz nerwowo chwytał to ten, to znów inny szczegół – męczyła mię i nudziła.
Dziś po jego wyjeździe miałem znów dużo roboty – zbadanie kilku aresztowanych, kilka decyzji o środkach zapobiegawczych, zaaresztowanie jednej oskarżonej o fałszywe świadczenie, wreszcie zbadanie szeregu świadków w pewnym śledztwie o kradzież. Ta ostatnia czynność, choć mozolna, była bardzo przyjemną dla mnie ze względu na osoby badanych. Byli to ludzie z gminy Goniądz, jedynej gminy b. guberni grodzieńskiej, która została wydzielona z Ober-Ostu[40] (Litwy) i wcielona do Królestwa Polskiego. Chociaż gmina Goniądz była zawsze na samej granicy Królestwa i etnograficznie, czyli raczej językowo i narodowo, jest polską, to przecież, pomimo wszystko – ludność tam jest psychicznie bardziej pokrewna naszej Litwie i Białej Rusi, niż Polsce. Miałem dokładną demonstrację tej prawdy dzisiaj. Choć wszyscy mówili po polsku i nazywali siebie Polakami, był to jednak zupełnie inny język w brzmieniu fonetycznym, niż mówiony w Królestwie. Był to ten sam nasz kochany litewski akcent i nasi z gruntu ludzie, serdeczni i poczciwi, głębocy i zarazem prości a słodcy, jakich ja tak kocham, tak zasadniczo różni od Królewiaków! Czułem się z nimi jak w Litwie, jak wśród Wilnian naszych. Do tego śledztwo obracało się w sferze stosunków dworskich. I dwór tam był zupełnie inny niż w Koronie: tak swojski, tak staroświecki w stosunkach patriarchalnych, że wiało do mnie z tego badania tchnienie znanych mi tradycyjnych stosunków, coś jak żeby Bohdaniszki z dawnych lat, albo Gaczany Rosenów[41], lub Norwidyszki. Sam dziedzic p. Grodzki, człowiek poczciwy „z kościami", opiekun

[40] Ober-Ost, skrót od Oberbehefehlshaberost (Naczelne Dowództwo Wschodu) powołane w okupowanych przez Niemcy krajach nadbałtyckich d. 4 XI 1915 r. Oznaczało to prowizoryczny wojskowy zarząd zdobytych terytoriów. Ober-Ost obejmował początkowo sześć jednostek administracyjnych: Kurlandię, Litwę kowieńską, Suwalszczyznę, okręg grodzieński i białostocki. Wkrótce złączono Suwałki i Wilno w jeden okręg wileński, a następnie 15 III 1917 r. połączono okręgi wileński i kowieński w jeden pod nazwą Militärverwaltung Litauen z siedzibą w Wilnie.
[41] Gaczany, wieś i folwark w powiecie nowoaleksandryjskim, parafia Jużynty, należący do zaprzyjaźnionego z rodziną Römerów Piotra Rosena.

troskliwy swej służby, trochę głuchy, jeszcze człowiek młody, bo w wieku lat 35, mówiący typowo z białoruska (nie w wyrażeniach, ale w organie mowy), jak Studniccy[42] – dwór stary z domem mieszkalnym o niezliczonej ilości pokoi, pełny stryjów i ciotek Grodzkiego, patriarchalnie zwanych „paniczami" i „panienkami", wśród których stuletnie „panienki" i starzy niedołężni „paniczowie", we dworze sługi odwieczne, dokoła dworu we wsi rodziny, związane z dworem dawną służbą, na poły wrosłe w dwór, jak u nas Kligysowie, Šukys, Żarżej, Podolska i inni. Analogia zupełna. Sam p. Grodzki ożeniony z chłopką, jedną z b. sług, córką rodziny służebnej, służącej dotychczas. Dziedzic się w dziewczynie zakochał i ożenił, a rodzice jej nadal służą we dworze i pan jest dla nich nadal panem. Całość tworzy jakby wielką rodzinę z ośrodkiem – kochanym panem. Patriarchalizm iście litewski, chociaż coraz bardziej ginący. Dla mnie był on miły w dotknięciu, bo budził wspomnienia i żywą pamięć podobnych stosunków. Były też wśród świadków dwie służące, dziewczyny młode i piękne, z których zwłaszcza jedna – Stefania Adaśko – to krew z krwi i kość z kości białoruskiej, hoża i kraśna jak krew z mlekiem, a zacna jak najszlachetniejszy kryształ duszy ludzkiej. O Litwo i Biała Rusi! Skarb masz ludzki w swym domu, jakiego nam wszystkie ludy i kraje pozazdrościć mogą.

28 lipca, rok 1918, niedziela
Z utęsknieniem wyglądam końca mego wygnania szczuczyńskiego. Dzięki Bogu, jest on już niedaleki. Za kilka dni spodziewam się móc powrócić do Kolna. Być może wybiorę się stąd do Łomży, a dopiero z Łomży do Kolna, to ureguluję w Łomży sprawy pieniężne – pensję na sierpień i diety za zastępstwo sędziego śledczego. 31 lipca we środę – ostatni urzędowy dzień mego zastępstwa. Byle tylko Wojcht się nie spóźnił, to zaraz we czwartek odjadę. Żyję tu jak odludek, a roboty śledczej nie lubię; nie pociąga mnie ona, bo nie lubię żadnej pracy przygodnej, robionej za kogoś, której sam kończyć nie będę, a niezależnie od tego sam rodzaj pracy nie trafia mi do gustu.

29 lipca, rok 1918, poniedziałek
Przyjechał Wojcht. Ma jeszcze jechać gdzieś na wieś w okolice Szczuczyna na parę dni, ale w każdym razie wróci 31 i zwolni mię z końcem swego urlopu. Cieszę się z tego bardzo, bo się obawiałem, że się spóźni z powrotem i że zmuszony będę siedzieć jeszcze kilka dni dłużej w Szczuczynie. Wieczorem byłem u komornika Użarowskiego, który mi zaofiarował [się] odwieść mię we czwartek rano swym koniem do Kolna. Kończy się więc moja niewola babilońska w Szczuczynie!
Na wojnie nad Niemcami zawisają chmury. Oznaką tego jest spadek marki, który w tych dniach ostro się uwydatnił, bo oto marka, która w stosunku do rubla była się już podniosła prawie do poziomu 1 marki za 1 rubla, spadła raptownie do poziomu coś około: 1 marka = 70 kopiejek. Zresztą tylko naiwni laicy myślą, że to bądź marka poprzednio szła w górę, bądź teraz poszedł w górę rubel. I jedna, i druga z tych jednostek pieniężnych spada ciągle na łeb na szyję, tylko tempo ich spadku nie jest ciągle równe, a stąd ich stosunek wzajemny w deprecjacji jest zmienny, ulegając pozorom bądź zwyżki, bądź zniżki. W istocie jest zniżka stała, gwałtowna, która doprowadziła do zupełnego bankructwa systemu pieniężnego w życiu gospodarczym. Tylko pierwej rubel spadał od marki gwałtowniej, a teraz marka przyspieszyła tempo dalszej zniżki. Pieniądz dzisiejszy, pozbawiony swojej podstawy towarowej, przestał być miarą wartości towarów, stracił swoją funkcję w stosunkach gospodarczych wymiany. Pojęcie ceny straciło wszelką stateczność i jest już właściwie przeżytkiem.

[42] Zapewne Römer ma na myśli Wacława i Władysława Studnickich.

Gospodarka towarowo-wymienna, oparta na pieniądzu, która przed wojną tworzyła właściwy system ekonomiczny współczesnej ludzkości, runęła w gruzy; siłą nawyknienia i inercji szczątki jej tułają się jeszcze w stosunkach realnych, z których coraz bardziej się rugują. Pojęciu tej dawnej struktury gospodarczej, której podstawą był pieniądz, trącą jakimś anachronizmem przedpotopowym. Toteż dziś najgorzej mają się ci, którzy nie mają żadnego towaru i żyć muszą z gotówki, jak na przykład zwłaszcza urzędnicy, pobierający stałą pensję. Co miesiąc stają się oni coraz ubożsi bezwzględnie. Tymczasem jeszcze prawie wszystkie instytucje społeczne zbudowane są na starych fundamentach systemu gospodarki pieniężnej: banki, pensje i płace, całe sądownictwo cywilne opierają się na starym pieniężnym ustroju, który w stosunkach gospodarczych już runął. Prowadzi to do przeciwieństw i dziwacznych niekonsekwencji.
Gwałtowna zniżka marki spowodowana została zapewne w tej chwili niepowodzeniem, a może i klęską niemiecką nad Marną, w związku z fermentującymi zawiązkami nowego oporu na wschodzie, jak: ekspedycja murmańsko-archangielska koalicji, powstanie oddziałów czechosłowackich, sięgających po Wołgę, zamierzona interwencja japońska w Syberii. Traktaty brzeskie nie zdołały zniweczyć Wschodu i oto poza sferą dosięgalności Niemców opór się odradza i organizuje i Wschód znów powstaje groźnie. Od Finlandii po Ukrainę sięga ręka niemiecka, od Murmanu[43] zaś i Archangielska poprzez Syberię i aż nad Wołgę z mgławic się wylęga krystalizacja oporu, a w środku między nimi głucha bolszewicka Moskwa.

30 lipca, rok 1918, wtorek
Przedostatni dzień mojego wygnania szczuczyńskiego. Niewiele już miałem do roboty, ale dzień był dżdżysty, jak w jesieni, siedziałem przeważnie w biurze śledczym.
Z Wojchtem przyjechał z Warszawy niejaki Rembiszewski. Wojcht pojechał na parę jeszcze dni na wieś, on został w Szczuczynie. Spotkałem się z nim dziś wieczorem w kawiarence Antoniewicza, w której jadam. Jest on sekretarzem jakiegoś wydziału w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Na moim odludziu w Szczuczynie jest to jedyne spotkanie i jedyna rozmowa przez cały dzień, poza rozmową ze świadkami w śledztwach. Mam wrażenie, że taki młody prawnik, sekretarz Sądu Apelacyjnego w Warszawie, chociaż stanowiskiem służbowym niższy ode mnie, patrzy z pewnego rodzaju politowaniem na sędziego pokoju z głębokiej prowincji, jak ja. Dla niego Kolno – to jakaś dziura tak nędzna, że doprawdy tylko jacyś nędzarze, pozbawieni wszelkiego waloru i zwłaszcza „protekcji", w niej siedzieć mogą. Przypuszczam, że w jego pojęciu nie może się pomieścić, aby ktoś mógł z własnej woli na posadzie sędziego pokoju w Kolnie „marnieć". Szczególnie zaś, gdy widzi, że nie jestem tak młodym, a jestem tylko sędzią pokoju i tylko w Kolnie, musi się w jego oczach mój los przedstawiać nikczemnie. Jest grzeczny taki młody sekretarzyk, ale mimo woli wyczuwa się pewne lekceważenie w jego traktowaniu sędziego pokoju z tak głuchej dziury. Pod tym względem inteligencja urzędnicza jest wszędzie i zawsze taka sama. Imponuje jej „kariera" i „protekcja", choćby się one kosztem niezależności zyskiwały. Nie domyśla się, że o ile chodzi o znajomości i stosunki, choćby nawet w świecie magistratury prawniczej – to nie brak mi ich wcale; mógłbym, gdybym chciał i lubił wyzyskiwać sprężyny protekcji, być o wiele wyżej, jeno że ja nie wszystkie bym posady przyjął, w żadnym na przykład razie nie zgodziłbym się wstąpić na tory prokuratury – a poza tym cenię niezależność i samodzielność pracy, która w sądzie pokoju jest największa. Ale taki sekretarzyk nic poza bóstwem Kariery i Protekcji nie pojmuje.

[43] Murmań – dawna nazwa rejonu Murmańska u ujścia rzeki Koły.

31 lipca, rok 1918, środa
Na ostatni dzień moich czynności śledczych, niejako na deser – miałem autentycznego bandytę. Różne rodzaje zbrodniarzy przesunęły się w ogonku przede mną przez ten miesiąc mojego śledztwa, ale naturalnego bandyty jeszcze nie miałem. Dziś mi doniesiono o obecności tego ptaszka w więzieniu, toteż wdrażając śledztwo sprowadziłem go z więzienia dla przesłuchania. Przyprowadzono mi olbrzymiego draba w kajdanach ręcznych. Jest on uczestnikiem napadu bandyckiego na pewnego gospodarza we wsi Kudłaczewie. Przyszło ich tam czterech w nocy, związali gospodarza i zrabowali pieniądze, odzież i obuwie. Jednego z nich chłopi nazajutrz w okolicy schwytali. Po schwytaniu przyznał się chłopom do uczestnictwa, przy przesłuchaniu zaś dziś na śledztwie – zaprzeczył, podając, że wobec chłopów przyznał się nierzetelnie, li tylko dlatego, że go bili. Z pewnością jednak uczestniczył w napadzie; jest to drab 23-letni, bez paszportu, bez stałego miejsca zamieszkania. Oczywiście zatrzymałem go w areszcie śledczym.
Mówiłem dziś rano sekretarzowi Wojchta, że obawiam się, aby akurat na ostatni dzień nie przyszła nowa niespodzianka znalezienia jakichś zwłok i sekcji. I masz tobie! Trzebaż, że zgadłem. Po obiedzie przyszedł meldunek telefoniczny z Grajewa, że popełnione tam zostało morderstwo na osobie kobiety, która porodziła dziecko. Zwłoki matki i dziecka czekają w cerkwi w Grajewie na sekcję. Nie pojechałem już jednak na tę operację. Dziś się wyczerpuje mój mandat zastępstwa. Już Wojcht jutro niech jedzie z doktorem spełnić tę czynność. Mam dość tego.
Z drobnych szczegółików dnia zanotuję dziś, że jadłem rzecz rzadką – raki, których już od paru lat nie jadłem. Kupił je dla mnie Antoniewicz, pół kopy za 3 marki; tanio, jak na ceny dzisiejsze. Roboty to z tym dużo. Napracowałem się rzetelnie nad tą ucztą. Bite dwie godziny pracowałem nad jedzeniem raków i wreszcie nie starczyło ani czasu, ani cierpliwości; porzuciłem ucztę, zostawiając jeszcze 9 raków nie zjedzonych. Niektóre raki były wspaniałe, ogromne.
Wczoraj i dziś była słota; przez cały dzień padał deszcz i było ciemno. Niestety – taka sama pogoda zapowiada się na jutro. Przeczuwałem, że komornik Użarowski może mi zrobi zawód i z powodu słoty zaniecha jazdy do Kolna. Dopiero wieczorem się do niego wybrałem. Niestety, nie zawiodły mnie obawy. Użarowski nie ma ochoty do jazdy i powiada, że o ile będzie jutro deszcz – nie pojedzie. A że będzie dżdżysto, to już nie ulega wątpliwości. Tymczasem ja, licząc na komornika, nie obstalowałem sobie furmanki i wątpię, czy wobec tego uda mi się jutro ze Szczuczyna wyrwać. A rad bym już czym prędzej wrócić do siebie, na swoje śmiecie i do swego sądu – do Kolna, strzepując ze stóp swoich proch szczuczyński.
Wieczorem, gdym wrócił od komornika, miałem epizod „romantyczny” z Żydóweczką, starszą córką gospodarza domu, u którego najmuję pokój w Szczuczynie. Jest to, co prawda, więdnąca już panna, w wieku lat koło 30 albo przynajmniej na tyle wyglądająca, ale na bezrybiu i rak – ryba (zwłaszcza, że dziś raki jadłem). Przyszła ona do mego pokoju, gdzie oczywiście siedziałem po ciemku (sztucznego oświetlenia nie używałem w Szczuczynie ani razu) i zaczęła się uskarżać na bezsenność, wyrażała żal, że się tak rzadko ze mną widywała, że się tak nie garnąłem do nich, wreszcie napomniała, że śpi w sąsiednim pokoju obok mego pokoju i sama w całym mieszkaniu, bo reszta rodziny śpi na górze. Posadziłem ją na kanapie, dałem papierosa – zapaliła. Wziąłem ją za rękę – nie broniła. Dawała się pieścić, gładzić, brać za obnażone piersi, szyję, ramiona. W słowach też dopuszczała rozwiązłość daleko idącą, którą posunęła aż do tego, że mi nadmieniła, że mogłem przecie ich poprosić o sprowadzenie sobie dziewczyny na noc, o ile sobie tego życzyć mogłem. Ale zachowując się typowo po

żydowsku i staropanieńsku zadowoliła się rozwiązłością tematu rozmowy i głaskaniem oraz macaniem, nie dopuszczając do spełnienia właściwego aktu. Gdyby to była młoda dzieweczka i gdybym ja był młody, starczyłoby całusów i tego gorącego zbliżenia. Ale ze starą, z przeproszeniem – kurwą, to nie opłaca się. Gra macania się i pieszczot nie warta zachodu. A Żydówka chce i cnotę pozorną zachować i dogodzić sobie choć w intencji przedsmaku.

1 sierpnia, rok 1918, czwartek
Upłynęły cztery lata wojny. Z dniem dzisiejszym wkraczamy w piąty rok tej ery wojennej. Wojna ta już sprawiła taki przewrót we wszystkich dziedzinach współżycia ludzkiego, że zaiste stała się ona erą, od której ludzie prowadzą nową rachubę czasu. Data 1 sierpnia 1914 – data wybuchu wojny – jest jakby słupem granicznym dwóch epok w życiu współczesnych. Nie mówi się: „to było w roku 1913" albo „1912", lecz – „to było przed wojną", „rok przed wojną", „dwa lata przed wojną", jak znowuż mówi się: „to było w pierwszym roku wojny", „w drugim roku wojny". Dalsze wszakże lata wojny, jak trzeci, czwarty, zlewają się w jakąś jedną ciągłą bryłę kłopotów, niewoli i osobliwości, w której się rachuba dokładna czasu zatraca. A jakie jeszcze przewroty i niespodzianki dalsze przyniesie ta wojna, zanim końca swego dobiegnie. Coraz mniej się wydaje prawdopodobne, aby się ona kończyła pokojem i powrotem do dawnego typu warunków współżycia. Raczej przypuszczać można, że wywiążą się z niej jakieś nowe kombinacje i stosunki, nowe stany, których dziś jeszcze określić, a może i przewidzieć niepodobna. W każdym razie, piąty rok wojny rodzi się w zupełnej zagadkowości losów wojny. Dokonany w czwartym roku tzw. pokój[44] na wschodzie – nie przyniósł żadnego rozwiązania trwałego, nie uprościł, jeno skomplikował jeszcze bardziej sytuację ogólną. I oto dziś, na pograniczu piątego roku wojny, całe dzieło „pokoju niemieckiego" na wschodzie chwieje się i grozi rozsypaniem w gruzy, a ze zorganizowanego ogniska wojny na zachodzie punkt ciężkości zdaje się znów przenosić na wschód, gdzie kwestie wojenne splatają się z socjalnymi i narodowo-państwowymi. Dziś właśnie depesze przyniosły jeden nowy doniosły epizod łyskania[45] burzy na wschodzie: oto po ambasadorze niemieckim w Moskwie, Mirbachu[46] – zamordowany został w stolicy Ukrainy, w Kijowie, przez wybuch bomby, rzuconej przez terrorystę esera (s.-r., czyli eserami nazywają się tak zwani socjaliści-rewolucjoniści w Rosji, przeciwstawiający się bolszewikom), przyjezdnego z Rosji, marszałek generał Eichhorn[47], faktyczny dyktator Ukrainy, wódz, który dokonał zajęcia jej i „wyzwolenia" od Rosji i bolszewików.
Z prywatnych rzeczy tyle, że wróciłem dziś do Kolna. Komornik Użarowski, pomimo złej pogody, zdecydował się na jazdę i rano przysłał do mnie wiadomość o tym. Z największą radością pospieszyłem. Z weselem w sercu pożegnałem Szczuczyn i wróciłem do Kolna. Zastałem w Kolnie wszystko w porządku – i w domu, i w sądzie. Stefuś zachowywał się, o ile mogłem wybadać od ludzi, bardzo porządnie. Zdał on dobrze tym razem egzamin rozsądku i samodzielności.

---

[44] Römer pisze o traktacie pokojowympodpisanym 3 marca 1918 r. w Brześciu Litewskim pomiędzy Niemcami, Austro-Węgrami, Ukrainą a Rosją Sowiecką.
[45] Archaizm, współcz. w znaczeniu błyskać.
[46] Wilhelm von Mirbach-Harff (1871-1918), hrabia, arystokrata, dyplomata niemiecki. Ambasador w Atenach (1915-1917), uczestnik rokowań brzeskich, po ich zakończeniu poseł w Moskwie, zastrzelony 6 czerwca w gmachu ambasady przez lewicowego esera Jakuba Blumkina.
[47] Herman von Eichhorn (1848-1918), feldmarszałek niemiecki, uczestnik wojen 1866, 1870-1871. W 1915 zwyciężył Rosjan w bitwie nad jeziorami mazurskimi, potem walczył nad Niemnem, zdobył wówczas Kowno i Wilno.

2 sierpnia, rok 1918, piątek
Dziś wybrałem się ze Stachelskim do Łomży. Pojechałem tam głównie w celu zrealizowania tak pensji dla siebie i pracowników sądu na miesiąc bieżący, jak zwłaszcza należności z tytułu diet za moje lipcowe zastępstwo sędziego śledczego w Szczuczynie. Jak wrócę teraz, to już zasiądę w Kolnie bez wyjazdu na jakieś parę miesięcy, tym bardziej, że czeka mnie w sierpniu i wrześniu intensywna praca w odrobieniu ogromnych zaległości sądowych.
W Łomży załatwiłem wszystko dobrze. Wyszedłem z sądu obładowany pieniędzmi. Załatwiłem też z prezesem Filochowskim sprawę posady kancelisty w moim sądzie i obsadzenie tejże przez Ranika. Musiałem wywalczyć nominację Ranika, bo prezes chciał mi narzucić któregoś z tłumu kandydatów spośród powracających z Rosji uchodźców. Napchały się teraz całe gromady tego tałatajstwa inteligencko-urzędniczego, które swojego czasu uciekło z Moskalami z kraju, przeszło następnie przez czyściec bolszewicki, który ich wyzuł ze stanowisk, a teraz zgłodniałe, jak stado wściekłych głodomorów, wpadło do kraju, rzucając się jak szarańcza na żer posad. Że jednak tylko sądownictwo i szkolnictwo jest w ręku polskim, a poza tym tylko bardzo nieliczne gdzieniegdzie posady, więc rzesze głodomorów, robiąc ciężko bokami, wyczerpane do ostatka drożyzną, tłoczą się, odchodzą z niczym, znów kołaczą, zabiegają, oblegają wszelkie instytucje i źródła rozdawnictwa posad. To samo jest w Sądzie Okręgowym. Prezes ma tych kandydatów bez liku, a trzeba jeszcze wiedzieć, że nasz Sąd Okręgowy z prezesem na czele składa się z ludzi hołdujących endecji i usposobionych szczególnie sympatycznie dla tych, co uciekali – wręcz przeciwnie, niż ja. Ledwo z wysiłkiem uratowałem kandydaturę Ranika. Nie życzę sobie bynajmniej dawać w sądzie w Kolnie pierwszeństwo rozmaitym przybłędom z uchodźstwa przed dzielnymi pracownikami miejscowymi, którzy o wiele bardziej zasłużyli na posady.
Otrzymałem od prezesa formalną propozycję wstąpienia do Sądu Okręgowego na stanowisko sędziego. Dziś właśnie wieczorem ma się odbyć ogólne zebranie Sądu Okręgowego, na którym ma być dokonany wybór kandydatów na to stanowisko. Liczba sędziów okręgowych została powiększona w Łomży do pięciu. Chodzi właśnie o obsadzenie nowej posady sędziego okręgowego. W kwietniu jeszcze, gdy było przewidywane utworzenie czwartej posady sędziego okręgowego, prezes zapytywał mnie, czy bym nie życzył tego stanowiska; rozmawiał też wtedy ze mną o tym Trampler[48] i Mieczkowski. Odpowiedziałem im wtedy, że ochoty nie mam. Zresztą nie otrzymałem wtedy propozycji formalnej. Wybrali oni wtedy kandydata w osobie jakiegoś b. rejenta, który wrócił z uchodźstwa z Rosji, pomijając wszystkich sędziów pokoju – prawników i sędziów śledczych z okręgu swego, co wywołało oburzenie wśród pominiętych; nawet podobno [w] ministerium zwrócono uwagę prezesa, że należy się starać promować tych, co już pracują w sądownictwie, raczej niż faworyzować ich kosztem tych, co dopiero wrócili z Rosji i od początku w sądownictwie nie byli. Duży też o to hałas zrobił prokurator Urbanowicz, który był nieobecny na tym ogólnym zebraniu, na którym dokonano poprzedni wybór kandydata. Toteż gdy teraz chodzi o nowy wybór kandydata na piątego sędziego okręgowego, sąd chce koniecznie zaproponować kogoś z sędziów z okręgu, a nie ma nikogo na widoku oprócz mnie. Toteż prezes prosił mnie i namawiał; wahałem się trochę, ale ostatecznie odmówiłem. Żal mi Kolna, a właściwie nie tyle Kolna, ile mojego sądu, który doprowadziłem do takiego ładu i precyzji i który kocham jak dziecko własne. Odmówiłem. Odstraszają mnie też trochę stosunki w Sądzie Okręgowym w Łomży, ciągłe jakieś kwasy i waśnie, jak również wybitnie endecki nastrój, który sobie założył

[48] Wojciech Trampler, prawnik, w niepodległej Polsce sędzia (1928) i prokurator (1933) w Sądzie Najwyższym.

gniazdo w łonie tego sądu. Wreszcie – co może zastąpić tę samodzielność i twórczą pełnię działania, jaką się ma w sądzie pokoju; choć szczupły jest zakres właściwości sądu pokoju, ale w tym zakresie jestem panem i twórcą.
Gdym wracał z Łomży, chwilami czułem żal, żem odmówił przyjęcia propozycji do Sądu Okręgowego. Nęci jednak stanowisko społecznie wyższe. Jako szczebel do kariery – jest ono dla mnie obojętne, bo nie marzę o karierze urzędniczej w Polsce, ale jako dyplom zawodowy w przyszłości dla takiejże ewentualnie działalności w Litwie i jako wyszkolenie – może to być dla mnie lepsze od Sądu Pokoju.

3 sierpnia, rok 1918, sobota
Stało się. Zdecydowałem się na przyjęcie stanowiska sędziego w Sądzie Okręgowym w Łomży. Wczoraj jeszcze odmówiłem prezesowi i choć miałem chwile żalu, jednak wracałem do Kolna z zadowoleniem, że zostaję. Jestem tu kochanym powszechnie sędzią i cenionym, czuję mój wpływ, prowadzę mój sąd starannie i tak troskliwie, jak tylko ojciec kierować może wychowaniem dziecka, mam doskonały dobór pracowników, wyszkolonych już przeze mnie, urobionych na modłę mojej metody. Sąd ten stał się zaiste moim osobistym dziełem, a człowiek zawsze dzieło swoje kocha. Sąd Okręgowy da mi społecznie stanowisko wyższe, ale z pewnością nie da tej pełni twórczego zadowolenia, jaką daje praca samodzielna i kierownicza. Ale już ziarno ambicji wpadło do serca mego i zaczynało kiełkować. Trzeba było jeszcze kropli tylko, aby mój opór przełamać i zdecydować do przejścia do Sądu Okręgowego, rwąc te nici serdeczne, które mnie z moim sądem w Kolnie łączą. Ta kropla, która przeważyła, kapnęła dzisiaj. Już wczoraj byłem bardzo ciekaw, co też zdecyduje Sąd Okręgowy w sprawie nowej kandydatury na sędziego wobec odmowy mojej. Nie miał bowiem sąd wyjścia żadnego. Wobec tego, co już zaszło, niepodobna było pominąć znowu sędziów z okręgu własnego. Tymczasem poza mną nie było nikogo do wyboru. Z sędziów pokoju prawników i sędziów śledczych mogliby ewentualnie, prócz mnie, nadawać się sędzia pokoju z Łomży Łubieński albo sędzia śledczy z Łomży Szyc. Ale Łubieński, człowiek 60-letni, nie życzy wcale tego przejścia, tym bardziej, że nic by na pensji nie zyskał, Szyc zaś, któremu poza tym endecy z sądu okręgowego niezbyt, zdaje się, ufają, jako nie należącemu do kliki, już się wystarał o przeniesienie do innego okręgu sądowego – do Kielc. Z innych sędziów pokoju prawników, Tarnowski z Łomży chciałby bardzo tej posady i jest wściekły, że go pomijają, ale sędziowie okręgowi go nie chcą, Wołodkiewicz z Ostrowia podał się do dymisji i przechodzi do adwokatury, Winnicki z Mazowiecka – również się do dymisji podał, obrażony za to, że go wyznaczono na lato do zastępstwa sędziego śledczego (podobnie jak było ze mną w Szczuczynie). Z sędziów śledczych zaś – Wojcht i Hermanowski, jak również sędzia śledczy z Mazowiecka, są za młodzi, Gromczewski zaś z Ostrowia okazał się do niczego. Pozostaję tylko ja, zwłaszcza że z większością innych miał Sąd Okręgowy, a szczególnie Trampler, jakieś nieporozumienia lub zatargi, ja zaś pod tym względem jestem dziewiczy. Ostatecznie więc, pomimo nawet, że od kliki endeckiej jestem bardzo daleki, o czym prezes Filochowski i endecy sędziowie Skarżyński[49] i Mieczkowski nie mogą nie wiedzieć, byłem jedynym kandydatem. I tak się też stało. Pomimo mojej odmowy, zebranie ogólne wczoraj uchwaliło kandydaturę moją. Koło godz. 10 rano wezwano mnie do telefonu do magistratu, mówiąc, że sam prezes mnie do telefonu wzywa. Domyślałem się, o co chodzi. Poszedłem. Byłem wzruszony. Czułem, że zaraz ma zapaść decyzja, która jest mi tak trudna ze względu na więzy, przeważnie uczuciowe, łączące mnie z sądem w Kolnie. Ale już decyzja dojrzała. Postanowiłem w

[49] Zygmunt Skarżyński (zm. 1927), prawnik.

razie dalszych nalegań ulec i wybór przyjąć. Stanąłem do telefonu. Pozdrowił mnie Filochowski i mówił tak: że oto, choć mu jest wiadomo, iż Litwini są stanowczy, próbuje raz jeszcze mnie przekonać, licząc, że może przyparty do muru zmięknę, że pomimo mojej kategorycznej odmowy wczorajszej, o której on ogólnemu zebraniu zakomunikował, ogólne zebranie jednomyślnie uchwaliło moją kandydaturę na pierwszym miejscu (sąd przedstawia zawsze trzech kandydatów, z których jednak pierwszy jest właściwym i on też, prócz może jakichś wypadków wyjątkowych, jest zatwierdzany) i postanowiło jeszcze raz zwrócić się do mnie z apelem gorącym, abym nie odmawiał, co też prezes robi. Dalej mówił mi prezes o tym, że „szersza arena", jaką jest Sąd Okręgowy, da większe pole do zastosowania moich „zdolności", wreszcie żebym nie wierzył temu, co mi nagadano o złych stosunkach w Sądzie Okręgowym, bo wprawdzie były pewne tarcia między prokuraturą a sędziami, ale to głupstwo i to przejdzie, ale za to wewnątrz sądu pośród sędziów jest harmonia doskonała. Na zakończenie gorąco mnie znowu wezwał i prosił, abym wybór przyjął. Odrzekłem po prostu, że się zgadzam. Poprosiłem o jedno: aby mnie nie wyznaczano do wydziału karnego. Prezes przyrzekł i podziękował mi. Stało się więc. Klamka zapadła.

4 sierpnia, rok 1918, niedziela

Niedziela upłynęła mi tak cicho, jak tylko w Kolnie upłynąć może. Miałem pójść ze Stefusiem na dalszy spacer nad rzekę Pissę, ale że padał deszcz – nie poszliśmy. Wyznaczyłem na wokandy sprawy, które się uzbierały w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Niewiele się tego tym razem uzbierało. Zdaje się, że moja nieobecność powstrzymywała ludzi od wnoszenia spraw. Nie jestem już pewny, czy sprawy, które teraz wyznaczam, będę jeszcze ja sądził. Chciałbym jak najdłużej jeszcze przeciągnąć mój pobyt w Kolnie. Mam jednak nadzieję, że upłynie jeszcze miesiąc albo i dwa, zanim opuszczę Kolno.

Zaczynam się po trochę oswajać z myślą o przejściu do Sądu Okręgowego. Na razie wczoraj, gdym szedł do telefonu, czując, że prezes będzie nalegał na przyjęcie przeze mnie kandydatury i że ustąpię, żal mnie tak ściskał za gardło, jak gdybym miał się względem najdroższej istoty sprzeniewierzyć. Z bólem też i tęsknotą, z poczuciem czegoś słonego w gardle, jakżebym łykał łzy, wracałem od telefonu do sądu, po daniu zgody na ustąpienie. I teraz mi żal, ale się już godzić z tym zaczynam. Radości jednak i zapału z powodu „awansu" nie czuję. Mój wyjazd budzi szczery żal w Kolnie. Kancelaria moja – Miętkiewicz, Ranik – ławnicy, a z nich szczególnie kochany Remba – są w głębokim smutku. W ogóle zresztą wszyscy żałują mię. Zdobyłem tu sobie niekłamaną sympatię i uznanie. To właśnie ma do siebie mały światek, że działalność w nim jest więcej wyczuwalną w owocach, jest widoczniejszą i w śladach wpływu głębszą. Na szerszej widowni i na wyższym stanowisku nie wyrosnę, lecz zapewne – nie zmaleję.

Stefusia myślę zostawić w Kolnie. Sam on tego życzy i mnie się to wydaje lepszym dla niego. Tu ma już pracę i zarobek, daje lekcje, ma wyrobione znajomości i stosunki z ludźmi wprawdzie skromnego stanowiska, ale porządnymi i uczciwymi. W Łomży nie byłoby mu tak łatwo o zarobek z prywatnych lekcji, a nie mógłby też tak być pod moim okiem, jak był w Kolnie. Toteż groziłoby mu niebezpieczeństwo próżniactwa, zawarcia jakichś pokątnych szkodliwych znajomości i wejścia znów na tory upadków. Tutaj Stefuś się trzyma dobrze. Zdaje się, że sam on czuje niebezpieczeństwo, grożące mu w Łomży i dlatego też się obawia tam jechać.

5 sierpnia, rok 1918, poniedziałek

Sesja sądowa. Na wokandzie 10 spraw cywilnych. Ławnicy – Stachelski i Cieloszczyk. Stanisław Cieloszczyk, nowy ławnik z gminy Turośl, gospodarz ze wsi Popiołki tejże gminy, zasiadał po raz pierwszy. Zrobił na mnie wrażenie bardzo dodatnie. Spodziewałem się ujrzeć starego ciemnego Kurpia z głębokiej puszczy, który ledwie się umie podpisać – bo to jest wymagane dla kwalifikacji na ławnika – i który ma tylko tę jedną kwalifikację, że jest uczciwy. Tymczasem Cieloszczyk zaprezentował się zgoła inaczej. Już z samej twarzy podobał mi się bardzo. Jest to chłop wysoki, w wieku, co prawda, podeszłym, liczący lat przeszło 50, a może nawet koło sześćdziesiątki, z zarostem mocno siwiejącym, o wielkich krzaczastych brwiach i bakach, o stylu zarostu i całego wyrazu twarzy z epoki księcia Józefa Poniatowskiego. W całej postawie jego, wyrazie i zachowaniu się – dużo dystynkcji. W pokoju narad zachowuje się z dużym taktem i zarazem prostotą i umiarkowaniem, bardzo grzeczny, ale bez tej uniżoności, która mnie raziła w ławniku Nojdzie na sesji poprzedniej. Podpis też swój Cieloszczyk nie gryzmoli, jak większość chłopów, ale pisze szybko i biegle; pismo ma bardzo wyrobione, jak u inteligenta. Zdaje się, że w osobie nowego ławnika Cieloszczyka sąd będzie miał dobry nabytek. Cieloszczyk jako ławnik podobał mi się bardziej i od Nojdy i od Rainki, który, chociaż również zachowujący się samodzielnie, jest, zdaje się głupszy. Pozostaje jeszcze jeden nowy ławnik, który dotąd nie zasiadał – Orbik z gminy Łyse. Mam wrażenie, że tamten będzie dobrym ławnikiem; jest to człowiek młody, sprytny, był za czasów rosyjskich sekretarzem nadleśniczego rządowego, potem ożenił się we wsi Dudach z córką gospodarską i sam został gospodarzem.
Sesja dzisiejsza była podzielona na dwie części, ponieważ obrońca sądowy Goldberg wyjeżdżał rano do sądu pokoju w Grabowie i prosił wstrzymać sprawy, w których on staje, do jego powrotu do godz. drugiej po południu. Pierwszych pięć spraw, z których tylko jedna była grubsza, a parę za niestawiennictwem stron spadło całkiem z wokandy, rozpoznanych zostało do godz. 11 rano; zarządziłem więc przerwę do drugiej. O drugiej wznowiliśmy sesję; rozpoznawaliśmy cztery grube trudne sprawy, które zajęły nam czas aż do godz. 8 wieczorem, tak że kończyliśmy ostatnią sprawę już o zmroku. Oprócz nowego ławnika, była jeszcze jedna nowina na sesji dzisiejszej: pierwszy występ nowego obrońcy sądowego Ludwika Lisa, konkurenta Goldberga. Stawał on w dwóch sprawach przeciwko Goldbergowi: w jednej z powództwa Juszkowej przeciwko Ruchale z ramienia pozwanego i w drugiej z powództwa Masłowskiego przeciwko Olendrowi (sprawa odwieczna, która się toczy od samego mojego przyjazdu do Kolna, od września r. 1917) – z ramienia powoda. Obie te sprawy zostały odroczone. W obydwóch większe szanse wygrania ma Goldberg, ale bądź co bądź Lis dobrze i starannie się do spraw przygotował i, wbrew memu oczekiwaniu, bronił bardzo dzielnie. Sądząc z paru wszczętych przez niego powództw, niezdarnie ułożonych, wnosiłem o nim o wiele gorzej, niż się okazało. Debiut jego był wcale dobry.

6 sierpnia, rok 1918, wtorek
Przed dwoma dniami otrzymałem list od Papy[50]. Każdy list od Papy – to zawsze, niestety, dla mnie zmartwienie. Wiem z góry, że zawierać będzie żale, wyrzuty, żądania, które się okażą w kolizji z nakazami moich przekonań i moich ideałów. Uznania nie mam u Papy ani za grosz. U innych mam je, dla Papy zaś jestem tylko warchołem, dziwakiem, człowiekiem, który ma „przewrócone” w głowie, zarozumialcem, pyszałkiem, wykolejeńcem ideowym. Niektóre listy Papy są stekiem zarzutów, pretensji i insynuacji, wyrzuconych bez żadnego widocznego powodu, ot chyba po prostu dla karcenia. Czuję wprawdzie na dnie serca i ból Papy, że nie jestem

[50] Michał Kazimierz Römer (1845-1920), syn Michała Stefana i Witalii z Kobylińskich, absolwent wileńskiego gubernialnego gimnazjum i szkoły rolniczej w Proskau, dziedzic Bohdaniszek.

takim w przekonaniach moich, jak on, ale zaiste nie wpływa to na polepszenie naszego stosunku. Papa inteligentnym nie jest, ale ma czucie głębokie. Wyczuwa trafnie, że dzieli nas zasadnicza w kierunkach naszych przekonań i dążeń społecznych i narodowych rozbieżność, mimo – co jest faktem – podobieństwa natury i nawet poniekąd organizacji psychicznej. Chce mnie Papa nawrócić, chce przekonać, chce wreszcie autorytetem i ojcostwa powagą zmusić do zejścia na tory innego kierunku. Nie rozumie natomiast, chociaż czuje to dobrze, że właśnie dzięki mej organizacji psychicznej jestem w przekonaniach moich niewzruszony, bo płyną one z najgłębszej wiary i prosta uczciwość, którą odziedziczyłem bezpośrednio po Papie, nie pozwala mi na frymarczenie nimi i naginanie do względów kariery i dostatku. Oto w liście ostatnim, jak *Deus ex machina*, nie wiadomo skąd i dlaczego umieszcza Papa taki zwrot do mnie: „Jeżeli mnie dasz słowo honoru, że nie będziesz się zajmował polityką i nie zadawał z głupimi Litwinami, naszymi jawnymi nieprzyjaciółmi, to możesz się spodziewać mojej protekcji i tu będziesz mógł przyjechać, rozumiesz? Masz wóz i przewóz, rozumiesz? Albo – albo”. Co to ma znaczyć – sam nie wiem. Rozumiem, że Papa sam tęskni do mnie i chciałby mię mieć w kraju (a może w Bohdaniszkach nawet!!!) i wie, że ja też tego pragnę, chciałby więc z tego skorzystać, by mi narzucić warunek, stanowiący najistotniejszą troskę i bolączkę Papy – oderwanie mnie od moich ideałów i przekonań. Oczywiście, że warunków tej natury przyjmować nie będę i że żadnych zastrzeżeń i zobowiązań co do tej dziedziny wolności mojej i sumienia akceptować i nakładać na siebie nie będę, gdybym miał za to największe nawet korzyści osiągnąć. Wolę nawet nie wracać wcale, niż wrócić i mieć się dobrze na takich upokarzających i niegodnych uczciwego człowieka zastrzeżeniach „honoru”. Toteż błogosławię moje stanowisko w sądownictwie polskim i dziękuję gorąco Bogu za to, że je mam, bo daje mi ono niezależność i możność materialnego istnienia, chroniącą mnie od pokusy lub musu takich upadków sumienia. Nie doczeka się Papa ode mnie takiego słowa. Choć nie dążę na Litwę specjalnie dla polityki, ale ani się jej z góry wyrzekać, ani zastrzegać co do moich stosunków z Litwinami nie będę. Pozostanę wolnym, który niczym innym się kierować nie [jest] zobowiązany, jak przekonaniem, sumieniem, wiarą i ideałem własnym. Ciekawa się wytwarza sytuacja mojego poza Litwą pobytu i ewentualnego powrotu: mogę wrócić, ale za cenę ograniczenia lub spaczenia moich obowiązków obywatelskich dla niej; nie wracam, aby zachować możność i posiadanie tych obowiązków obywatela, choć przez to, że nie wracam, obowiązków tych wykonywać praktycznie nie jestem w stanie. Mogę wrócić zaprzańcem, ponieważ zaś nim być nie chcę, wrócić ze względów materialnych nie mam możności.

Być może, że ostatnie słowa Papy o wozie i przewozie i „albo – albo” stosują się do rzeczy większej, niż tylko prosty mój powrót do Litwy. Być może, że chodzi o przekazanie mi Bohdaniszek, o rzecz największą, o spadek tej ukochanej ojcowizny po Papie. Wiem, że Papa ongi myślał o Hektorze Komorowskim[51], jako o ewentualnym dziedzicu Bohdaniszek; w ostatnich czasach w myślach Papy był w łasce Henryś Wołłowicz[52]. Henryś bawi właśnie teraz w Bohdaniszkach jako b. nadporucznik z korpusu Dowbór-Muśnickiego. Być może, że Papa, czując brzemię starości, coraz niecierpliwiej chce określić swoją ostatnią decyzję o Bohdaniszkach; mnie czy Henrysiowi? Bardzo to być może. Albo – albo. Odpowiedzi ode mnie Papa nie usłyszy.

---

[51] Hektor Komorowski (1892-1966), siostrzeniec, syn Zygmunta Komorowskiego i Elizy z Römerów, dziedziców Kowaliszek, absolwent wileńskiego gimnazjum, studiował nauki rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, przerwane wybuchem wojny w 1914 r., ożeniony z Aleksandrą Holszteinówną.

[52] Henryk Wołłowicz (1894-?), siostrzeniec, syn zmarłej przy jego narodzinach siostry Michała, Heleny i Józefa Wołłowicza, właściciela Dziedziłowicz w powiecie borysławskim, poślubił pannę Zikus.

7 sierpnia, rok 1918, środa
Dziś na sesji sądowej zasiadał po raz pierwszy nowy ławnik Orbik z Dudów gminy Łyse. Inaczej go sobie zupełnie wyobrażałem, niż jakim się okazał. Nie jest wcale tak młody, energiczny i sprytny, jak mi się zdawało z tego, co o nim słyszałem. Ma lat trzydzieści kilka, blisko czterdziestki, jest spokojny, sprawia nawet wrażenie przygnębionego, ale może być ławnikiem niezłym, bo jest równy i, zdaje się, niegłupi. Ławnikostwo będzie mu chyba uciążliwe, bo przyjeżdżać musi z odległości 4 mil, a konia własnego nie ma.
Sesja była dziś karna, spraw, które doszły do skutku, niezbyt dużo i na ogół sprawy łatwe i proste, tak że zakończyliśmy sesję koło godz. 3. W jednej sprawie stawali znów przeciwko sobie obrońcy sądowi Goldberg i Lis. Lis jeszcze popełnia sporo błędów w obronie i jest od Goldberga słabszy tak biegłością, jak sprytem orientacyjnym, ale ma jedną zaletę - że jest starannie przygotowany do sprawy. I tym razem jeszcze żaden z nich zwycięstwa nie odniósł, bo sprawa została odroczona.
Żałuję, że opuszczam mój sąd. Dobrze mi tu i praca jest przyjemna. Chciałbym, żeby mój pobyt w Kolnie jak najdłużej się jeszcze w późną jesień przeciągnął. W stosunku do każdej sprawy, która wpływa lub się odracza, mam jakby pewien niepokój, czy ona jeszcze przeze mnie sądzona będzie. Żałuję każdej z nich, gdybym już jej sądzić nie miał.

8 sierpnia, rok 1918, czwartek
W sądzie dopływ spraw znowu tak wielki, że nawet przy zagęszczonych sesjach nie mogę osiągnąć tego, aby ilość rozstrzyganych spraw przewyższyła ilość dopływających. Jest przeciwnie. Tydzień bieżący, choć jeszcze zakończony nie jest i pomimo tego, że w tygodniu tym są trzy posiedzenia sądowe, dał już nadwyżkę dopływu spraw. Dziś, jako w dniu targowym, w którym zawsze ruch w sądzie jest największy, wpłynęło aż 11 nowych spraw, z których 9 powództw cywilnych i 2 skargi karne.
Targ był dziś szczególnie liczny i ożywiony. Jak zwykle o tej porze roku, z uwzględnieniem czasu wojennego, dominowały na targu z inwentarza świnie i prosięta, z innych płodów – jarzyny i drób. Bydła i koni w obecnych czasach na targu nie ma wcale, zresztą co do koni handel spekulacyjny rynkowy jest obecnie zabroniony i odbywa się tylko po kryjomu, po podwórkach i chlewach handlarzy końskich. Produktów wiejskich takich jak masło, jaja – dostać teraz na targu niepodobna; wykupują je handlarze u chłopów po wsiach. Krasą targów kolneńskich są piękne stroje kobiet puszczańskich. Mężczyźni strojów ludowych charakterystycznych nie używają, natomiast kobiety na Kurpiach zachowały jeszcze ubiór własny; charakterystyczne są barwy tych strojów z sukna własnego wyrobu w wąskie paski czarne i czerwone, co wytwarza barwę ceglastą. Charakterystyczny jest też krój i układ tych sukien, jak również strój głowy oraz ozdoby, które noszą młode kobiety.
W kancelarii Rady Opiekuńczej Powiatowej odbyło się dziś zebranie nadzwyczajne tejże, zwołane z powodu przyjazdu z Warszawy delegata z ramienia Rady Głównej. Chodziło o sprawy reemigracji, a raczej organizacji pomocy społecznej dla reemigrantów. Omawiane były kwestie takie, jak: organizacja kredytu specjalnego, sprawa aprowizacji, zasiewów jesiennych, odbudowy. Rzeczy niewątpliwie niezmiernie ważne, a dla powiatu kolneńskiego bodaj jeszcze ważniejsze, niż gdzie indziej, bo powiat ten jest pono najbardziej zniszczony przez działania wojenne w Polsce. Pomimo że to rzeczy ciekawe i doniosłe, nie byłem na całym zebraniu, które trwało od godz. 11 do 1 ½ . Posiedziałem tylko z pół godzinki i poszedłem do moich zajęć w sądzie, bo czynnego udziału w obradach zresztą bym brać nie mógł jako profan w tych sprawach. Główne skrzypce w obradach trzymali: delegat, ziemianie, pracownicy zarządu Rady

Powiatowej z Kisielnickim na czele i wójci. Muszę zresztą wyznać, że jedno mnie też zraziło do tych obrad, mimo uznania prawdziwej doniosłości społecznej tych zagadnień – a to metoda ujmowania sprawy przez delegata Rady Głównej. Ujmował on te sprawy, należące wybitnie do sfery organizacji i samopomocy społecznej, ze stanowiska filantropii, co zresztą sam w przemówieniu wstępnym w ten sposób scharakteryzował, nazywając zadania i działalność Rady Głównej Opiekuńczej „*par exellence*" filantropijną. Wypacza to całą ideę tej bardzo skądinąd doniosłej i pożytecznej działalności i jest wyrazem udziału czynników arystokratycznych u steru tej wielkiej akcji, z księciem Eustachym Sapiehą[53] na czele, czynników które zajęte są zawsze myślą o sobie, o swoim wpływie, o łasce, nie zaś obowiązku i solidarności społecznej, a ukrytą ich myślą jest walka z „duchem rewolucji".

9 sierpnia, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy – Remba i Rainko. Na wokandzie było 10 spraw cywilnych; we wszystkich strony się stawiły, toteż sesja przeciągnęła się, z przerwą obiadową, do godz. 7 wieczorem. Grube sprawy były dwie, obie o krowy. Lis stawał w kilku sprawach, Goldberg – tylko w dwóch, bo przez pierwszą część sesji, do obiadu, był nieobecny, wyjechawszy do Stawisk. W ostatniej tylko sprawie, Forfów przeciwko Podlaskiej o zwrot krowy, stawali przeciwko sobie obaj adwokaci – Goldberg i Lis. Zwyciężył Goldberg, który niewątpliwie więcej umie, niż Lis i broni o wiele sprężyściej i sprytniej, a zresztą w sprawie tej nie tylko prawo, ale i względy natury moralnej były po stronie, którą on przedstawiał. Wyznam, że miałem nieprzyjemne uczucie przed tą sprawą. Dochodziły mnie wieści, że Forfa opowiada, iż w moim sądzie rzekomo wygrywa ten, kto ma Goldberga za adwokata. Że w większości wypadków lepsze szanse ma istotnie ta strona, która ma adwokata, bo lepiej obronę swą poprowadzi – to fakt i być może, że w dalszym ciągu, odkąd mamy dwóch adwokatów w Kolnie, przewaga wygranych pozostanie Goldberga nad Lisem, bo Goldberg jest umiejętniejszy. Cóż na to poradzę? Co zaś do mojej metody stosunku do adwokatów, to ja nie tylko nie faworyzuję specjalnie strony lepiej uzbrojonej, ale przeciwnie – staram się wspierać stronę słabszą i im większa jest przewaga techniczna jednej nad drugą, tym większe stosuję wymagania do strony silniejszej, to znaczy posiadającej adwokata. Pomimo to istotnie wygrywać musi częściej strona lepiej w środki walki wyposażona, czemu zapobiec nie mogę, tym bardziej, że niepodobna przecie, abym stronę znów krzywdził za to, że ma adwokata. Zresztą rola sędziego w procesie, zbudowanym na metodzie kontradyktoryjnej, jest taka, że sędzia, zwłaszcza w sprawach cywilnych, tylko waży, ale nie działa i nie może sam się przekształcić na adwokata. Ludzie ciemni tego jednak mogą nie rozumieć i nic łatwiejszego, jak puścić famę o faworyzowaniu przez sędziego adwokata. Pomimo, że mnie w Kolnie bardzo szanują i ufają bezstronności mojej i że mam opinię czystą i uznanie tak wielkie, jak może mało który z sędziów, to przecież mogą znaleźć się ludzie, którzy nie zawahają się każdego o brud posądzić i z błotem insynuacji mieszać. Ja zaś na to jestem niezmiernie wrażliwy. Toteż w tej sprawie Forfy, gdy mnie doszły słuchy o gawędach jego, miałem wrażenie przykre, a wiedziałem z góry, że mocniejsza jest strona przeciwna Podlaskiej i czułem, że ona tak z tytułu prawa, jak z tytułu sprawiedliwości wygrać będzie musiała, choćby to dało Forfie asumpt do snucia dalszego gawęd. I istotnie Podolska wygrała, ale za to ja tak uzasadniłem motywy i tak wykazałem przejrzyście, dlaczego musi być taki, a nie inny wyrok i do czego by właściwie mógł rościć pretensję Forfa, inną metodą

[53] Eustachy Sapieha (1881-1963), polityk, od r. 1916 prezes Rady Głównej Opiekuńczej. W 1919 r. poseł w Wielkiej Brytanii, w latach 1920-1921 minister spraw zagranicznych, czynny przy rozwiązywaniu konfliktu polsko-litewskiego.

postępowania sądowego i kierowaniem innego rodzaju żądań – że wyszedłem mocno z tej sprawy i sam Forfa musiał zrozumieć, dlaczego przegrał i czego oraz jak ma się słusznie upominać.
Otrzymałem dziś listek od Maryni, która wyjeżdża (obecnie już wyjechała) na dni 8 do Elwiry do Mamyłów. Przepustkę otrzymała. Jakaż to będzie radość im się po tak długiej rozłące spotkać! Elwira jest znowu w poważnym stanie od pary miesięcy. W Wilnie bawiła Elizka Komorowska[54] z Hektorem, który pozostał takim samym bezideowym i bardzo „porządnym" karierowiczem, jakim był, myślącym obecnie o ożenku, oczywiście bogatym.

10 sierpnia, rok 1918, sobota
Sami z Ranikiem spędziliśmy dzień w sądzie. Miętkiewicz ze Stefusiem wybrali się raniutko na cały dzień na ryby. Dla Ranika nadeszła od prezesa Sądu Okręgowego w Łomży nominacja na kancelistę sądu pokoju z pensją 187 mk 50 fen. (dotąd, jako woźny, pobierał miesięcznie 125 mk, ma przeto obecnie o 62 mki 50 fen. więcej). Ranik ucieszony zarówno z pensji, jak z awansu, bo bądź co bądź być kancelistą to trochę więcej, niż woźnym i na przyszłość otwiera mu widoki ewentualnego awansowania na sekretarza. Na miejsce woźnego po Raniku ma być niejaki Rogiński, młody chłopiec, syn gospodarski z Kolna, kolega Ranika. Prosił mnie o tę posadę dla swego syna Remba, ale ja zaproponuję prezesowi do nominacji Rogińskiego, któremu już to obiecałem. Remby nie chcę nie dlatego, że jest Żydem, ale że, o ile go poznałem z lekcji, które bierze u Stefusia, jest uparty i krnąbrny, nie nadający się do dyscypliny i giętkości służbowej. Ja miałem dziś w sądzie badanie świadków i pokrzywdzonej w śledztwie w sprawie Paulina Muracha, oskarżonego o zgwałcenie, względnie o czyn lubieżny, dokonany w drodze gwałtu na 10-letniej dziewczynce Mariannie Krawczyk. Lubię pracę sędziowską, ale nie zamykam oczu na ten fakt, że dziś, wobec przewrotu w całej budowie stosunków gospodarczych, działalność sądu, operującego ustawodawstwem, zastosowanym do dawnych założeń gospodarczo-społecznych, jest zupełnie jałowa, bo opiera się na elementach, które przestały być żywymi czynnikami i stały się martwą fikcją. W całym szeregu wypadków i dziedzin prawa cywilnego jest to faktem niewątpliwym. Kodeks Cywilny Napoleona, który jest tworem bardzo logicznym i ścisłym, zbudowanym na założeniach własności prywatnej i wymiany towarowo-pieniężnej – z roku na rok w dobie wojny i spowodowanej przez nią rewolucji w ustroju gospodarczym staje się coraz bardziej przeżytkiem. Przede wszystkim, operowanie pojęciem pieniędzy jako miary wartości jest zupełnie już nierealnym. Ciągle co krok – jest pod tym względem szalona dysharmonia między życiem i potrzebami gospodarczymi oraz sprawiedliwością a prawem. Gdy chodzi o szkody i straty, o różnego rodzaju wynagrodzenia, o ekwiwalenty różnych przedmiotów użytkowych – nie ma właściwie żadnej miary, bo pieniądz, którym się one mierzą formalnie, stracił tę zdolność dawną. To samo zachodzi np. w takich kwestiach, jak działy, dożywocie, alimenty. Formalne ekwiwalenty nie odpowiadają w najmniejszym stopniu pojęciom istotnej miary w rzeczywistości, zasady opłat w schedach, licytacji działowych itd., które dawniej służyły regulatorami i formalnie są nimi w prawie, są w rzeczywistości do roli tej niezdatne. Operuje się nimi, bo tak każe Kodeks, ale w istocie nie spełnia się tych zadań wymiaru sprawiedliwości i regulacji potrzeb, do jakich to ongi ustanowione było.

11 sierpnia, rok 1918, niedziela

---

[54] Eliza Komorowska (1871-1961), siostra Michała Römera, w 1891 r. poślubiła Zygmunta hr. Komorowskiego, dziedzica Kowaliszek.

Jak co niedzielę – wyznaczałem rano na wokandy sprawy, które się uzbierały z tygodnia. Spraw tych, razem z odroczonymi, zebrało się z tygodnia 36 – znacznie więcej, niż ilość rozpoznanych i zasądzonych w tygodniu. Pomimo pełnego kompletu sesji w sierpniu i wielkiego zagęszczenia ich we wrześniu (jeden tydzień we wrześniu cały od poniedziałku do soboty wypełniony sesjami), wszystkie wokandy w sierpniu są pełne i we wrześniu również już prawie pełne, tak że w przyszłą niedzielę już mi wokand wrześniowych nie wystarczy i zmuszony będę rozpocząć wyznaczanie na październik. Napisałem też dziś wyrok w formie ostatecznej w sprawie Kamieńskiego z Pardą, zasądzonej w piątek; Goldberg z ramienia pozwanego Pardy ma wnosić apelację; z ramienia powoda stawał u mnie w sądzie Lis i sprawę wygrał; Goldberg nie stawał wtedy do tej sprawy, bo był wyjechał do Stawisk; obecnie przywiązuje on do tej apelacji dużą wagę, bo wszelki laur konkurenta Lisa nie daje mu spokoju.
Po obiedzie wybrałem się ze Stefusiem na dłuższy spacer. Poszliśmy do Wincenty i tam wstąpiliśmy do Kocika, który przeniósł się już do nowego, kupionego przezeń murowanego domu. Oboje Kocikowie są niezmiernie gościnni i serdeczni, ilekroć ich odwiedzę. Kocikowa, młoda Kurpianka, bardzo wrażliwa na zaszczyty i dostojeństwa, która kładzie dużą ambicję w stanowisko i stosunki męża, uważa stosunek znajomości osobistej z sędzią za wielki punkt honoru i zaszczyt, a gdy ją jeszcze w rączkę ucałuję, to się aż rozpływa z zadowolenia. A rączkę ma pani wójtowa ładną, miłą do pocałowania. Strzela oczami i wysadza się w gościnności. Dziś na wizytę *ex promptu*[55] dostaliśmy ze Stefusiem podwieczorek z jaj i herbatę smaczną z samowara z sokiem wiśniowym. Zapraszali mnie Kocikowie gwałtownie, abym jeszcze co najmniej ze dwa razy przed odjazdem był u nich, z uprzedzeniem o dniu wizyty, a na ostatnią pożegnalną wizytę ma być specjalnie poświęconą dla mnie gęś. Na powrót odesłał nas Kocik do Kolna furmanką. Ładny był wieczór i śliczny czas na powrót. Żal mi Kolno opuszczać. Zrosłem się tu przez rok z tym ludem, zostałem pokochany, czuję się tu swojsko i wysoko. W Łomży mieć nie będę tego stanowiska i tej publiczności, jakie sobie w Kolnie i na Kurpiach zdobyłem.

12 sierpnia, rok 1918, poniedziałek
Na Zachodzie wielka ofensywa franko-anglo-amerykańska bynajmniej jeszcze zakończona nie została. Od przełomu, który nastąpił w lipcu nad Marną, wojska koalicji są ciągle górą. Dotąd się linia pozycyjna nie ustaliła, Niemcy stracili już dużo na terenie Francji i nieco w Belgii, a wciąż się ciosy ponawiają. Z obu stron – z Zachodu i ze Wschodu – groźne chmury zawisają nad Niemcami. Na Zachodzie ma to ścisłe kształty organizacyjne, na Wschodzie – jest jakimś chaosem kiełkowania się i tworzenia, z którego nie wiadomo jeszcze, jakie nowe kataklizmy i ciosy uderzą. Dzieło pokoju niemieckiego na Wschodzie rozpada się w grupy. Nic pokojem tym nie osiągnięto. Na zachodnich połaciach b. Imperium Rosyjskiego, od Finlandii poprzez kraj bałtycki[56], Litwę, Białoruś, Polskę aż po Ukrainę i Kaukaz – mocno wprawdzie jeszcze się trzymają szpony łapy niemieckiej, ale nie ma tu nic z dzieł niemieckich trwałego, nic, co by miało spoistość i żywotność wewnętrzną, zdolną do przetrwania w formie nadanej przez Niemców, o ile tylko pazur niemiecki osłabnie. Dalej zaś gromadzą się zwiastuny burzy, z której pioruny bić będą.
Do jakich jeszcze przewrotów i kataklizmów biegnie Ludzkość przez tę wojnę? Niepodobna przewidzieć. Że nie skończy się to tylko pospolitym pokojem, oznaczającym powrót do dawnych przedwojennych form bytowania społecznego w sferach międzynarodowej, gospodarczej i kulturalnej – to zdaje się być chyba pewne.

[55] (łac.) bez przygotowania.
[56] Tak w tekście.

Zbliżamy się bodaj do jakiejś rewolucji wielkiej, która nie będzie już tylko rewolucją polityczną lub społeczną, ale rewolucją kulturalną, która dokona przewrotu w samych podwalinach i osnowie współżycia ludzkiego. Przez jakie też katastrofy, przez jakie wybuchy i rozprzężenie stosunków przejdzie świat ludzki, zanim się ta rewolucja dokona i coś ostatecznego ustali – trudno zgadnąć. Nie pójdzie to chyba torami klasycznego socjalizmu Marksa, bo samo podłoże socjalistycznej koncepcji rozwoju – kapitalizm – właściwie dziś już w swej formie klasycznej istnieć przestał.

13 sierpnia, rok 1918, wtorek
Stefuś z Miętkiewiczem wybrali się dziś do lasu na grzyby. Przyniósł Stefek duży plon ślicznych borowików; będziemy mieli na parę dni na kolację i oprócz tego do zamarynowania w occie na jesień. Teraz grzyby – to cenna rzecz, a jest ich tutaj, dzięki Bogu, dużo. Wobec wielkiego braku środków żywnościowych i w szczególności mięsa popyt na grzyby, tak do świeżego użytku, jak do suszenia, jest ogromny i ceny, pomimo obfitości, trzymają się na wysokim poziomie. Zresztą w tym roku wszystko, co się nadaje do konserwów[57], jak: jagody, owoce, grzyby – jest bardzo drogie. A zresztą – co dzisiaj tanie? Nie ma takiej rzeczy.
Do obiadu siedzieliśmy w sądzie tylko we dwoje z Radzikiem. Spraw wpłynęło kilka. Nie ma teraz dnia, żeby nic nie wpłynęło. Wspominałem niedawno o tym, że wobec bankructwa pieniądza jako formalnej miary wartości rzeczy użytkowych i wobec radykalnego kryzysu w całym towarowo-wymiennym ustroju gospodarczym, działalność sądu, oparta na Kodeksie Cywilnym, wyrażającym zasady tejże gospodarki i jej narzędzie – pieniądze – jest pod wielu względami i w bardzo wielu wypadkach jałowa i zupełnie fikcyjna, nie dostosowana do istotnych potrzeb i wymogów ani sprawiedliwości, ani gospodarstwa społecznego czy też prywatnego. Twórcze życie jednak samo robi wyłomy w tym martwym systemie i żłobi potrzebom i stosunkom realnym drogi wyjścia i zaspokojenia stosownie do nowych warunków.
Co do mnie, to unikając formalizmu, nie tylko nie stawiam przeszkód, ale ułatwiam w praktyce sądu także dostosowanie form prawnych starych do nowych potrzeb i stosunków. Dotyczy to w szczególności wszelkich sądowych dochodzeń rzeczy konkretnych i nade wszystko takich, jak konie, krowy. Te są dziś podstawowymi słupami gospodarki wiejskiej, a cena ich w pieniądzach podskakuje z miesiąca na miesiąc już nie dziesiątki i setki, ale omalże na tysiące i nawet nie marek, lecz rubli. Koń przeciętny kosztuje już dziś 3-4 tysięcy rubli, krowa – do 2 tysięcy rubli. Właściwość sądu pokoju jest ograniczona sumą szacunku do 1 tysiąca marek. Nie ma zatem takiego konia lub krowy, który ceną swoją mógłby się do właściwości sądu pokoju dać wtłoczyć. Tymczasem ludności dużo zależy na tym, aby móc sprawy swoje załatwiać w bliskim sądzie pokoju, zamiast udawać się do dalekiego i drogiego sądu okręgowego, szczególnie dziś, przy tak niesłychanym zdrożeniu środków lokomocji (furmanki, gdzie nie ma kolei). Ma to szczególnie znaczenie tam, gdzie sędziami pokoju są prawnicy i gdzie przeto postępowanie w sądzie pokoju daje te same gwarancje, co w sądzie okręgowym. Otóż praktyka życia w ramach starego Kodeksu i Ustawy Postępowania Sądowego Cywilnego znalazła drogę wyjścia z tej trudności. Dziś przy najdroższych nawet cenach koni i krów, jak i wszelkich innych rzeczy, chodzi zainteresowanym osobom o samą rzecz, a więc dajmy na to konia, krowę – w naturze, nie zaś o otrzymanie ich równoważnika ceny w pieniądzach. Obojętną więc jest rzeczą szacunek formalny, skoro się żąda rzeczy w naturze. Chodzi tylko o to, aby strona przeciwna nie mogła zamiast spornej rzeczy wydać jej „wartość” w pieniądzach podług

[57] Archaizm, współcz.: konserwowania.

szacunku, wskazanego w powództwie. Otóż temu się zapobiega przez zajęcie (aresztowanie) spornej rzeczy w drodze zabezpieczenia powództwa. Tą drogą można wytaczać powództwo o najdroższą rzecz bez względu na cenę, szacując ją formalnie w sumie 1000 marek i zabezpieczając powództwo. O ile tylko rzecz w naturze u pozwanego istnieje, ryzyko jest minimalne, gwarancją jest to, że pozwany za zbycie zajętej rzeczy odpowiadałby karnie. Wprawdzie mógłby to zrobić i, ofiarowując równoważnik pieniężny podług oszacowania powództwa, wygrałby różnicę, ale odpowiedzialność karna jest hamulcem na to. Dzisiaj wszelką rzecz, nawet gdyby ona była oszacowana w chwili wytoczenia powództwa podług rzeczywistej jej ceny – korzystniej jest otrzymać w naturze, niż w tak zwanym „ekwiwalencie" pieniężnym, bo zanim wyrok zapadnie i uprawomocni się, już poprzedni szacunek pieniężny przestanie odpowiadać rzeczywistemu.

14 sierpnia, rok 1918, środa
Miałem dziś żydowską sesję w sądzie, przy obu ławnikach Żydach, Rembie i Jerozolimskim. Spraw wyznaczyłem na wokandę dużo, bo aż 14, wiedząc z doświadczenia, że ze spraw żydowskich dobra połowa – albo i więcej – nie dojdzie do skutku, bo się strony albo pojednają, albo zakończą spór u rabina. Tak też było w istocie. Tylko mniejsza część spraw została zasądzona, w większości zaś – strony się nie stawiły wcale albo po stawieniu się, przed wywołaniem ich sprawy, zdecydowały się na sąd rabina i opuściły salę sądową.
Sesja spraw żydowskich jest zresztą zwykle nudna: są to przeważnie sprawy na gruncie stosunków handlowych, opierające się na jakichś drobnych krętactwach, w których nie ma ciekawych zagadnień ani oryginalnych zajmujących wzorków życia.
Wyczytałem dziś w litewskim „Darbo Balsas"[58] z wydrukowanego w nim urzędowego komunikatu niemieckiego, że część Litewskiej Rady Krajowej proklamowała się Radą Stanu bez porozumienia i wbrew Niemcom, usiłując zagarnąć samotnie atrybucje władzy państwowej[59]. Niemcy w komunikacie odrzucają prawo Litwinów do takiej samorzutności i do ujmowania w obecnym stadium władzy państwowej w ręce. Stwierdzają, że niepodległość Litwy została przez Niemcy uznana z zastrzeżeniem konwencji i przeto dopiero w ramach tych konwencji, gdy już one ustalone i przyjęte zostaną, będzie się mogła ta państwowość konkretnie realizować. Część Rady, o której mówi komunikat, nie tylko się ogłosiła Radą Stanu, ale jeszcze proklamowała wybór na tron litewski księcia Uracha[60] i skierowała do niego stosowną propozycję. Komunikat z tychże, jak wyżej, zasad odmawia Litwinom prawa obsadzania tronu poza konwencjami. Z komunikatu tego niepodobna odtworzyć tego, co zaszło w Radzie Litewskiej. Widać jeno, że konflikt między sprawą niepodległości Litwy a tą dokuczliwą i kunktatorską tutelą, którą Niemcy usiłują Litwie narzucać – rośnie i komplikuje się.

15 sierpnia, rok 1918, czwartek
Przeczytałem w „Nowej Gazecie"[61], którą prenumeruję, wiadomość o zawieszeniu czy też zamknięciu przez Niemców dwóch pism litewskich, wychodzących w Wilnie, za to,

[58] „Darbo Balsas" (Głos Pracy), tygodnik socjaldemokratyczny, wychodził w Wilnie w okresie XI 1917- I 1919 pod red. Steponasa Kairysa.
[59] Mowa o uchwale Krajowej Rady Litewskiej (Taryby) z 11 VI 1918 r., odrzuconej przez Niemcy, pismem kanclerza Herlinga z d. 25 VII 1918 r.
[60] Wilhelm von Urach, książę wirtemberski, kandydat na tron litewski jako Mendog II.
[61] „Nowa Gazeta", dziennik społeczno-polityczny wydawany w Warszawie w latach 1906-1919 przez Stanisława Aleksandra Kempnera, w okresie IV 1906-V 1907, zawieszony przez cenzurę ukazywał się

że nie przedrukowały pewnego komunikatu. Chodzi prawdopodobnie o ten komunikat, o którym wspominałem wczoraj i który znalazłem w „Darbo Balsas". Jakie to są pisma zawieszone – „Nowa Gazeta" nie wymienia. Przypuszczam, że jednym z nich jest koncentracyjny organ „Lietuvos Aidas"[62], półurzędowy organ Rady Litewskiej, drugim prawdopodobnie klerykalny „Tevynės Sargas"[63]. Jednocześnie wszakże czytam w gazetach o mających się w tych dniach rozpocząć w Głównej Kwaterze niemieckiej wielkich obradach austro-niemieckich w sprawach tzw. państw kresowych (tak się nazywają twory państwowe, powstające na gruzach b. imperium rosyjskiego, a więc Finlandia, Kraje Bałtyckie, Litwa, Polska i Ukraina). W szczególności mają zapaść decyzje w sprawie obsadzenia tronów tych państw i państewek (z wyjątkiem chyba Ukrainy, zdeklarowanej w charakterze, przynajmniej tymczasem – Rzeczypospolitej) i upatrzenia kandydatów na owe trony. Do głównej kwatery wyjechał w tym celu osobiście cesarz Karol Austriacki[64]. Szopka ta jest prawdopodobnie bezpośrednim następstwem porażki Niemców na Zachodzie i zagęszczeniem się groźnych chmur na Wschodzie; Niemcy rzucają się do cementowania swego dzieła na Wschodzie, projektując zapewne oprzeć się na tych nowych tworach państwowych i zużytkować je ewentualnie do swojego systemu obrony. Wszystko to wszakże mieć będzie z pewnością cechy nie czegoś ścisłego i stałego, lecz cechy prekarne[65] dalszych stadiów organizowania się państw centralnych do wojny. Twory państwowe na wschodzie są tu w roli służebnej w stosunku do interesu niemieckiego, ale że one jednak wyciągnąć stąd mogą pewną korzyść dla siebie w kierunku stwierdzenia swej państwowości – to bardzo prawdopodobne, o ile tylko jakiś kataklizm rewolucyjny, którego nawet zgoła przewidzieć niepodobna, nie złamie i nie rozsypie w gruzy całego ustroju międzynarodowego państw, inne tworząc kształty współbytowania narodów.

16 sierpnia, rok 1918, piątek
Dzień sesji. Miała być sesja karna, ale była tak malutka, że nie bardzo na miano sesji zasługuje. Zasiadali ławnicy: Remba i Nojda. Spraw na wokandzie było 9, odbyła się wszakże tylko jedna, Icka Baranowicza, oskarżonego o oszustwo (uniewinniony). Oprócz tego, była jeszcze jedna z publicznego oskarżenia, o drobną kradzież – sprawa niejakiego Bolesława Ogrodnika, małoletniego – ale z powodu niestawiennictwa świadków została odroczona. Poza tym, były same sprawy z prywatnego oskarżenia – o pobicie, obelgi, zniesławienia – które wszystkie zostały umorzone za niestawiennictwem stron i przeto niepopierania oskarżenia.
W liczbie spraw wyznaczonych na dzisiaj były aż 3 sprawy między Fuksami a Paniczami, skandaliczne, budzące sensację i zgorszenie w społeczeństwie żydowskim Kolna. Sprawy te zostały zainicjowane skargą pięknej Simy Fuks, o czym w czerwcu

---

pod tytułem „Ludzkość"; w latach 1917-1919 redagowany przez Bohdana Straszewicza. Uchodził za jedno z najbardziej liberalnych pism Królestwa związanych ze Związkiem Postępowo-Demokratycznym.
[62] „Lietuvos Aidas" (Echo Litwy), pismo narodowców litewskich, oficjalny organ Taryby, ukazywał się dwa razy w tygodniu, wydawany w l. 1917-1919 w Wilnie pod red. Antoniego Smetony. Faktycznym redaktorem był Petras Klimas. W l. 1928-1940 tytuł wznowiony w Kownie.
[63] „Tevynės Sargas" (Strażnik Ojczyzny), pierwotnie ukazywał się w l. 1896-1904, pod red. ks. Juozasa Tumasa-Vaižgantasa. Następnie wznowiony w l. 1917-1926 ukazywał się w Wilnie, a od 1919 w Kownie jako organ Litewskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. Redaktor i wydawca Aleksandras Stulginskis.
[64] Karol I Habsburg (1887-1922), cesarz Austrii i król Węgier (jako Karol IV), ostatni władca monarchii austro-wegierskiej, 16 X 1918 r. wydał manifest zapowiadający federacyjną przebudowę monarchii, abdykował 11 XI 1918; w 1921 dwukrotnie podejmował nieudane próby przywrócenia władzy Habsburgów na Węgrzech.
[65] Przypuszczalnie od prekarium, tj. kontraktu polegającego na oddaniu rzeczy w bezpłatne używanie z obowiązkiem zwrotu na każdorazowe wezwanie.

pisałem. W odpowiedzi na skargę Simy Fuks na małżonków Paniczów za zniewagę, Panicz wniósł do sądu dwie skargi, jedną o pobicie – na całą rodzinę Fuksów i drugą o obelgę – na Simę Fuks. Zapowiadała się afera sensacyjna, jak wielka burza skandalu w szklance błotka kolneńskiego. Ławnicy Żydzi jednak, rabin i inne powagi społeczeństwa żydowskiego nie dopuściły do publicznego skandalu i po wielkich zabiegach skłoniły powaśnionych do skierowania sporu na tory prywatnego sądu honorowego.
O godz. 10 ½ sesja została zakończona.
Prezes Sądu Okręgowego szturmuje mnie w sprawie mojej nominacji do Łomży. Okazuje się, że oprócz uchwalenia mojej kandydatury przez Sąd Okręgowy – żądany jest szereg formalności z mojej strony; musiałem wypełnić kwestionariusz co do mojej osoby, następnie muszę przesłać podanie z prośbą o wyjednanie nominacji, wreszcie – muszę przesłać mój... życiorys. Z podaniem się nie śpieszyłem. Gdy mi prezes napisał, że jest ono wymagane, po tygodniu napisałem z zapytaniem, na czyje imię ma być ono adresowane. Teraz prezes mi odpowiada na to i prosi o pośpiech. Mnie wszakże o pośpiech nie chodzi. Chciałbym, aby udało się odwlec wyjazd aż do Wszystkich Świętych albo co najmniej do października.

17 sierpnia, rok 1918, sobota
Rano wybraliśmy się ze Stefusiem, Miętkiewiczem i panną Borawską na wycieczkę po grzyby. W tym celu wstaliśmy o godz. 4 i o 5 wyruszyliśmy do lasu, zwanego Górszczyniakiem koło wsi Górskie (za Gromadzynem). Nie jest to las jednolity, jeno cała grupa lasków lub kęp leśnych, przeważnie młodych, rozrzuconych na sporej przestrzeni pagórków. Wycieczka jako spacer leśny była przyjemna, pod względem wszakże grzybobrania była chybiona. Pod wrażeniem ogromnej obfitości grzybów i ich szalonej drożyzny – całe tłumy wybrały się dziś do lasu i to przeważnie do tegoż Górszczyniaku jako najbliższego i słynącego z grzybów. Od świtu drogą gromadzyńską ciągnął z Kolna sznur ludzi z koszami. W lesie było prawie tyle ludzi, co drzew. A że już wczoraj całe gromady ludzi tłumnie łaziły przez dzień cały po lasach okolicznych, zbierając grzyby, więc dziś grzybów – mówię o borowikach, zwanych tutaj prawdziwymi lub prawymi grzybami – było bardzo mało. Zresztą Stefuś i Miętkiewicz do grzybobrania namiętności wielkiej nie mają; wybrali się raczej przez wzgląd na mnie; marzenie ich to wyprawa na ryby, której się z namiętnością, ilekroć tylko mają czas, oddają.
Wieczorem dziś po raz pierwszy byłem w tzw. parku czy też ogrodzie miejskim Kolna. Tak się nazywa mizerny skrawek bagna i torfowiska nad rzeczką Łabną, położony przy szosie łomżyńskiej między właściwym Kolnem a przedmieściem Łabną vel Łabnem w najniższym miejscu głębokich trzęsawisk, ciągnących się tędy długim szerokim sznurem. Rośnie tam garstka nędznych olch na moczarach. Z tej kępki olch, jedynej grupy drzewnej w Kolnie (nie licząc cmentarzy chrześcijańskiego i żydowskiego oraz plantacji przy b. cerkwi prawosławnej) naczelnik powiatu v. Cornberg powziął fantazję zaimprowizowania ogrodu (parku) miejskiego, którego Kolno nie miało wcale. W tym celu okopano cały ten kawałek bagna z olchami – głębokimi kanałami, które też w kilku miejscach przecinają sam „ogród", poprowadzono dróżki na wysokich nasypach z żółtego piasku i postawiono na tych dróżkach wygodne ławeczki. Ale biada temu, kto by z nasypu dróżki poprzez rów przydrożny zeskoczył na zieleń trawników: mógłby wpaść i utonąć w grząskim moczarze. Jest to bodaj jedyny „ogród miejski", który oryginalnością pobije rekord światowy: ogród-trzęsawisko; gdy się idzie po żółtym piasku wysokich nasypów dróżek, grunt się ugina i chwieje pod nogą, bo pod sobą ma moczary. Pomimo to podoba mi się ten ogród; ma on swoją oryginalność i swój styl

trzęsawiskowy, swoje piętno naturalne, które wyraża się charakterystycznie w roślinności, w widoku, nawet w zapachu i powietrzu moczadeł. Jak każda rzecz w naturze – jak las, piaski, góry, równiny, jezioro, morze – tak i trzęsawiska, moczary i bagna mają swoje oryginalne piękno i swój wyraz charakterystyczny. Ten ogród miejski Kolna – jest ogrodem torfowisk i moczarów i ma swój styl wybitny. Ławeczki też są tak poustawiane, że z każdej z nich ma się inny w wyrazie stylowym widoczek: jedne są nad strugą Łabny, która u stóp przepływa, inne dają widok wzdłuż na dolinę trzęsawisk, trzecie – na jamy, czyli wądoły, pełne zielonej wody, pozostałe po wybranym z nich torfie na tzw. bieli (biel – nazwa miejscowa torfowisk).
Nie czytałem sam, ale słyszałem od Stefusia, który widział w gazecie niemieckiej – że na naradach cesarskich w głównej kwaterze niemieckiej ustalona została kandydatura na tron polski – Karola Stefana[66] z Żywca. Nie jest to niespodzianką. Arcyksiążę z Żywca jest z książąt krwi najbliżej z Polską związany.

18 sierpnia, rok 1918, niedziela
Dzień był dżdżysty, wietrzny i chłodny. Nie nadawał się do żadnych wycieczek i spacerów. Stefuś z Miętkiewiczem, którzy planowali wyprawę do Wincenty nad rzekę Pissę na ryby – musieli z żalem zrezygnować z wycieczki.
Przed obiadem, jak każdej niedzieli, wyznaczałem na wokandy sprawy, które się uzbierały z tygodnia ubiegłego. Tydzień ten dał mniej spraw, niż poprzedni; ogółem z odroczonymi – było do wyznaczenia 19 spraw. Był to więc rzadki tydzień, który dał nadwyżkę spraw zasądzonych nad wpływającymi. W ostatnich czasach wzrosły znacznie procentowo sprawy karne, wśród których przeważają bardzo sprawy o zniesławienie, obelgi i pobicia. Przyczyn szukać należy głównie w sprawach i zatargach między powracającymi z Rosji uchodźcami a tymi, co pozostali w kraju i w ten lub inny sposób korzystali z mienia pierwszych.
Poobiedzie poświęciłem wizytom. Złożyłem wizytę rejentowi Płońskiemu i jego żonie, która z dziećmi przyjechała z Łomży do Kolna na wakacje letnie; młodsza córeczka rejentów, dziewczynka lat około 16-17, jest bardzo ładną blondynką o ślicznych długich włosach, które są wspaniałym jej bogactwem. Potem byliśmy ze Stefusiem u doktorostwa Dąbrowskich; oprócz nas byli u nich z wizytą: starsza Śnieżkówna z apteki, która wkrótce opuszcza Kolno i wychodzi za mąż za b[yłego] oficera z armii Dowbora-Muśnickiego, niejaki Goldman, Żyd. U doktorostwa byliśmy na herbatce. Wreszcie poszedłem z pierwszą wizytą do starego księdza Pomichowskiego[67]. Była to wprawdzie pierwsza wizyta bardzo spóźniona po roku pobytu w Kolnie, ale *mieux vont tard, que jemais.*[68]

19 sierpnia, rok 1918, poniedziałek
O dniu dzisiejszym nic do napisania nie mam. Pracowałem jak zwykle. Głównie zajęty byłem śledztwami i przesłuchaniami aż pięciu aresztowanych w posądzeniu o kradzież, których zwolniłem wszystkich, bo zresztą poszlak żadnych nie było, a jedyną przyczyną ich aresztowania było to, że mają oni w ogóle opinię złodziejaszków i są pod śledztwem, względnie pod sądem – o inne kradzieże. Sprawy nowe do sądu wpłynęły

[66] Karol Stefan Habsburg-Lotaryński (1860-1933), arcyksiążę, admirał floty austro-węgierskiej, właściciel dóbr żywieckich, w okresie I wojny światowej kandydat do tronu polskiego. Do 1918 r. był prorektorem Akademii Umiejętności w Krakowie z ramienia dworu cesarskiego. W 1924 r. ofiarował PAU przeszło 10000 ha ziemi, w tym miejscowość letniskową Zawoja.
[67] Jan Pomichowski, ksiądz, od XII 1918 pierwszy dyrektor Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego w Kolnie.
[68] (franc.) lepiej późno, niż nigdy.

tylko dwie. Wieczorem zaprosił mnie rejent Płoński na herbatkę i przekąskę z wódką. Były do wódki jaja, ser śmietankowy od Borkowskiego, cielęcina zimna i kiełbasa. Ta ostatnia, która jeszcze do lutego r.b. była bardzo pospolitym artykułem w Kolnie i kosztowała po 3 marki funt, a dostać ją było można wszędzie, potem bardzo podrożała i stała się rzadka, a w ostatnich paru miesiącach znikła całkiem z handlu. Teraz jej w Kolnie kupić niepodobna; smakosze czasem ją ze Stawisk przez jakąś okazję sprowadzają. Zresztą taki jest los wszystkich artykułów spożywczych: drożeją gwałtownie i znikają z handlu. Mam ceny zeszłoroczne z października, bom przez cały październik spisywał w notesie wydatki. Wtedy zdawało się, że ceny są drogie, ale wszystko można było dostać; teraz zeszłoroczne październikowe ceny wydają się bajecznie tanie. A przecież, jeżeli wojna potrwa jeszcze, to za rok będziemy z zazdrością myśleli o cenach obecnych jako nadzwyczajnie niskich. W przeszłym roku w październiku można było jeszcze dostać na prz[ykład] masło na Rynku w dnie targowe. Kosztowało ono 4 m[ar]ki 50 fen[igów], obecnie 8-9 marek i o dostaniu go na rynku ani marzyć. Trzeba zabiegać o nie i szukać jak skarbu lub kwiatu paproci, a dostać można z łatwością tylko masło, bite codziennie do natychmiastowego użytku przez Żydówki, które się specjalnie tym zajmują, ale kosztuje ono 10 marek funt. Kogut lub kura kosztowały w październiku 5-6 m[arek], obecnie 15-20 m[are]k i wszystko w tej proporcji. Mięso zdrożało przeszło dwukrotnie i stało się rzadkie.

20 sierpnia, rok 1918, wtorek
Byłem w Łomży. Pojechałem tam raniutko z rejentem Płońskim, zabawiłem około trzech godzin i na późny obiad wróciłem do Kolna.
Z prezesem Filochowskim nie widziałem się w Łomży wcale. Gdym był w Sądzie Okręgowym, prezes był na posiedzeniu. Rozmawiałem tylko z sekretarzem Stembrowiczem, który zresztą jest o wszystkim w sądzie najlepiej poinformowany, toteż od niego można się wszystkiego dowiedzieć. W sprawie mojej nominacji oczywiście nic nowego, bo dopiero wczoraj wysłałem z Kolna do prezesa pocztą odpowiednie podanie z życiorysem. Gdy podanie moje będzie otrzymane, dopiero wtedy skierowane zostanie z sądu do Warszawy odpowiednie przedstawienie o nominacji. Powędruje ono do Sądu Apelacyjnego w Warszawie, stamtąd do Ministerium Sprawiedliwości, skąd przez Prezesa Ministrów do Rady Regencyjnej; po nominacji akt tejże, tą samą drogą przez wszystkie instancje w dół wróci do Łomży. Można jeszcze liczyć co najmniej miesiąc, jeżeli nie dwa, zanim zostanę do objęcia nowego stanowiska. Przypuszczam, że w wędrówce przez te instancje zwróci niejednego uwagę mój życiorys, który chociaż napisany treściwie na czterech stroniczkach, odtwarza zaiste niezwykłe koleje życia i kontrasty, mimo że nie dotykam w nim wcale mego prywatnego życia, które również było w moich latach młodości, aż do tej wojny, pełne osobliwości i przeżyć niezwykłych. Syn bogatych rodziców z klasy ziemiańskiej i arystokratycznej na Litwie, prawowied petersburski[69], potem Paryżanin, wydawca i redaktor dziennika radykalnego, który doprowadził do procesu polityczno-prasowego, historyk odrodzenia narodu litewskiego i jego miłośnik, chociaż naród ten z masy ludowej powstał i w rozwoju swoim zwracał się społecznie przeciwko tradycjom społeczeństwa polsko-ziemiańskiego, adwokat przysięgły w Wilnie, gorący wyznawca niepodległościowego czynu Piłsudskiego, z którym łączył ideę wyzwolenia Litwy, przedzierający się w r. 1915 przez Rumunię i Wiedeń na linię frontu do I Brygady Legionów Polskich, pospolity w nich szeregowiec liniowy, wreszcie w kryzysie Legionów internowany w Szczypiornie i wreszcie bezpośrednio po tym – sędzia

[69] Absolwent Cesarskiej Szkoły Prawa w Petersburgu.

Królewsko-Polski. Niezwykłe dzieje. Może w instancjach, przez które sprawa mojej nominacji przechodzić będzie, wcale czytać życiorysu tego nie będą. Jeżeli jednak przeczytają, to choć jednym może on imponować barwnością i siłą życia i tętniących w nim dążeń do ideału i czynu, innym wszakże – a tych wśród zwierzchnich władz polskich jest zapewne najwięcej – będzie świadectwem złym o osobie mojej jako duchu niespokojnym, który ma skłonność do radykalizmu i aspiracji przewrotowych.

21 sierpnia, rok 1918, środa
Sesja sądowa karna. Ławnicy: Remba i Cieloszczyk. W ogóle spraw karnych niezbyt lubię, dzisiejsze zaś były niesłychanie nudne. Sprawy karne w sądzie pokoju są [to] w większości: pobicia, obelgi i zniesławienia. Rzadko trafi się sprawa ciekawsza i poważniejsza, mająca istotnie jakąś wagę. Przeważnie, szczególnie w trzech wymienionych kategoriach, są to tylko jakieś drobne porachunki wzajemne, wynikłe z kłótni i złości, szumowiny nędzne drobnych namiętności ludzkich. Dzisiejsze sprawy były szczególnie wstrętne i bezwartościowe. W paru z tych spraw dzisiejszych praca sądu polegała wyłącznie na wymierzaniu, która ze stron więcej nagadała sobie brudnych słów, wśród których królowało słowo „kurwa”. Zaiste niewdzięczna to rola. W ostatnich zaś czasach sprawy karne tej właśnie grupy – pobicia, obelgi i zniesławienia – rozmnożyły się niesłychanie, tak że zmuszony jestem zgęszczać niezwykle sesje karne. W sprawach cywilnych jest zwykle pewien walor społeczny, którego w karnych przeważnie brak. Jedna tylko sprawa była dziś znaczniejsza – o kradzież, względnie przywłaszczenie kartofli, wykopanych z cudzego wądoła. Po raz pierwszy w mojej praktyce sędziowskiej zastosowałem tu po całkowitej rozprawie sądowej skierowanie sprawy do prokuratora.
Jak słyszałem wczoraj w Łomży, obsadzenie stanowiska sędziego pokoju w Kolnie po moim ustąpieniu nieprędko jest spodziewane. Duży jest brak kandydatów na wakujące posady sędziów pokoju i sędziów śledczych, szczególnie po małych mieścinach prowincjonalnych. Trudno się temu dziwić. Wobec panującej drożyzny pensje sędziowskie są niewystarczające, szczególnie dla ludzi obarczonych rodzinami. Prawnicy, których obecnie po powrocie uchodźców z Rosji nie brak, szukają tylko posad rejentów, poza tym garną się do adwokatury. Taki Wołodkiewicz, b[yły] sędzia pokoju w Ostrowiu, obecnie adwokat w Łomży, w ciągu pierwszych dwóch tygodni praktyki adwokackiej zebrał 1900 marek, podczas gdy jako sędzia pokoju miał 700 m[are]k miesięcznie! W samym okręgu łomżyńskim wakują cztery posady sędziów śledczych (w Szczuczynie, Kolnie, Ostrołęce i Ostrowiu) i dwie posady sędziów pokoju (w Mazowiecku i Kolnie). Na to jest tylko jeden kandydat – na sędziego śledczego w Szczuczynie. W Kolnie więc przez czas prawdopodobnie dłuższy pełnić będzie czynności sędziego zastępczo – Stachelski.

22 sierpnia, rok 1918, czwartek
Otrzymałem list od Maryńki, która świeżo wróciła z Mamyłów od Elwiry. Bawiła tam coś z tydzień. Oczywiście ucieszona jest niezmiernie z tej wycieczki, bo też wyobrażam sobie, co za radość była obustronna, gdy po trzech latach strasznej rozłąki wzajemnej Maryńka mogła się z Elwirą zobaczyć. Przysyła Maryńka garstkę wieści stamtąd. Elwira na koniec roku spodziewa się nowego połogu. Dwoje dzieci ich – Hela[70] i

[70] Helena Mieczkowska (1911-?), córka Stefana i Elwiry, w 1931 r. ukończyła gimnazjum Sióstr Nazaretank w Wilnie, w latach trzydziestych pracowała jako nauczycielka prywatna i bibliotekarka w bibliotece zorganizowanej pod patronatem „Pochodni” w Jeziorosach.

Andrzej[71] – są zdrowe i doskonale wyglądają; mają być bardzo miłe dziatki. Stefan[72] nic nie robi; Maryńka jest zgorszona jego próżniactwem. Wpływa to naturalnie ujemnie na ich stan materialny, bo muszą żyć z gotówki, a wszystko jest drogie i choć mieszkają na wsi, muszą wszystko kupować jak w mieście. Stefan miałby ochotę sprzedać coś z lasu w Wiązowcu, ale Elwira opiera się temu. Wszystkie moje dzienniki przedwojenne, dzięki Bogu ocalały i są w bezpiecznym miejscu w Mińsku[73]. Mój pies-faworyt Bryś żyje, jeno jest niesłychanie chudy, bo Elwira nie ma go czym karmić. Siedzą Mieczkowscy w Mamyłowie u Kazia Wołodkowicza[74], który podobno nie jest bardzo zadowolony z tego siedzenia, tym bardziej, że Łowcewicze stoją puste; Elwira chciałaby przenieść się do Łowcewicz, ale Stefan się ociąga, bo w Mamyłach ma towarzystwo i karty. Domek mój (leśniczówka) w Wiązowcu jest w jak najlepszym stanie. Mieszka tam leśniczy Kazia. Oto garść wieści o Elwirze z mego ukochanego Wiązowca.

23 sierpnia, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy: Remba i Orbik. Na pierwszej sesji, na której zasiadał ławnik Orbik, nie mogłem się dobrze zorientować co do jego wartości, bo była to sesja karna. Dziś natomiast, na sesji cywilnej, przekonałem się, że spośród moich ławników Orbik będzie siłą pierwszorzędną, ustępującą może tylko Rembie. Dla sądu kolneńskiego Orbik jest znakomitym nabytkiem. Wyżej go znacznie stawiam od Cieloszczyka, który zrobił wprawdzie na mnie na pierwszej sesji wrażenie b[ardzo] dodatnie, jednak, jak się przekonałem, zbyt rozwinięty nie jest.
Sesja była dziś bardzo miła i zajmująca. Było kilka ciekawych i niepowszednich spraw, wymagających rzetelnej pracy, ale stanowiących dla umysłu i czucia sędziowskiego wdzięczne pole działania. Praca też szła dzielnie. Gdy jest przedmiot ciekawy, nie żal czasu ani pracy. Po takiej nudnej sesji karnej, jaka była w środę, dzisiejsza sesja cywilna, pomimo dużego nakładu pracy, była rozrywką dla umysłu i wypoczynkiem dla nerwów. Trudniejsze i zawilsze są sprawy cywilne od karnych, ale przyjemniejsze – o wiele. Sesja trwała od godz. 10 do godz. 4 ½ po południu bez przerwy obiadowej. Spraw było 11, z których trzy do skutku nie doszły za niestawiennictwem stron.
Lubię sesje, na których są sprawy Kurpiów. Lubię i cenię ten lud, który ma dużo charakteru i indywidualność ciekawą.
Oryginalne są nazwiska Kurpiów i osad kurpiowskich. Zajmę się nieco tym przedmiotem w dzienniku i, choć po dyletancku, zgromadzę tu trochę materiału w tej materii. Niezmiernie powszechnym zjawiskiem jest tożsamość nazwy wsi lub osady i nazwy rodów (nazwiska). Należy stąd wnioskować o plemiennym czy też rodowym charakterze osad puszczańskich. Dotychczas przeważnie ludzie tegoż, co wieś nazwiska, zamieszkują daną wieś, chociaż już się poniekąd porozłazili i na prz[ykład] Cieloszczyków, Charubinów i Kozłów znajdziemy nie tylko w Cieloszce, Charubinach i Koźle, ale też we wsiach okolicznych tejże gminy. Zresztą zjawisko tożsamości nazwiska i nazwy osady nie jest właściwością Puszczy. Te same zjawisko daje się

---

[71] Andrzej Mieczkowski (1913-?), syn Stefana i Elwiry, absolwent gimnazjum OO. Jezuitów w Wilnie, od 1934 r. studiował filologię na Wydziale Humanistycznym Uniwerystetu Kowieńskiego. Lata okupacji sowieckiej i niemieckiej przeżył w Wilnie. Dalsze losy po 1945 r. nieznane.
[72] Stefan Mieczkowski (1881-?), z zawodu rolnik, w 1909 r. poślubił Elwirę Römer., przez szereg lat pracował jako zarządca majątków, m. in. Pruszanowskich w Bielczu i Wiązowcu, od 1936 r. pozostawał z żoną w separacji, w 1940 r. został zesłany do Kazachstanu. Dalsze losy nieznane.
[73] W maju 1915 r., gdy Michał Römer zdecydował się wyjechać do Galicji do Legionów Polskich, zdeponował swoje dzienniki u siostry Elwiry Mieczkowskiej mieszkającej wtedy w Wiązowcu.
[74] Kazimierz Wołodkowicz (ok. 1882-1918), syn Józefa i Łucji z Tukałłów, ziemianin, zastrzelony przez włościanina w swoim majątku w Mamyłowie.

zaobserwować w sąsiednim powiecie szczuczyńskim, gdzie jest masa ludności – szlachecka. Podobieństwo wszakże między charakterem osadnictwa szlacheckiego w powiecie szczuczyńskim a osadnictwa kurpiowskiego na Puszczy polega na tym, że jak pierwsze powstało z kolonizacji napływowej, tak drugie tworzyło się względnie niedawno, zakładając coraz to nowe osady wśród prastarej Puszczy. Osady kurpiowskie pochodzą z kolonii (nie tyle może napływowych z zewnątrz, co w osadnictwie szlacheckim pow[iatu] szczuczyńskiego), zakładanych na Puszczy przez poszczególne rodziny lub jednostki i stąd zapewne ta tożsamość nazwy osady z nazwiskiem ludzi. Pod tym względem skutek był ten sam, co przy osadnictwie kolonizacyjnym, napływowym z zewnątrz, jak osadnictwo szlacheckie w szczuczyńskim, tworzące cypel przedłużenia północnego kolonizacji mazurskiej Podlasia na ziemiach po-litewskich (po-jaćwieskich). Co do budowy społecznej i typu psychicznego (etnicznego) – społeczność kurpiowska jest zasadniczo różna od sąsiedniej szlacheckiej w szczuczyńskim, ale pod tym jednym względem – zlewania się nazw osad z nazwiskami – są one podobne, bo osadnictwo tu i tam powstawało w drodze zakładania nowych kolonii – u Kurpiów na dziewiczej Puszczy, w kolonizacji szlacheckiej – w drodze imigracji. Zjawisko tożsamości nazw osad i nazwisk, które tu obserwuję, nie jest mi w takiej pospolitości znane ani z Litwy ani z Białej Rusi.

24 sierpnia, rok 1918, sobota
Dzisiaj w sądzie dzień pod znakiem rad familijnych. Sześć ich było wyznaczonych na dzisiaj. Poza tym nic szczególnego.
Przejdę do nazwisk Kurpiów. Podaję je chaotycznie, bez usystematyzowania, tak jak są one w notesie moim zapisane. A więc przede wszystkim – oto garść wzorów tożsamości nazw osad i nazwisk: Gietki (wieś) – Gietek (nazwisko); Kuzie (wieś) – Kuzia (nazwisko); Kozioł (wieś i nazwisko); Ptaki (wieś) – Ptak (nazwisko); Cieloszka (wieś) – Cieloszczyk (nazwisko); Charubiny (wieś) – Charubin (nazwisko); Tyczek-Noski (wieś) – Nosek (nazwisko); Waszki (wieś) – Waszkiewicz (nazwisko); Dudy (wieś) – Duda (nazwisko); Ksepki (wieś) – Ksepka (nazwisko); Pieklik (wieś i nazwisko); Bączki (wieś) – Bączek (nazwisko); Trzcińskie (wieś) – Trzciński (nazwisko) i wiele innych. Nie wszystkie wsie i osady mają swoje odpowiedniki w nazwiskach. Jest szereg takich, które w nazwiskach się nie spotykają wcale. Do nich należą w pierwszym rzędzie takie wielkie ośrodki osadnicze na Puszczy, które, jak przypuszczam, muszą być prastare, nie z osadnictwa młodszego z ostatnich wieków powstałe, jak oto na przykład w pierwszym rzędzie Turośl, może również Łyse (nie wspominam o ośrodkach puszczańskich poza naszym powiatem i moim okręgiem sądowym, jak na przykład jedno z wielkich centrów Kurpiów – Myszyniec). Na tzw. szlachcie[75] w pow[iecie] szczuczyńskim tożsamość nazw osad i nazwisk ma inne ukształtowanie; tam nazwiska mają końcówki na „ski" i mają przeto brzmienie pochodne od nazwy osady, np. Kiełcze (nazwa osady) – Kiełczewski (nazwisko), Filipki (nazwa osady) – Filipkowski (nazwisko) itd. W ogóle nazwiska na szlachcie mają zakończenie na „ski", co u Kurpiów należy zgoła do wyjątków. Tylko w tej części gminy Czerwone, która bezpośrednio przylega do pow. szczuczyńskiego (wsie Pachuczyna, Czernice, już nawet Gromadzyn poniekąd) – pospolite są nazwiska na „ski", ale tam już zresztą i typ zarówno fizyczny (charakterystyczne ogromne wąsiska), jak psychiczny jest bardziej zbliżony do szlachecko-szczuczyńskiego, jak do puszczańsko-kurpiowskiego. Dalej jeszcze na ten temat pomówię.

[75] Tak w tekście.

25 sierpnia, rok 1918, niedziela
Rodziny w kolneńskim osiadły całymi gniazdami. Same Kolno, jak również wielkie wsie sąsiednie, jak Czerwone i Zabiele, mają po kilka takich gniazd. Kolno jest właściwie częściowo miastem, częściowo dużą wsią; ma rynek i śródmieście handlowe, zaludnione przez ludność miejską – żydowską, zatrudnioną handlem, i urzędniczą; i oprócz tego całą klasę ludności chłopskiej rolniczej, posiadającej grunta własne. Obszar gruntów należących do Kolna (nie do miasta, jeno do prywatnych gospodarzy) jest duży. Gospodarze ci mieszkają i mają swoje siedziby gospodarskie częściowo w samym Kolnie, w jego dzielnicach bocznych i kresowych, częściowo zaś zajmują dwa przedmieścia – Łabno i Aleksandrowo. Gospodarzy poszczególnych jest liczba bardzo wielka, ale nazwiska ciągle się powtarzają te same. Ta mnogość rodzin jednego nazwiska wskazuje na to, że należą one do kilku wielkich pierwotnych gniazd, tworzą właściwie kilka zasadniczych jąder rodzinnych. Do najliczniej rozrodzonych należą: Kościeleccy, Pomichowscy, Kulągowscy, Pikulińscy, Stachelscy, Kubraki, Ruchały, Raniki, Jezuski. Pierwsza grupa tych nazwisk, z końcówką na „ski”, ma brzmienie szlacheckie, upodabniając się do nazwisk szlacheckiego osadnictwa w szczuczyńskim i różnią się od nazwisk na Kurpiach, gdzie nie spotykamy takiego gromadnego skupienia nazwisk na „ski”. Ponieważ Kolno leży na samym końcu osadnictwa kurpiowskiego, na pograniczu ze szlacheckim, można byłoby wnioskować, że w osobach tych rodzin docierało tu już także osadnictwo kolonizacyjne, które masowo zaległo powiat szczuczyński. Przypuszczam jednak, że tak nie jest. Żadna z tych rodzin szlachecka nie jest. Raczej należy przypuścić, że końcówki na „ski” są tylko przystawką dość świeżej formacji, doczepioną do pierwotnego prostego rdzenia stosownych nazwisk. W niektórych nazwiskach daje się to stwierdzić kategorycznie: tak „Stachelski” jest utworzone ze „Stachelek”. Dotychczas jedni nazywają się „Stachelkami”, gdy inni, nieraz bracia rodzeni lub ojcowie zowią się jeszcze „Stachelkami”. Chociaż tych Stachelskich-Stachelków jest w Kolnie mnóstwo, jednak nie jest to rodzina tak wyłącznie i rdzennie kolneńska, jak Pikulińscy, Kulągowscy, Kościeleccy, Pomichowscy, których poza Kolnem – nie ma. Od Stachelków roi się zwłaszcza gmina Turośl, gdzie jeszcze nazwisko to nie przybrało końcówki na „ski”, a są oni nawet na takich dalekich przeciwległych krańcach osadnictwa kurpiowskiego, jak w Ostrołęce (kupiec Franciszek Stachelski, poprzednio urzędnik, kasjer miejski w Kolnie, obecny nasz ławnik sądowy, jest przybyszem z Ostrołęki). Zdaje się, że świeże pochodzenie przystawki „ski” daje się wyśledzić i w niektórych innych z tej grupy nazwisk, jak w szczególności w nazwiskach „Pikuliński” i „Kulągowski”. Popularnie bowiem nieraz zdarza się słyszeć, jak mówiąc o nich, nazywają ich po prostu „Pikul” i „Kuląg”. W stosunku do Pomichowskich i Kościeleckich takiego skrótu nie słyszałem nigdy.

26 sierpnia, rok 1918, poniedziałek
W powszedni dzień nie mam czasu się nudzić. Roboty jest zawsze dość, dopływ spraw jest spory, a gdy nie ma sesji, to prawie na każdy dzień mam jakąś wyznaczoną czynność specjalną – to radę familijną, to badanie świadków w śledztwie, to coś innego. I tak czas upływa pracowicie aż pod wieczór, a że dnie są krótsze i nafty szkoda, więc koło godz. 9, po skromnej kolacyjce, która w czasach pokoju ledwie by na to miano zasłużyła, kładziemy się spać ze Stefusiem. Za to budzę się co dzień o świcie, czytam jeszcze czas jakiś w łóżku i koło godz. 6-7 budzę Stefusia i wstajemy.
Nadzwyczajnie się zwęziła sfera potrzeb w czasie wojny. Żyje człowiek, jak asceta – jedyna treść życia to praca bieżąca. Dzięki Bogu, że ją mam i że ją lubię. To mi wystarcza. Żadnych zachcianek nie mam, wszystkie zdołałem wyrugować. Nawet tęsknoty do szerszej areny czynu społecznego, do roli mojej na Litwie – prawie nie

odczuwam, bo mam jakieś głuche wyczucie tego, że wszelkie czyny i działania, szczególnie w sferze politycznej, są jeno błądzeniem po manowcach, bo pod nami i dokoła wre wulkan, którego wybuchów i skutków przewidzieć po prostu niepodobna. Nikt nie zgadnie przyszłych ukształtowań, a wszystko to, co się dziś buduje, jest prekaryjnym, wątłym i chwiejnym. To odbiera ochotę do czynu, ubija tęsknotę, wyplenia ambicję. Jeżeli kiedy, to dziś wobec potęgi szalejących żywiołów ludzkości – wszelkie dzieła energii świadomej, politykującej, zdają się być pełne jednej tylko treści: „*Vanitas vanitatis!*”[76] Czy się coś ostoi? Czy nie próżne są wszelkie wysiłki? Żywą jest tylko natura ludzka i wieczyste elementy jej ciała i ducha. Wszystkie dzieła są jednak kruche i drogi są tylko manowcami, szczególnie dziś na wulkanie wojny. Jeżeli co ma jeszcze wartość trwałą, to chyba tylko kształcić pierwiastki dodatnie w sobie, pierwiastki zwłaszcza serca i ideału, oraz gdzie i jak się da dokoła siebie, w otoczeniu swoim i sferze swojego działania zawodowego, ocalać od ogólnego rozbicia resztki tych żywych pojęć dobra i sprawiedliwości, które w przerażający sposób zanikają w bankructwie układu społecznego i kultury.

27 sierpnia, rok 1918, wtorek
Dalszy ciąg o nazwiskach Kurpiów. Wniosek o tym, że nazwiska gospodarzy z Kolna z końcówką na „ski” powstały z pierwotnych prostych form bez tej końcówki i że przystawka ta jest pochodzenia względnie świeżego, znajduje ewentualnie potwierdzenie w tym, że można zacytować jeszcze sporo innych nazwisk o brzmieniu zupełnie pierwotnym i czystym, bardzo rozpowszechnionych na Kurpiach, które czasem u poszczególnych osobników tego nazwiska przybierają końcówkę na „ski”. Tak na przykład jednym z najpospolitszych nazwisk, którego ród jest niezwykle licznie rozrodzonym, jest – Bazydło, nazwisko typowo kurpiowskie. Otóż zdarzają się, choć jeszcze bardzo nieliczne, wypadki przekształcania tego nazwiska na „arystokratyczną” pretensjonalną formę – Bazydliński i inne. Tak samo Samel – Samelski, Darda – Dardziński i inne. To przyjmowanie przyrostków „ski” zdaje się mieć miejsce tylko w Kolnie, względnie – w gminie Czerwone, to znaczy na pograniczu osadnictwa szlacheckiego. Nazwisko Ranik, Rainko, Kubrak, Ruchała – są wspólne Kolnu i okolicznym wsiom gminy Czerwone. W samym też Czerwonym i w okolicach (również w wielkiej wsi Zabielu) – siedzą obok powyższych gromadnie: Paliwody, Piwowarscy, Bazydły i inne. Na Puszczy, za Pissą, do najbardziej powszechnych i rozgałęzionych rodów należą: Banach, Bałdyga, Olender, Ruszczyk i inne (podaję przykłady, które mi się najbardziej o uszy obiły). W szczególności Banach zdaje się być najpowszechniejszym nazwiskiem, zarówno za Pissą, jak z tej strony rzeki; Bałdyga sięga też aż het w powiat ostrołęcki. Olender, Ruszczyk – są nazwiskami charakterystycznymi, w których należałoby zapewne szukać jakichś starych związków i stosunków handlowych Puszczy z dalszymi okolicami; ewentualnie, jeżeli nie stosunki, to jakieś specjalne zawody i głębokie jakieś tradycje i naleciałości skrystalizowały się zapewne w tym charakterystycznym, a tak pospolitym na Kurpiach nazwisku, mającym coś pochodnego, przez niezbadane jakieś manowce związku przyczynowego – od Holandii.

28 sierpnia, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Ławnicy – Jerozolimski i Rainko. Na wokandzie 11 spraw cywilnych. Sesja trwała do godz. 7 wieczór z przerwą obiadową, na której spożyliśmy ze Stefusiem smaczny obiad złożony z pieczonego królika (wspaniała uczta!). Pośród spraw,

---

[76] (łac.) marność nad marnościami.

zasądzonych dzisiaj, było kilka grubszych, które były odroczone z dawniejszych sesji, jak sprawy: Stawiskiego z Chaberkiem, Ruchały z Tyszką i tegoż Ruchały z Olszakiem. W liczbie spraw wokandy dzisiejszej była drobna, ale tchnącą skandalikiem sprawa z powództwa Mystkowskiej, żony naszego pisarza hipotecznego, przeciwko pozwanej Nowackiej, żony sekwestratora (poborcy podatkowego) o 17 m[are]k. 50 fen[enigów] za 2 ½ funta mydła. Mystkowska z Nowacką, dwie typowe baby-kumoszki, chociaż z pretensjami do „inteligencji", były przez czas jakiś serdecznymi przyjaciółkami i powiernicami żalów i trosk wzajemnych. Potem się poróżniły i dziś, jak się serdecznie po babsku kochały, tak się serdecznie nienawidzą. Jedna na drugiej nie zostawi suchej nitki; obie dyszą ku sobie wściekłością i obrzydzeniem i nie mają bodaj większej rozkoszy, jak się ogadywać[77] nawzajem; a że Kolno jest małą dziurą, gdzie sąsiad o sąsiedzie wie wszystko w doskonałości i jeden od drugiego, o ile się tylko sobą interesują, nie ukryje nawet tego brudu, co ma za paznokciami (choćby je często czyścił), a że obie pędzą życie próżniacze i mieszkają na jednym podwórku, więc gdy rozpuszczą języki, to upustowi plotek i obmowy nie ma tamy ni kresu. Obie też są ananasami zwyrodnienia babskiego: jedna, Mystkowska, jest histeryczką typową, awanturującą się w domu z mężem, dziwaczną, kapryśną i nieobliczalną w upodobaniach; druga, Nowacka, baba gruba jak słoń, jest pijaczką i dziwaczką w innym rodzaju; czasem po kilka dni leży z mężem w łóżku, oboje niemyci, brudni, pijani od rana do nocy; ma w domu służącą, która jest rozpuśnicą[78] i u której ciągle przesiadują jeszcze dwie takież przyjaciółki, właściwie – *excusez le mot*[79] – kurwy. Nowacka jest z nimi za pan-brat, pije razem, posługuje się nimi, ale też żywi poniekąd je oraz ich grono bękartów. Sprawa dzisiejsza była też poniekąd w związku z tymi stosuneczkami domowymi Nowackich. Nowacka przeczyła temu, jakoby brała mydło od Mystkowskiej, a jedna z tych jej domownic-kurew, wezwana przez Mystkowską na świadka, twierdziła, że mydło kupiła sama dla siebie. Było widoczne dla nas jak na dłoni, że mydło wzięła Nowacka i że świadek, dziewka Okołowska, zeznawała pod przysięgą fałszywie, ale formalnie nie mieliśmy podstawy do zasądzenia powództwa na rzecz Mystkowskiej i sprawę odroczyliśmy dla zbadania jeszcze jednego świadka.

29 sierpnia, rok 1918, czwartek
Dziś miałem badanie świadków w dwóch śledztwach. Poza tym wpłynęło do Sądu sporo spraw nowych.
Adwokata mamy znowu jednego tylko Goldberga, bo jego konkurent Lis przeniósł się do Szczuczyna na dziewiczy teren tamtejszego sądu, przy którym od dłuższego czasu adwokata nie było.
Przytoczę w dalszym ciągu całą plejadę nazwisk Kurpiów. Oto jest garść nazwisk, przeciętnie często spotykanych na Puszczy lub w gminie Czerwone: Kiernozek (kombinacje nazwisk z nazwami wsi bywają ciekawe, jak na prz[ykład] Kiernozek zamieszkały we wsi Świnia), Stodup (nazwisko, brzmiące w języku polskim szkaradnie, spotykane dość często w gminie Czerwone i bodaj Mały Płock, nieznane na właściwej Puszczy, pochodzące prawdopodobnie z Litwy, na co zdaje się wskazywać końcówka „up" – „upis" – „upė" = rzeka, ruczaj), Rybka (w Wincencie), Czyż (na Puszczy), Ptak (najliczniej we wsi Ptakach nad Pissą), Pliszka (na Puszczy w gm[inie] Łyse), Dębek (w Wincencie), Malczyk (na Puszczy), Gołaś, Kuliś, Więcek, Grzech, Samul, Samsel, Samel, Długozima, Smak, Sielawa, Śliwka, Skok, Sok, Forfa, Serowik, Wyrwas, Ksepka, Pieloch, Pieloszczyk, Gietek, Kuzia, Cieloszczyk, Nosek, Charubin, Duda,

[77] Tu w znaczeniu obgadywać.
[78] Wyrażenie gwarowe.
[79] (franc.) przepraszam za wyrażenie.

Darda, Pieklik, Grala, Gleba, Murach, Gwiazda, Krysiak, Drężek, Małs, Bastek, Jerominek, Chaberek, Bączek, Olszak, Podsiad, Nadolny, Krzynowek, Domurat, Malonek, Gnoza, Zajk, Zieja, Przytuła, Plaga, Krzywda, Krupa, Burbula, Miłosek i wiele innych. Jest też na Puszczy cała liczna grupa nazwisk, mających brzmienie jakby pochodne od pewnych zawodów i zajęć; są to: Żołnierczyk, Kowalczyk, Krawczyk, Szewczyk, Bednarczyk, Kaczmarczyk, Popielarczyk, Kucharczyk i inne, do których zbliżają się takie, jak Ruszczyk, Malczyk, Szymczyk i inne.

30 sierpnia, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy – Jerozolimski i Nojda. Sesja trwała krótko, do obiadu się skończyła, była łatwa.
Kończy się sierpień. Spodziewam się, że jeszcze co najmniej cały wrzesień zabawię w Kolnie, a może jeszcze i październik – do Wszystkich Świętych. Nie śpieszy mi się zbytnio do Łomży.
Chodzę teraz czasami wieczorami do kolneńskiego „ogrodu miejskiego", zaimprowizowanego przez Cornberga nad Łabną. Ten jedyny w swoim rodzaju „ogród" ma jednak dla mnie wielkie piękno. Pusty jest zwykle zupełnie – nie ma żywej duszy. Siadam na jednej z ławeczek, czytam gazetę, chłonę dzikie piękno trzęsawiska. Woda w dołach po torfie pokryta blado-zieloną pleśnią; wśród tych dołów większe i mniejsze wysepki lądu, porosłe chwastami, wielkie kępy kwitnących chwastów błotnych pośród grupy olch „parku"; nad samym łożyskiem Łabny wzdłuż sypanej dróżki zasadzony rzadki rząd młodziutkich jak gałązki kasztanów, które już wymierają na bagnistym gruncie. Wieczór, cicho, żadnego powiewu wiatru, powietrze ciężkie i duszne, opary z wolna podnoszą się z bagien, woń mchów, kwiatów błotnych i pleśni trzęsawiska – gęsta i odurzająca jak febra. Nie jest taki ogród zdrowym, nie może służyć za miejsce zabawy dla dzieci miejskich, ale ma swoje piękno osobliwe, dziewicze i charakterystyczne. Lubię tam spędzać godziny wieczorem. A jak tu ładnie być musi w maju i czerwcu, w ciepłą pogodę, gdy żaby chóry swoje z bagnisk podnoszą!

31 sierpnia, rok 1918, sobota
Miętkiewicza dziś w sądzie nie było: poszedł na cały dzień ze Stefusiem i młodym Ruchałą na ryby. W kancelarii więc siedzieli tylko Ranik, który już jest kancelistą, i nowy woźny Rogiński. Miałem badanie kilku świadków w paru śledztwach i przyjąłem cztery nowe powództwa. Dopływ spraw w tym tygodniu był na ogół duży; większość spraw, które wpływają, dotyczy stosunków między tzw. reemigrantami (ludźmi, którzy wrócili z uchodźstwa z Rosji) a tymi, którzy pozostali w kraju i w ten lub inny sposób korzystali z ich mienia. Zatargi te są przeważnie na gruncie plonów ziemi. Spraw tych wpływa w ostatnich czasach takie mnóstwo, że sprawiają one powódź prawdziwą. W sądzeniu tych spraw wychodzę z założenia, że cały plon należy do tego, który dokonał zasiewu, właścicielowi zaś gruntu może się tylko należeć wynagrodzenie, analogiczne do czynszu dzierżawnego, za korzystanie przez użytkownika z jego ziemi. Wobec tego żądania wydania plonu lub jakiejś części tegoż z tytułu własności ziemi – oddalam, jako moim zdaniem, prawnie nie uzasadnione. Dotąd jeszcze kilka tylko takich spraw zasądziłem, ale na przyszłych wokandach we wrześniu i październiku będą jeszcze dziesiątki analogicznych spraw. Pomimo tej zasady, którą przyjąłem i już zacząłem w praktyce stosować, coraz to nowe powództwa reemigrantów wciąż o to samo, to znaczy plon lub część plonu w naturze z tytułu własności, są wytaczane. Naturalnie, w praktyce nie wszystkie te sprawy są na jeden schemat – i że w wielu wypadkach zachodzą różne odcienia okolicznościowe stosunku – które też wymagają różnicowania zasad i wniosków tak żądań, jak wyroku. W zasadniczej jednak tezie stosuję wyżej wskazane

założenie. Zdaje mi się, że jest ono ściśle logiczne z zasad Kodeksu Cywilnego i poza tym najbliższe życiowej sprawiedliwości i pewnych nawet założeń natury publicznej, tak społecznej, jak narodowej i – etycznej. Daje to bowiem poparcie stronie użytkowniczej przed stroną formalnej własności. Ze względów publicznych ci, którzy uciekli z kraju, nie zasługują bynajmniej na faworyzowanie ich z tytułu własności formalnej kosztem tych, którzy pozostali w kraju i w najcięższych warunkach nie ustawali w pracy wytwórczej, korzystając w tym celu nieraz z porzuconych przez uciekinierów warsztatów. Zważywszy, że każde wytworzone ziarno zboża w tych latach wojny i nędzy było po prostu dziełem użyteczności publicznej, że nawet wprost nakazywano tak z ambon, jak w drodze rozporządzeń administracyjnych, jak w ogóle siłą opinii publicznej, aby każdy, kto tylko jest w stanie, uprawiał opuszczone grunta uchodźców, by tylko wyprodukować najwięcej chleba, że wreszcie sami uchodźcy mieli już choćby ten duży pożytek z uprawiania ich gruntów przez doraźnych użytkowników, że grunta te nie leżały odłogiem i nie zdziczały przez tych lat kilka – należy uznać, że to będzie aż nadto, gdy wracający uchodźca otrzyma jakiś czynsz, analogiczny do dzierżawy, miarkowany jeszcze ze względu na okoliczności i na inne korzyści, które odniósł z opieki nad jego ziemią. Ze stanowiska zasad formalnego prawa też nic więcej, zdaniem moim, mu się nie należy. Do wnoszenia apelacji jest u nas taka niechęć (nie wiem, czy tylko w naszym sądzie ze względu na przekonanie o sile i zasadności wyroków moich, czy też w ogóle w Kolnie, niezależnie od wiary w moc moich wyroków), że do apelacji sprawy te nie dochodzą. A ciekaw byłbym bardzo, jakimi zasadami kierowały się w tej kategorii spraw Sąd Okręgowy. Ponieważ w Sądzie tym dominują endecy, usposobieni szczególnie przyjaźnie do tych, którzy uciekali, więc możliwe jest, że Sąd Okręgowy w Łomży jest skłonny do większego faworyzowania interesów reemigrantów z tytułów ich formalnej własności.

1 września, rok 1918, niedziela
Od kilku dni widywałem na obiedzie u Chodnickiej, u której się stołuję, pewnego młodego człowieka w wieku dwudziestu kilku lat, bardzo porządnie ubranego, o wyglądzie inteligenta. Przedstawiliśmy się sobie, ale nie usłyszałem jego nazwiska i nie wiedziałem, kto zacz. Domyślałem się, że pewnie jakiś urzędnik, który przyjechał skądś – Łomży albo i z Warszawy – dla jakichś czynności w Kolnie. Twarz miał przyjemną, ale przy obiedzie, nie znając się właściwie, nie rozmawialiśmy ze sobą wcale. Dowiedziałem się wczoraj od Chodnickiej, że to delegat Rady Głównej Opiekuńczej z Warszawy, który przyjechał i nie zastał Litwińskiego, sekretarza naszej Rady Powiatowej, i teraz czeka na jego przyjazd. Dowiedziałem się też od Chodnickiej, że był on na wojnie (Chodnicka się domyślała, że w Legionach) i że ma prawą rękę uszkodzoną na skutek rany na wojnie. Domysł o Legionach zainteresował mnie. Dzisiaj przy obiedzie był już Litwiński i rozmowa toczyła się ogólna. Nie zapytywałem jednak młodego człowieka o jego udziale w Legionach. Ale widocznie i on się od Chodnickiej coś o mnie dowiedział, bo w końcu obiadu spytał mnie nagle, w którym pułku Legionów byłem. Gdym odrzekł, że w I-szym, spytał, czy w ułanach czy w piechocie. Wtedy mnie spytał, czym nie znał jego brata, a gdym zapytał o nazwisko tegoż, nazwał mi Orlicza-Dreszera. Był to więc brat naszego kapitana Gustawa Orlicza-Dreszera, z którym mnie tyle wspomnień i tak przyjazny niegdyś stosunek łączył. Z Gustawem Dreszerem, który jest internowany w obozie jeńców oficerskich w Werl w Westfalii, koresponduję dotychczas. Ucieszyłem się z tego spotkania z bratem Dreszera i rozgadałem się. Po obiedzie zaś spotkałem go na rynku i korzystając z niedzieli zaproponowałem mu przechadzkę w stronę Borkowa szosą łomżyńską. Spędziliśmy kilka godzin na tej przechadzce i rozmowie bardzo miłej. Rudolf Dreszer w Legionach

nie był. Na początku wojny był wzięty do wojska rosyjskiego jako oficer rezerwy w kawalerii i w tym charakterze odbył całą kampanię aż do rozkładu armii rosyjskiej. Przez czas dłuższy nie wiedział nawet wcale o losach swego brata Gustawa, który również w początkach wojny był wzięty do wojska rosyjskiego (był w innym pułku, niż brat) i zaraz, korzystając z okazji, na własną rękę, gdy jeszcze toczyły się wstępne wywiadowcze działania, bez właściwej linii frontu i regularnej walki – przeszedł na stronę Legionów. W pułku Gustawa Dreszera uważano zniknięcie jego za zabicie go i tak też o nim sądził Rudolf. Dopiero znacznie później dowiedział się, że brat jego jest w Legionach, w ułanach Beliny[80]. Gdy się w r. 1917 formował korpus polski Dowbora-Muśnickiego, Rudolf Dreszer wstąpił do tej formacji i należał do niej aż do jej rozwiązania w Bobrujsku. Po rozwiązaniu korpusu Muśnickiego pojechał do Kijowa i stamtąd wrócił do Warszawy, gdzie obecnie ma posadę w RGO.

2 września, rok 1918, poniedziałek
Dosyć ciekawe rzeczy opowiadał mi wczoraj Rudolf Dreszer. W szczególności mówił mi o korpusie Dowbora-Muśnickiego i o sławnych nadużyciach oraz gwałtach, spełnianych przez żołnierzy i jeszcze bardziej oficerów na ludności białoruskiej w promieniu Bobrujska, Rohaczewa, Mohylowa, gdzie w myśl układu Dowbora z Niemcami, korpus ten był stacjonowany na zasadach autonomicznych. Choć byłem pewny, że zarzuty te nie mogą być całkiem z palca wyssane, a zresztą wiedziałem z bezpośredniej obserwacji w r. 1915 w czasie kampanii polesko-wołyńskiej Legionów, jak żołnierz obcy w ogóle, a żołnierz polski nie mniej od innych, umie być na wojnie bezwzględny, samowolny i dziki w stosunku do nieszczęsnej ludności tubylczej – to jednak skłonny byłem przypuszczać, że przecież białoruski „Homan"[81], schlebiający Niemcom i politycznie wrogo do Polaków w ogólności, a do faktu utrwalenia się na ziemiach Białej Rusi wojska polskiego w szczególności – usposobiony, przesadza, widząc źdźbło w oku niemiłego żołnierza polskiego, a nie zwracając rozmyślnie uwagi na grube belki w oku Niemców, których protekcji szuka. Jednak parokrotnie przekonałem się, że jednak istotnie musiało tam być źle i musiały się dziać gwałty ciężkie. Wyczułem to w opowieściach paru naiwnych prostych żołnierzy dowborczyków, spotkanych w Szczuczynie, w których pojęciu gwałty te nad ludnością „ruską" na Białej Rusi były zupełnie naturalne, a potem czytałem o tym także w „Nowej Gazecie", której należy się uznanie, iż prosto bez ogródki nazwała je po imieniu, mówiąc o nich z żalem. Obecnie opowiadanie Rudolfa Dreszera, który nie jest podejrzany o sympatie białoruskie i który hołduje, jak większość b. wojskowych Polaków, nacjonalizmowi i imperializmowi polskiemu, potwierdziły mi całą ohydę tych gwałtów i dzikiego znęcania się nad ludnością miejscową. Gwałty te miały miejsce nie tylko bynajmniej na gruncie rekwizycji żywnościowych, co jeszcze dałoby się poniekąd usprawiedliwić ciężkimi warunkami aprowizacyjnymi korpusu. Było znęcanie się i gorszego o wiele gatunku. W korpusie polskim Muśnickiego, oprócz żołnierzy i oficerów ideowych, usiłujących tworzyć wojsko polskie pod hasłami niepodległości, zebrało się sporo rozmaitych szumowin i odpadków, sporo też Rosjan, którzy szukali w nim ucieczki od ruchu bolszewickiego, rozmaitych kontrrewolucjonistów, zwolenników starego ustroju i nawet caratu. Zdarzało się, że takie elementy, mszcząc się na

[80] Władysław Belina-Prażmowski (1888-1938), członek Związku Walki Czynnej, komendant okręgu krakowskiego Związku Strzeleckiego, major Leg. Pol., twórca i komendant kawalerii I Brygady – 1 pułku ułanów (beliniaków), usunięty dyscyplinarnie z Legionów w czasie kryzysu przysięgowego, w okresie międzywojennym w służbie cywilnej – prezydent Krakowa, wojewoda lwowski.
[81] „Homan", gazeta białoruska wydawana w Wilnie pod patronatem Niemców w latach 1915-1919. Redaktorzy Anton i Iwan Łuckiewiczowie oraz Wacław Łastowski.

znienawidzonej przez nich rewolucji, zmuszali po wsiach białoruskich – nauczycieli i chłopów obnosić w uroczystych procesjach ludowych portrety... cara (sic!), aby pognębić rewolucjonistów. Zdarzały się też okrutne orgie samowoli i pastwienia się nad chłopami, zamęczania ich i egzekucji samowolnych. Niektóre z tych nadużyć i gwałtów dostawały się nawet do prokuratorii Korpusu. W ogóle w Korpusie była zbieranina ludzi straszna. Było to nie tyle wojsko, ile banda najróżnorodniejszego elementu. Miał Korpus, a raczej poszczególne jego oddziały – kilka wybitnych czynów wojennych, wspaniałych z odwagi i świetnego wykonania, ale miał też plamy i brud. Było to coś w rodzaju Lisowczyków[82]. Z wielu też względów zasłużył prawdziwie na zarzut formacji kontrrewolucyjnej. Mnóstwo do niego ściągnęło jak Rosjan, tak i „Polaków" zrusyfikowanych w Rosji, których tam ściągnęło nie co innego, jak nienawiść do rewolucji i bolszewizmu, byle się przeciwstawić bolszewikom. Dla tych elementów obojętną była oczywiście sprawa polska. Skądinąd sporo też się zgromadziło w Korpusie elementów spod sztandaru Legionów i Piłsudskiego, którym udało się w najróżniejsze sposoby tam przedostać: jedni z nich byli legionistami, wziętymi ongi do niewoli rosyjskiej, inni uciekali z Polskiego Korpusu Posiłkowego z Austrii; w liczbie ostatnich znalazł się w Korpusie Muśnickiego i nasz kapitan Lis[83], b. komendant II baonu w I pułku piechoty I Brygady Legionów. Element legionowy wnosił do Korpusu Muśnickiego tężyznę ideową i wojskową. O samym generale Dowborze-Muśnickim powiada Rudolf Dreszer, że to jest z gruntu człowiek zupełnie zrusyfikowany, typowy rosyjski generał-karierowicz, wierny sługa cara, w duchu bardziej kontrrewolucjonista rosyjski, niż patriota i bohater narodowy polski.
Generał Józef Dowbor-Muśnicki, brat Konstantego[84], żonatego z Lolą Komorowską, był nawet podobno ongi zmienił religię (katolicką na ewangelicką, a nawet powiadają – na prawosławną), ze względów kariery, aby się dostać do Akademii Sztabu. Tak opowiada o nim jeden z jego ludzi – Rudolf Dreszer. Ładny mi to „bohater narodowy" polski! Czy może ten Lisowczyk idei kontrrewolucyjnej w Rosji stawać na poziomie Piłsudskiego i w ogóle wszystkich twórców i wodzów naszych Legionów! Generał Dowbor-Muśnicki był, zdaje się, w polskości swojej raczej policjantem interesów obszarniczych na Białej Rusi i w ogóle reakcji *contra* rewolucji rosyjskiej, niż rycerzem niepodległości.

3 września, rok 1918, wtorek

[82] Lisowczycy, oddziały lekkiej, nieregularnej kawalerii zorganizowane na początku XVII w. przez Aleksandra J. Lisowskiego, odznaczające się ruchliwością i sprawnością bojową, znane także z okrucieństw i gwałtów. Walczyli jako najemne oddziały polskie, potem w służbie państw obcych (zwłaszcza Habsburgów).
[83] Leopold Lis-Kula (1896-1919), członek Związku Strzeleckiego, oficer I p.p. Legionów Polskich, dowódca 3 kompanii (od XII1914), następnie dowódca VI baonu (od XII 1916), uczestnik kampanii wołyńskiej, w 1917 odkomenderowany do POW, po kryzysie przysięgowym wcielony do armii austriackiej, wiosną 1918 mianowany komendantem naczelnym POW KN 3 na Ukrainie, zmarł w wyniku odniesionych ran w walkach z Ukraińcami pod Torczynem w III 1919. Pośmiertnie awansowany na pułkownika piechoty.
[84] Konstanty Dowbor-Muśnicki (1857-1931), generał dywizji, absolwent Pawłowskiej Szkoły Wojskowej i Akademii Prawniczej Wojskowej (1886). Po studiach pełnił służbę na przemian w oddziałach liniowych i w korpusie sądowym (służył m. in. na Kaukazie). Uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905, gdzie dowodził 35 pułkiem syberyjskim, następnie brygadą i dywizją. W 1909 r. był dowódcą korpusu okupacyjnego w Persji. W 1911 r. przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Warszawie. W czasie I wojny powołany do wojska, dowodził 14 dywizją syberyjską. Po rewolucji bolszewickiej otrzymał przydział do I Korpusu dowodzonego przez brata Józefa. W 1918 r. wrócił do kraju i podjął pracę jako notariusz.

Wczoraj po sesji sądowej (ławnicy – Jerozolimski i Cieloszczyk) – pojechałem na wieczór do Łomży. Dziś spędziłem tam dzień do godz. 4. Nic szczególnie ciekawego w Łomży nie słyszałem. O mojej nominacji do Sądu Okręgowego jakoś głucho. Przedstawienie w tym przedmiocie wysłane zostało do Warszawy dopiero w tygodniu ubiegłym, tak że wobec tego można jeszcze ewentualnie liczyć, iż nie tylko wrzesień, ale bodaj i październik upłynie, zanim rzecz ta zostanie rozstrzygnięta. Nie śpieszy mi się z tym, ale skoro kandydatura moja została postawiona i przeze mnie przyjęta, byłaby ambicja moja zadraśnięta, gdyby nominacja nie nastąpiła. Spodziewam się jednak, że do tego nie dojdzie. 17 września ma przyjechać do Kolna prezes Filochowski w celu dokonania wizytacji sądu i zarazem – zaprzysiężenia mnie i wszystkich urzędników naszego Sądu Pokoju (a więc sekretarza, kancelistę, ławników, pisarza hipotecznego). To zaprzysiężenie nie podoba mi się wcale. Mniejsza o to, że zarządzenie to, zadekretowane przez klerykalną Radę Regencyjną, jest reakcyjne. Pierwotne świeckie „uroczyste przyrzeczenie", odbierane przez urzędników, które wszyscy w roku zeszłym przy obejmowaniu urzędów składać musieliśmy, zostało zastąpione przez przysięgę wyznaniową. Ten wzgląd ma dla mnie znaczenie podrzędne. Bardziej przykrym jest dla mnie to, że przysięga ta ma poniekąd charakter formalnego przyjęcia poddaństwa polskiego. Przysięganie na wierność Polsce jako Ojczyźnie jest dla mnie aktem ciężkim, ponieważ Ojczyzną w sumieniu moim pozostaje nadal Litwa; w Polsce przebywam tylko czasowo i służyć jej chcę li tylko w zakresie sądownictwa – nic ponadto. Wolałbym formalnie się z nią węzłem poddaństwa czy obywatelstwa się nie wiązać, bo w istocie pragnę zachować charakter obywatela Litwy. Mus będzie jednak przysiąc, bo innego wyjścia nie mam. Przykre to jest dla mnie i ciężkie.
Gdym wracał do Kolna, prezes dał mi za towarzysza niejakiego Lipkę, przysłanego z Warszawy z ministerium za aplikanta czy tzw. podsędka do użytku na Okręg Łomżyński. Prezes Filochowski skierowuje go do Kolna do pełnienia zastępczo czynności sędziego śledczego na powiat kolneński. Jest to prawnik skończony, który był pomocnikiem adwokata w Petersburgu i świeżo przyjechał do Polski – rodem jest z Królestwa, syn urzędnika b. komory celnej w Aleksandrowie. Jest to człowiek już w wieku lat przeszło 30, okazały mężczyzna, wyższy i tęższy ode mnie, wyglądający bardziej na sędziego, niż na podsędka. Lipka pojechał ze mną do Kolna. Wrażenie sprawił na mnie dość przyjemne. Radziłem mu, aby się zdecydował na Kolno, gdzie po pewnym czasie uda mu się zapewne ustalić i otrzymać nominację na właściwego sędziego śledczego albo i sędziego pokoju na moje miejsce.

4 września, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Ławnicy – Jerozolimski i Orbik. Po raz, zdaje się, pierwszy sesja rozpoczęła się regularnie o godz. 9. Teraz będzie to przestrzegane stale, bo na skutek ciągłych narzekań na niepunktualność rozpoczynania sesji w sądach, zwłaszcza na skutek spóźniania się ławników, ministerium wydało specjalny w tym przedmiocie okólnik, a w dalszej konsekwencji nasz prezes Filochowski nakazał, aby o każdym poszczególnym wypadku rozpoczęcia w którymkolwiek sądzie pokoju sesji po godz. 9 zawiadamiać go z podaniem przyczyny opóźnienia. To będzie skutecznym biczem na sądy i na ławników. Ja zawsze przed dziewiątą jestem w sądzie, ale ławnicy moi późnili się stale, a najwięcej ławnicy z Kolna – Remba i Jerozolimski. Nic nie pomagały moje reklamacje. Teraz będą się liczyli więcej. Sprawy były dziś dość poważne. Zbiegły się akurat na sesji dzisiejszej dwie najbardziej przewlekłe sprawy, ciągnące się od prawieków – bo jeszcze z roku przeszłego, a jedna nawet z r. 1916 z b. sądu gminnego – odraczane już niezliczoną ilość razy, jedna – sprawa Baranowicza z Rogińskimi, i druga – sprawa Zabłockiej przeciwko Długozimom i innym o dział majątku. Obie znów

odroczone zostały, jedna w celu dokonania ekspertyzy podpisu na akcie, druga w celu dokonania nowego projektu działu, ponieważ zaszła znowu zmiana w układzie sched i poprzedni projekt działu, dokonany przez b. ławnika Kocika, nie da się utrzymać. W osobie Orbika mam teraz doskonałego ławnika, któremu mogę dokonywanie takich czynności, jak oględziny miejscowe, zaprojektowanie działu majątku itp. – polecać. Podczas sesji siedział na sali i przysłuchiwał się tokowi rozpraw nasz podsędek nowy Lipka. Miałby on ochotę sam się dostać na sędziego pokoju po moim ustąpieniu i ja mu też to radzę. Zdaje się, że zainstaluje się on w Kolnie. Z mieszkaniem powiodło mu się nadspodziewanie szczęśliwie. Po miesiącu będzie mógł dostać mieszkanie trzypokojowe po „Bau-Amcie" niemieckim, który się zwija, tymczasem zaś będzie mógł zająć mieszkanie z dwóch pokoi po jednej z nauczycielek. Jutro ma on jechać do Łomży po ostateczne instrukcje i następnie wrócić do Kolna, gdzie ma objąć czynności sędziego śledczego, jako dependent[85] Wojchta.
Wczoraj wieczorem, po powrocie z Łomży zaprosił mnie jeszcze Miętkiewicz do siebie na imieniny. Spożyliśmy smaczną przekąskę z wódeczką i kolację. Byli oboje Borowscy, Franciszek Stachelski, notariusz Płoński, adwokat Goldberg, sekretarz Rady Opiekuńczej Litwiński, Stefuś i ja. Przyjemnie czas zeszedł. Lubię bardzo Miętkiewicza i coraz bardziej go cenię.

5 września, rok 1918, czwartek
Dzięki Bogu – udało mi się jakkolwiek urządzić Stefka. Liczyliśmy z pierwej na lekcje prywatne, z których będzie miał dość zarobku, aby się jakoś utrzymać w Kolnie przy ewentualnym jeszcze jakimś dodatku pomocy ode mnie czy od Maryni. Na tym budowaliśmy perspektywy pozostania Stefusia w Kolnie po moim wyjeździe do Sądu Okręgowego w Łomży. Mieszkałby Stefuś u Miętkiewicza. Byłoby to dla niego o wiele lepszym, niż jechać ze mną do Łomży, gdzie nie będę mógł mieć takiego dozoru nad nim, jaki miałem w Kolnie i gdzie bez zajęcia w obcym środowisku mógłby wpaść w jakieś złe towarzystwo i znów głupstwa porobić. W Kolnie ma już środowisko znajomych, chociaż towarzysko niezbyt wysokie, ale uczciwe i moralne. Tymczasem lekcje prywatne zawiodły. Przed okresem egzaminów szkolnych było ich dużo, szczególnie gdy Stefuś przez delikatność nie naciskał uczniów o zapłatę. Po egzaminach liczba uczni zmalała, a gdy poszło o zapłatę – to zdezerterowała reszta. Pomimo to Stefuś przez sierpień zdołał się sam utrzymać bez zasiłku ode mnie, nie licząc oczywiście mieszkania u mnie i pewnych świadczeń w naturze na śniadania i kolacje. Dalej jednak niepodobna mu było tak egzystować. Stefuś sam czuł dobrze krytyczne położenie swoje i zajęty był wciąż myślą o znalezienie jakiegoś stałego i płatnego choćby skromnie zajęcia. Mnie to także na sercu leżało; czułem, że się chłopiec trawi troską, tym cięższą, że jest dumny i nie lubi się skarżyć i że w sercu piastuje wielkie ambicje sławy malarskiej, dostania się w przyszłości do Akademii, w ogóle bytu większego, a musi biedak bezradnie gryźć się o chleb powszedni, by po prostu przetrwać. Choć wiele w życiu zawinił, to przecież jest nie mniej nieszczęśliwy, że tak jakoś jest bez domu, bez kierunku, na łasce przypadku, bez czegoś określonego. I oto zwróciłem się do notariusza Płońskiego, czy by go nie chciał użyć do pracy w swej kancelarii. Płoński z chęcią przystał na to, bo Stefusia tu polubiono, a Płońskiemu potrzebny jest nawet inteligentny kancelista. Od dziś Stefuś zaczął u niego pracować. Na razie jest to tytułem próby i wynagrodzenie nie jest jeszcze określone. Stefuś cieszy się i gorliwie się bierze do pracy. Jednej się tylko rzeczy boję – to braku wytrwałości i

[85] Pomocnik sędziego, adwokata, notariusza.

barku uzdolnienia do systematyczności w naturze Stefusia. A dobry to jest chłopiec z gruntu, który wart jest lepszego losu.

6 września, rok 1918, piątek
Sesja sądowa. Ławnicy – Rainko i Cieloszczyk. Po raz pierwszy dwaj ławnicy nowi razem. Ale się już o tyle nowi ławnicy otrzaskali z sądzeniem spraw, że już dobór dwojga nowych jest zupełnie odpowiedni, nie gorszy od starych. Sesja dzisiejsza trwała długo, bo skończyła się aż po godz. 7 wieczorem, o zmroku. We wszystkich sprawach strony się stawiły, toteż wszystkie sprawy były sądzone. Oprócz paru drobnych spraw, sądzonych na ostatku, wszystkie miały piętno wojenne, bo się wywiązały ze stosunków wojny i uchodźstwa (były więc sprawy o zwrot zboża, zebranego z gruntu uchodźców albo wykopanego i zebranego z wądołów, do których je uchodźcy przed ucieczką ukryli itp.). W stosunku do tych spraw obaj ławnicy – Rainko i Cieloszczyk – jako gospodarze, byli bardzo do sądzenia odpowiedni. Przyjemnie zresztą z nimi pracować, bo obaj są ludźmi uczciwymi bez zarzutu, poważnymi, życiowo mądrymi, a poza tym Cieloszczyk nawet wcale nieźle się orientuje w technice sądzenia. Z nowych ławników Orbik, Cieloszczyk i Rainko są nabytkiem dla sądu bardzo dobrym i poważnym; jedynie Nojda mi się nie podoba. W jednej ze spraw dzisiejszych będzie zapewne apelacja; kopia wyroku w formie ostatecznej już została przez pozwanego, który sprawę przegrał, obstalowana. Jest to sprawa o unieważnienie umowy sprzedaży miecha kowalskiego, dokonanej przez żonę kowala, który był na wojnie i niedawno wrócił z Rosji, i o zwrot tegoż miecha przez nabywcę. Powód, kowal Ranik, sprawę wygrał. Pozwanymi byli: żona powoda i niejaki Andrzejewski, który miech od niej kupił. Ten ostatni spóźnił się na sesję i do sprawy nie stawał; on to chce założyć apelację. Podsędek Lipka (sam on wymawia swoje nazwisko w brzmieniu „Lipko”, ale pierwotne brzmiało prawdopodobnie „Lipka” i może nawet pochodzi z Kurpiów, bo na Puszczy, zwłaszcza we wsi Tyczek i Tyczek-Noski gminy Łyse – jest całe mnóstwo Lipków, piszących się „Lipka”, rdzennych typowych Kurpiów) – wrócił z Łomży i już obejmuje zastępstwo sędziego śledczego na powiat kolneński. W poniedziałek pojedzie do Szczuczyna do Wojchta po sprawy powiatu kolneńskiego. Wieczorem przeszedłem się z nim na spacer do Gromadzyna. Miły i niegłupi zdaje się być człowiek.

7 września, rok 1918, sobota
Nigdy mi teraz roboty w sądzie nie brak. Jeżeli nie ma sesji, to jest śledztwo albo rada familijna, albo badanie świadków z polecenia Sądu Okręgowego lub coś podobnego, nie licząc bieżącej korespondencji, protokołowania nowych powództw ustnych, wystudiowania spraw na zbliżające się sesje i innych podobnych zajęć bieżących. Dziś oprócz tych czynności miałem jeszcze do pisania wyrok motywowany w jednej ze spraw wczorajszych. Dzięki Bogu, że mi przynajmniej już śledztwa wkrótce odpadną, bo z objęciem obowiązków śledczych na powiat kolneński przez Lipkę prokurator zaniecha chyba przysyłania śledztw do mnie.
Wieczorem z okazji Nowego Roku żydowskiego adwokat Goldberg wyprawił kolację, na którą spośród sądowników zaprosił mnie, Lipkę, Stachelskiego, Miętkiewicza i Stefusia. Była wódeczka, jaja na przekąskę, doskonały szczupak faszerowany po żydowsku, gęś, owoce i herbata, chleb pytlowy i bułka. Lipko ożywiał towarzystwo. Mówił dużo, opowiadał swe wrażenia i przeżycia z Petersburga, skąd niedawno przyjechał. My narzekamy na drożyznę, ale to, co się dzieje w Petersburgu, to już przechodzi pojęcie. Tam funt kartofli kosztuje 4 ruble 50 kopiejek, funt chleba razowego – przeszło 20 rubli, i to trudno dostać. Lipce zdarzało się kupować z okazji w drodze wielkiej łaski niecały bochenek chleba wiejskiego za 120 rubli, a po mleko dla

dzieci musiał chodzić o 10 wiorst za przedmieście Petersburga – Leśne! Stosunki aprowizacyjne, jak zresztą wszelkie – są tam po prostu dzikie. Opowiadał też Lipko sporo epizodów i wrażeń z rewolucji rosyjskiej. Lipko podoba mi się; jest to człowiek żywy, bardzo ekspansywny i przy tym bardzo naturalny i w obejściu łatwy i nie pretensjonalny. Chwilami ekspansywność jego i łatwość nawet mnie męczy; lgnie on tak prosto i łatwo do człowieka, że aż nudzi trochę. W ogóle jednak, tak etycznie, jak umysłowo – jest to człowiek dodatni. Oczywiście, że nie jest wolny od tego, co jest cechą bodaj powszechną w Polsce – od antysemityzmu. Zdaje się przecież, że to umysł otwarty, który nie ma sztucznych uprzedzeń do żadnych idei, nie jest zaskorupiały w pewnych szablonach wstecznictwa i „kołtunerii", jest bez frazesu i bez pozy człowiekiem, który może rzec o sobie „*homo sum, et nihil humanum a me alienum esse puto*".[86]

8 września, rok 1918, niedziela
Rano, jak co niedziela, byłem zajęty w sądzie wyznaczaniem spraw z ubiegłego tygodnia na przyszłe wokandy. Za tydzień ubiegły, ponieważ były trzy sesje sądowe, ilość spraw zasądzonych przewyższyła nieco ilość dopływu. Ogółem w niedzielę ubiegłą miałem 152 sprawy, wyznaczone na wokandy; dziś, po wyznaczeniu, miałem ich –148. Za to przyszły tydzień da mi ogromną ulgę w zaległościach i od razu znacznie obniży ilość spraw w toku będących. Nadszedł bowiem ten tydzień, w którym wyznaczyłem sesje od poniedziałku do soboty jednym ciągiem. Odwalę olbrzymi szmat zaległości. Pod względem roboty będzie to męcząca katorga, ale lubię sesje, tak że nie przeraża mnie ten wściekły tydzień.
Po obiedzie poszliśmy ze Stefusiem do Wincenty do Kocika, do którego byliśmy zaproszeni na gęś. Na wieczór Kocik odesłał nas do Kolna furmanką. Przywieźliśmy też od Kocika trochę nie młóconych grochowin na groch dla naszych gołębi. Z tej parki gołębi, które na wiosnę zakupiłem, mamy już obecnie siedem sztuk gołębi. Miłe to ptaki i ładne, a ciekawe do studiowania ich zwyczajów i trybu życia. Z wielkim zamiłowaniem hodujemy je ze Stefusiem. Każdy z młodych gołębi ma swoją nazwę; nazwaliśmy je fantastycznie, wcielając w te imiona różne reminiscencje śmiesznych kawałów. Najstarsza parka nosi imiona: Kiklis i Łoferma; imię Kliklis pochodzi z jakiegoś głupiego dwuwiersza litewskiego, który za czasów dzieciństwa mego nucił stary Żarżej[87] w Bohdaniszkach, żartobliwie mnie nim drażniąc; dwuwiersz ten brzmiał:

„Kiklis, kiklis, łęjbakojis
Prišikęs kelnialės, prikakojęs".

Imię „Łoferma" pochodzi z wyrazów żargonu legionowego. Trzeci gołąbek, bez parki, nazywa się „Tyczka-Nosek", bo będąc małym, był złośliwym i dziobał, gdy rękę do niego wyciągnąć; nazwę tę wzięliśmy z nazwy pewnej wsi kurpiowskiej na Puszczy. Wreszcie parka najmłodszych, które dopiero dorastają, nosi nazwy: „Dig-Dig-Don" i „Kinarejka"; pierwsze imię wzięte ze sprośnej dziwacznej piosenki, którą zapamiętałem jeszcze ze Szkoły Prawa w Petersburgu; imię te jest ułożone *à rebours* z hiszpańskiego Don Dig (Don Diego). Drugie imię – „Kinarejka" – wzięte z popularnej oklepanej piosenki rosyjskiej, wygrywanej na wszystkich katarynkach w Rosji, znanej pod nazwą „Разлука", w której jedna ze zwrotek zaczyna się od słów: „Вел пташки кинарейки"... Jest to zepsute brzmienie rosyjskiej nazwy kanarka („канарейка"). Sprośna piosenka o Dig-Dig-Donie ma taki tekst:

---
[86] (łac.) jestem człowiekiem, nic, co ludzkie, nie jest mi obce.
[87] Sługa w majątku bohdaniskim.

„Альфонс пошел в публичный дом,
Ай, Диг-Диг-Дон, ай, Диг-Диг-Дон!
Схватил там шанкер и бубон.
Ай, Диг-Диг-Дон, ай, Диг-Диг-Дон!
Обрезан хуй со всех сторон,
Ай, Диг-Диг-Дон, ай, Диг-Диг-Дон!
Не может большъ ябиться он.
(Ай, Диг itd.).
Синьор, вам надо хуй отсечь
(Ай, Диг itd.)
Иль жопу ляписом прижечь – itd. w tym samym duchu.

9 września, rok 1918, poniedziałek
Rozpoczął się dziś tydzień codziennych sesji. Ławnicy zasiadali: Rainko i Orbik. Spraw na wokandzie było 10, z których 7 drobnych i tylko 3 grube. Toteż do obiadu zakończyliśmy sesję. W drobnych sprawach rozprawy toczyły się szybko, w niektórych strony nie stawiły się wcale. Z trzech grubych spraw jedna była o zwrot wartości świń i pługa, zabranych z gospodarki uchodźcy przez jego szwagra, który gospodarstwo to prowadził, sprawa czysta i prosta, w której Goldberg, stający z ramienia pozwanego, nic wskórać nie był w stanie. Dwie zaś pozostałe grubsze były analogiczne: w obydwu chodziło o żądania uwiedzionych dziewcząt wypłat na utrzymanie nieślubnych dzieci. Podług Kodeksu, poszukiwanie ojcostwa dzieci naturalnych jest wzbronione; natomiast jest przepis, zobowiązujący rodziców do utrzymywania dzieci naturalnych. Na tej zasadzie pod postacią wypłat na utrzymanie faktyczne ustala się przecież ojcostwo. Sprawy te rozpoznawaliśmy przy drzwiach zamkniętych. Udowodnienie ojcostwa jest bardzo trudne i biedne uwiedzione dziewczyny mają bardzo ciężkie zadanie na sądzie. W jednej z tych spraw powódką była młoda ładna Kurpianka z Puszczy, córka wójta gminy Łyse, Szymczykówna, pozwanym – młody chłopiec Inotek, który obecnie już jest żonaty, z uwiedzioną bowiem dziewczyną zerwał zaręczyny z powodu sporu o posag. Teraz oczywiście broni się przeciw ojcostwu nieślubnego dziecka i dowodzi świadkami, że dziewczyna utrzymywała stosunki z innymi chłopcami. Druga sprawa jest z Kolna; uwiedziona jest już niemłodą dziewczyną, uwodzicielem zaś stary, 60-letni gospodarz Kozikowski, którego żona była na uchodźstwie w Rosji, skąd świeżo dopiero wróciła. Kozikowski w czasie nieobecności żony zbliżył się do Ćmielewskiej, nawiązał z nią stosunek, obiecywał się ożenić, wyrażając domniemanie, że jego żona w Rosji umarła, a gdy się urodziło u Ćmielewskiej dziecko, traktował je za swoje. Teraz po powrocie żony z Rosji wypiera się i dziecka, i stosunków z Ćmielewską i wstydząc się skandalu, i bojąc się swojej żony, broni się na sądzie jak może. Obie sprawy zostały odroczone dla zbadania świadków strony pozwanej.

10 września, rok 1918, wtorek
Na dzisiejszej sesji ławnicy – Remba i Stachelski. Na starych ławników wyznaczyłem stare sprawy. Z 10 spraw – siedem było starych, wszystkie grube i poważne. Szła więc sprawa Górskiego przeciwko gminie Czerwone o 1000 mk odszkodowania za zarekwirowaną krowę z tytułu solidarnej odpowiedzialności gminy za ciężary strat wojennych, szła sprawa Bałdygów o dział majątku, sprawa Ruchały przeciwko Zorachowi Kaczyńskiemu o zwrot ceny za konia z tytułu rękojmi sprzedawcy za pokonanie prawem, do której to sprawy był przypozwany w charakterze trzeciej osoby Dormetko, sprawa Szewczyka przeciwko Żelaznemu o zakłócenie używalności

serwitutu, sprawy Kulisia przeciwko Bednarczykowi i Pauliny Bednarczyk przeciwko Juliannie Dreżek o zwrot pobranego nienależnie odszkodowania, należnego powodom za rekwizycje. Sprawa Bałdygów została odroczona dla dokonania projektu działu, sprawa Kulisia przeciwko Bednarczykowi również odroczona została dla złożenia przez powoda jeszcze pewnych ewentualnych dowodów, sprawa zresztą prawie przesądzona do oddalenia powództwa. Ale w sprawie Górskiego, który wygrał, spodziewam się prawie niechybnej apelacji ze strony przedstawicieli gminy i nawet gdyby nie lenistwo pisania wyroku w formie ostatecznej, rad bym tej apelacji, bo to sprawa zasadnicza i jako precedens niezmiernie ważna, w której dobrze byłoby, aby się ustaliła pewna praktyka i zasada przewodnia. Wnosi też apelację Goldberg w sprawie Bednarczyk – Drążek z ramienia pozwanej, która przegrała. Napomyka też Goldberg o ewentualnej apelacji w sprawie Kaczyńskiego, w której zresztą spór rozchodzi się o bagatelę. W sprawie Bednarczyk – Dreżek, w której Goldberg ze strony pozwanej przegrał, jest między nim a sądem kategoryczny spór o zasadę. Myśmy stanęli na stanowisku, że skoro udowodniono, że u powódki wzięto bydło w tej rekwizycji, za którą właśnie płacono odszkodowanie, u pozwanej zaś w tej rekwizycji, jakeśmy doszli do tego przekonania – bydła nie zabrano, natomiast pozwana odszkodowanie pobrała, bo się na listę poszkodowanych zapisała, ubiegając powódkę, powódka zaś odszkodowania nie otrzymała – to pozwana winna zwrócić pieniądze Bednarczykowej. Natomiast Goldberg oponuje zasadniczo przeciwko temu, wychodząc z zasad następujących: 1. rekwizycja była masowa, nie zaś indywidualna u powódki; 2. gdyby nawet przyznać, że u pozwanej nie zabrano bydła w tej rekwizycji, chociaż zabrano je u niej poprzednio – to nawet w takim razie powódka nie udowodniła, że to właśnie pieniądze, które otrzymała pozwana, należą się jej za jej sztuki, tym bardziej że udowodniono, iż kilku jeszcze ludzi pozostało niezaspokojonych; 3. pozwana, zdaniem Goldberga, może odpowiadać tylko przed ogółem, względnie przed władzami wiejskimi, o ile te udowodnią, że pobrała nienależnie, powódka zaś poszukiwać może swoich strat tylko na ogóle lub na władzach gminnych, które jej do wykazu poszkodowanych nie wpisały i stały się przez to winne straty, o ile zresztą nie jest ona sama winną, że spóźniła się ze zgłoszeniem do wykazu. Goldberg wziął ogromnie do serca tę przegraną. Spór o zasadę nieraz bardziej roznamiętnia, niż spór *in merito*. Tak roznamiętniony jest w tej sprawie Goldberg.

11 września, rok 1918, środa
Nie ma to jak sesja żydowska! Na kilkanaście spraw zaledwie parę dochodzi do skutku, bo we wszystkich innych strony albo się zgodziły polubownie, albo w dniu wyznaczonym udały się na sąd do rabina. Tak było i dzisiaj. O godz. 9, gdy się zebrali ławnicy Remba i Jerozolimski, w sądzie nie było ani żywej duszy, oprócz pracowników kancelarii i adwokata Goldberga, reprezentującego interesantów. Wiedząc, że w sprawach żydowskich prawie nigdy do rozpoznania sądowego nie dochodzi, rozpoczęliśmy sesję natychmiast, nie czekając publiczności. Zaczęliśmy jedną sprawę po drugiej wykreślać z wokandy; oprócz tego było parę spraw, w których powodzi prosili o rozpoznanie spraw w ich nieobecności; w tych wydaliśmy wyroki; dopiero w dalszym ciągu przybyło kilka osób, toteż dwie sprawy były rozpoznane wobec stron; wreszcie w dwóch sprawach incydentalnych zbadaliśmy świadków. Ogółem na wokandzie było spraw 12. Koło godz. 11 przed południem sesja była skończona. Nie ma to jak sesja żydowska.
Po obiedzie Litwiński zwołał na posiedzenie tzw. komisję gospodarczo-handlową Rady Opiekuńczej Powiatowej. Członkami tej komisji jesteśmy: ksiądz wikary Budrewicz, Franciszek Stachelski i ja. Chodziło o ustalenie warunków rozprzedaży wagonu soli, który Rada Opiekuńcza otrzymała z powiatu. Przy tej okazji nasłuchałem się

oczywiście antysemickich gawęd i uchwał. Że antysemitą jest ksiądz – to bardzo naturalne. Dla księdza cała działalność społeczno-obywatelska streszcza się w antysemityzmie. Na tym koniku ujeżdża on klerykalizm w społeczeństwie. Pełnym obłudy jest antysemityzm handlowy Stachelskiego, przemawiający pod frazesem troski obywatelskiej  o obronę ludności od zachłanności handlu żydowskiego i przeciwstawieniu temu handlowi sklepów chrześcijańskich swój własny geszefcik. Wie dobrze, że „sklepy chrześcijańskie" – to właściwie on i jego kieszeń. Potrafi po cichu w rozmowie prywatnej podszepnąć insynuację i na konkurentów chrześcijańskich, jak na sklep Łabędzkich, na sklep piekarza Derewienki, ale w Radzie Opiekuńczej jest wielkim patriotą, pełnym serdecznej troski o ochronę ludności od wyzysku „monopolistów" żydowskich. Sam nie gorsze od nich zyski ciągnie, jeno jest mistrzem obłudy frazesowej i zręcznie udaje łączność między „patriotyzmem" a swoim sklepikiem. W Radzie Opiekuńczej nie boi się konkurentów chrześcijańskich, bo jest w zarządzie Rady, z sekretarzem Litwińskim jest poza tym w prywatnych stosunkach handlowych i ma rodzaj pachtu na handlu prowadzonym z ramienia Rady. Żeby więc ten pacht utrzymać i handlową Rady działalność, której owoce w dużym stopniu do jego kieszeni spływają, podniecać – dużo i patetycznie mówi o handlu żydowskim i chrześcijańskim, a jest dość sprytny, aby o sobie nie wspomnieć, bo i bez tego śmietankę z tego „patriotyzmu" zbiera sam. Trzeba widzieć, z jaką powagą augura i stroskanego obywatela mówi o tym patriotyzmie i sklepach chrześcijańskich w przeciwstawieniu do żydowskich, gdy na dnie tych frazesów jest własna jego kieszeń i piękny grosik zysku. Oburzyłby się świętym ogniem patriotyzmu, gdyby ktoś wyraził zwątpienie o treści frazesu, a może nawet sam się w kułak śmieje ze swego sprytu, bo już pewno uwierzył w tożsamość patriotyzmu z jego zyskiem osobistym.

12 września, rok 1918, czwartek
Na dzisiejszej sesji zasiadali ławnicy Cieloszczyk i Orbik. Sesja trwała do godz. 3 po południu. Sprawy prawie wszystkie do skutku doszły. Było sporo dość grubych spraw i nawet parę trudnych, ale były na ogół krótkie, bez nadmiaru świadków; prócz tego w dwóch doszło do układu pojednawczego.
Przed paru dniami miałem list od Maryni z Wilna z bardzo smutną wiadomością o Gieniu Pruszanowskim[88]. Marynia pisze o tym lakonicznie, tak że nie mogę zrozumieć w jaki sposób się to stało. Pisze, że Gienio został skończonym złodziejem; siedział już za kradzież w więzieniu; jest w Moskwie; pędzi żywot bezdomny, nocuje na ulicy. Wreszcie Marynia dodaje, że prawdopodobnie już nie żyje. Rodzice już podobno machnęli na niego ręką. W tym krótkim suchym wyszczególnieniu faktów jest straszny tragizm zwichniętego życia chłopca, który się wykoleił przez jakąś naturę dziwaczną, przez swój charakter ubogi a pełny zboczeń i kontrastów i zapewne w związku z warunkami ciężkimi, w jakich się musiał znaleźć na moskiewskim bruku, w zawierusze rozprzężenia ogólnego i głodu. Wszystko tu jest dla mnie zagadką. Dlaczego Gienio znalazł się w Moskwie, zamiast być w domu rodziców! Dziwi mnie to tym bardziej, że Stefuś, który w maju przyjechał z Wilna, widział się tam z Michasiem Kligysem, który powiadał, że Gienio jest w Mińsku u rodziców, że się dobrze uczył w Moskwie, skąd powrócił, i że w ogóle ma się dobrze. Pisała też na wiosnę do Maryni Kotunia, ciesząc się z nauk Gienia. Od Hektora Komorowskiego przywiózł Stefuś wiadomość, że Gienio, który istotnie był w Moskwie, ucząc się na maturę, mieszkał wspólnie z

[88] Eugeniusz Pruszanowski (1895-1933), jedyny syn Konstancji i Ezechiela Pruszanowskiego, jego naukę w wileńskim gimnazjum przerwała wojna, w czasie wojny „włóczył się" po Rosji, w 1920 wcielony do Armii Czerwonej, zdezerterował i zbiegł na polską stronę. W okresie międzywojennym pracował na poczcie koło Baranowicz. Zmarł w szpitalu w Wilnie.

Hektorem i nic słychać o nim złego nie było. Skąd się nagle znowu w Moskwie znalazł już po odcięciu Mińska przez wojska niemieckie od Moskwy, czy uciekł z domu, co go pchnęło do tych przygód i upadku – są to zagadki. Biedny chłopiec!

13 września, rok 1918, piątek
Dzisiejsza sesja była najuciążliwsza z całego tygodnia. Trwała do godz. 7 ½ wieczorem; ostatnią sprawę rozpoznawaliśmy już przy świetle lampy. Dobór ławników był słaby – Rainko i Nojda. Ten ostatni jest najsłabszym z ławników moich i jego obecność osłabia każdy dobór; w połączeniu zaś z Rainką, który, choć jest człowiekiem bardzo sumiennym i poważnie się zastanawiającym, nie ma najmniejszego zmysłu prawa – obecność Nojdy robi dobór zupełnie marnym. Sesja była karna, spraw na wokandzie – 11. Było kilka poważniejszych spraw, nie same tylko kłótnie i wymyślania babskie, jak to bywało na niektórych innych sesjach karnych; było parę trudniejszych do rozwikłania spraw o kradzież, sprawy o gwałt nad osobą, pobicie, wtargnięcie do mieszkania. W jednej sprawie, w której ja się wyłączyłem ze względu na to, że wpierw ją miałem w śledztwie, zastąpił mnie Stachelski. Słuchałem, wśród publiczności siedząc, jak Stachelski sesję prowadzi. Co do techniki – to Stachelski ściśle naśladuje moją i, jako stary ławnik, nieźle nią operuje, ale ponieważ protokół pisze Miętkiewicz, więc rozprawa idzie żółwim krokiem. Nieraz też w toku rozprawy Miętkiewicz podpowiada Stachelskiemu, co ma robić i o co pytać. U mnie to ja sam zawsze prowadzę protokół – Miętkiewicz nie siedzi na sesji nigdy.

14 września, rok 1918, sobota
Ostatnia sesja w tym niezwykłym tygodniu nieprzerwanych sesji. Mieli zasiadać ławnicy – Nojda i Cieloszczyk. Ten ostatni wszakże nie przybył i przysłał za siebie swego zastępcę, Ignacego Szymańskiego, gospodarza z Łachy. Znałem już Szymańskiego poprzednio; z pierwszego wrażenia nie wydał mi się on ani mądrym, ani taktownym. Dziś wszakże na sesji zaprezentował mi się lepiej. Gdy przyszedł, ledwiem go poznał. Ubrany był elegancko, jak inteligent miejski – i to nie lada jaki: garnitur marynarkowy bez zarzutu, eleganckie obuwie, palto, którego by mu w dzisiejszych czasach pozazdrościł najwytworniejszy dżentelmen. Sesja była łatwa, ani jednej sprawy skomplikowanej, nad którą trzeba byłoby łamać głowę. Dla najsłabszego kompletu ławników, jakim był dobór Nojda – Szymański, była to sesja najwłaściwsza. Szymański, który po raz pierwszy w sądzie zasiadał, nie mógł być oczywiście zbyt biegły i umiejętny w sztuce sądzenia. Tym niemniej okazał się lepszy, niż o nim sądziłem i zwłaszcza znacznie lepszy od Nojdy. Im lepiej poznaję Nojdę i im więcej go obserwuję w roli ławnika, tym bardziej się przekonywam, że jest on zupełnie na to stanowisko nieodpowiedni. Z przykrością widzę, że jest on nie tylko w sądzeniu słaby, ale jest, co gorsza, stronny, kierujący się względami osobistymi, faworytyzmem, popieraniem interesów poszczególnych osób. Na jednej z dzisiejszych spraw ujawniło się to bardzo wyraźnie. Nojda był za czasów rosyjskich ławnikiem w b. sądzie gminnym w Turośli i przejął się demoralizacją ówczesnych sądów gminnych, w których stronn[icz]ość sędziów i zjednywanie ich sobie przez osoby zainteresowane – były na porządku dziennym. I nie tylko że czuć, iż nałogi tych złych tradycji wnosi do swojej działalności obecnej, ale jest jeszcze o tyle mało subtelny, że pozwala sobie napomykać o tych praktykach korupcji na poparcie swoich wniosków przy naradzaniu się nad wyrokiem. Oczywiście robi to ostrożnie i półgębkiem, ale dość, aby wywołać uczucie obrzydzenia i niechlujstwa. Wyczuł to nawet Szymański.

15 września, rok 1918, niedziela

Tydzień ubiegły, w którym co dzień były sesje, znacznie ulżył w zaległości spraw. Gdy pozaprzeszłej niedzieli ilość spraw, powyznaczanych na wokandy wynosiła 152, przeszłej – 148, to już dzisiaj, po wyznaczeniu nowych i odroczonych z ubiegłego tygodnia – pozostało ich tylko 118. Codzienne sesje są jednak trochę za męczące; na październik przyjąłem inną metodę i nie będę robił tygodnia codziennych sesji, ale za to co tydzień będą po trzy sesje i skutek będzie taki sam. Muszę na mój wyjazd oczyścić sąd z zaległości.
Spędziłem dziś kilka godzin z „podsędkiem" Lipką. Miły to i na ogół, zdaje się, dzielny człowiek. Nie pochodzi on, jak to wpierw przypuszczałem, z Lipków Kurpiów, których dużo jest tego nazwiska na głębokiej Puszczy w gminie łysowskiej, jeno z Tatarów litewskich, osiadłych niegdyś w powiecie słuckim. Właściwe nazwisko jego jest podwójne: Mirza-Lipko; pierwszej części nazwiska – Mirza – on już jednak nie używa. Jeszcze dziad Lipki był mahometaninem i dopiero pierwszy przyjął katolicyzm. Przypominam sobie nawet, że kiedyś czytając czy słysząc o Tatarach litewskich, czytałem o tym, że było całe plemię czy szczep Lipków wśród Tatarów litewskich. Lipki tworzyli jakąś odrębną gałąź w społeczności tatarsko-litewskiej. Na naszym Lipce już żadnych fizycznych śladów pochodzenia tatarskiego nie znać. Jest on wysokim, bujnym i pięknym mężczyzną; może troszeczkę znać w jego oczach pewien ślad tatarski, ale nie jestem pewny, czy to nie jest tylko wrażenie autosugestii, bo dopiero mi się to zdawać zaczęło, gdym się dowiedział o jego pochodzeniu.
Miałem dziś list od Kotuni Pruszanowskiej, pisany z Parycz. List pisany po polsku jeszcze w czerwcu; widocznie ktoś go przywiózł do Polski ze sobą, zapewne ktoś z rozwiązanego Korpusu Dowbor-Muśnickiego; pocztą list przysłany z Makowa. Kotuńka z córkami siedzi w Paryczach i stamtąd administruje Bielczem i Robertowem, które oba są doszczętnie zniszczone. Ezechiel[89] jest przy nich. Gienia tylko nie ma, nie wrócił z Moskwy. Łączy się to więc akurat ze smutną wiadomością Maryni o Gieniu. Co dziwnego, że w warunkach tak strasznych, jak w Moskwie, biedny Gienio spadł do poziomu bezdomnego włóczęgi i zaczął kraść. List Kotuńki jest pełny utyskiwań na bezkarność rabunków, dokonanych przez chłopów na Bielczu i Robertowie. Ziemstwo bobrujskie nie dość energicznie zarządza egzekucje zwrotu zrabowanego mienia dworskiego. Jeno kilka krów i koni i kilkanaście połamanych mebli Pruszanowskim zwrócono dotychczas. Tym niemniej na pańskich ostatkach musi im być jednak jeszcze nieźle, skoro za sam sad owocowy w Bielczu dają im w tym roku 15000 dzierżawy (nie wiem rubli czy marek) i wydzierżawienie łąk nad Berezyną też dobrze idzie.

16 września, rok 1918, poniedziałek
W sądzie roboty miałem mało. Prawdziwy wypoczynek po nieustającej pracy zeszłego tygodnia. Do obiadu skończyłem całą robotę. Trzeba się było przygotować do przyjęcia prezesa Filochowskiego na jutro.
Z inicjatywy notariusza Płońskiego i pisarza hipotecznego Mystkowskiego zamierzone zostało wspólne przyjęcie (obiad zbiorowy) dla prezesa, w którym oprócz mnie uczestniczyć mają Lipko, Stachelski, Miętkiewicz, Stefuś, Goldberg i Lis. Ja wszakże o tyle projekt ten zmieniłem, że wspólne przyjęcie przesunąłem na czwartek, gdy prezes bawić będzie w Kolnie w drodze powrotnej z Myszyńca, na jutro zaś, na pierwszy dzień przyjazdu prezesa, robić będę honory gospodarza sam, przyjmując prezesa obiadem w domu, na którym oprócz mnie i Stefusia, będzie tylko Lipko. Już mam dwie kury i kaczkę, kupione na ten cel, już mniej więcej wszystko obmyśliłem i zarządziłem, gdy wtem wieczorem zakomunikowano z Magistratu, że skądś telefonowano, że jakiś

[89] Ezechiel Pruszanowski (1850-1927), mąż Konstancji z Römerów Pruszanowskiej, ziemianin, właściciel Bielcza i Robertowa koło Paryczan w powiecie bobrujskim.

„sędzia”, który podobno ma przyjechać jutro, nie przyjedzie. Chodzi tu chyba o prezesa. Zostałem więc z moimi kurami i kaczką na rozdrożu. Nic nie wiemy, czy prezes przyjedzie jutro. Kur i kaczki nie rznę i czekam. Gdyby wcale do tej przysięgi miało nie dojść, cieszyłbym się z tego. Ale to chodzi tylko o odroczenie. Jest to nieznośne, bo to tak trudno teraz się przyszykować do przyjęcia, aż naraz – fiasko! Wszak też ławnicy wezwani zostali na jutro i może na próżno.

17 września, rok 1918, wtorek
Zjechali się rano wszyscy ławnicy i ich zastępcy z gmin w oczekiwaniu przyjazdu prezesa na uroczystość przysięgi. Mietkiewicz udał się do powiatu w celu sprawdzenia przez telefon wczorajszych wieści o przyjeździe prezesa. Okazało się, że do Łomży do Sądu Okręgowego przybył na rewizję prezes Sądu Apelacyjnego z Warszawy. Na razie nie było wiadomo, czy nasz prezes Filochowski, który już wczoraj był w Stawiskach, uda się w dalszy objazd podług swej marszruty i przyjedzie do Kolna, czy też wobec przyjazdu prezesa Sądu Apelacyjnego zawróci z powrotem do Łomży. Po niejakim czasie przyszła wiadomość, że Filochowski wrócił do Łomży i że przyjazd do Kolna został odłożony na październik. Ławnicy się rozjechali, uroczystość do skutku nie doszła.
W sądzie nie było żadnej roboty. Wpłynęło kilka powództw i na tym koniec. Po obiedzie kancelaria była nieczynna. Śliczny był słoneczny i ciepły dzień – jakby się lato odrodziło. Spędziłem kilka godzin po obiedzie w kancelarii u Lipki, z którym dobrze kwadrujemy i któremu w zaznajomieniu się ze sprawami i techniką śledztw dopomagam radami; poza tym przyglądałem się gołębiom moim, które już od tygodnia wypuszczam na dwór i które bardzo zabawnie odbywają pełny dla nich łamigłówek powrót do domu poprzez uchylony nieco tzw. oberluft kuchennego okna.

18 września, rok 1918, środa
Do obiadu sesja sądowa karna z ławnikami Nojdą i Orbikiem. Większość spraw – o pobicie i obelgi, tylko jedna sprawa, wielokrotnie już odraczana i dzisiaj odroczona znowuż – Iczkowskiego o kradzież kur, grubsza od innych. Zresztą dzisiejsze sprawy o pobicie były nieco ciekawsze i poważniejsze, niż zazwyczaj. W jednej z nich skazaliśmy niejakiego Stanisława Sawickiego, oskarżonego o gwałt nad osobą stryja – na miesiąc aresztu, co w naszej praktyce należy do szczególnie srogich wyjątków, bo zwykle pobicie i temu podobne przestępstwa są przez nas karane kilkudniowym aresztem. Że jednak w tym wypadku oskarżony był już powtórnie skazany za pobicie, względnie gwałt na osobie stryja – wymierzyliśmy mu karę ostrzejszą. Do obiadu sesja została zakończona.
W czasie sesji przyszła wiadomość, że na godz. 6 wieczorem przyjeżdża prezes Filochowski. Na tę godzinę zebrali się więc w sądzie, oprócz kancelarii naszej w komplecie – podsędek Lipko, notariusz Płoński, pisarz hipoteczny Mystkowski i z ławników Stachelski, Remba, Orbik, Jerozolimski i Rainko. Ławnicy Nojda i Cieloszczyk oraz zastępcy Karwowski, Szymański i Pliszka byli nieobecni, bo było za późno ich wezwać. Prezes przyjechał z opóźnieniem, koło godz. 7 ½, w towarzystwie młodego studenta Dąbrowskiego, buchaltera Sądu Okręgowego. Zabawi prezes cały dzień jutrzejszy. Jutro odbędzie się właściwa formalność wizytacji Sądu Pokoju, hipoteki, kancelarii notariusza i sędziego śledczego. Obrzędu zaprzysiężenia wszakże prezes dokonał dziś. Przysięgę odbierał prezes osobiście bez duchownego. Ja i ławnicy (osobno chrześcijanie i osobno Żydzi) złożyliśmy specjalną przysięgę sędziowską, reszta obecnych – przysięgę urzędniczą. Niemiła to była dla mnie ze względów politycznych formalność, chociaż w gruncie przysięga ta ma cechę nie ogólno-

poddańczą, jeno specjalną sędziowską, zastosowaną do obowiązku wymiaru sprawiedliwości, co łagodzi dla mnie jej przykrość. Jest w niej wprawdzie kilkakrotnie mowa o Ojczyźnie (Polsce) i Narodzie Polskim, o obowiązkach i wierności dla nich, ale w zakresie obowiązków urzędu sędziowskiego; dopóki urząd ten zajmuję i spełniam, słusznym jest, abym się w jego ramach obowiązkom dla Polski poddał. Po przysiędze i krótkim przemówieniu prezesa, zwróconym w szczególności do ławników Żydów o ich równości praw i obowiązków obywatelskich w wspólnej Ojczyźnie – rozeszliśmy się. My z prezesem i Lipką udaliśmy się na życzenie prezesa na krótką przechadzkę w śliczny księżycowy i więcej niż ciepły wieczór, drogą na Czerwone, skąd wróciliśmy do mnie na kolacyjkę i herbatkę, złożoną z przekąski (kiełbasa i masło), kaczki i kompotu z jabłek. Na kolację oprócz prezesa i Lipki był także student Dąbrowski. Po kolacji odprowadziliśmy prezesa do mieszkania Miętkiewicza, gdzie mu przygotowano nocleg, i na tym się skończyło.

19 września, rok 1918, czwartek
Prezes Filochowski bawi cały dzień w Kolnie. W godzinach urzędowych, oprócz obiadu, aż do zmroku prawie go nie widzę, bo jestem bardzo zajęty, mam badania pokrzywdzonych i świadków w paru śledztwach, oprócz tego protokołowanie skarg ustnych i czynności bieżące. Rewizji, która jest właściwym celem wizytacji, prezes u mnie nie dokonywa żadnej, bo mój sąd jest wzorowy, pierwszy w okręgu. Tylko młody buchalter, towarzyszący prezesowi, sprawdza rachunkowość kasową i na tym koniec. U notariusza i w hipotece prezes spędza czas dłuższy na wizytacji. O godz. 2 obiad zbiorowy dla prezesa w mieszkaniu Borawskich, użyczonym na ten cel przez gospodarzy. Na obiedzie uczestniczą w roli gospodarzy: ja, podsędek Lipko, notariusz Płoński, pisarz hipoteczny Mystkowski, ławnik Stachelski, sekretarz Miętkiewicz i obrońcy sądowi, dwaj nienawidzący się rywale – Goldberg i Lis. Pod wieczór idziemy z prezesem, Lipką i dr Dąbrowskim, któregośmy spotkali – na spacer do Gromadzyna. Poprzednio prezes w towarzystwie moim i Lipki składa wizytę dziekanowi Czarnowskiemu, gdzie z reguły toczy się niemiła dla mnie rozmowa antysemicka. Po spacerze skropionym deszczem prezes wraca do siebie na noc, my zaś z Lipką, Miętkiewiczem i buchalterem prezesa wstępujemy do mnie na herbatkę. Na tym kończy się ten dzień wizyty prezesa, dzień, którego nie lubię, bo nie znoszę tej roli przyjmowania przełożonego. Prezes jest dziś nawet w dobrym humorze, w usposobieniu trochę frywolnym, skłonnym do żartobliwości. Wszyscy się zachwycają „poczciwością” prezesa, tylko w duchu nie zachwycam się wcale ja. Widzę bowiem z jednej strony u wszystkich pewnego rodzaju umiarkowane płaszczenie się przed prezesem, zaglądanie mu w oczy, szukanie jego względów, zabieganie dyskretne o jego łaskawą uwagę, słowem – typowe urzędnicze zachowanie się wobec przełożonego, do czego się przecie nikt jawnie nie przyzna, z drugiej strony – pod płaszczykiem łaskawej dobroduszności i ciągłego powtarzania o swojej skromności, o niewywyższaniu się, z przeciwstawieniem stosunków obecnych stosunkom biurokratyczno-urzędniczym z czasów rosyjskich – tę samą typową, wieczystą czy to rosyjską, czy polską, czy jakąkolwiek bądź inną – butę zwierzchnika-biurokraty, ubraną w płaszczyk sztucznej dobroduszności, wyrażającą się w łaskawym protekcyjnym, w chwilach rozczulenia nad własną dobrocią i łaską, klepaniu podwładnych po ramieniu, w którym jest więcej lekceważenia i obłudy i więcej poniżenia dla podwładnych, niż w sztywnym i zimnym stosunku czysto służbowym.

20 września, rok 1918, piątek

Odjechał prezes. Skończyła się służba przyjmowania przełożonego. Stanowczo nie jestem stworzony na adiutanta. I nie znoszę tej roli, i nie mam do niej żadnych kwalifikacji i najmniejszych zdolności. Być w ogonku prezesa, wisieć u jego boku ze sforą podwładnych, oblegających „dygnitarza" i zaglądających mu chciwie w oczy – to dla mnie nieznośna męka i upokorzenie. Czuje się wtedy niewypowiedzianie znudzony i zniechęcony. Rola taka męczy mnie bardziej, niż najcięższa praca.
Po wyjeździe prezesa miałem w sądzie sesję cywilną z ławnikami Rembą i Rainką. Na sesji tej zasądziliśmy między innymi sprawami sprawę Zawistowskiego z Jeleniewiczami, sprawę karykatury pieniactwa. Przegrał ją Zawistowski wreszcie, bo inaczej być nie mogło. Że musi być wściekły – to pewne. Apelacja w sprawie tej nieunikniona.
Zresztą przez cały dzień czułem się nieswój; nie mogłem ochłonąć z wrażenia owej wizyty przełożonego. Do tego dochodziło jeszcze inne przykre uczucie. Jeszcze za mojej bytności ostatniej w Łomży wyczułem, że w sprawie mojej nominacji na sędziego okręgowego prezes jest coś nieszczery i zachowuje się co najmniej dziwnie, zwłaszcza po tak usilnych namowach i prośbach, którymi sam mnie skłonił do przyjęcia tej kandydatury. Zastanowiło mnie, że nic ze mną o tym nie mówił, jak gdyby nie było wcale moich wahań poprzednio i jego nalegań i próśb, posuniętych aż tak daleko, że sam się pofatygował do telefonu i namawiał mnie w tak gorących słowach, tyle prawiąc komplementów i tak mnie przekonując i zapewniając o tym, że wybór mój będzie zapewniony. Ponieważ bynajmniej nie kwapiłem się na ten „awans" i z niechęcią się godziłem na postawienie mej kandydatury, więc oczywiście na niepewne nie byłbym losu mej kandydatury narażał; prezes to zrozumiał dobrze i, aby moje zezwolenie uzyskać, nie szczędził zapewnień o tym, że kandydatura moja zostanie zatwierdzona. Tymczasem z chwilą, gdym na jej postawienie zezwolił, prezes tak o niej zamilkł, jakby nigdy mnie o to nie prosił i jakby jej wcale nie było. Natomiast wciąż akcentował w rozmowie ze mną ten szczegół, że ja tak przywiązany jestem do Kolna i że czekam lada sposobności, by uciec z sądownictwa polskiego na Litwę. Zapytywał mnie kilkakrotnie, czy już spodziewam się wkrótce znaleźć możność powrotu na Litwę. Wyczułem w tym wszystkim pewną nieszczerość i przygotowanie przez prezesa gruntu do tego, że nominacji nie otrzymam, aby móc mi po tym powiedzieć: *„tu l'as voulu, Georges Dandin!"*[90], bo przecież kolego, sam wolałeś Kolno nad Sąd Okręgowy i zresztą traktowałeś sądownictwo jeno ubocznie, dążąc myślami i wolą do Litwy, nie zaś do awansów w sądownictwie. Wyczuwałem w tej taktyce prezesa manewr skierowany do wystrychnięcia mnie na dudka. Potrzebna była mu widocznie kandydatura moja na figuranta, natomiast nominacja przygotowuje się widocznie dla kogoś innego, dla jakiegoś faworyta z kliki. Rzecz cała była inscenizowana bardzo sprytnie i pomysłowo, no i oczywiście w pozorach jak największej dobroduszności i łaskawości dla mnie. To mnie raziło, ale byłem i jestem dumny, aby się o krzywdę moją upomnieć. Nie na tym polegałaby krzywda, czy będę w Sądzie Okręgowym, czy pozostanę w Sądzie Pokoju w Kolnie, bo z wielu względów wolałem nawet zacisze kolneńskiego sądu od Sądu Okręgowego w Łomży, szczególnie wobec panujących tam przykrych stosunków, i niejeden raz żal mi ścisnął serce na myśl o porzuceniu mego Sądu Pokoju dla Sądu Okręgowego w Łomży, ale to mnie boli i miłość moją własną i dumę bodzie, że dałem się użyć za narzędzie zapewne jakiejś intryżki protekcyjnej i wystrychnąć łatwowiernie na dudka. Jeżeli już wbrew moim wątpieniom i niechęci kandydaturę postawiłem, ulegając prośbom i namowom, to nie po to, aby przy nominacji być pominiętym na rzecz innego kandydata. Gdyby to posunięcie nastąpiło gdzieś w Warszawie, byłoby to

[90] (franc.) sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

mi mniej przykre, ale w tym oto sęk, że czułem wyraźnie rękę prezesa, delikatnie moją nominację ubijającego.

21 września, rok 1918, sobota
W czasie obecnej wizyty prezesa Filochowskiego uderzyło mnie od razu znowu to samo, com dostrzegł za bytności mojej w Łomży. Znów ostentacyjne podkreślanie mojego przywiązania do Sądu Pokoju w Kolnie, mojej niechęci do przejścia na inne miejsce i moich zamiarów powrotu do Litwy; natomiast uporczywe milczenie o ewentualnej nominacji mojej do Łomży, jak żeby wcale kandydatura moja nie była postawiona i jak żeby się zapomniało o tym, że przecie nie kto inny, jak sam prezes, mnie do postawienia mej kandydatury namawiał, nalegał i prosił. Bóg mi świadkiem, że nie tęskniłem wcale do tej kandydatury, nie ubiegałem się o nią i nie uważam jej za jakieś osobliwe szczęście. Skoro jednak została ona raz postawiona, to bym miał za upokorzenie, gdyby ona upadła. Im więcej się opierałem postawieniu jej, im mniej się o nią ubiegałem, tym większy mam punkt honoru w tym, aby nie upaść sromotnie: skoro się już stało, skoro zezwoliłem na postawienie mej kandydatury, to niechże się już istotnie, niechże nie wyjdę jak żebrak, który prosił, a nie otrzymał. Nie chciałem wyciągać ręki, a jeżeli, ulegając prośbom, wyciągnąłem, toć cofnąć ją próżną jest upokorzeniem. Inaczej się rzecz ma dla tego, który sam rękę na wszystkie strony wyciąga. Zresztą mniejsza już byłoby nawet o sam ewentualny upadek kandydatury, gdybym tylko nie wyczuwał podstępne nieszczere faworyzowanie innej kandydatury przeciwko mojej ze strony tego, który mnie sam prosił i nalegał o postawienie jej. A taki właśnie przewrotny podstęp wyczuwałem w tych afektowanych nieszczerych mowach prezesa o moim przywiązaniu do Kolna i zamiaru powrotu do Litwy. Gniewało mnie to i raziło. Nie miałbym do prezesa żalu, gdyby kandydatura moja upadła bez jego woli i wiedzy, ale jego poprzednie prośby i namowy upoważniały mnie do tego, by żądać od niego lojalnego nieszkodzenia mnie i raczej poparcia. Nie omyliłem się, że kandydatura moja jest niepewna. Sam o to prezesa nie pytałem, bo jestem za dumny na to. On także, widocznie się w duchu wstydząc i krępując wobec mnie, nie wszczynał tego tematu. Ale gdyśmy szli na przechadzkę pozawczoraj wieczorem, dr Dąbrowski, który szedł z nami, wspomniał, że „panowie chcą od nas sędziego zabrać". Na to prezes sprowokowany tymi słowami oświadczył, że oni by bardzo chcieli widzieć mnie w swoim gronie, ale to jeszcze niepewne niestety – bo w liczbie trzech przedstawionych kandydatów jest jeden, który przebywa w obozie jeńców i dla którego byłoby to jedyną sposobnością do uwolnienia go przez nominację na sędziego, a że kandydat ów jest kolegą i osobistym przyjacielem Śmiarowskiego[91], który jest szefem sekcji osobowej w ministerium i od którego głównie zależy wybór kandydata do nominacji spośród przedstawionych, więc zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, że nie ja, lecz ten kandydat z obozu jeńców otrzyma nominację. Nie miałbym pretensji, gdyby to tylko ministerium zarządziło, ale posądzam, że jest w tym ręka prezesa Filochowskiego. Dla niego i jego kolegów z Sądu Okręgowego przekonania osobiste sędziego i jego zbliżenie do koterii endeckiej – są wielkim atutem i jeżeli ów kandydat-jeniec należy do tej koterii, to z pewnością będą go w swoim gronie woleli, niż mnie. Nie jest argumentem to, że nominacja ta byłaby jedyną sposobnością do uwolnienia jeńca, boć równą sposobnością byłoby mianowanie do Sądu Pokoju, nie wyłączając nawet do Kolna na moje miejsce.

[91] Eugeniusz Śmiarowski (1878-1932), prawnik, od 1906 należał do Koła Obrońców Politycznych, w czasie wojny związany z ruchem niepodległościowym, m. in. członek CKN i Stronnictwa Narodowo-Radykalnego. Organizator sądownictwa polskiego w l. 1917-1920. W Polsce niepodległej poseł z listy PSL „Wyzwolenie".

22 września, rok 1918, niedziela
Przez cały dzień, pomimo niedzieli, byłem zajęty. Musiałem napisać wyrok motywowany w spawie Jan Polewaczyka z Paulinem Polewaczykiem, zasądzonej w czwartek 12 września, następnie wyznaczyć na wokandy sprawy z ubiegłego tygodnia, dalej powyznaczać i zarządzić na różne terminy czynności w skomplikowanym śledztwie w sprawie okradzenia mieszkania Kawkiewicza w Kolnie, które prowadzę, wreszcie odbyć konferencję ze Stachelskim, który we wtorek i środę zastąpi mnie, wobec czego musiałem zreferować mu czynności przekazane na te dwa dni (we środę sesja karna). Zostałem bowiem wezwany na wtorek i środę do Łomży do Sądu Okręgowego dla uczestnictwa w sesjach Sądu Okręgowego. Wczoraj telefonował o to sędzia okręgowy Mieczkowski, zastępujący nieobecnego prezesa Filochowskiego. Dlaczego mnie wzywają – nie wiem; może w związku z ewentualną nominacją do Łomży, która choć, jak to pisałem, wydaje mi się zachwiana, to jednak przecie jeszcze w kandydaturze trwa; przypuszczam, że tak jest i że istotnie sędziowie w Łomży chcą spróbować mojego udziału w sesjach, bo choć słynę za najlepszego z sędziów pokoju, dotąd jednak nie zasiadałem na sesji z żadnym z sędziów. Wzywano mnie już raz w poprzednim tygodniu, ale że miałem wtedy codzienne sesje – nie pojechałem. Teraz również ze względu na sesję środową w Sądzie Pokoju chciałem się od jazdy wymówić, ale Mieczkowski nalegał i pojadę. W zasadzie sędziowie pokoju mogą być powoływani do udziału w sesjach Sądu Okręgowego, ale w praktyce, ze względu na koszta przejazdów – to się nie praktykowało, oprócz tylko w stosunku do sędziów pokoju z Łomży.

23 września, rok 1918, poniedziałek
Miały się dziś odbyć oględziny miejscowe w pewnej sprawie o zakłócenie posiadania w Kolnie. Zamiast wszakże do oględzin – doszło do wyłączenia się mojego i ławnika Nojdy od sądzenia sprawy. Chodziło bowiem o sprawę z powództwa pewnego Żyda, Górskiego, przeciwko trzem gospodarzom katolikom, którzy nie dopuszczają Żyda do zabudowania części placu, twierdząc, że sporna część placu należy do parafii katolickiej i jest w posiadaniu ogółu parafian, Górski natomiast twierdzi, że jest ona w jego posiadaniu. Goldberg stający z ramienia Górskiego, zgłosił przed oględzinami ekscepcję[92] z żądaniem wyłączenia świadków, powołanych przez stronę pozwaną, na tej zasadzie, że jako parafianie, są oni zainteresowani w osądzeniu sprawy na rzecz pozwanych. Wobec takiej ekscepcji my z Nojdą, uznając, że jeżeli mamy wyłączyć od świadczenia świadków jako zainteresowanych, to przede wszystkim z tejże zasady sami się, jako parafianie, od świadczenia wyłączyć musimy, co też uczyniliśmy. Trzeci z kompletu sądzącego, ławnik Jerozolimski, jako Żyd, nie miał zasady do wyłączenia się. Na miejsce moje i Nojdy wezwę do kompletu w sądzeniu tej sprawy ławników Orbika i Cieloszczyka, którzy we trzech z Jerozolimskim dokonają oględzin i wydadzą wyrok. Nawet rad jestem z tego, że nie będę potrzebował sprawy tej sądzić, bo ma ona pewną przykrą drażliwość o zabarwieniu zatargu żydowsko-katolickiego.
Po obiedzie byłem b. zajęty aż do wieczora badaniem aresztowanych, których mi przyprowadzono z aresztu w celu przesłuchania i powzięcia decyzji o zatrzymaniu ich w areszcie bądź uwolnieniu. Ze względu na nieobecność Lipki, który pojechał do Warszawy po żonę i dzieci – musiałem wykonać tę czynność za sędziego śledczego.

24 września, rok 1918, wtorek

[92] (łac. exceptio) – wyjątek; w prawie wskazanie przez pozwanego na jakąś niewłaściwość formalno-prawną pozwu w celu udaremnienia pretensji powoda i uniknięcie rozprawy.

Na dzień dzisiejszy i jutrzejszy wezwany zostałem do Sądu Okręgowego w Łomży dla udziału w sesjach. Na godz. 9 rano musiałem już być na miejscu. Toteż o godz. 6 rano wyjechałem z Kolna. Jechał ze mną rejent Płoński i młodziutka panna Hermanowska, nauczycielka z Kolna. Z nieznacznym opóźnieniem przybyłem do Łomży.
Sesja, na której zasiadłem, była cywilną I instancji. Przewodniczył sędzia okręgowy Mieczkowski przy udziale moim i sędziego pokoju z Jedwabnego. O sesji tej nie będę dużo pisał. Trwała ona do godz. 6 ½ wieczór z przerwą obiadową. Żadnej przyjemności w zasiadaniu nie miałem; doświadczyłem tylko, jak nudną jest rola sędziego na sesji, gdy się nie przewodniczy i nie kieruje rozprawą. O ile lubię sesje w moim sądzie, gdy je sam prowadzę, o tyle wysiadywanie posągowe, gdy się tylko zasiada bez kierowania tokiem rozprawy, jest nudne i męczące.
Wspomnę tu o innej rzeczy, która mnie dziś poruszyła mocno. Spotkałem się z prokuratorem Urbanowiczem, który mnie spytał w rozmowie, czy to prawda, że ja nie chcę przejść do Łomży na sędziego okręgowego pomimo przedstawienia mojej kandydatury przez Sąd Okręgowy. Odrzekłem, że owszem zgodziłem się. Na to Urbanowicz wyraził zdziwienie, że po cóż w takim razie prezes Filochowski podczas bytności w Łomży w ubiegłym tygodniu zastępcy prezesa Sądu Apelacyjnego z Warszawy wmawiał temuż, że ja sobie tej nominacji nie życzę, wolę pozostać w Kolnie i jeno się rwę do powrotu na Litwę, i że wobec tego prezes popiera spośród przedstawionych kandydaturę niejakiego Chełstowskiego. Urbanowicz słyszał tę rozmowę prezesa Filochowskiego z prezesem Sądu Apelacyjnego, którą zresztą nasz prezes prowadził półgłosem. Oczywiście więc moje podejrzenia sprawdzają się. Filochowski prowadzi podwójną grę. Dla uspokojenia żalów sądownictwa miejscowego, które było podrażnione tym, że przy pierwszej nominacji Duszyńskiego Sąd Okręgowy nie przedstawił ani jednego kandydata spośród sędziów z okręgu łomżyńskiego, wystawiono teraz moją kandydaturę, po cichu zaś jednocześnie prowadzi się pokątną kampanię na rzecz obalenia mojej kandydatury, a gdy ona upadnie, to się będzie mówiło, że „my przecież z naszej strony wystawiliśmy na pierwszego kandydata sędziego Römera, a że wyższe koła miarodajne dały komu innemu pierwszeństwo, to już nie od nas zależy”. Jednocześnie zaś, podkopując po cichu moją kandydaturę, wobec mnie się mówi, że „my byśmy bardzo pragnęli mieć u siebie kolegę, ale tam w ministerium Śmiarowski podobno faworyzuje Chełstowskiego jako swego przyjaciela, którego tą drogą chce wyrwać z obozu jeńców”.

25 września, rok 1918, środa
Dwulicowość postępowania prezesa, obłuda tej podwójnej gry, jednej pozornej i drugiej pokątnej, którą wyczułem już w zachowaniu się prezesa w stosunku do mnie i o której teraz przekonałem się dowodnie ze słów Urbanowicza, oburzała mnie i jednocześnie obrażała głęboko. Zaiste działanie takie jest co najmniej, mówiąc łagodnie – nielojalne. Urbanowicz był także oburzony. Siedząc w samym gnieździe tych stosunków, w których protekcjonizm i względy koterii grają przemożną rolę przy słabym i ulegającym wszelkim podszeptom prezesie, Urbanowicz, sam z natury prawy, chociaż trochę narwany, zna dobrze całą sieć intrygi i pokątnych machinacji, które kierują wszystkim w tym środowisku. Zresztą stara się on złagodzić winę osobistą prezesa, którego tłumaczy słabością charakteru i brakiem taktu. Co do mnie, to skłonny jestem srożej go sądzić. Moim zdaniem, Filochowski jest człowiekiem nie tylko słabym, ale także złym, jak złymi być potrafią właśnie ludzie słabi i niezdarni, pozbawieni pierwiastka szlachetności. Urbanowicz mi radził, abym niezwłocznie pojechał do Warszawy, udał się do Śmiarowskiego i kategorycznie mu oświadczył, że kandydaturę moją utrzymuję, nie myślę się jej zrzekać i protestuję przeciwko zakulisowym podszeptom o rzekomej

niechęci mojej do nominacji. Powiedział, że jeżeli jeszcze nie za późno, to przez pojechanie i takie oświadczenie niewątpliwie sparaliżuję intrygę, bo ministerium w zasadzie mocno stoi na gruncie przedstawiania do nominacji tego z kandydatów, którego kandydatura stoi na pierwszym miejscu, jak to właśnie zachodzi w stosunku do mnie. Nie miałem ochoty jechać do Warszawy, zarówno ze względu na koszt, jak na przykrość narzucania się i dobijania o nominację. Wolałbym o wiele uderzyć prosto na intrygę i obłudę śmiałym rzutem i najformalniej napisać do prezesa, nieobecnego w Łomży, z zarzutem podwójnej gry, zainterpelowaniem go o zasady takiego działania i żądaniem odwołania pokątnych machinacji. Urbanowicz jednak prosił mnie nie robić tego, bo to byłoby dlań drażliwe, gdyż wyglądałoby na to, że on mi doniósł o podsłuchanej rozmowie Filochowskiego z zastępcą prezesa Sądu Apelacyjnego. Urbanowicz przyrzekł mi natomiast, że on sam powie przy widzeniu się Filochowskiemu, że się na niego gniewam za to, co mówił zastępcy prezesa Sądu Apelacyjnego, o czym się dowiedziałem przypadkowo od Urbanowicza, który, nie domyślając się rzekomo pokątnej gry prezesa, sam mi o tym powiedział, zapytując, dlaczego nie chcę iść do Łomży. Musiałem się przychylić do zastrzeżeń Urbanowicza. Cokolwiek jednak zrobić musiałem. Nie chciałem jechać do Warszawy. Zamierzałem rozmówić się ze Śmiarowskim przez telefon, ale wreszcie wybrałem inną drogę. Napisałem do Śmiarowskiego list, który ułożyłem wspólnie z Urbanowiczem. W liście tym, nie wymieniając Filochowskiego, zaprotestowałem przeciwko szerzonym pogłoskom o tym, że się rzekomo zrzekłem kandydatury, zaznaczyłem, że kandydaturę i podanie o nominację utrzymuję w całej pełni i zastrzegłem się przeciwko kierowaniu się w sprawie tej nominacji jakimiś względami pokątnych wieści.

26 września, rok 1918, czwartek
Ano – po napisaniu listu do Śmiarowskiego będę czekał, jaki los spotka kwestię mojej nominacji. Zbytnio ubiegać się nie będę. Zrobiłem swoje. Na samej nominacji i przeniesieniu mnie do Łomży nie zależy mi tak bardzo. Chodzi mi bardziej o punkt honoru, o niedopuszczenie do zlekceważenia mnie, o zaznaczenie kategorycznej opozycji przeciwko nielojalnemu stosunkowi prezesa, niż o samą nominację jako taką. Czy będę mianowany, czy nie – to już inna rzecz. W warunkach, jakie się wytworzyły, rzeczywiście pragnąłbym, aby nominacja do skutku doszła, bez względu na to, czy sama przez się jest ona dla mnie lepsza od pozostania w Kolnie, czy nie. Pragnąłbym tego po prostu dla postawienia na swoim. Sprawa ta stała się dla mnie sprawą honoru. I ma ona zresztą znaczenie ogólniejsze, niż tylko osobista jakaś obraza honoru. Niedopuszczalny jest taki stosunek nielojalny do sędziów swego okręgu, na jaki sobie p. Filochowski pozwala. W mojej sprawie jest precedens i płazem tego puścić nie mogę. Protekcjonizm i czynownictwo, które Filochowski takimi metodami szczepi, jest gangreną w sądownictwie polskim. Nie zaczepiałem stosunków w Łomży, chociaż wiedziałem i wyczuwałem, jak brzydkie wzory się tam krzewić zaczynają (to było też jedną z przyczyn mojej niechęci do przejścia do Łomży), dopóki mnie one nie dotknęły. Teraz nie mogę puścić tego płazem. I dopnę swego, niezależnie nawet od nominacji. Przynajmniej to będzie, że praktyki protekcjonizmu i obłudy wyjdą na światło dzienne. Wyjdą one, gdyby nawet nominacja moja do skutku nie doszła. Bo od Urbanowicza Filochowski się dowie o moich zarzutach i wcześniej czy później będzie zmuszony do rozmówienia się ze mną, względnie mój list do Śmiarowskiego stać się może kluczem do wyjścia sprawy na światło dzienne. Filochowskiemu powiem rzecz całą bez ogródek, a co będzie dalej, dokąd się odwołam i jak – to dalszy tok wypadków okaże.
Wczoraj zasiadałem w Sądzie Okręgowym na sesji cywilnej apelacyjnej pod przewodnictwem Tramplera. Wieczorem – wczoraj – wróciłem do Kolna.

27 września, rok 1918, piątek
Pisząc o sprawie mojej nominacji, nie miałem miejsca na wzmiankę o sesjach sądowych, na których zasiadałem w Sądzie Okręgowym. I teraz też niedużo o nich powiem. Zanotuję tylko wrażenie z sesji apelacyjno-cywilnej, którą prowadził Trampler. Prawnik to zdolny, głowa dobra, ma rutynę sędziowską dużą, ale nie jest przyjemny na sesji i nie ma dużego taktu w roli kierownika rozpraw. Irytuje się, jest w stosunku do interesantów przykry, niecierpliwy, pozwala sobie na drwinki i docinki zgoła niewłaściwe i nie licujące z powagą bezstronności sędziowskiej, akcentuje ironicznie i lekceważąco stosunek swój do pewnych osób, w szczególności do Żydów, słowem – ma braków dużo, które mnie raziły. Nie ma w nim tej głębokiej i prostej powagi sędziego, który pracę swoją traktuje zupełnie przedmiotowo i rzetelnie, jak się spełnia obowiązek i czyn sumienia. Sądzenie bowiem zawsze jest aktem sumienia. Dla wymiaru i rzeczywistego wpływu sprawiedliwości na stosunki ludzkie, dla spełnienia jej roli kojącej w świadomości tych, co wobec sądu stają – nie wystarcza prawidłowy wyrok: duże znaczenie ma też osobiste sędziego na sądzie zachowanie się. W wyrokach jest Trampler bardzo dobry, w spełnianiu funkcji sędziego na rozprawie mam mu dużo do zarzucenia.
W mojej nieobecności w Sądzie Pokoju w Kolnie miała miejsce sesja karna w piątek, na której przewodniczył w moim zastępstwie Stachelski przy ławnikach Rembie i Nojdzie. Po powrocie przejrzałem akta spraw, na tej rozprawie zasądzonych. Tak protokoły, jak wyroki – znakomite. Znalazłem ledwie parę drobniutkich usterek. Zaiste olbrzymia większość naszych sądów pokoju wiejskich mogłaby jeszcze wziąć wzór z sądzenia naszych ławników i niejednego się nauczyć. Ławnicy moi są dobrze wyszkoleni i stoją na wysokości zadania. Ucieszyłem się z tego. Pracą i rzetelnym wysiłkiem można dopiąć rzeczy bardzo wielkich. Mój sąd – mogę to bez blagi i bez przechwałek powiedzieć – został przeze mnie podniesiony na wyżynę, z której może świecić przykładem bez skazy.
Dziś miałem sesję cywilną z ławnikami Rembą i Cieloszczykiem.

28 września, rok 1918, sobota
Dzień roboczy, jak inne. Parę spraw wpłynęło nowych; napisałem wyrok motywowany w sprawie Zawistowskiego z Jeleniewiczami. Po obiedzie roboty nie było. We wrześniu miałem bardzo dużo wyroków motywowanych do pisania. Prawdopodobnie wpłynie kilka apelacji. Ponieważ w ostatnich czasach wzrosła znaczenie ilość spraw grubszego kalibru, tysiącmarkowego szacunku, w których spór ma poważniejsze dla stron znaczenie, więc i ilość apelacji wzrosnąć powinna. Ciągłe drożenie wszelkich rzeczy doprowadza do tego, że tysiącmarkowe sprawy zaczynają dominować; ponieważ szacunek 1000 marek jest kresem właściwości sądów pokoju, więc strony wytaczające powództwa, nawet jeżeli przedmiot ich sporu ma wyższą wartość faktyczną, szacują je w sumie 1000 mk., by uniknąć kosztów i kłopotów udawania się do Łomży. Stąd coraz większy napływ grubych spraw, a im sprawy grubsze, tym większa skłonność u przegrywających do apelowania.

29 września, rok 1918, niedziela
Doszedłem do przekonania, że napisanie listu do Śmiarowskiego, jak to zrobiłem w Łomży, to jest za mało. Chodzi mi nie tylko o spróbowanie jeszcze odświeżenia mej kandydatury i uzyskanie nominacji wbrew zakulisowym zabiegom Filochowskiego, ale w większym jeszcze stopniu o to, by zdemaskować niegodne praktyki Filochowskiego, ewentualnie sprowokować jawny incydent, choćby się stał głośnym, co byłoby tym

lepiej. Toteż postanowiłem wystosować list bezpośrednio do wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie Leona Supińskiego[93], tego samego, który przyjeżdżał do Łomży i któremu Filochowski wmawiał, że ja się kandydatury zrzekam i że przeto należy mianować kogoś innego. Z Supińskim osobiście się nie znam, ale będzie on z pewnością pamiętać słowa Filochowskiego i przypuszczam, że mój list zwróci jego uwagę na sprzeczność twierdzeń Filochowskiego z moimi i zmusi do zastanowienia się nad taktyką Filochowskiego. Oto treść listu, który dziś napisałem i wysłałem do Supińskiego.

„Szanowny Panie Prezesie! Doszło do wiadomości mojej, że w czasie bytności Pańskiej w Łomży przedstawiono Panu, jakobym się zrzekł lub nie życzył sobie nominacji na stanowisko sędziego okręgowego w Łomży, na które to stanowisko kandydatura moja została przedstawiona przez Sąd Okręgowy w Łomży uchwałą Ogólnego Zebrania z d. 2 VIII rb., i, o ile mi wiadomo, na pierwszym miejscu z liczby trzech kandydatów. Spieszę zapewnić Pana, że nikogo nie upoważniałem do świadczenia o rzekomej niechęci objęcia przeze mnie tego stanowiska i że jeżeli istotnie tak Panu rzecz tę w Łomży przedstawiono, to robiono to bez mej wiedzy i woli. Kandydaturę moją i podanie o nominację utrzymuję w całej rozciągłości. Wprawdzie istotnie nie ubiegałem się o wybór Sądu Okręgowego i zgodziłem się na postawienie mej kandydatury jeno na wyraźną osobistą prośbę Pana Prezesa Filochowskiego, który kilkakrotnie ze mną o tym mówił i prosił, to przecież z chwilą, gdym kandydaturę postawił, stoję na tym, utrzymuję ją i nominacji życzę. Gdyby kandydatura moja miała upaść na rzecz jakiejś innej ze względów na kwalifikacje służbowe, przyjmę to bez szemrania, wszakże przeciwko pogłoskom o rzekomym zrzeczeniu się moim i kierowaniu się nimi przy nominacji – zastrzegam się. Ponieważ mnie doszły wieści o błędnym przedstawieniu Szanownemu Panu tej kwestii w Łomży, uważałem za wskazane skierować do Pana niniejsze sprostowanie. Łączę wyrazy prawdziwego szacunku. Michał Römer, sędzia pokoju w Kolnie. Kolno, 29 IX 1918”.

Dziś dzień moich imienin. Z tej okazji wystąpiłem z obiadkiem, na który zaprosiłem grono Kolnian. Dziś taki obiad z wódką na osób10-12 kosztuje przeszło 200 marek. Pomimo tak wielkiego kosztu, trudno tego nie zrobić, gdy każdy z kolei, nie wyłączając Miętkiewicza, biorącego 275 mk. miesięcznie, obchodzi w Kolnie swoje imieniny i zaprasza mnie na nie. Obiad odbył się w kancelarii Rady Opiekuńczej Powiatowej ze względu na to, że gotowała go Chodnicka w tymże domu. Były trzy flaszki wódki, cztery kury ugotowane z białym sosem na przekąskę, rosół z kur z krupami jęczmiennymi, pieczeń wołowa z kartoflami, kompot z jabłek i prawdziwa kawa czarna. Osób było ze mną i ze Stefusiem – 11, a mianowicie: Litwiński, aptekarz Gołaszewski, felczer Borawski, Stachelski, Miętkiewicz, Płoński, Mystkowski, Goldberg i Lis. Obiad upłynął przyjemnie, w dobrym humorze towarzyskim. Po obiedzie pierwsi przy kawie opuścili towarzystwo Litwiński, Gołaszewski i Borawski. Zostali sami sądownicy. Wtedy ja w kółku ściśle sądowniczym opowiedziałem detalicznie całą sprawę mojej kandydatury do Sądu Okręgowego w związku z dwulicową grą Filochowskiego. Wszyscy byli szczerze i głęboko oburzeni takimi praktykami w sądownictwie polskim.

30 września, rok 1918, poniedziałek

[93] Leon Władysław Supiński (1871-1950), prawnik, działacz polityczny, prezes Koła Prawników Polskich (1906-1932), współzałożyciel Towarzystwa Opieki nad Więźniami „Patronat”. W 1915 zastępca szefa Straży Obywatelskiej w Warszawie. W l.1917-1918 wiceprezes, a od 1919 prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Minister sprawiedliwości w l. 1918-1919. Od 1929 I prezes Sądu Najwyższego w Warszawie.

Wypadło mi dziś jechać z dr Dąbrowskim na sekcję zwłok. „Podsędek" Lipko już przeszło od tygodnia wyjechał do Warszawy po żonę i dzieci i dotąd nie wraca. Gdy wyjeżdżał, przyrzekłem mu, że go w nagłych wypadkach za wiedzą prokuratora zastąpię w takich czynnościach śledczych, jak sekcja zwłok lub zbadanie aresztowanych. Miał za trzy dni wrócić, ale dotąd go nie ma. Aż oto wczoraj przysłano meldunek z gminy Przytuły, że we wsi Romanach, odległej od Kolna ± 4 mile, dokonany został w nocy z piątku na sobotę mord, mianowicie żona z kochankiem zabiła męża i zwłoki wrzuciła do studni, gdzie je znaleziono. Nie było rady – musiałem jechać. Dr Dąbrowski wystarał się o konie powiatowe, toteż jazdę mieliśmy przynajmniej wygodną: para doskonałych rączych koni i bryczka szeroka resorowa. Przyjechaliśmy na miejsce koło godz. 11 przed południem. Oględziny miejsca i śladów zbrodni, sekcja zwłok i zbadanie w charakterze świadka sołtysa – zajęły nam czas do godz. 3. Zbrodnia okazała się ohydna, wstrząsająca grozą i dzikim charakterem. Zamordowany Stanisław Nerkowski był jeszcze człowiekiem młodym, w wieku 31 lat, silnym i ładnie zbudowanym. Przed kilku tygodniami zaledwie wrócił z Rosji do domu. Jako rezerwista był wzięty do wojska rosyjskiego, wyszedł cało z wojny i wrócił nieszczęsny do domu po to, by zginąć z rąk żony i jej kochanka. Kochanek ten, niejaki Rudzki z sąsiedniej wsi, zainstalował się był na stałe w domu Nerkowskiego, objął jego gospodarkę i miał już dziecko z żoną Nerkowskiego. Ustąpił wprawdzie z chwilą powrotu Nerkowskiego, ale pałał gniewem, szukał sprzeczki i bójki z prawowitym rywalem, są poszlaki, że czyhał nań kilkakrotnie z zamiarem prawdopodobnie morderstwa. Żona też hetera i Herod-baba, kochająca kochanka i nienawidząca męża, robiła mu piekło w domu i wygrażała się. W tymże domu z Nerkowskim mieszkała w sąsiedniej izbie siostra żony z siedmiorgiem dzieci, ladacznica i rajfurka, zakała obyczajów wsi, oraz trzecia siostra, głuchoniema. Nerkowski przez kilka tygodni mieszkał w tym gnieździe nienawiści, otoczony wrogami, czyhającymi na jego życie. Sąsiedzi mu radzili, aby ustąpił, bo zresztą grunt i gospodarka były własnością żony, ale on mówił, że się ustrzeże, bo sen ma lekki i czujny i w razie napaści da sobie radę, a może z czasem nastąpi zmiana w usposobieniu żony i wszystko będzie dobrze. Żałował tej gospodarki, w którą jeszcze przed wojną był włożył pracę. I oto w nocy z piątku na sobotę zamordowano go. Na gardle jest znak palców lewej ręki ludzkiej, na głowie parę ran od uderzenia tępym narzędziem. Gardło ściśnięte tak, że krtań uszkodzona. Śmierć nastąpiła od uduszenia. Ciosy w głowę zadane były w celu ogłuszenia ofiary. Oprócz tego są sińce na twarzy i nosie i nacięcia skóry na jądrach. Trup następnie wrzucony był do głębokiej dużej studni, ale już po śmierci, bo żadnych śladów wody w żołądku i płucach nie było. Żona, siostra żony i kochanek zostali ujęci i odesłani do więzienia do Łomży. Mordercy chcieli symulować śmierć Nerkowskiego.

1 października, rok 1918, wtorek
Wczoraj w czasie mojej nieobecności miała miejsce sesja cywilna, którą prowadzili sami ławnicy. Zasiadali ławnicy Remba i Orbik pod przewodnictwem Stachelskiego, sam kwiat ławników moich, najtęższy ich dobór. Sesja była trudna, było kilka skomplikowanych spraw, w ich liczbie jedna przykra, której pragnąłem uniknąć, toteż ze względu na tę jedną sprawę rad byłem nawet, że wyjeżdżam. Ławnicy dali sobie radę nieźle, chociaż jedną najtrudniejszą sprawę – o wykup majątku – w której stawali adwokaci Goldberg i Lis i wysilili cały swój spryt, aby zawikłać ją jak najbardziej kruczkami i ekscepcjami – ławnicy zostawili w stanie zupełnie nietkniętym; wobec spiętrzonych ekscepcji stanęli bezradni, spasowali i pod jakimś pretekstem ją odroczyli,

nie rozpoznawszy ekscepcji, które, jako zagadnienia prejudycjalne[94], powinny były być natychmiast rozważone i rozstrzygnięte. Trudno jednak żądać od ławników, ludzi, którzy nie tylko nie są prawnikami, ale nawet ogólnego wykształcenia gimnazjalnego nie mają i którzy ze sztuką sądzenia są obeznani li tylko z praktyki zasiadania u mego boku, aby potrafili bez zarzutu dać sobie radę z tym, co w sztuce sądzenia jest największą chińszczyzną mądrości jurydycznej – z subtelnymi kruczkami adwokackimi ekscepcji.
Dziś cały dzień upłynął ogromnie pracowicie. Rano do obiadu dokonałem z ławnikami Stachelskim i Rembą oględzin miejscowych w pewnym sporze o granice posiadania ogrodów w Kolnie w okolicy wiatraka. Po obiedzie wykończyłem protokół wczorajszych oględzin miejsca i śladów zbrodni w Romanach, który to protokół wraz z całą korespondencją i dowodami rzeczowymi przekazałem Lipce (Lipko wczoraj wrócił do Kolna i przywiózł ze sobą z Warszawy żonę i dzieci). Wreszcie wieczór aż do godz. 9 poświęciłem na pisanie wyroku motywowanego w sprawie Rogiński – Strumiawski, w której pozwany Strumiawski zamierza apelować.

2 października, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Sesja ciągnęła się długo, trwała do godz. 7, ale na ogół trudnych spraw nie było. Sprawa Lejby Kornackiego przeciwko Ickowi Baranowiczowi; stawali przeciwko sobie Goldberg z ramienia powoda i Lis z ramienia pozwanego. Samo to nowiną nie jest, bo coraz częściej nasi panowie „adwokaci" ścierają się bezpośrednio przeciwko sobie; ale dotąd się zawsze tak jakoś trafiało, że sprawy te były odraczane i żaden z adwokatów dotąd jeszcze kategorycznie nie zwyciężył. Tymczasem dzisiaj w tej sprawie doszło do wyroku i zwyciężył... Lis, chociaż na ogół jest on o wiele od Goldberga pod względem rozumienia prawa i sprytu – słabszy. W jednej ze spraw zaszła dziś rzecz przykra, która mnie zirytowała mocno. Było to w sprawie cywilnej Olszewskiego przeciwko jego żonie Olszewskiej i kochankowi tejże, sekretarzowi magistratu Janowi Antonowiczowi. Rzecz jest tego rodzaju. Podług przepisów Beselera[95] z r. 1917, konstytuujących sądownictwo polskie, sprawy dotyczące osób, należących do wojska niemieckiego lub do „służby wojskowej" niemieckiej, są wyłączone z zakresu właściwości sądów polskich. Osoby te korzystają z prawa eksterytorialności i ulegają sądom niemieckim w obrębie Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego. W początkach sądownictwa polskiego była w sądach polskich łatwo zrozumiała tendencja do ograniczającego traktowania tych restrykcji. Dążono do uznania za ulegających właściwości sądów polskich nawet takich urzędników okupacyjnych niemieckich, jak lekarze i weterynarze powiatowi, budowniczowie itd., którzy, chociaż należą do kompleksu organizacji okupacyjnej, jednak żadnych funkcji, z wojskowością jako taką związanych, nie pełnią. Władze niemieckie pośpieszyły jednak zastrzec, że wszyscy urzędnicy niemieccy w Polsce, wchodzący w skład organizacji okupacyjnej, należą do służby, czyli do orszaku wojskowego niemieckiego i, jako tacy, korzystają z eksterytorialności, ponieważ sama okupacja ma charakter instytucji wojennej. Trzeba się było z tym pogodzić. Aż oto niedawno Niemcy w drodze cyrkularzy jeszcze dalej rozszerzyły tę restrykcję eksterytorialności wobec sądów polskich, wyjaśniając, że nawet Polacy i poddani polscy, którzy są na służbie władz okupacyjnych, również z eksterytorialności tej korzystają. Lada tłumacz Żydek w

[94] (łac.) praeidicatus – przesądzający; termin prawniczy, oznaczający podstawę do podobnego orzekania w analogicznych wypadkach
[95] Hans Hartwig von Beseler (1850-1921), generał niemiecki, zdobywca Antwerpii (1914) i Modlina (1915), generał-gubernator w Warszawie (od VIII 1915 do XI 1918), zwierzchnik Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht) w l. 1917-1918.

urzędzie powiatowym, lada leśnik – chłop miejscowy, lada urzędniczek magistratu – może tą drogą uchylać się od właściwości sądów polskich. Nie mówię już o tym, że to ułatwia niesumiennym jednostkom uchylanie się w ogóle od wymiaru sprawiedliwości. Wyłączenie tych Polaków od jurysdykcji polskiej w stosunkach cywilnych, nie mających zgoła związku z ich działalnością służbową, jest anomalią i elementem poniżenia sądownictwa polskiego. I oto coraz częściej ludzie ci powołują się na tę „eksterytorialność" z arogancją i butą, którą sądy, niestety, zmuszone są tolerować i uwzględniać. Fakt taki zdarzył się w zeszłym tygodniu w Łomży, gdym zasiadał na sesji cywilnej Sądu Okręgowego. Adwokat Kulkin, stając w imieniu pozwanego, niejakiego Długozimy, zgłosił taką ekscepcję o niewłaściwości, składając dowód od władz niemieckich, że jego klient, prosty chłop, jest leśnikiem w leśnictwie okupacyjnym. Wszyscy byli na Kulkina oburzeni, że adwokat przy sądzie polskim z tego rodzaju ekscepcji, uwłaczającej godności sądownictwa polskiego, korzysta, ale sąd był zmuszony żądanie uwzględnić. Dziś z takąż ekscepcją wystąpił Antonowicz. Jest to, zdaniem moim, łajdactwo. Żąda się od Niemców przekazania administracji i innych agend państwowych w ręce polskie, a gdy oni oddali sądownictwo Polakom, tę jedyną poza szkolnictwem, sferę usamodzielnioną, to sami Polacy, jak tylko mogą, uchylają się od tego sądownictwa i korzystając z ograniczających restrykcji, ustanowionych przez Niemców, oświadczają: „Ja nie chcę, aby mnie sądził sąd polski – dla mnie właściwym jest sąd niemiecki". Hańba łajdakom, którzy nie wyczuwają całej ohydy i upokorzenia, jakie się w takich ekscepcjach dla sądownictwa polskiego wyraża. Może tego nie rozumieć prosty chłop, ale nie obrońca sądowy Kulkin i nie sekretarz magistratu Antonowicz. Z butą i arogancją depczą oni sądownictwo to, bo jest polskie i słabe, zależne od łaski Niemców. Niedługo się to już jednak skończy i oby pamiętano tym łajdakom ich podłość!

3 października, rok 1918, czwartek
Przyjazd Lipki ulżył mi w pracy. Nie spadają na mnie zastępczo bieżące czynności śledcze, jak to nieraz bywało. Oprócz tego, zrzuciłem na jego barki jedno uciążliwe śledztwo, które prokuratura była mnie pierwotnie poleciła i które zapełniło badaniem świadków wszystkie wolne dnie między sesjami z góry na cały prawie październik. Bez tych śledztw robota sądu pokoju nie jest wcale męcząca ani wielka, pomimo dużego napływu spraw. Zresztą we wrześniu dopływ spraw już był mniejszy, niż w sierpniu i czerwcu. Jak będzie w październiku – nie wiadomo, ale już samo kopanie kartofli, wypadające w tym miesiącu, działać będzie mitygująco na sądowe załatwianie porachunków.
Z gazet dowiaduję się, że Leon Supiński, wiceprezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie, ten sam, wobec którego Filochowski snuł swoją intrygę w sprawie mojej nominacji i do którego w niedzielę pisałem, zastrzegając się przeciwko pokątnym podszeptom w tej sprawie – podał się do dymisji. Nie jest mi to na rękę w przedsięwziętej przeze mnie kampanii, ale przypuszczam, że Supiński, po otrzymaniu mojego listu, skieruje go, dokąd należy. Nie znam Supińskiego i nie wiem dobrze, co to za jeden, ale z tego, co o nim słychać, jest to człowiek dzielny, którego dymisja jest stratą dla sądownictwa polskiego. Natomiast, jak słyszę, jest jedna ujemna nominacja w sądownictwie polskim – nominacja Franciszka Nowodworskiego[96], b. posła do Dumy z Warszawy, jednego z przywódców endeckich, dmowczyka czystej wody, na wysokie stanowisko bodajże prokuratora Sądu Apelacyjnego. O kandydaturze tej już było słychać poprzednio.

[96] Franciszek Nowodworski (1859-1924), adwokat, obrońca polityczny, redaktor nacz. „Kuriera Warszawskiego" w l. 1897-1899, poseł do Dumy Państwowej w l. 1906-1907, od 1918 prezes Izby Karnej Sądu Najwyższego, a od 1922 pierwszy prezes tegoż sądu, członek Komisji Kodyfikacyjnej RP.

Budziła ona w szerokich kołach sądownictwa niechęć jako kandydatura wybitnie polityczna i partyjna. Pomimo to doszła ona podobno do skutku. Endecy, po powrocie z „emigracji", sadowią się na wszystkich stanowiskach w tworzących się organach państwowości polskiej, zastrzegając placówki partyjne wszędzie, by móc we właściwym czasie sięgnąć znowu po berło polityczne dla Romana Dmowskiego i mieć oparcie wszędzie.
Na polach wojny i w świecie wielkich wypadków międzynarodowych – niezwykłe zdarzenia. Kto wie – czy nie zbliża się katastrofa Niemiec, gotując koniec wojny.

4 października, rok 1918, piątek
Sesja sądowa karna. Ławnicy – Jerozolimski i Rainko. Do godz. 4 sesję zakończyliśmy. Spraw było dużo, ale krótkie. Jedna tylko, co do treści bardzo łatwa i prosta, ale trudna co do kwalifikacji prawnej – zajęła nam dużo czasu. Był to bowiem akt samowoli, zabrania gwałtem cudzego mienia (siana z łąki, będącej w posiadaniu oskarżyciela, skoszonego przez tegoż oskarżyciela). Oskarżyciel zakwalifikował ten czyn jako kradzież i ja pierwotnie zakwalifikowałem takoż. Tymczasem stwierdzone zostało, że oskarżony, uważając łąkę za swoją własność, zagarniętą nieprawnie przez oskarżyciela, nie miał świadomości zaboru cudzej rzeczy i liczył, że urzeczywistnia swoje prawo. Nie była to więc kradzież, lecz samowola. Samowola wszakże w obowiązującym Kodeksie Karnym nie posiada odpowiedniego ściśle do niej zastosowanego artykułu. Trzeba więc było nagiąć do tego czynu pośrednio jeden z artykułów, traktujących o gwałcie na osobie. Skazaliśmy oskarżonego na 7 dni aresztu. Zasądziliśmy też dziś sprawę Chaima Iczkowskiego, którego uznaliśmy winnym kradzieży kury i wymierzyliśmy ostrą karę 6 miesięcy więzienia (najostrzejsza kara w mojej praktyce sędziowskiej), zawieszając wszakże ze względu na młody wiek skazanego, wykonanie kary na lat 3. Ja byłem za tym, aby zawieszenia wyroku nie dawać, bo kradzieże kur są plagą pospolitą w Kolnie, raczej chciałem wymierzyć karę mniejszą, ale ją wykonać, lecz Jerozolimski przeforsował swoje. Jerozolimski jednak, chociaż nie mogę mu odmówić uczciwości, jest jednak w pewnych sprawach żydowskich stronny i mam wrażenie, że bywa w sądzeniu spraw czasem w układzie z Goldbergiem; nie bierze zapłaty ani gościńców – o to go nie posądzam i jestem tego pewny, ale uważa się za uprawnionego do świadczenia pewnych uprzejmości i względów bądź dla Goldberga, bądź dla pewnych interesantów żydowskich. Że jest on w niektórych sprawach w konszachtach z Goldbergiem lub stronami – to wyczuwam. Zwykle też w takich sprawach po ustaleniu przez nas wyroku, przed napisaniem i ogłoszeniem go, wybiega z pokoju narad, zaaferowany, niby do wychodka, i jestem pewien, że po drodze podaje nowinę wyroku.

5 października, rok 1918, sobota
W Kolnie, jak w całym zresztą kraju, grasuje tzw. hiszpanka, choroba zbliżona do influenzy[97], która wszakże szerzy się epidemicznie. Cechy choroby takie, jak influenzy: zaziębienie, łamanie w kościach, ból głowy, gorączka. Te dwa ostatnie symptomata – ból głowy i gorączka – są w hiszpance szczególnie mocne. Pierwsze jej oznaki takie same, jak w zwykłym przeziębieniu. Ludzie w moim wieku i starsi mogą sobie przypomnieć, że przed laty dwudziestu kilku, w roku, jeżeli się nie mylę, 1891, influenza zawitała do Europy również epidemicznie, jak obecna hiszpanka; przechorowali na nią wtedy wszyscy masowo; influenza uchodziła wtedy za nową jakąś nieznaną chorobę; potem przez wiele lat spowszedniała i ukazywała się w oderwanych wypadkach, bez epidemicznego przebiegu. Być może, że hiszpanka jest tą samą

---
[97] Influenca (wł. influenza) – dawna nazwa grypy.

influenzą, która naraz znów epidemicznie się objawiła. Nazwę swoją hiszpanka zawdzięcza temu, że wybuchła na wiosnę czy też na początku lata rb. w Hiszpanii, gdzie od razu masowo poraziła całą ludność, a stamtąd epidemicznie przebiegła przez Europę Zachodnią i Środkową na wschód. W Polsce grasuje ona od miesiąca przeszło. Prawie wszyscy bez wyjątku zachorowują, tylko że jedni przechodzą ją lekko, inni bardzo ciężko. Z natury bagatelna, szczególnie gdy się dobrze zaszanować – miewa ona u niektórych osób przebieg bardzo złośliwy, który się ujawnia w niezmiernie silnej gorączce i przechodzi z łatwością w zapalenie płuc. Stąd w wielu wypadkach staje się ona śmiertelną. W Kolnie dużo już umarło z tej hiszpanki, zwłaszcza wśród młodzieży. Niektóre domy wyglądają jak szpitale: całe rodziny chorują. Tak chorują na hiszpankę w bardzo złośliwej formie wszyscy w domu moich gospodarzy Pikulińskich. Jeden syn ich, najsłabszy, kaleka Jaś, już umarł wczoraj, a prawdopodobnie umrze jeszcze mały Kazio i stara babka; sama Pikulińska już była bliska śmierci. Zachorowali też na hiszpankę w sądzie: kancelista Ranik i woźny Rogiński. Stefuś też niedomaga, ale lekko. Miętkiewicz też bardzo niezdrów. Ja się trzymam, a zresztą nie miałbym nic przeciwko przejściu przez tę chorobę i wyleżeniu się parę dni w łóżku.
Będę musiał wspomnieć w dzienniku o wypadkach międzynarodowych, niezwykle doniosłych, które być może zainicjują przesilenie na rzecz pokoju. Obyż wreszcie.

6 października, rok 1918, niedziela
„Nie mów: hop! – aż nie przeskoczysz". Doświadczyłem na sobie tego mądrego przysłowia. Twierdziłem, że hiszpanka mnie nie chwyci, aż oto dzisiaj w nocy zachorowałem. Zaczyna się katar, głowa ciężka, lekkie ziębienie. Toteż rano do godz. 11 nie wstawałem wcale. I może bym zresztą nawet przez cały dzień nie wstawał z łóżka, oprócz tylko na obiad, gdyby nie to, że wieczorem zaproszony jestem na imieniny do Stachelskiego i nie chcę tej gratki opuścić, zwłaszcza że wódeczka, którą się tam wypije, wcale dobrze działa na katar. Zresztą nie wiem jeszcze, czy to hiszpanka u mnie, czy pospolite przeziębienie.
U biednych Pikulińskich nowa strata. Nad ranem umarł ich 5-letni synek Kaziuk. Miłe to było dziecko, grzeczne i rozsądne, bodaj najmilsze ze wszystkich dzieci Pikulińskich. Gdy Maryńka w lutym bawiła w Kolnie, bardzo się mały Kaziuk do niej przywiązał i gdy mnie nie było w mieszkaniu, ciągle do niej przychodził i gawędził coś po swojemu. Maryńka potem z Wilna parokrotnie mu przysyłała na pamiątkę obrazki święte. Teraz umarła biedna dziecina. We dnie leżał na katafalku z obrazkiem od Maryni w rączkach i z tymże obrazkiem go złożono do trumienki i pochowano pod wieczór.
Duże poruszenie wywołały w Kolnie porozlepiane rano na mieście i przy kościele odezwy tajne, wzywające do rewolucji narodowej przeciwko Niemcom, ostro przeciwko nim i przeciwko zdrajcom polskim, trzymającym z Niemcami, a w tej liczbie i obecnemu rządowi polskiemu – powstające. Zanim Niemcy spostrzegli plakaty i zanim je zdarli, miasto już je przeczytać zdążyło. Na skutek tego przez cały dzień krążyły po Kolnie patrole żandarmerii pieszej uzbrojonej, aby przeciwdziałać ewentualnym rozruchom lub manifestacjom. Zdaje się, że odezwy te pochodziły od POW[98] czy też pokrewnych organizacji tajnych, które istnieją po wsiach wśród młodzieży, kierowane, o ile wiem, przez młodych nauczycieli ludowych.

[98] Polska Organizacja Wojskowa (POW) – tajna organizacja militarna powołana z inicjatywy J. Piłsudskiego w sierpniu 1914 w Warszawie oraz terenach Królestwa Polskiego zajętych przez Rosjan. Początkowo prowadziła antyrosyjską działalność wywiadowczo-dywersyjną, następnie od połowy 1915 zasilała swymi członkami I Brygadę Legionów Polskich. Po akcie z 5 listopada 1916 działała półlegalnie postanawiając oddać swoje siły Tymczasowej Radzie Stanu przy formowaniu wojska polskiego. Na początku 1917 liczyła 13 tysięcy członków. Od maja 1917 ponownie w konspiracji do władz

Moment jest dla Niemców bardzo krytyczny na wojnie i w sytuacji międzynarodowej. Na froncie zachodnim od połowy lipca trwa wielka ofensywa franko-anglo-amerykańska. Posiłki i technika amerykańska robią skutecznie swoje. Straszliwe tanki („czołgi") łamią wszelkie pozycje. Setki tysięcy Niemców już się dostały do niewoli. A ofensywa trwa. Niemcy nie tylko, że wyparci zostali z terenów, które zajęli we Francji na wiosnę i na początku lata roku bieżącego, ale nie zdołali się nawet utrzymać na swojej zasadniczej linii frontu, zwanej linią Hindenburga albo Zygfryda. Kurczy się i piędź za piędzią podaje ich linia na wschód. Zresztą już i wojska niemieckie nie mają tej, co dawniej, ochoty do walki ani wiary w zwycięstwo. Wciąż słychać tłumione wieści o burzeniu się załóg i oddziałów niemieckich, stojących wewnątrz Niemiec w kraju. Świadomość przegranej zaczyna się szerzyć w narodzie niemieckim. Poczucie bezcelowości walki demoralizuje wolę wojenną Niemiec. I w takim to momencie przychodzi kapitulacja Bułgarii wobec koalicji, pęknięcie pierwszego ogniwa w łańcuchu sprzymierzeńców mocarstw centralnych. Cios bułgarski uderzył boleśnie Niemcy i ich sprawę. Wielka porażka bułgarska w Macedonii i klęska Turków w Palestynie, łącząc się z niepowodzeniem Niemiec na zachodzie wytworzyła wielkie załamanie się w dziele niemieckim. Kapitulacja Bułgarii kruszy spoistość dzieła. Za Bułgarią odpadnie Turcja, bo nawet zmuszona będzie odpaść z chwilą, gdy zostanie odcięta. Austria też patrzy tylko, którędy się wymknąć ze związku z Niemcami, tak, aby jednak uniknąć własnego rozbicia. Wewnątrz Austrii proces rozkładowy, zasilany przez sprawy jugosłowiańską, czesko-słowacką i polską – rośnie i rozsadza skorupę bytowania państwowego. Pod wpływem tych procesów w samych Niemczech dokonywa się przewrót wewnętrzny głęboki, o którym już z braku miejsca pisać nie będę.

7 października, rok 1918, poniedziałek
Wczoraj na imieninach u Stachelskiego było kilkanaście osób gości. Oprócz zwykłych gości naszego „towarzystwa" kolneńskiego (ja, zastępca sędziego śledczego Lipko, pisarz hipoteczny Mystkowski, sekretarz mój Miętkiewicz, nowo kreowany sekretarz sędziego śledczego Rainko, aptekarz Gołaszewski, felczer Borawski, obrońca sądowy Lis, mój siostrzeniec Stefuś) – było jeszcze kilka nowych osób, którzy zwykle na naszych uroczystościach imieninowych nie bywali, jak korepetytor student Hałuszkiewicz, organista i kilku byłych urzędników powiatu z czasów rosyjskich, którzy w ostatnich czasach popowracali z uchodźstwa z Rosji. Na tak liczne grono gości nie było miejsca w ciasnym mieszkanku Stachelskiego, toteż przyjęcie i uczta odbyły się w sklepie, a za stół służyła lada sklepowa. Wódki było do syta, ile dusza zapragnęła, na przekąskę była kiełbasa i kiszka pasztetowa, grzybki i rydze marynowane, po tym wyborne serdelki gorące własnego wyrobu z chrzanem i musztardą, wreszcie świeża tłusta polędwica wieprzowa, do niej kapusta tuszona czyli tzw. bigos albo buraczki lub kartofle, wreszcie – kawa czarna naturalna. Po kolacji część towarzystwa się rozeszła, garstka zaś pozostałych zasiadła do stolika zielonego do kart. Grano w banczek polski. Gra była nawet gruba, bywały banki po paręset marek. Rainko i Borawski prześcigali się w hazardzie. Po północy warta niemiecka, dziś szczególnie czujna po wczorajszym wypadku z odezwami rewolucyjnymi, słysząc z zewnątrz gwar w sklepie Stachelskiego i widząc światło przez szpary, wkroczyła do lokalu. Podoficer warty zanotował nazwiska obecnych i na tym się zajście wyczerpało. Spodziewam się, że konsekwencji

---

niemieckich, które dokonały licznych aresztowań jej członków. Po aresztowaniu Piłsudskiego Komendantem Głównym został E. Rydz-Śmigły. Rozciągnęła wówczas swą działalność na Galicję, zabór pruski, Białoruś, Ukrainę i Rosję. W 1918 podejmowała akcje dywersyjne przeciwko państwom centralnym, następnie zaś brała udział w rozbrajaniu wojsk austriackich i niemieckich.

mieć to nie będzie. Wkrótce potem ja poszedłem do domu, a grono najzapaleńszych karciarzy – Mystkowski, Rainko, Miętkiewicz, Borawski – jeszcze pozostali i do rana rznęli w karty.
Pomimo późnego położenia się i dobrej porcji wódki z wieczora – nie czułem się dziś zbyt zmęczony. Na moją „hiszpankę" wódka wczorajsza podziałała dobrze, ale jeszcze zupełnie zdrów nie jestem. Dziwnie jednak, że przy przeziębieniu i kaszlu, który się wywiązał, kataru nie mam wcale. Gdyby nie sesja sądowa dzisiaj, byłbym się położył do łóżka zaraz po południu. Ze względu na sesję musiałem aż do zmroku pracować, a potem zjadłem obiad i po godz. 6 położyłem się do łóżka.
Zasiadali dziś na sesji ławnicy Jerozolimski i Nojda. Sprawy były niezbyt trudne, ale że w kilku sprawach stawali z obydwóch stron adwokaci, którzy walczą ze sobą niesłychanie zaciekle i mnożą trudności kruczkami i komplikacjami, więc się parę spraw tak przewlekło, że cała moja sesja się na skutek tego przeciągła nad miarę w stosunku do wagi i ciężaru spraw.

8 października, rok 1918, wtorek
Jeżeli to u mnie „hiszpanka", to w bardzo lekkiej postaci. Daj Boże zawsze takiej choroby, gdy już chorować trzeba. Trochę głowa ciężka, lekki szum w głowie, stan podgorączkowy, kaszel, kataru żadnego. Główna rzecz, żeby się nie zaziębić i dobrze wyleżeć w łóżku. Toteż dziś koło godz. 4 po południu już się położyłem.
Może jesteśmy u progu pokoju. Nowy rząd niemiecki zwrócił się do Wilsona[99] z prośbą przyjęcia na siebie inicjatywy do nawiązania rokowań pokojowych powszechnych na zasadach znanych 14 punktów pokojowego programu Wilsona. Jest to kapitulacja Niemiec przynajmniej w stosunku do zasad. W szczegółach konkretnych Niemcy liczą zapewne na względność i utargowanie jeszcze czegokolwiek w sprawach tak dla nich ciężkich i żywotnych, jak sprawa ich kolonii, sprawa Alzacji i Lotaryngii, sprawa ewentualnej restytucji prowincji polskich na rzecz zjednoczenia Polski. W najbliższych dniach się zapewne okaże, czy Wilson i koalicja skłonne będą propozycję niemiecką o rokowaniach przyjąć, czy też żądać kapitulacji już nie tylko co do zasad, ale całkowitej i natychmiastowej na łaskę i niełaskę. Nie to jednak jest najważniejsze, że Niemcy zrezygnowały urzędowo z tzw. pokoju niemieckiego i skapitulowały wobec zasad Wilsona. Gdyby się to nie łączyło z głębokim przewrotem wewnętrznym, mogłoby to być tylko wyrazem obłudy powierzchownej pokonanego drapieżnika, któremu już sił nie starczy do dyktatury zwycięskiej i nawet walki dłuższej. Najdonioślejszym faktem jest głęboka przemiana wewnętrzna, dokonana w Niemczech, przewrót od rządów autokratycznych na rzecz rządów ściśle parlamentarnych. Oznacza to zwycięstwo ludowładztwa w Niemczech, upadek cezaryzmu i prusowładztwa. W nowym rządzie parlamentarnym, na którego czele stanął w charakterze kanclerza demokratyczny książę Maksymilian Badeński[100], są przedstawiciele stronnictw większości parlamentarnej od Centrum katolickiego do socjalisty Scheidemanna.[101] Jest to więc pierwszy rząd ludowy w cesarskich Niemczech, kres panowaniu junkrów, ostoi reakcji w Europie.

---

[99] Woodrow Thomas Wilson (1856-1924), prezydent Stanów Zjednoczonych z ramienia Partii Demokratycznej w latach 1913-1921.
[100] Maksymilian (Max) Alexander Friedrich Wilhelm von Baden (1867-1929), książę Baden, w czasie wojny działał w komitecie pomocy jeńcom wojennym. Znany z liberalnych poglądów, powołany na stanowisko kanclerza 3 X 1918 r. Już 9 XI 1918 ogłosił abdykację Wilhelma II i przekazał władzę kanclerza Rzeszy Friedrichowi Ebertowi.
[101] Philipp Scheidemann (1865-1939), polityk niemiecki, jeden z przywódców prawicy SPD, stał na czele pierwszego koalicyjnego rządu Republiki Weimarskiej (II-VI 1919), wieloletni deputowany do Reichstagu, od 1933 na emigracji.

9 października, rok 1918, środa
Sesja sądowa. Ławnicy – Jerozolimski i Stachelski. Zakończyliśmy dziś jedną z najstarszych spraw, która się wlokła od jesieni roku przeszłego – sprawę Baranowicza z Rogińskimi. Poza tym, było jeszcze parę innych grubszych, w tej liczbie sprawa z powództwa rejenta Płońskiego przeciwko Garbowiczowi o 1000 mk. zwrotu części ceny za krowę z powodu wady ukrytej.
Wieczorem przyjechali do Kolna prokurator Urbanowicz z nowo mianowanym sędzią śledczym na powiat kolneński, niejakim Makowskim. Jest to człowiek starszy, Łomżyniak rodem, który przez lat 23 przesłużył sędzią śledczym w głębokiej Rosji w guberni ufańskiej[102] na granicy Azji, skąd go wygnała teraz rewolucja bolszewicka. W Warszawie jest teraz taki nawał sądowników Polaków wracających z Rosji i ubiegających się w Ministerium Sprawiedliwości o posady, że już nawet tacy starzy i wytrawni sędziowie śledczy, jak oto Makowski, zaledwie na najpodrzędniejsze posady, jak do Kolna, dostać się mogą. Wobec przyjazdu Makowskiego nasz podsędek Lipko będzie musiał zwijać skrzydła i przenosić się do Łomży, gdzie będzie używany przez Sąd Okręgowy do poszczególnych doraźnych zastępstw. Prokurator przywiózł mi wiadomość, że moja nominacja do Sądu Okręgowego jest zapewniona; formalnie nie jest ona jeszcze przez Radę Regencyjną podpisana, ale już przez ministra Higersbergera[103] ostatecznie ustalona i do zatwierdzenia Rady Regencyjnej skierowana. Rad jestem z tego, nie tyle ze względu na to nowe stanowisko, które w łomżyńskich stosunkach Sądu Okręgowego bynajmniej mi się tak słonecznie nie uśmiecha, ile ze względu na zadowolenie moralne, że zlekceważenie mojej kandydatury przez prezesa Filochowskiego, o czym pisałem – nie stało się faktem dokonanym. Jest też nowina w sądzie: sędzia Trampler podał się do dymisji.
Nie ma jeszcze wieści o odpowiedzi Wilsona na niemiecką prośbę o pokój. Ale że nic już nie wstrzyma pochodu do pokoju – to zdaje mi się być pewne. Jeżeli nawet prezydent Wilson i koalicja dadzą w odpowiedzi swojej Niemcom zastrzeżenia tak ciężkie, które zdadzą się nie do przyjęcia nawet obecnemu rządowi niemieckiemu, to w takim razie innego wyjścia dla Niemiec nie będzie, bo już dłużej wytrzymać nie będą w stanie i jeżeli się jeszcze uprą, to za pierwszą falą przewrotu, która się w Niemczech już dokonała, przyjdzie fala z dołu od masy ludowej druga, która jeszcze głębszy wewnątrz rewolucji przewrót dokona i za wszelką cenę po pokój sięgnie. Niemcy są już bowiem u kresu wytrzymałości ludzkiej. Ale przewrót, który się w Niemczech dokonał, jest już w istocie rewolucją. Obalił on stary *régime* tego Cesarstwa, dał narodowi niemieckiemu przewagę nad duchem i ideą Prus, która upadła w gruzy. Konsekwencje tego muszą być ogromne. Już bezpośrednio w krajach i ludach przez pierścień mocarstw centralnych ogarniętych, tchnął powiew emancypacji jako pierwszy skutek przewrotu niemieckiego. W szczególności w Polsce Rada Regencyjna wydała odezwę do narodu, obwieszczającą spełnienie rychłe Polski zjednoczonej, rozwiązującą Radę Stanu i proklamującą sejm ludowy ustawodawczy. Jest to więc droga do konstytuanty i do dalszych zdobyczy ludu – której nikt i nic nie wstrzyma. Niemniej z pewnością i dla Litwy zaświta nowa era, a w każdym razie musi się i tam rychło rozpocząć przejmowanie agend państwowych przez kraj w swoje ręce, w tej liczbie w pierwszym rzędzie i sądownictwa. Świtać więc zaczyna i dla mnie perspektywa ewentualnego, może już rychło, powrotu do Litwy.

10 października, rok 1918, czwartek

[102] Właściwie: ufimskiej.
[103] Józef Higersberger (1856-1921), prawnik, minister sprawiedliwości w gabinecie J. Steczkowskiego (IV-IX 1918) i J. Świeżyńskiego (23 X – 3 XI 1918).

Ostatnie wypadki od klęski bułgarskiej do przewrotu w Niemczech i przyjęcia przez Niemców słynnych 14 punktów Wilsona przebiegły z tak piorunującą szybkością, że trudno się oswoić z sytuacją, wobec której stoimy. Co za olbrzymi zwrot od lata roku bieżącego do chwili obecnej. Wojna jest wspaniała w wielkości obrazów i perspektyw, które kreśli rzutami mocnymi, a tak tworzy przemiany szybko i stanowczo, że myśl ludzka ledwie im nadążyć może. Wszystkie przecież przemiany i zwroty są w niej doskonale konsekwentne i proste, jak prostym i stanowczym jest Czyn. Te kilka lat, w których od roku 1914 żyjemy, są wstrząsem tak wielkim w historii ludzkości, jaki zazwyczaj przez szereg pokoleń się stopniowo nieznacznie dokonywał.
Stanowczej odpowiedzi na prośbę pokojową niemiecką jeszcze nie ma. Ukazała się natomiast wiadomość o nocie, jaką Wilson za pośrednictwem poselstwa szwajcarskiego skierował do mocarstw centralnych w przedmiocie ich prośby pokojowej. Nota ta zawiera trzy zapytania, skierowane do mocarstw centralnych; zapytania, względnie zastrzeżenia, które nazwać można prejudycjalnymi. Można je streścić tak: 1. aby dać odpowiedź prostą i krótką, stosowną do wagi przedmiotu, Wilson zapytuje, czy można tak pojmować propozycję niemiecką, że Niemcy są zgodne na przyjęcie nie tylko zasad, ale i konkretnego programu pokojowego Wilsona we wszystkich warunkach i szczegółach, i czy przeto rokowania, które Niemcy proponują, mają w ich przekonaniu dotyczyć li tylko praktycznego wykonania programu, nie zaś układania warunków; 2. Wilson zastrzega, że nie może się podjąć skierowania swych dobrych usług pośrednictwa pokojowego do sprzymierzeńców swych w koalicji, dopóki Niemcy stoją na terytorium tychże sprzymierzeńców; 3. Wilson zapytuje, podkreślając wagę tego pytania, czy rząd niemiecki przemawia w swej propozycji w imieniu tych potęg, które dotąd kierowały wojną i polityką niemiecką. Takie są trzy zapytania, względnie zastrzeżenia Wilsona. Tkwi w nich jądro zagadnienia pokojowego. Od odpowiedzi niemieckiej na nie zależeć będzie oczywiście „tak" albo „nie" Wilsona, a za Wilsonem koalicji. Ciężką jest odpowiedź dla Niemców, które chcą pogodzić konieczność pokoju z pozorami honoru i zastrzeżeniem możności jeszcze targu. Z tych trzech pytań najprostsze jest drugie. W nim mieści się kategoryczne zastrzeżenie ustąpienia z terytoriów okupowanych. Pytanie pierwsze jest przyparciem Niemców do muru; daje się ono uprościć do formuły: czy oddajecie się na łaskę i wolę naszą, czy też myślicie o targach?; czy poddajecie się bez zastrzeżeń warunkom i zgadzacie się pertraktować jeno o wykonaniu naszej woli, czy też marzycie jeszcze o kompromisie między naszą wolą a waszą? W pierwszym wypadku odpowiemy wam „tak", w drugim „nie". Najbardziej sfinksowe jest pytanie trzecie. Jeżeli na nie Niemcy odpowiedzą, że przemawiają w imieniu potęg dotychczasowych, to znaczy Hohenzolernów, Hindenburga, Kruppa, junkrów itd., to Wilson może odrzec: z nimi nic do mówienia nie mamy i z wami też mówić nie będziemy, dopóki ich imienia używacie. Jeżeli odpowiedzą: „mówimy w imieniu ludu niemieckiego, w imieniu niemieckiej wyzwolonej demokracji" – może im odrzec Wilson: pokażcie nam wpierw lub dajcie gwarancję, żeście swe stare złe potęgi zniszczyli i obezwładnili u siebie.

11 października, rok 1918, piątek
Miałem sesję sądową cywilną z ławnikami Rainką i Stachelskim. Do zmroku sesja się skończyła, a byłaby się skończyła znacznie wcześniej, gdyby nie stawali w jednej ze spraw z obydwóch stron adwokaci. Ci dwaj rywale nasi – Goldberg i Lis – zaczynają się stawać *des enfants terribles* sądu. Tak się roznamiętniają, tak są wściekli na siebie, tak dyszą pragnieniem zwycięstwa a pognębienia przeciwnika, że nie znają miary w mnożeniu kruczków i ekscepcji, wpisywaniu zastrzeżeń do protokołu, łapaniu siebie nawzajem na słówkach, a w badaniu świadków są tak nieznośnie pedantyczni, że każda

poszczególna czynność w sprawie wyrasta do olbrzymich rozmiarów i sprawa się ciągnie żółwim krokiem godzinami. Ma rację Miętkiewicz, że jeżeli się znajdzie w Kolnie jeszcze trzeci adwokat, to chyba sesje będą trwały przez całą noc aż do rana. Zamiast być pomocnikami sądu i ułatwić zadanie przez uproszczenie sprawy i uwydatnienie stanowiska prawa, komplikują oni i zaciemniają wszelkimi siłami to, czego się dotkną. Są zacieklejsi w sporze od samych stron; te ostatnie są przeważnie bardziej skłonne do pojednania, niż ich rzecznicy – adwokaci. Względy konkurencji roznamiętniają tych rywali, którzy się stają przez to klęską i plagą dla sądu. Kieruje nimi nie tyle nawet interes klientów, ile właśnie ta konkurencja zawodowa i zazdrość. Gdy jeden z nich staje – jest dobrze, ale gdy obaj – rozpacz ogarnia, bo nie ma na ich namiętność lekarstwa. Goldberg staje się wtedy niemożliwy, rzuca się, nie daje pohamować, każde przemówienie zaprawia jadowitą ironią i złośliwymi drwinami z Lisa, staje się po prostu w stosunku do rywala impertynencki. Lis z pozoru jest grzeczniejszy, o wiele bardziej taktowny, słodszy, ale w kruczkach, ekscepcjach i torturowaniu świadków indagacją nie ustępuje Goldbergowi, a że sam się czuje od rywala technicznie słabszy, więc tym serdeczniej go nienawidzi i obmawia za plecami w sposób aż przesadny i brzydki.

12 października, rok 1918, sobota
Miałem dziś wyjazd do Lemana dla zbadania świadka w pewnym śledztwie w sprawie o kradzież w nocy kartofli ze stodoły. Chodziło o zbadanie matki poszkodowanej, staruszki około 100-letniej (tyle przynajmniej sobie stara liczy, dodając sobie z pewnością lat 10 dla okrągłej liczby pięknych lat wieku). Wzywałem ją dwukrotnie do Kolna, ale się nie stawiła, bo nie była w stanie. Musiałem więc sam jechać do niej, choć chodziło o jedno tylko malutkie acz nader ważne w sprawie pytanie: czy staruszka istotnie zamknęła z wieczora stodołę na kłódkę, czy też kłódki nie zamknęła. To jedno pytanie mogło być równie dobrze zadane starej przez wójta lub sołtysa, ale zasada prowadzenia śledztwa wymaga zbadania świadka bezpośrednio przez sędziego śledczego. Dla usłyszenia więc tej jednej krótkiej odpowiedzi i dla zaprotokołowania jej – musiałem przebyć 3 mile drogi tam i 3 mile z powrotem, brać furmankę nakazową, męczyć parę koni i woźnicę. Nie było jednak innej rady. Ale za to dzień wypadł do jazdy śliczny, jakby specjalnie obstalowany u Boga dla tej podróży. Leniłem się jechać, ale gdym pojechał – nie żałowałem. Dzień był pochmurny bez wiatru, ale tak ciepły, jak w lipcu. Zabrałem ze sobą mego kancelistę Ranika, aby nie było nudno samemu jechać. Wyjechaliśmy z Kolna o godz. 8 rano. Koniki mieliśmy dobre. Jechaliśmy dalszą drogą, nie znając bliższej. Z Kozła zamiast wprost – pojechaliśmy przez Łachę i Zimną, wzdłuż granicy pruskiej. Ślicznie jest na Puszczy zawsze, o każdej porze roku. Wioski puszczańskie, rozrzucone wśród piasków i wielkich przestrzeni łąk, zawsze w ramach borów, pełne smukłych drzew, przedstawiają piękny widok. Charakterystyczne są domy Kurpiów i ozdoby na szczytach, framugach, kolumienkach bocznych i rogach ścian, okiennicach i ganeczkach. Szczególnie ciekawe w kształcie i ozdobach rzeźby drzewnej są ganeczki w Zimnej, malowane w różne barwy. W Lemanie po krótkim zbadaniu świadka wstąpiłem na plebanię do gościnnego proboszcza Ramotowskiego, który mnie przyjął obiadem, jakiego się nie zwykło jadać w tych chudych czasach. Zaiste w tej głodowej epoce, w której żyjemy, człowiek staje się wrażliwy na poezję smaku; suty i smaczny obiad jest odczuwany nie mniej subtelnie i estetycznie, jak wszelkie inne dzieło sztuki dla innego rodzaju zmysłów. Kilka gatunków kiełbas domowych, chleb pytlowy domowego wypieku, wyborna tłusta świnina solona, rydze marynowane w occie i rydze gotowane przyrządzone z cebulką na zimno, wreszcie świetny barszcz buraczkowy, dobrze zabielony śmietaną – oto uczta luksusowa na te czasy, jaką mi

ksiądz proboszcz sprawił. Wracałem z Lemanu inną drogą, borem, przecinając Puszczę ku południowi do szosy myszynieckiej, na którą wyjechaliśmy koło Ptaków nad Pissą.

13 października, rok 1918, niedziela
Dalszych konkretnych nowin pokojowych nie ma. Stoimy tymczasem na punkcie oczekiwania odpowiedzi rządu Niemiec na trzy zapytania Wilsona, po której dopiero nastąpi właściwa wielka odpowiedź Wilsona: Tak albo Nie.
Tymczasem nowy rząd niemiecki już zaznacza zmianę stosunku do terenów okupowanych. Orędzie Rady Regencyjnej do Narodu, proklamujące Sejm Konstytucyjny i zjednoczenie Polski, wydane zostało oczywiście za wiedzą rządu niemieckiego, który dał swobodę w proklamowaniu haseł dowolnych narodowi polskiemu.[104] Obecnie ogłoszone zostało przez Niemców zniesienie przepustek do ruchu wewnątrz Królestwa i zapowiedź przekazania administracji krajowej w ręce polskie. Nie ulega wątpliwości, że analogiczna akcja będzie zastosowana przez rząd niemiecki i do Litwy, bo wypływa z jednej zasadniczej metody stosunku Niemiec do okupacji. Tam w pierwszym rzędzie zacznie się zapewne od sądownictwa i szkolnictwa. Dobrze jest, że z tym momentem rozpoczynających się zmian rekonstrukcja krajów i brzasku pokoju zbiega się moje przeniesienie do Łomży. Bądź co bądź, stamtąd będzie mi bliżej do świata i będę mógł mieć czujne oko zwrócone do Litwy, by być w kursie rzeczy tam zachodzących, w celu ewentualnego uchwycenia chwili stosownej do powrotu. Toteż czekam już gorąco momentu nominacji dla wyjazdu do Łomży. Z Łomży postaram się jak najprędzej znaleźć sposobność do odwiedzenia Wilna, by się tam w porę zorientować i zastrzec niezbędne rzeczy dla przygotowania sobie drogi powrotu.
Zbliżająca się likwidacja okupacji, co, jak sam pokój, wydaje się pewnym na metę już najbliższą, wyradza dla Polski, a jeszcze bardziej dla Litwy jedno niebezpieczeństwo: zawleczenia do tych krajów rządów bolszewickich ze wschodu. Że przyjdzie stamtąd powiew rewolucyjny, którego fermenta już są w masach ludowych – to nie zaszkodzi, owszem, to dobrze zrobi. Gdyby jednak miał przyjść mechaniczny prosty podbój tych krajów przez bolszewizm rosyjski – to byłoby niepożądane, wykluczonym jednak nie jest, bo nie wiadomo, czy się znajdą środki do przeciwstawienia temu podbojowi.
Wieczorem adwokat Lis zaprosił do siebie gości na inkrutowiny[105] do swego nowego mieszkania. Zebrali się: ja, Lipko, Stachelski, Mietkiewicz, Płoński, Mystkowski, Stefuś, Borawski, sekretarz sędziego śledczego Rainko i jeszcze pewien ex-urzędniczek powiatu z czasów rosyjskich, którego nazwiska nie znam, wreszcie polski weterynarz powiatowy Stasinowski. Była kolacja, potem karty. Zabawiłem do północy.
Znienawidzonego rywala Goldberga Lis nie zaprosił.

14 października, rok 1918, poniedziałek
Już się ukazała odpowiedź niemiecka na trzy punkty zastrzeżeń Wilsona. Niemcy zgadzają się na wszystko. W szczególności też zgadzają się na ewakuację terytoriów okupowanych. Czy to ostatnie krajów na wschodzie, oderwanych od b. Cesarstwa Rosyjskiego – to zależeć będzie oczywiście od tego, czy Wilson tego zażąda.
Tymczasem w Polsce kipi zapał. Proklamowanie zjednoczenia dzielnic wywołało ruch i podniecenie ogromne. Rada Regencyjna zwróciła się do Koła Polskiego[106] w Wiedniu i

---

[104] Mowa o orędziu Rady Regencyjnej z 7 X 1918 r.
[105] Wchodziny, przyjęcie z okazji przenosin do nowego mieszkania.
[106] Koło Polskie, polski klub poselski w parlamencie wiedeńskim. Początkowo do K.P. należały tylko partie prawicowe i centrowe, od 1908 należało do niego Polskie Stronnictwo Ludowe, w 1916 wstąpiła

takiegoż Koła w Berlinie o przysłanie delegatów do wspólnych narad. Przez to samo Rada Regencyjna staje *de facto* na stanowisku zniesienia zaborów i jedności Polski jako prawa. W Warszawie gotuje się sprawa utworzenia nowego rządu. Lewica demokratyczna jest tym czynnikiem, który gotuje się do odegrania poważnej roli – mam nadzieję, że przejściowej, bo w dalszej konsekwencji musi wykwitnąć w Polsce właściwy rząd ludowy. Piłsudski, uwolniony z niewoli niemieckiej, jest już w drodze powrotnej do Warszawy. Podobno przyjazd jego spodziewany jest na środę. W obozie lewicy demokratycznej Piłsudski jest osobą ośrodkową; od jego powrotu i stanowiska uzależni się stanowisko lewicy i dalszy tok wypadków w ewolucji wewnętrznej. Rada Regencyjna przejęła władzę nad wojskiem, zarządziła zaprzysiężenie go podług nowej roty, wydała odezwy i zarządzenia w sprawie formacji narodowego wojska, wezwała oficerów i żołnierzy b. Legionów i korpusu Dowbora-Muśnickiego do wstąpienia do szeregów wojska.
W Austrii przewrót radykalny. Państwo czeskie i południowo-słowiańskie realizują się z siłą, której nic powstrzymać nie jest w stanie. Rząd austriacki usiłuje ocalić byt monarchii w formie federacji, ale czy to wstrzyma proces rozpadnięcia się Austrii na kawały – to jeszcze wielka kwestia. Niemcy austriaccy też się cementują szybko, zdążając do stopienia się z państwem niemieckim.
Brak mi gazet litewskich. Od paru tygodni nie otrzymuję „Lietuvos Aidas", a teraz właśnie najbardziej mnie wypadki tam na Litwie zajmują. Palę się niecierpliwością ucieczki z Kolna. Pragnąłbym, aby już jak najrychlej nominacja moja przyszła. To męka teraz siedzieć w takiej dziurze, gdy potrzebuję swobody rozglądania się i pragnę czynności. Zresztą kto wie, czy jeszcze tak rychło zajdą w Litwie przemiany, ustalające możność powrotu dla mnie. Któż jeszcze bowiem przewidzi komplikacje, jakie tam zajść mogą. Może tam buchnąć i rewolucja, może wpaść ze wschodu bolszewizm, względnie może do Litwy, jak do wszystkich ewentualnie terenów spornych zastosowany być plebiscyt, który wytworzy tam straszliwy zamęt walk wewnętrznych narodowych i wyda w rezultacie nieobliczalne rozkawałkowanie terytorium, a tymczasem organizacyjna praca, w której bym udział wziąć pragnął w zawieszeniu – niewykonalna.

15 października, rok 1918, wtorek
Dziś – wesele mojego woźnego Aleksandra Rogińskiego, który od dwóch miesięcy, po awansowaniu Ranika na kancelistę, zajmuje ten urząd, wzdychając z kolei do urzędu kancelisty, jak Ranik wzdycha już obecnie do stanowiska sekretarza. Rogiński młody chłopiec lat 21, syn gospodarski z Kolna, żeni się z młodą 19-letnią dziewczyną Kowalczykówną z przedmieścia Aleksandrowa, wbrew woli swoich rodziców, którzy by dlań chcieli bogatszej partii. Zaprosił on na swój ślub i na wesele – mnie, Miętkiewicza i Stefusia. O godz. 3 byliśmy w kościele na ślubie, o godz. 8 zaś udaliśmy się na wesele do domu rodziców panny młodej. Spożyliśmy tam kolację, po której asystowaliśmy kolacji ogólnej wszystkich biesiadników weselnych, a następnie ceremonii oczepin i tańcom. Podczas kolacji rznęła muzyka, złożona z klarnetu i harmonii, łączona kilkakrotnie ze śpiewem drużek lub popisami solo zawadiackich tanecznych mazurków, wyśpiewywanych przez muzykanta Śliwkę. Mazurki, strzeliste i skoczne, pełne wichrów i skrzącej fantazji, źle pasują do głębokiej natury Kurpiów. Natomiast w czasie dokonywania ceremonii tradycyjnych prastarych oczepin, w których ucięcie włosów z wieńcem dziewiczym i założenie czepca małżeńskiego na głowę młodej mężatki zastąpione jest symbolem – zdjęciem welonu z wianeczkiem i

---

do niego PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego, a w grudniu 1917 PPS-Lewica. Od maja 1917 przechodziło stopniowo do opozycji wobec rządu. K.P. przestało istnieć w październiku 1918 r.

spleceniem włosów wstążką – popłynęła z ust drużek smętna charakterystyczna przeciągła pieśń, żegnająca dziewictwo panny młodej i oddająca ją w ręce młodego małżonka, pieśń pełna tęsknego rytmu, słodyczy rezygnacji i poświęcenia, która na mnie największe ze wszystkiego wrażenie sprawiła.
Była dziś depesza, że przejęcie administracji z rąk niemieckich przez władze polskie nastąpi d. 15 listopada. Robi to duże wrażenie w Kolnie

16 października, rok 1918, środa
Na świecie kłębią się ogromne, na potężną miarę wypadki, w samym kraju toczy się żywy ruch, prężą się siły, kotłuje ferment, dojrzewają ewolucje i rewolucje, których wagi i skutków nikt jeszcze przewidzieć nie zdoła, a u mnie tymczasem płynie spokojnie i równo nieprzerwany łańcuch sesji sądowych i rozpoznają się powszednie spory detaliczne jednostek, jakby nigdy nic. Byłem się w tę pracę wciągnął tak, że nic poza nią żywiej mnie nie obchodziło i żadnej tęsknoty, żadnej aspiracji do żywego wkroczenia w ruch zagadnień publicznych – nie miałem. Teraz pod wpływem ostatnich wypadków, pod wpływem tych ostrych dźwięków pobudki, która gra w Ludzkości całej jak zapowiedź wielkich zmian i wielkiej nieznanej jeszcze w szczegółach, Nowiny, zaczynam się odrywać od mojej powszedniej roboty. Niepokój tworzących się w Ludzkości przemian, niepokój dojrzewania i konwulsji porodu – zaczyna się udzielać i mnie. Chwilami trudno mi usiedzieć w Kolnie. Rwę się stąd precz, biegnę tęsknotą w świat, do Warszawy, do Litwy, do tych procesów i zagadnień, które się prężą i kiełkują z pękającego nasienia narodowych i ludowych pragnień, udręczeń i tęsknot.
W oczekiwaniu zasadniczej odpowiedzi Wilsona na propozycję pokojową niemiecką są jeszcze w głosach prasy koalicyjnej także zgrzyty i żądania zastrzeżeń i gwarancji ze strony Niemiec, które by stawiały sprawę pokoju na stopę bardzo trudną do przyjęcia nawet dla obecnego rządu niemieckiego. Cokolwiek bądź jednak nastąpi i gdyby nawet tym razem jeszcze propozycje się rozbiły – pokój już jest bliski i jego formuły, nakreślone programem Wilsona, już się zmienić nie dadzą.
W Warszawie w poniedziałek zaszły jakieś rozruchy.[107] Był wielki dzień manifestacji narodowych, dzień ulicy. Gazety są pełne opisów pochodów, demonstracji, defilad ulicznych itd. Żywioł ulicy zaczyna przemawiać, o jej względy zaczynają się ubiegać politycy, do niej się odwołują programy i partie. Ale kapryśna to Królowa. Prywatne wieści mówią o charakterze nastrojów i manifestacji poniedziałkowych, zwróconych przeciwko Radzie Regencyjnej. Rano szeptano pogłoskę o rzekomym zamachu na Beselera w Warszawie, co, gdyby było prawdą, byłoby bardzo niewczesnym faktem.
Co też tam na Litwie się dzieje? Wyobrażam sobie, jak gorączkowy musi się teraz stać ruch Polaków litewskich w Wilnie na rzecz przyłączenia do Polski pod hasłem samookreślenia i jaki odruch oporu musi to budzić w Litwinach, których stanowisko komplikuje się tym, że na główny atut samookreślenia – plebiscyt – nie mogą się w stosunku do Wilna powołać, a skądinąd do natychmiastowego tworzenia organizacji odczuwają dotkliwy brak ludzi, nie mogąc użyć do tego Polaków litewskich, którzy albo zasadniczo odmówią udziału, stojąc na stanowisku państwowo-polskim, albo wejdą, lecz wszedłszy, zaleją sobą element litewski w machinie państwowej i kierować nią będą do Polski. Z trzech stron trzy orły otwierają na Litwę szpony: czarny dwugłowy i polski biały. Dziś z nich największe ma szanse, a przeto jest chwilowo najniebezpieczniejszy – biały. Jak każdy naród, tak Polska powołuje się dla dopięcia swych celów na takie zasady, które najlepiej do danego celu prowadzą. Tak oto jednocześnie w stosunku do Poznańskiego, Śląska i tych ewentualnych ziem pruskich,

[107] Mowa o demonstracjach zorganizowanych przez partie lewicy niepodległościowej w Warszawie w d. 14 X 1918 r.

które otwierają Polsce dostęp do morza, Polska zgłasza zasadę prawa i żąda restytucji tego, co w drodze faktu jej ongi odebrane zostało, nie wspominając o samookreśleniu i plebiscycie, który by to był dla niej wielce problematyczny. Tu więc zastrzega się i powołuje prawo. Natomiast w stosunku do ziem litewsko-białoruskich, na które się ma apetyt i do których się prawa nie ma, bo służy ono Litwie, powołuje się na zasadę samookreślenia, na demokratyczne hasła ludowe i na plebiscyt.

17 października, rok 1918, czwartek
Nie otrzymaliśmy od dwóch dni poczty, żadnych listów ani gazet. Nie rozumiem dobrze, co to jest, bo pisma niemieckie jednak przychodzą i przez Łomżę przychodzą też numery bieżących dzienników warszawskich. Bądź co bądź, od dwóch dni gazety w ręku nie miałem i dowiaduję się o wypadkach jeno z wieści, rozchodzących się w mieście przez Żydów na podstawie gazet niemieckich. W ten sposób rozeszła się wiadomość o kapitulacji Turcji wzorem Bułgarii[108]. Fakt ten jeszcze kategoryczniej osłabia stanowisko Niemiec, które tracą jeden atut po drugim i obecnie, jeżeli Wilson odpowie odmownie na ich propozycję pokojową, nie będą już miały żadnych szans i widoków wojny i zmuszone będą bardzo prędko kapitulować już nie tylko w stosunku do zasad, ale bezwzględnie na łaskę i niełaskę Zachodu. Słychać było dziś, że istotnie Wilson już odpowiedział odmownie, oświadczając Niemcom, że z obecnym rządem w żadne układy wchodzić nie życzy i że traktować gotów tylko z narodem niemieckim. Inni jednak przeczą temu. Być może, że to jeszcze tylko kaczka i że to ktoś puścił taką wieść, biorąc głosy prasy koalicyjnej za odpowiedź Wilsona. Gdyby jednak nawet Wilson już odpowiedział odmownie, to pokój zostaje niemniej bliski. Masa ludowa niemiecka dłużej wojować i znosić niesłychane ciężary aprowizacji i nędzy wojennej, bez widoków zwycięstwa, bez perspektyw jakiejkolwiek skuteczności dłuższego oporu – nie będzie: albo uderzy z dołu fala rewolucji ludowej i zmiecie obecną władzę państwową, albo Wilhelm[109] abdykuje i na miejsce obecnego rządu większości parlamentarnej z księciem Maksymilianem Badeńskim na czele stanie rząd ludowy z jakimś Scheidemannem na czele, rząd przejściowy w stylu Kiereńskiego[110] w Rosji, który skapituluje i zawrze pokój, ale sam niebawem rozsypie się pod ciosami wyzwalającej się rewolucji ludowej. W Austrii rozkład i rozpadanie się państwa na jednostki narodowe postępuje z szybkością piorunującą. W ciekawych niebywale czasach żyjemy.
W sądzie miałem dziś roboty huk. Cała gromada spraw nowych wpłynęła. Ludziska nie przestają się prawować. Impuls nadany pieniactwu przez powrót uchodźców i zakłócenie tą falą reemigracyjną układu stosunków, toczy się dalej siłą rozpędu. Gros spraw uchodźczych już się wyczerpuje, ale procesy wszelkiego rodzaju się mnożą. W procesach tych jest obecnie bardzo dużo czystego pieniactwa, pozbawionego realnej treści.

18 października, rok 1918, piątek
W sądzie miałem sesję cywilną z udziałem ławników Rainki i Orbika. W liczbie spraw wokandy dzisiejszej było kilka grubych, w których przeczuwam niechybne apelacje; z nich wszakże kilka zostało odroczonych i tylko jedna, o krowę, została zasądzona wyrokiem, na który domyślam się apelację, bo krowa jest dziś przedmiotem tak wielkiego pożądania, że strona przegrywająca, gdyby nawet miała słabe szanse, skłonna

[108] Turcja zawarła rozejm z Ententą 30 X 1918 r.
[109] Wilhelm II Hohenzollern (1851-1941), król Prus i cesarz Niemiec (1888-1918).
[110] Aleksandr F. Kiereński (1881-1970), polityk rosyjski, adwokat, premier Rządu Tymczasowego w Rosji (VII-7 XI 1917).

jest zawsze do ryzykowania apelacji. W tej sprawie o krowę wygrała strona pozwana, z której ramienia stawał Lis przeciwko Goldbergowi, ale zaiste nie zawdzięcza wygranej Lisowi, bo ten bronił się wcale nie tymi argumentami, które spowodowały wyrok, i jest taki słaby w obronie, tak nieumiejętny w zagadnieniach prawnych, że nieraz po prostu na śmieszność się wystawia i kompromituje się skandalicznie. Sesję ciągnęliśmy bez żadnej przerwy aż do samego końca, do godz. 5, ponieważ na Orbika czekała furmanka. Gdym po skończonej sesji wyszedł do kancelarii, Miętkiewicz powinszował mi nominacji do Sądu Okręgowego. Nominacja ta ogłoszona została w gazetach i stąd się o niej Miętkiewicz dowiedział. Kiedy nastąpi mój wyjazd – nie wiem; będzie to zależało od mego porozumienia się z prezesem w Łomży. Ja sam z mojej strony pierwszego kroku robić nie będę; zaczekam zwrócenia się do mnie prezesa. Być może, że zabawię jeszcze w Kolnie do przyjazdu nowego sędziego pokoju. Nie miałbym nic przeciwko temu, bo choć już pragnąłem tej nominacji w ostatnich czasach, to jednak Kolna mi żal. Na wieść o nominacji uczułem jednocześnie zadowolenie i żal. Zresztą zapewne następca mój do Kolna będzie mianowany prędko, bo już słychać, że kandydatów upatrzonych w ministerstwie, nie brakło. Chciałbym poznać mojego następcę i przekazać mu osobiście sąd, w który tyle pracy i staranności włożyłem. Pragnąłbym też, aby mój następca był nie mniej gorliwy jak ja, bo mi żal zmarnowania i zaniedbania tego, co moim było dziełem i co na tak wysoką stopę postawić zdołałem. Człowiek się zawsze przywiązuje do swego dzieła i z żalem oraz niepokojem je opuszcza, a tym bardziej w obce przekazuje ręce.

19 października, rok 1918, sobota
Koalicja żąda od Niemców kapitulacji bez zastrzeżeń. Odpowiedź Wilsona do Niemiec zmierza do tego samego. Zawiera ona ostre potępienie metod spustoszenia, stosowanych przez Niemców do terytoriów na Zachodzie podczas ich cofania się pod naciskiem zwycięskich wojsk koalicji, wskazuje na nieustające działanie niemieckich łodzi podwodnych w najbrutalniejszej formie walki, trwające równolegle do urzędowej propozycji pokojowej, oddala wszelką myśl o traktowaniu z potęgami, które jeszcze stoją dotychczas na czele Niemiec, pomimo reformy rządu, zawiera natomiast apel do narodu niemieckiego, z którym traktować chce bezpośrednio. Oczekiwana jest obecnie odpowiedź niemiecka na tę ostatnią odpowiedź Wilsona. Prasa niemiecka uderza w ton odmowy, dostrzegając cechy obrazy w nocie Wilsona, ale ogólne jest mniemanie, że odpowiedź rządu niemieckiego usiłować będzie jeszcze czepiać się wątku dalszych rokowań, by ostatecznie nie zrywać rozpoczętej wymiany zdań. Słaby to wątek i nędzne perspektywy, dopóki Niemcy nie pójdą na całkowitą kapitulację. Że do tego przyjdzie – zdaje się już nie ulegać wątpliwości. Niechęć w Niemczech do wojny staje się powszechna. Słychać, że wojsko zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Z doniesień wojennych francuskich, amerykańskich i angielskich widać, że się już Niemcy poddają na froncie masowo. Żołnierze niemieccy, których się u nas spotyka, nie tają w rozmowach prywatnych niechęci do wojny i zapowiadają rychło rewolucję. Wszystko zdaje się ją zapowiadać. W Berlinie rozpoczynają się już tłumne manifestacje radykalnych socjalistów obozu nieprzejednanego. Niemcy tracą coraz bardziej na terenie Francji i Belgii. Według ostatniego komunikatu, stracili już Lille i Ostendę. Pożyczka wojenna – dziewiąta – robi fiasko; przedłużono urzędowo termin zapisów na pożyczkę, tłumacząc to rzekomo licznymi prośbami publiczności o to, ale z pod tych tłumaczeń i zastrzeżeń oraz sposobu reklamy wyziera wielka klapa pożyczki. A niech tylko jeszcze wojska koalicyjne wkroczą na terytorium niemieckie, to jeżeli rewolucja nie wybuchnie wcześniej, nic już chyba nie powstrzyma mas ludowych niemieckich od kategorycznego protestu przeciwko dalszej wojnie i obalenia wszystkich przeszkód na

tej drodze. W Austrii proklamowany manifest cesarza Karola o przekształceniu jej na federację państw z wyłączeniem ze związku z ziem polskich (zdaje się – tylko Galicji Zachodniej). Manifest spóźniony, bo już żaden z narodów austriackich, konstytuujących się w samodzielne państwa, nie przyjmuje go i nie wchodzi na drogę proklamowaną przez manifest. Węgry też odpadają, Niemcy austriaccy, powołują się na zasadę samookreślenia ludów, ogłaszają swój akces do państwa niemieckiego. To nie jest odrywanie się prowincji od Austrii, to jest rozwiązanie się jej. Każdy wchodzi na swoją własną drogę i Austria przestaje istnieć. Okazuje się, że Austrii nie ma wcale, bo za potrąceniem wszystkich jej ludów nie pozostaje nic, co by było Austrią.

20 października, rok 1918, niedziela
Co za bajecznie ciekawe jednak przeżywamy czasy! Każda chwila jest wagi dziejowej, każdy wypadek tak wielki, że wpływem swoim sięgać będzie w pokolenia! Jakie nas jednak jeszcze losy i fakty czekają – nikt chyba przewidzieć na pewno nie zdoła. Mimo kształtujące się kontury nowych perspektyw, bo i ze wschodu i z południa, i rychło już z zachodu, a nawet z zewnątrz – buchać zaczynają płomienie, które zdają się być zwiastunami pożaru rewolucji. Mam przekonanie, że przyjdzie do niej. W jej ogniu stopią się i przyjmą kształt inny te perspektywy, które się dziś rysują z chaosu katastrofy.
Otrzymuję gazety litewskie. Z nich jednak spostrzegam, że tam dotąd nie ma tych zmian, co tu. Nie ma tam jeszcze tego powiewu burzy, który wieje poprzez Polskę, Austrię, Bałkany i ogarnia już Niemcy. Musi on być i tam w nastrojach i stosunkach i wybuchnie może z większą jeszcze mocą i rozpętaniem żywiołów, niż gdzie indziej, bo tuż obok na wschodzie płonie ognisko bolszewizmu, a wewnątrz jest zawierucha różnonarodowych ciążeń, ale tymczasem Litwa jest jeszcze mocno spowita w powłoce okupacji niemieckiej, której łapa nie ulżyła tam swych pazurów, jak w Polsce.
W Polsce jednym ze zwrotnych momentów chaosu byłby powrót Piłsudskiego. Rząd się nie może utworzyć, trzy wielkie bloki stronnictw, które są trzema różnymi metodami rozwiązania sprawy polskiej – Koło Międzypartyjne[111], Aktywiści[112] i Lewica demokratyczna[113] – nie mogą się pogodzić i ciągną każdy w swoją stronę, Rada Regencyjna zachwiana i zakwestionowana, ostatnio sytuacja stanęła pod znakiem posłów galicyjskich, którzy zjechali do Warszawy i usiłują scementować rząd. Zewsząd wszakże na czoło wypływa kwestia powrotu Piłsudskiego jako męża w narodzie, który jedyny ma cudowny Złoty Róg, mogący zwołać naród. Wszystko zawisło na osobie Komendanta. Tymczasem Niemcy wyczuli niebezpieczeństwo powrotu Piłsudskiego i odroczyli jego uwolnienie. Co za moc czarodziejska tego człowieka. Siedzi samotny i

[111] Koło Międzypartyjne, powstało w 1915 r. jako luźne początkowo ugrupowanie stronnictw pasywistycznych, głównie o proweniencji endeckiej i zachowawczej, na prowincji działało poprzez swoje filie, tzw. Kluby Polskie. Nie miało swoich przedstawicieli w Tymczasowej Radzie Stanu. W 1918 r. nawiązało jednak współpracę z Radą Regencyjną i wzięło udział w wyborach do Rady Stanu, tworząc w niej Klub Międzypartyjny. Blisko współdziałało z prokoalicyjnym Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu.
[112] Potoczna nazwa ugrupowań zorientowanych na współpracę z Austro-Węgrami i Niemcami działających w l. 1915-1918 w Królestwie Polskim. Wśród aktywistów wyróżniano zwolenników koncepcji J. Piłsudskiego, zwanych wówczas lewicą niepodległościową, zwolenników Naczelnego Komitetu Narodowego i skrajnych aktywistów germanofilów zgrupowanych w Klubie Państwowców Polskich i Narodowym Związku Chłopskim. Orientację aktywistyczną przyjęły m.in. PPS, PSL, PSL „Wyzwolenie", Narodowy Związek Robotniczy i Liga Państwowości Polskiej. Z chwilą przejścia Piłsudskiego do opozycji wobec Państw Centralnych większość ugrupowań tworzących lewicę niepodległościową odeszła od aktywizmu. Wierności aktywizmowi dochowali skrajni germanofile, Liga Państwowości Polskiej i Narodowy Związek Robotniczy.
[113] Lewica demokratyczna, zwana niekiedy lewicą niepodległościową zob. przypis 20.

bezbronny w twierdzy magdeburskiej, a boją się go potężne Niemcy. W Niemczech – ostry odruch przeciwko aspiracjom polskim na Poznańskie, wprowadzany w czyn.

21 października, rok 1918, poniedziałek
Miałem sesję sądową z ławnikami Nojdą i Cieloszczykiem. Spraw zbyt trudnych i skomplikowanych nie było, toteż sesja zakończona została około godz. 3.
Odpadły mi w ostatnich czasach śledztwa, których mi prokuratura, od czasu mianowania osobnego sędziego śledczego na powiat kolneński, nowych nie przysyła, parę zaś starych, które pozostały, są już na ukończeniu, toteż wskutek tego roboty jest teraz w sądzie o wiele mniej. Jednak obfitość spraw sądowych, szczególnie cywilnych, jest duża, toteż sesje są wciąż częste, prawie bez ustanku trzy razy tygodniowo (w październiku regularnie trzy sesje na tydzień), wobec czego częstsze są apelacje, a przeto częste też redagowanie wyroków w formie ostatecznej (motywowanych) – najbardziej odpowiedzialna i najuciążliwsza, ale też najistotniejsza robota sędziego. Obecność dwóch adwokatów jest także podnietą do apelacji. Moje wyroki motywowane są każdy w sobie dziełami kunsztu jurydycznego. Opracowuję je starannie i głęboko. Nie wiem, kiedy mi wypadnie opuścić Kolno. Nie jest wykluczone, że lada dzień może nagle zawitać nowy sędzia, mianowany na moje miejsce. Skoro już wiem, że nie będę, chciałbym, żeby to już prędzej nastąpiło. Chciałbym bardzo doczekać się w Kolnie mego następcy i chciałbym po przekazaniu sądu pobyć tu przy nim jeszcze czas jakiś, choćby z tydzień, aby się przyjrzeć jego pracy, posłuchać na sesjach, jak je będzie prowadził, zobaczyć jego metodę w kancelarii, wrażenie, jakie sprawi na ławnikach i na pracownikach kancelaryjnych.

22 października, rok 1918, wtorek
Przed paru dniami, jak doszły do nas wieści, odbył się w Łomży duży wiec publiczny, zwołany przez Stronnictwo Ludowe. Mało wiem o tym wiecu. Tylko tyle, że rezolucja wiecu opowiedziała się na rzecz rzeczpospolitej ludowej *contra* monarchii. Dziś przed obiadem zgłosiło się do mnie dwóch młodzieńców z synów gospodarskich z Kolna, jeden Kraszewski i drugi, którego nazwiska nie wiem, z prośbą, żebym się podjął wystarania u władz okupacyjnych miejscowych, to znaczy u naczelnika powiatu – pozwolenia na urządzenie takiegoż wiecu w Kolnie na niedzielę nadchodzącą. Wiec ten ma być właściwie powtórzeniem wiecu łomżyńskiego; przemawiać mają ci sami mówcy, którzy by przyjechali w tym celu z Łomży. Przyrzekłem poparcie. Ponieważ wszakże trzeba wystosować podanie i wskazać organizatorów, którzy by dali firmę swych nazwisk wiecowi i przyjęli na siebie zewnętrzną odpowiedzialność za wiec, więc porozumiałem się w tym celu ze Stachelskim i na jutro zwołujemy zebranko grona osób w lokalu Rady Opiekuńczej dla omówienia tej sprawy. Jeżeli znajdzie się garstka osób chętnych, udam się z jedną z nich do naczelnika powiatu z prośbą o pozwolenie. Ja jednak sam osobiście, jako urzędnik państwowy, nie mogę formalnie należeć do organizatorów wiecu, który bądź co bądź ma piętno partyjne. Charakter i cel wiecu jest właściwie agitacyjny. Wobec zbliżających się wyborów i aktualności sejmu wskazane jest bardzo poruszenie zagadnień państwowych w masach ludowych, a że poruszenie to będzie ujęte w kierunku haseł ludowych – to tym bardziej pożądane. Czy coś z tego będzie – zobaczymy.

23 października, rok 1918, środa
Miałem dziś w sądzie sesję karną z ławnikami Nojdą i Stachelskim. Sesja trwała krótko – o południu się skończyła. Sprawy były bagatelne – obelgi, zniesławienie lub pobicie;

większa część spraw została umorzona z powodu niestawiennictwa stron. Były też dwie sprawy o kradzież, ale obie do skutku nie doszły.
W gazetach ogłoszona była dziś odpowiedź Wilsona do Austrii. Gdy się dowiedziano, że Wilson wystąpi do Austrii z odpowiedzią odrębną, liczono gdzieniegdzie, że Austrię potraktuje on bardziej pojednawczo, niż Niemcy. Tymczasem stało się co innego. Do Niemiec przemawia Wilson twardo i bezwzględnie, ale bądź co bądź przemawia jak do konkretnego przeciwnika. Tymczasem Austrii daje odpowiedź po prostu taką, że bytu jej nie uznaje. Stwierdza jej próżnię. Oświadcza, że zna tylko narody, które wchodziły w skład Monarchii Habsburskiej i z ich wolą się liczy i liczyć będzie, nie będąc z nimi zresztą na stopie wojennej, z Austrią zaś, która za potrąceniem z niej tych narodów i ich tworów państwowych, właściwie jest próżnią, o niczym rozmawiać i traktować nie może. W istocie jest to logiczne. Niepodobna z próżnią paktować. Ciekawa rzecz, jakie będzie ostateczne rozwiązanie problemu austriackiego? Czy rzeczywiście Austria ostatecznie się zlikwiduje i przestanie istnieć.
Otrzymałem list urzędowy od prezesa Filochowskiego, donoszący mi o mojej nominacji i zawierający polecenie pozostania czasowo na stanowisku w Kolnie do czasu nadejścia aktu nominacyjnego do Łomży. Jednocześnie deleguje mnie prezes do dokonania aktu wizytacji i rewizji Sądu Pokoju w Myszyńcu w jego zastępstwie łącznie z dokonaniem zaprzysiężenia personelu tegoż sądu. Poleca mi zarazem poufną misję dokonania wywiadu co do osoby i co do kwalifikacji moralnych i politycznych sędziego pokoju w Myszyńcu Bendeckiego, który jest, jak wiadomo, Rosjaninem. Chodzi głównie o ustalenie poufne jego poprzedniej za czasów rosyjskich roli i działalności w kraju.
O godz. 6 odbyło się zebrańko w kancelarii Rady Opiekuńczej w sprawie projektowanego wiecu Stronnictwa Ludowego. Na zebrańku byli: ja, Stachelski, notariusz Płoński, Litwiński, Miętkiewicz, weterynarz Stasiński, Lis, piekarz Dereweńko, stolarz Mieczkowski, gospodarz Józef Pikuliński i tych paru z młodzieży, którzy się do mnie wczoraj w tej sprawie zwracali. Uchwalono zaakceptować propozycję łomżyńską ludowców o zwołaniu wiecu w Kolnie. Jutro mam się ze Stachelskim udać w tej sprawie do naczelnika powiatu. Ale było w toku dyskusji parę przykrych dla mnie momentów. Pikuliński traktował nieufnie rezerwę formalną moją i urzędników, węsząc w niej jakąś abstynencję czy może nawet brak odwagi cywilnej; z drugiej strony węszył w sprawie wiecu jakąś robotę przeciwko tzw. „jedności” narodowej. Na ogół zdecydowanej przychylności dla tego wiecu nie było.

24 października, rok 1918, czwartek
Gazety doniosły o ukonstytuowaniu się rządu polskiego z prezesem ministrów Świeżyńskim[114] na czele. Jest to więc rząd endecki, utworzony pod znakiem Koła Międzpartyjnego. Zaledwie parę osób spoza tego Koła zostało dopuszczonych do tek ministerialnych. Lewica demokratyczna od udziału w rządzie się usunęła. Na liście ministrów figuruje wszakże nazwisko Piłsudskiego z teką ministra wojny. Ale to wpisanie popularnego nazwiska Piłsudskiego do ministerialnego kompletu endeków pozostaje zagadką. Piłsudski bowiem dotąd jest więziony przez Niemców w twierdzy magdeburskiej i akcesu do rządu sam zgłosić nie mógł. Wierzę, że endecka formacja rządu polskiego jest zjawiskiem tylko przejściowym i że sejm, a raczej konstytuanta ludowa polska zmiecie panowanie endeków i przesunie władzę w kierunku lewicy demokratycznej. Endecy doszli dziś do władzy jeno przez jaskrawą przeciwwagę

[114] Józef Świeżyński (1868-1948), jeden z przywódców Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, poseł do czterech Dum Państwowych, w 1918 r. prezes Międzypartyjnego Koła Politycznego, premier rządu Rady Regencyjnej 23 X – 3 XI 1918, którą pragnął obalić zapowiadając 3 XI 1918 utworzenie Rządu Narodowego, w wyniku czego został zmuszony do dymisji.

niepopularnemu prądowi aktywizmu germanofilskiemu, ale tak samo samozwańczo, jak dotąd dzierżył władzę aktywizm, to znaczy wolą konszachtów polityków w Warszawie, nie zaś jeszcze wolą ludu. Gdy ona przyjdzie do głosu, punkt ciężkości przesunie się zapewne w lewo.
Ogłoszony jest akt o poborze do wojska. Opinia w Polsce, w świadomości niebezpieczeństwa pustki, jaka się wytworzy po ewentualnym wycofaniu się z Królestwa Niemców z ich bądź co bądź siłą zbrojną, szukać zaczyna odruchowej organizacji do obrony społeczeństwa od anarchii. Jedni liczą się z anarchią bandycką, inni – zwłaszcza klasy panujące – z prądami rewolucyjnymi, których się chcą ustrzec, a które się wyczuwa w nastrojach i w niepokoju ogólnym. Troska obywatelska i blady strach podają sobie ręce, ale podają chwilowo, bo się rozejść będą musiały. W dwóch kierunkach idzie to dążenie do zorganizowania obrony społecznej. Drogą wytworzenia wojska i drogą tworzenia samorzutnie instytucji samoobrony, ogarniającej wszystkie gminy. Tę drugą akcję podjęła Rada Główna Opiekuńcza. Dziś w tej materii odbyło się i w Kolnie posiedzenie zarządu Rady Opiekuńczej powiatowej z udziałem wójtów gminnych. Postanowiono jak najrychlej po gminach i wszystkich wioskach zorganizować samoobronę wraz z zawiązkiem milicji. Na przyszły czwartek wójci mają już w tym przedmiocie pewien konkretny materiał przedstawić. Z konieczności do samoobrony tej ma być wciągnięta młodzież z POW. Ta organizacja Piłsudskiego, sprężysta i niezmiernie na wsi wśród młodzieży rozgałęziona, powołana będzie, o ile się tej roli podejmie, do poważnej i odpowiedzialnej funkcji w narodzie. Przypuszczam, że się tej roli podejmie i podjąć powinna. A wtedy stanie się siłą ogromną. Przez nią wpływ i władza Piłsudskiego spotęguje się w kraju olbrzymio. Nie wątpię, że POW, podejmując się samoobrony i pełniąc straż przeciwko strasznej anarchii bandytyzmu, nie da się przecież użyć za narzędzie kontrrewolucji i stłumienia rozwoju sprawy ludowej. Przeciwnie – przez nią sprawa ludowa zyszcze silne narzędzie swojej akcji w kraju. Jednocześnie i wojsku nic nie zatamuje uroku imienia Piłsudskiego. Jego gwiazda zdaje się wschodzić. Mam nadzieję, że ten człowiek przecie nie dał się złamać i odzyszcze swój geniusz czucia, który przez tę cudowną moc, jaką ma Piłsudski w Polsce, zdziała rzeczy wielkie.

25 października, rok 1918, piątek
Sesja sądowa z ławnikami Cieloszczykiem i Orbikiem. Wyznaczona była na dziś sprawa z powództwa Hersza Górskiego przeciwko pozwanym Ruchale, Sekscińskiemu i Grudzińskiemu o posiadanie. Ponieważ w sprawie tej pozwani reprezentują interesa ogółu parafian katolickich w Kolnie i strona powodowa wyłączyła od świadczenia wszystkich powołanych przez stronę pozwaną świadków na tej zasadzie, że świadkowie ci, jako parafianie, są zainteresowani w rozstrzygnięciu na rzecz strony, która ich powołała, więc na ostatniej sesji, gdy sprawa ta miała być rozpatrywana, również ja i ławnik Nojda, jako tacyż parafianie, wyłączyliśmy się od sądzenia sprawy. Wobec tego sprawę tę przekazałem do sądzenia kompletowi ławnikowi w osobach Orbika jako przewodniczącego w zastępstwie sędziego i ławników Cieloszczyka i Jerozolimskiego. Pierwszych 6 spraw wokandy dzisiejszej, których umyślnie tak niedużo wyznaczyłem, zakończyliśmy do godz. 2. Następnie się sam usunąłem, pozostawiając pole powyższemu kompletowi ławników do sądzenia sprawy Górskiego z parafianami. Biedni ławnicy biedzili się z tą sprawą do godz. 7 wieczorem; musieli rozpoznać liczne ekscepcje, zgłaszane przez adwokatów, dokonać oględzin miejscowych, zbadać świadków. Dla głów ławniczych był to ciężar nie lada, pomimo że przewodniczący ławnik Orbik jest pierwszorzędnym ławnikiem, orientującym się doskonale. Cieloszczyk i Orbik musieli się wymęczyć okropnie, bo przy ciężkiej pracy nic od godz.

9 rano do 7 wieczorem nie jedli i najmniejszej przerwy w pracy nie mieli. W sprawie Górskiego z ramienia powoda stawał Goldberg, z ramienia pozwanych parafian – Lis. Nie tyle trudność samej sprawy, ile atmosfera była niezmiernie przykra. Sprawa nabrała cech sporu wyznaniowego czy narodowego, roznamiętniającego zwłaszcza stronę katolicką przeciwko Żydom, co w najwyższym stopniu zakłócało rzeczowy charakter postępowania sądowego. Sprawa budzi sensację, toteż spora liczba publiczności spośród parafian katolickich asystowała rozprawie, usposobiona wrogo, dysząca złością na Żydów. Atmosfera ta musiała się udzielać i ławnikom. Cieloszczyk nie ostał się, zdaje się, wobec nastroju antysemickiego, Jerozolimski zaś był na sesji jak na torturach. Orbik zachowywał doskonałą zimną krew i przedmiotową równowagę, ale było mu przykro bardzo. Ze strony pozwanych parafian, Lisa i publiczności były ciągłe wycieczki antyżydowskie, drwiny, ukłucia, upokorzenia – tak na sali, jak w kancelarii, gdy się sąd udawał na naradę. Ze strony powoda Górskiego i Goldberga były nietakty, powodujące zajątrzenie atmosfery. Wstrętne wrażenie z takiej sprawy. Cieszę się, że się wyłączyłem od sądzenia jej. Taka sprawa – to męka. Ławnicy jej dziś nie rozwiązali. Odroczyli ją dla wezwania nowych świadków strony pozwanej, której świadkowie wezwani na dziś, zostali na żądanie strony powodowej, jako parafianie, wyłączeni. Zdaje się, że formalnie w sporze o posiadanie ma rację powód, ale merytorycznie, w zakresie własności, której Sąd Pokoju nie rozpoznaje, powód usiłuje istotnie zagarnąć część placu parafialnego. Lepiej, żeby był Żyd takiej sprawy nie wszczynał i ewentualnie już poszedł od razu na drogę sporu o własność do Sądu Okręgowego. Są sprawy, których wygranie jest zwycięstwem pyrrusowym.

26 października, rok 1918, sobota
Czułem się niezdrów. Jestem mocno przeziębiony. Albo mam recydywę hiszpanki, albo pospolitą influenzę – a może po prostu katar. Miałem ciężką głowę, ziębienie, łamanie w kościach.
W sądzie było głucho. Miałem tylko przed południem badanie kilku świadków na zlecenie Sądu Okręgowego. Poza tym, nie było żadnego ruchu. Byliśmy w sądzie tylko ja i woźny Rogiński. Miętkiewicz pojechał wczoraj do Łomży na spotkanie żony z synkiem, od której otrzymał depeszę, że już wróciła z Rosji i jest w Warszawie, skąd udaje się przez Łomżę do Kolna – Ranik pojechał ze Stachelskim do wsi Wyzegi w gm[inie] Turośl na dokonanie projektu działu w sprawie Bałdygów.
Byłem od godz. 3 do 5 w Radzie Opiekuńczej Powiatowej na zebraniu zarządu, gdzie się decydowały losy sprawy ochrony dla biednych dzieci, mającej być założoną z pieniędzy asygnowanych na ten cel przez Radę Główną Opiekuńczą i przez ministerium.
Wczoraj rozeszła się w Kolnie pogłoska o abdykacji Wilhelma.[115] Mówiono, że przyszedł o tym telegram do powiatu. W dzisiejszych gazetach niemieckich potwierdzenia wieści tej – nie ma. Że do tego przyjdzie – bardzo prawdopodobne.
Z gazet litewskich dowiaduję się, że kanclerz niemiecki Maksymilian Badeński, udzielając posłuchania delegacji Taryby Litewskiej, oświadczył, że ma ona tworzyć rząd w celu zajęcia się przygotowaniem do zwołania sejmu i przejęcia zarządu krajowego. Litwa więc wejdzie także w stadium organizowania się niepodległego, ale trudności tam powstaną z pewnością większe, niż gdzie indziej. Taryba zdaje mi się być nieodpowiednią do spełnienia tego zadania. Przez obawę przed Polską i Polakami idzie ona na pasku niemieckim i zbyt się z Niemcami wiąże. Taki „aktywizm” filogermański

[115] Wiadomość nieprawdziwa: Wilhelm II abdykował 26 XI 1918.

nie może być przez ludy Litwy, gdy te do głosu przyjdą, dobrze widziany. Z łona Litwy i Litwinów musi wyjść rząd nowy ludowy, niezależny. Trudną też, coraz trudniejszą jest kwestia Wilna. Czy uda się go Litwinom zatrzymać. Wilno żywiołowo rwie się do Polski. Świeżo odbyły się tam wielkie manifestacje na rzecz Polski.

27 października, rok 1918, niedziela
Byłem w nocy i z rana niezdrów. Przeleżałem w łóżku do południa i wahałem się nawet, czy wstawać. Później wszakże lepiej się już czułem.
Miętkiewicz wrócił z Łomży, na razie bez żony i synka. Dowiedziałem się od niego, że moja nominacja już do Łomży przyszła i jest w Sądzie Okręgowym. Co do mojego następcy do Kolna, to jeszcze nic w Sądzie Okręgowym nie wiedzą. Prezes Filochowski jest obecnie w Warszawie. Może stamtąd jakąś wiadomość o moim następcy przywiezie. A już pragnąłbym bardzo być zluzowanym w Kolnie, chciałbym zaś oddać własnoręcznie mój sąd mojemu następcy.
W sprawie projektowanego wiecu ludowego w Kolnie, o którym wspomniałem w dzienniku, że był zamierzony na dziś – nic jeszcze nie wiadomo. Dotąd nie udało się nam jeszcze złapać i pomówić z naczelnikiem powiatu w sprawie formalnego pozwolenia władz okupacyjnych na ten wiec. Termin jego ewentualnie przełożony został na przyszłą niedzielę.
Dziś doszły do nas gazety z notą Wilsona w odpowiedzi na propozycje niemieckie. Wilson, wbrew oczekiwaniom, nie odrzuca kategorycznie propozycji niemieckiej, owszem – stwierdzając, że wobec przyjęcia przez Niemców jego programu, nie może się uchylić od rozważenia sprawy pokoju w porozumieniu z narodem niemieckim, oświadcza w kwestii zawieszenia broni gotowość zwrócenia się do sprzymierzeńców z odpowiednim wnioskiem. Rozstrzygnięcie wszakże tej sprawy uważa za właściwe do przekazania dowództwu wojskowemu, zastrzegając z góry, że zawieszenie broni musi być tak ułożone, aby zapewniło gwarancje, iż Niemcy istotnie staną do dzieła pokojowego i nie wyzyszczą zawieszenia broni do zorganizowania oporu zbrojnego i rekonstrukcji sił. To znaczy, że zawieszenie broni będzie podyktowane przez czynniki militarne koalicji z generalissimusem Fochem[116] na czele, gwarancje zaś będą właściwie kapitulacją militarną Niemiec, w której znajdą się zapewne, a przynajmniej znaleźć się mogą takie warunki, jak demobilizacja, wydanie materiałów wojennych, obsadzenie twierdz i stanowisk strategicznych przez koalicjantów itp. Ciężkie będą warunki, ale z pewnością Niemcy już zmuszone będą przystać na wszystko. Wilson uzasadnia tezę o gwarancjach i poddaniu zawieszenia broni czynnikom militarnym zwycięzców tym, że stare potęgi imperializmu niemieckiego („król pruski", naczelne dowództwo armii, czyli Hindenburg i Ludendorf[117], elementy wszechniemieckie w społeczeństwie) nie zostały jeszcze całkowicie przez wyzwalający się naród niemiecki przezwyciężone i opanowane i mogą jeszcze w pewnej chwili wrócić do dyktatury poprzedniej i usiłować dalej swe krwawe dzieło prowadzić. Toteż Wilson uznaje potrzebę i słuszność zapobieżeniu takim możliwościom. Zaznacza, że będąc z narodem niemieckim, który się wyzwalać zaczął, gotów do porozumienia, zmuszony jest

[116] Ferdinand Foch (1851-1929), generał francuski, od 1918 marszałek, w l. 1907-1911 komendant Wyższej Szkoły Wojennej, w 1914 dowódca korpusu, a następnie 9 armii w bitwie nad Marną, w l. 1915-1916 dowódca grupy armii północnych na froncie niemieckim. Od marca 1918 naczelny wódz wojsk koalicyjnych na froncie zachodnim, następnie całości wojsk alianckich.
[117] Erich Friedrich Wilhelm Ludendorf (1865-1937), niemiecki generał i polityk, w 1914 kwatermistrz II armii niemieckiej, następnie szef sztabu VIII armii w Prusach Wschodnich i sił niemieckich na froncie wschodnim (tzw. Ober-Ost), od sierpnia 1916 do września 1918 generalny kwatermistrz armii niemieckiej, w marcu 1918 kierował wielką ofensywą na froncie zachodnim. W l. 1920 i 1923 uczestniczył w zamachach stanu.

obstawać za kapitulacją bezwzględną w stosunku do tych czynników, a stąd to jego stanowisko w sprawie zawieszenia broni.

28 października, rok 1918, poniedziałek
Odbyła się sesja sądowa z ławnikami Cieloszczykiem i Stachelskim. Wśród spraw osądzonych na tej sesji znalazła się sprawa Masłowskiego z Olendrem, najstarsza ze spraw, rozpoczęta jeszcze przed moim przyjazdem do Kolna, datowana numerem 3 roku 1917, jedna z pierwszych po przejściu sądownictwa w ręce polskie. Sprawa ta ciągnęła się przez cały rok, napotykając wciąż fatalnie na rozmaite przeszkody, odraczana w nieskończoność, jedna z tych niefortunnych spraw, które, zdawałoby się, los prześladuje. Dziś wreszcie doszło w niej do ekspertyzy weterynarza, po której już musiał nastąpić wyrok. Musiał, choć w istocie nic stanowczo wyjaśnione nie zostało i sąd musiał stanowić wyrok na oślep, jak w ciuciubabce. Toteż, chcąc uniknąć ostatecznej konieczności wyroku, ledwie z wielkim wysiłkiem skłoniliśmy strony do pojednania. Była to dla nas ulga niezmierna. Sesja trwała do wieczora.

29 października, rok 1918, wtorek
Dziś był w sądzie dzień oględzin. W dwóch sprawach żydowskich dokonywał oględzin miejscowych ławnik Jerozolimski, w jednej – ja. Jerozolimski biedził się do obiadu. Wyruszał z sądu z sekretarzem Miętkiewiczem, w asystencji stron, ich adwokatów, świadków przybranych, wreszcie jeszcze ewentualnie świadków i biegłych, maszerował w tym orszaku przez miasto na sporne miejsce oględzin, tam wśród kłótni stron i adwokatów ustalał niezbędne szczegóły i okoliczności, wracał tymże trybem do sądu, gdzie się spisywał formalny protokół oględzin, dalej następowały utarczki adwokatów i stron, ewentualnie badanie świadków – i po wszystkim. Dużo jest w takim akcie oględzin ceremonii i formalizmu, nieco z ubocza zabawnego, nade wszystko zaś – uciążliwe dla ławnika kłótnie i jeszcze uciążliwsze ekscepcje adwokatów, sypane przez nich jak z rękawa. Miętkiewicz się przy tych oględzinach dobrze uśmiał, szczególnie przy drugich, kiedy to powód, chcąc zademonstrować ławnikowi skrępowanie, jakie będzie miał na wypadek ewentualnego zabudowania ganeczka przez pozwaną, ustawił w bramie podwórka olbrzymi wóz, nie wiadomo skąd *ad hoc* ściągnięty, z dyszlem tak ogromnym, jak słup telegraficzny, aby naocznie przekonać oglądających, że wóz taki niepodobna będzie w podwórku zawrócić (choć w istocie i bez ganeczka taki wóz na podwórku się zawrócić nie da); do tej groteskowej demonstracji przybyła na wstępie nie mniej groteskowa kłótnia pozwanej z żoną powoda, które przy akompaniamencie czeredy dzieci z obojga stron od kłótni i wrzasku przeszły do bójki, aż je Jerozolimski grzywną rozbrajać i uciszyć musiał.
Po obiedzie znów ja na scenę oględzinową wystąpiłem, a miałem debiut nie mniej komiczny, jak Jerozolimski. Chodziło w sprawie z powództwa rejenta Płońskiego przeciwko pozwanym Garbowiczom o dokonanie przy udziale biegłego weterynarza Stasinowskiego zbadania krowy w celu ustalenia, czy jest ona cielna i w jakim okresie ciąży. Wymaszerowaliśmy z Sądu o godz. 3; na czele szedłem ja, za mną sekretarz Miętkiewicz, weterynarz Stasinowski, rejent Płoński i jeden z pozwanych Garbowiczów, wreszcie świadkowie przybrani Rewek Burak i Stanisław Pikuliński. Kroczyliśmy uroczyście przez rynek świński do... chlewa z powagą i namaszczeniem obrzędowym. Stefuś z nauczycielką Śnieżkówną, widząc ten pochód uroczysty sądu do chlewa – pokładali się ze śmiechu. Stefuś przyszedł do nas i z humorem karykaturzysty obserwował widowisko. Krowa nieświadoma powagi chwili uroczystego aktu, zachowywała się bardzo powszednio, sąd zaś w licznej asystencji oglądał ją i badał, co zaiste zabawnym było ze strony.

30 października, rok 1918, środa
Sesja sądowa z ławnikami Jerozolimskim i Rainką. Charakterystyczną cechą sesji dzisiejszej było, że wszystkie sprawy jedna po drugiej były dla różnych przyczyn odraczane. Z całej wokandy tylko dwie ostatnie sprawy, rozpoznawane po obiedzie, były wyrokami zasądzone.
Forsownie pracował sąd w październiku – co tydzień regularnie były po trzy sesje – a przecież mało co się spraw zmniejszyło. Dopływ nowych spraw, łącznie z odraczanymi, utrzymywał ogólną ich liczbę na jednostajnym mniej więcej poziomie. Nastąpiła leciutka zniżka w stosunku do spadku, przekazanego z września na październik, ale bardzo nieznaczna i to tylko dzięki temu, że początek miesiąca wypadł na czas kopania kartofli, kiedy ruch spraw się zmniejsza; za to pod koniec miesiąca dopływ wzrósł. Wskazuje to, że trzy sesje w tygodniu są już konieczne i muszą być uważane za normalne. Zostawię następcy mojemu sąd dobrze uporządkowany, ale z obfitym bagażem spraw. O następcy moim do Kolna nic jeszcze nie słychać.
Byłem dziś u naczelnika Cornberga w sprawie pozwolenia na wiec na niedzielę. Pozwolenie zostało dane, ale naczelnik zastrzegł, aby nie było żadnych wycieczek wrogich Niemcom, w przeciwnym bowiem razie organizatorowie wiecu, podpisani na podaniu – to znaczy Franciszek Stachelski, Antoni Mieczkowski i Józef Pikuliński, odpowiedzialni formalnie, będą sztrafowani[118]. Zobaczymy, jak się ten wiec uda i jak się spiszą rzecznicy programu ludowców, pod którego hasłami wiec się odbędzie.
Przyszła wiadomość, że na moście na Narwi pod Łomżą zdjęta została niemiecka „wacha", to znaczy posterunek do wizy paszportów i przepustek i rewizji przewożonych rzeczy. Jest ważny epizod na rzecz swobody ruchu i przewożenia towarów. Po trosze idzie do likwidacji poszczególnych ciężarów okupacji. Pokój się zbliża. Nic go już chyba nie wstrzyma. Będzie on pokojem Wilsona. Austria skapitulowała zupełnie, poddaje się bez zastrzeżeń warunkom, jakie za inicjatywą i pośrednictwem Wilsona będą jej wskazane.

31 października, rok 1918, czwartek
Słota, szpetne powietrze. Głęboka jesień. Wieczory i noce ciemne jak w najgłębszym podziemiu. Mamy najgorszą porę roku.
Za to świt i wiosna w powszechnych stosunkach ludzkich świata. Jakże daleko jesteśmy od tego statusu martwego, który pokrywał układ stosunków ludzkich w dniu wybuchu wojny! Wojna ta przedziwnie wstrząsnęła ludzkością i przeobraża świat. Z niewolników powstają wolne ludy, mapa Europy się przekształca zasadniczo, pękają trony i walą się ostoje reakcji, a demokracja i lud wyzwalają się do czynów i rządów wolnych. Czy prawdziwą jest legenda o rozpętaniu tej wojny przez Niemcy w zdobywczych celach imperializmu? Czy nie wybuchła ona raczej z antagonizmu dwóch potęg, rywalizujących o hegemonię na ziemi, zarówno imperialistycznych i złych tak jedna, jak druga – angielskiej i niemieckiej? I czy nie Anglia ze zmarłym Edwardem VII[119] na czele nie była tą stroną, która konsekwentnie do wojny tej doprowadziła świat, bez względu na formalny moment pierwszeństwa w samym wypowiedzeniu wojny? Ktokolwiek bądź był jej prawowitym autorem – czy Edward VII, czy Wilhelm – stał się on, bodaj bezwiednie i wbrew woli, sprawcą zmian, błogosławionych w dziejach ludzkich. Stosy zwłok i niewyczerpane otchłanie męki ludzkiej, tworzące żniwo tej

[118] Od niemieckiego strafen – karać.
[119] Edward VII (1841-1910), z dynastii sasko-koburskiej, król Wielkiej Brytanii i Irlandii oraz cesarz Indii.

czteroletniej wojny – to złota cena, najkosztowniejsza z cen wolności, która z wojny tej się rodzi. Dzieło jej innym jest, niż były założenia tych, którzy ją rozpoczynali. Błogosławiłem wojnę przy jej wybuchu. Wyczuwałem jej wyzwoleńczy czyn. Mogłem się mylić co do jej epizodów i efektów konkretnych, co do istoty jej dzieła – błogosławieństwo staje się ciałem. Bałem się stłumienia Niemiec przez pierwotną potęgę Rosji, bo wtedy nie wolność, lecz niewola by rozkwitła na ziemi. Wielki opór Niemiec i ich niezłomne zwycięstwo w pierwszej dobie paru lat wojny – ocaliły dzieło wolności. Gdy Rosja była w gruzach, gdy Anglia wyczerpana ustąpiła pierwszeństwa Ameryce – upadek siły Niemiec stał się już wolności zastrzeżeniem. I stał się.

1 listopada, rok 1918, piątek
Z powodu święta – roboty mało. Miałem tylko do napisania wyrok motywowany w sprawie Baranowicza z Rogińskim, obstalowany przez Baranowicza, który chce apelować. Poza tym Miętkiewicz sporządzał rano sprawozdanie kasowe i z ruchu spraw za ubiegły październik; sprawozdanie wraz z pieniędzmi odesłaliśmy dziś jeszcze do Sądu Okręgowego. Październik dał 55 nowych spraw cywilnych, karnych zaś – tylko 12. W porównaniu do września, dopływ spraw cywilnych był większy (we wrześniu – 47 spraw), ale mniejszy był, niż w sierpniu (w sierpniu – przeszło 60, maksymalna ilość, jaka kiedykolwiek za moich czasów była w Kolnie); natomiast dopływ spraw karnych zmalał w październiku nawet w porównaniu do września. Co do stosunku spraw rozpoznanych (zakończonych) do spraw, które wpłynęły, to w październiku ilość pierwszych (cywilnych i karnych łącznie) przewyższa ilość ostatnich o 8; gdy więc na 1 października było spraw, będących w toku 129, to na 1 listopada jest ich 121 – zniżka niewielka.
Z dnia na dzień oczekiwane jest ogłoszenie warunków zawieszenia broni, podyktowanych przez koalicję. Dotąd nie zostały one jeszcze podane, chociaż podobno Berlin już je otrzymał. Że Niemcy będą musiały je przyjąć, to chyba nie może już ulegać wątpliwości. Zresztą gdyby nawet rząd niemiecki lub parlament nie chciały ich przyjąć, uważając za zbyt ciężkie lub upokarzające, to dziś już z pewnością ani lud niemiecki, ani samo wojsko na froncie dalej prowadzić wojny nie zechcą. Wypadki ostatnich trzech tygodni toczą się jak lawina. W momencie, gdy nowy rząd niemiecki zwrócił się d. 5 października do Wilsona z prośbą o pośrednictwo pokojowe, wyrażając zgodę zasadniczą na jego 14 punktów programu, sytuacja wojenna jeszcze była inna, niż jest obecnie. Jeszcze siła oporu, aczkolwiek zachwiana, istniała; jeszcze Austria stała ramię przy ramieniu niemieckim. Dziś jest rozkład zupełny dzieła związkowego Niemców. Kapitulacja, a właściwie rozpad całkowity i niebyt Austrii postawił Niemcy w położeniu tragicznego osamotnienia. Świadomość przegranej i rozkładu całej sprawy wraz ze wszelkimi szansami oporu – zniszczyła w sposób piorunujący wszelką moc psychiczną Niemców. Z tonącego okrętu ratują się pierwsze – szczury. Wszystkimi szczelinami uchodzą teraz i dezerterują dotychczasowi sprzymierzeńcy Niemiec. Osamotnienie, w którym znalazły się Niemcy, jest zaiste tragiczne. Wszystkie ludy Austrii, całe Bałkany z Bułgarią i Rumunią, Węgry, Turcja, nowe twory państwowe na wschodzie na kresach dawnego imperium rosyjskiego z Polską na czele – wszystkie nie tylko się oderwały od związku z Niemcami, ale zwróciły się przeciwko nim. Wszędzie powstały płomienne odruchy ludowe przeciwko Niemcom i ich sprawie. *Vae victis!*[120]Każdy się ratuje jak może, każdy śpieszy na gwałt odseparować swoją sprawę od sprawy niemieckiej i jej się przeciwstawić. Wszystkie spoidła związkowego dzieła niemieckiego rozsypują się i rozłażą, buchając płomieniami gniewu ludów.

---
[120] (łac.) biada zwyciężonym

Dziś opowiadają nowość, którą jeszcze gazety warszawskie, które się do Kolna późnią, przyniosą nam dopiero jutro lub pojutrze: oto w Wiedniu wybuchła prawdziwa rewolucja, a wojska austriackie na froncie same się samorzutnie demobilizują, opuszczają front, porzucają broń lub z bronią wracają do kraju. Cesarz Karol – widmowy cesarz, któremu państwo się rozlazło spod stóp – podobno uciekł z Wiednia. W płomieniach stoi Austria a raczej to, co nią było, w płomieniach rewolucji – Węgry, Bałkany, Turcja, Galicja. Gdzieniegdzie jest już jawna rewolucja, gdzie indziej powstanie lub wrzenie i kotłowanie stosunków coraz gwałtowniejsze. Pożar zewsząd płynie, fale ognia przewrotów i wstrząśnień zalewają Europę. A gdy się poruszą wojska z frontów, gdy się zaczną masy żołnierskie demobilizować – przyjdzie do analogii z tym, co się działo w roku zeszłym w Rosji przy rozpadnięciu się jej frontów wojennych.

2 listopada, rok 1918, sobota
Dzień zaduszny. Quasi-święto.
Zdecydowałem się ustalić termin mego urzędowania w Sądzie Pokoju – do 15 bieżącego miesiąca. Jeżeli do tego terminu nie doczekam się przyjazdu mego następcy, to przekażę sąd Franciszkowi Stachelskiemu jako pełniącemu z urzędu obowiązki zastępcy sędziego pokoju i następnie pojadę do Łomży. Choć mi jeszcze trochę żal mego Sądu Pokoju w Kolnie, to jednak jeszcze mi bardziej tęskno w świat. Każdy numer gazety, który biorę do rąk, rozpala we mnie tęsknotę wypłynięcia z tego partykularza na szerszą arenę, między ludzi, skąd bliżej do wieści, łatwiej o orientację, szerzej i widniej dla wzroku, a zwłaszcza łatwiej rozwinąć skrzydła do lotu – do kraju... Trawi mnie tęsknota czynu i właściwego środowiska i terenu w kraju. Dzięki Bogu, że na tę chwilę wypadła moja nominacja, która mnie wyzwala z Kolna, choćby na razie tylko do Łomży.
Wiem, że ciężką jest jeszcze teraz atmosfera na Litwie i szczególnie w Wilnie. Czuję, że w tej chwili jeszcze by mi tam było trudno o decyzję, gdzie stanąć, co robić i dokąd pójść. Ale już lada tydzień i może lada dzień zaczną się i tam szybko, błyskawicznie – jak gdzie indziej, klarować stosunki, kiedy trzeba będzie stawać do apelu i brać obowiązek obywatelski na barki. Pęta mnie szczególnie ten czynnik psychiczny, tragicznie rozdwajający moje życie między tym, co mi przekonanie dyktuje, a tym, co się lęgnie w głębokich pokładach i jakichś pradziecinnych mojej duszy czuciach i instynktach – mój stosunek do Papy i mój z Papą rozdźwięk fatalny. Ciąży to na mnie jak kamień; gdyby kiedy jakiś psycholog umiał całe życie moje rozejrzeć, wnikając i czytając to, co zresztą prawie nigdy nie wyrażam, tłumiąc w sobie najgłębsze sprężyny moich bodźców i odruchów, znalazłby klucz najistotniejszy do wszystkich uchybień i zwichnięć mego życia i czynu w tym oto stosunku moim do Papy. Ale dość o tym. Nie będę się w tym babrać.
Na Litwie i w stosunku do Litwy – wszystko jest jeszcze sfinksowe. U Litwinów coraz wyraźniejsza dwoistość dróg: z jednej strony Taryba, która usiłuje, grając na ostrym nacjonalizmie, przeciwstawić się radykalizmowi i rewolucji, strasząc bolszewizmem i zagarniając dzieło organizacji państwowej w swoje spekulacje, a trzymając się pomimo wszystko Niemców, analogicznie do świętej pamięci „aktywizmu" polskiego z ostatniego roku, z drugiej socjaliści, którzy zerwali z nią i odwołują się coraz jaskrawiej do rewolucji w duchu wolności i samorzutności ludu, wzorem ruchów, jakie powszechnie się dziś w kształtowaniu wyzwalających się państw ujawniają. Na tle tego rozłamu występują tendencje polonofilskie Wilna i Polaków litewskich, w Warszawie zaś w stosunku do Litwy, czyli „kresów wschodnich", górę zdają się brać hasła związku z zaakceptowaną państwowością Litwy, pojętej jako państwo mieszane, to znaczy nie narodowe, jak je Litwini pojmować pragną.

Austria, a raczej to, co nią było, a co dziś się stało szeregiem odrębnych tworów państwowych, i Węgry – płoną. Coraz wyraźniej zdaje się tam rysować ruch, który ma analogie do rewolucji rosyjskiej. Wojsko zdaje się odgrywać rolę coraz większą w dojrzewającej tam rewolucji. Jest to droga do tego, co w Rosji bolszewizmem się nazywa.
Nie boję się tego imienia „bolszewizmu", który wywołuje blady strach na licach wszelkich reakcji. W Rosji ruch ten musiał mieć dużo zwichnięć w konkretnym wyrazie – ze względu na niekulturalność mas, co gdzie indziej może być uniknięte, ale w założeniu i istocie nie jest on ani tak dzikim, ani tak destrukcyjnym, za jaki go przedstawiają rzecznicy społecznego *status quo*. Witam sercem płynącą rewolucję. Witam ją, choć głośno powitania jeszcze nie wyrażam, bo dokoła otoczony tu jestem ludźmi, którzy ze strachem i niechęcią o rewolucji mówią, a na ustach mają ulubioną frazę „jedności narodowej". Rychło sami za rewolucją pójdą. Mechanicznego zaboru krajów naszych przez rewolucję i bolszewizm rosyjski nie życzyłbym, ale rewolucja samorzutna jest pożądana.

3 listopada, rok 1918, niedziela
Miał się dziś odbyć ten wiec Stronnictwa Ludowego, na który o pozwolenie ja się u naczelnika powiatu na prośbę młodzieży starałem. Pozwolenie, jakem pisał, zostało udzielone. Wiec jednak do skutku nie doszedł z przyczyn następujących. Na dzisiaj zwołany został z całego kraju zjazd (czy też wiec) ludowy w Warszawie[121]. Nasi więc mówcy, działacze ludowi Ziemi Łomżyńskiej – wyjechali do Warszawy, puszczając kantem Kolno. Na ich miejsce mieli wprawdzie wystąpić inni – w szczególności popularny dr Rogiński[122], dawny Kolnianin, niesłychanie lubiany w Kolnie, obecnie po powrocie z Rosji zamieszkały w Łomży – ale ostatecznie i on nie przyjechał. Może odstraszyła go niepogoda dzisiejsza, albo coś innego stanęło na przeszkodzie. Słowem – gdy sala teatralna w Kolnie zapełniła się o godz. 1 szczelnie po brzegi, tak że tłum aż się w niej nie mieścił – zabrakło mówców. Że zapowiedziani pierwotnie mówcy ludowi z Łomży nie przyjadą, o tym wiedzieliśmy od paru dni, bo Stachelski otrzymał w tej materii list od dr Rogińskiego, ale przyjazdu Rogińskiego Stachelski czekał do ostatniej chwili. Ludność okoliczna jest tak spragniona wieści, wszyscy są tak naelektryzowani wypadkami i ruchem powszechnym, którego cały świat jest pełny i którego echa do wszystkich docierają zakątków; wszystkich tak fascynują perspektywy doniosłych przemian i faktów, tak każdy wpatrzony jest w to jutro, od którego czeka spełnienia swych pragnień, marzeń, tęsknot i porachunków bądź narodowych, bądź społecznych, że zapowiedź wiecu, którego wici rozniosła po wioskach młodzież, ściągnęła pomimo niepogody do Kolna tłumy jak na odpust. Młodzież zwłaszcza przybyła gromadnie, niezmiernie też licznie stawiły się kobiety. Nie zabrakło nawet Żydów z miasteczka, ciekawych posłuchać nastrojów Polaków z tęsknotą oczekujących demokratycznego powiewu w Polsce, który by ich ustrzegł od mętnych i głuchych pomruków, jakie tu i ówdzie się z masy podnoszą; ten nastrój, który się w całej masie ludowej objawia, to pragnienie wieców publicznych, czekania hasła, szukanie nerwowe słowa, mającego tworzyć cuda – to znamię czasu, znamię niechybne wielkich poruszeń czynnych ludu. Gdzie indziej już buchają płomienie ruchów ludowych, tu jeszcze w okupacji niemieckiej cicho, ale pod tą ciszą tai się obudzony zmysł ruchu, który czeka już tylko chwili do wylewu. Stoimy na progu wielkiej akcji zbiorowego dramatu – to chyba niewątpliwe. Toteż nie żałuję właściwie, że wiec dziś do skutku nie doszedł, skoro mówcy z obozu ludowców przybyć nie mogli. Dr Rogiński bowiem, jak zmiarkowałem

[121] Zjazd PSL „Wyzwolenie", który się odbył w Warszawie w dniach 1-2 listopada 1918 r.
[122] Walerian Rogiński, do 1914 r. był jednym z dwu lekarzy kolneńskich.

z jego listu do Stachelskiego, daleki jest od stanowiska ludowców, których akcję uważa za wichrzycielską. Toteż gdyby on przybył i przemawiał, wiec prawdopodobnie zbagatelizowałby się do mdłego sławienia jedności, posłuszeństwa rządowi i innych endeckich haszyszów, zaprawionych jeno kiwaniem w bucie w kierunku okupantów. Tu trzeba dla tego nastroju – silnych słów i wyrazistej woli, z których się zrodzi ludowy polski czyn. Przesłanki do tego czynu w ludzie są i na nich się dzieło wolności oprzeć powinno. Sędzia śledczy Makowski chciał, abyśmy wiec *quand même* zagaili i poprowadzili własnymi siłami, ale byłoby to wobec miejscowych sił inteligenckich jeno ględzenie. Toteż rad byłem wnioskowi Stachelskiego o odwołaniu, a raczej odroczeniu wiecu do przyjazdu mówców w innym terminie, i to zebranym obwieściłem, likwidując zgromadzenie dzisiejsze.
Poszczególne wsie w tych stronach posłały swoich delegatów na wiec do Warszawy. Tak oto sąsiednia z Kolnem wieś Zabiele wydelegowała trzech przedstawicieli. Wrócą oni i krzesić będą w ludzie te iskry zapału, które już są, a które przez nich zapłodni oto zjazd warszawski.
Szkoda, że ja talentu mówcy nie mam. Pod tym względem jestem upośledzony. Do mównicy wiecowej urodzony nie jestem.

4 listopada, rok 1918, poniedziałek.
Pojechałem dziś z sekretarzem Miętkiewiczem do Myszyńca na wizytację tamecznego Sądu Pokoju z polecenia prezesa Filochowskiego. Rad jestem, że wypadła mi jeszcze, korzystając z pobytu w Kolnie, okazja do poznania tego serca puszczy i Kurpiów, jakim jest Myszyniec. Pogoda podróży sprzyjała. Dzień był pochmurny i ciemny, gęsta mgła, ale przynajmniej deszcz nie padał, nie było wiatru i – ciepło. Miałem burkę pożyczoną od Goldberga, ale jej nie używałem wcale. Było mi dość mego paltotu jesiennego. Świetna szosa, którą zawdzięczamy Niemcom, prowadzi z Kolna w głąb puszczy do Myszyńca. Kiedyś była tam droga okropna; brnęło się przez piaski jak kołami po śniegu. 6 mil takiej drogi do Myszyńca – były męką i dla koni, i dla ludzi. Dziś jedzie się jak po stole. 42 kilometry szosy przejeżdża się jak spacerkiem. Ze wszystkiego, co Polska miała od Niemców – szosy są najprzedniejszym podarkiem. Lud polski przeklinać będzie ich okupację, ale szosy zachowa we wdzięcznej pamięci. Najdalsza podróż moja w puszczę sięgała dotąd Zalasa, a szosą – pod Łyse. Nigdy tak daleko, jak dziś się w kraj Kurpiów nie zapuszczałem. Zabiele, Ptaki, rzeka Pissa, a dalej Turośl czyli raczej Bączki, Cieloszka, Pupkowizna, Łyse (te dwie wsie ostatnie pozostają zresztą na uboczu), Demby, granica powiatów kolneńskiego i ostrołęckiego na rzeczce Szkwie, Wykrot, Dreżek i Myszyniec. Takie są etapy tej drogi. Szosa prowadzi przez bory puszczańskie, przerzedzone szkaradnie, gdzieniegdzie świecące pustką po trzyletniej gospodarce rabunkowej Niemców. Mnóstwo jeszcze materiału leśnego przygotowanego do wywozu leży w puszczy. Niemcy przed wyjściem śpieszą się gorączkowo z ich wywozem; kolejki przecinające puszczę w różnych kierunkach uwijają się co tchu. W Dembach po drodze wstąpiliśmy na popas do sołtysa Teofila Pliszki, który jest zastępcą ławnika w moim sądzie w Kolnie. Przyjął nas bardzo gościnnie mlekiem, chlebem, miodem i jajami. O godzinie 1 przyjechaliśmy do Myszyńca. Mieścina zabudowana dość bezładnie, na piaskach; otoczona dokoła niskimi łąkami. Wewnątrz ulica główna, tonąca w gęstym piasku, z domkami drewnianymi o ganeczkach przy wejściach – przypomina mi miasteczka białoruskie: jakieś Mołodeczno albo Korzeniec czy Szczodryn. Obiad zjedliśmy z Miętkiewiczem u sekretarza Sądu Pokoju Kuklińskiego. Po obiedzie aż do wieczora dokonywałem wizytacji, przeglądałem szczegółowo akta sądowe, pracowałem rzetelnie. Nie miałem dużo czasu na przyjrzenie się Myszyńcowi. Śliczny tu jest kościół, nie wykończony

jeszcze wewnątrz i nie otwarty do użytku, wybudowany przed wojną. Po ulicach Myszyńca, jeżeli je ulicami nazwać można, wciąż się widzi Kurpianki w ceglastych strojach ludowych z żółtymi czółkami (taką jest nazwa lokalnego ubioru głowy kobiet kurpiowskich) na czołach.

5 listopada, rok 1918, wtorek
O godz. 8 rano wyjechaliśmy z Miętkiewiczem z Myszyńca i na obiad o godz. 1 byliśmy w Kolnie.
Zaraz po przyjeździe dowiedziałem się, że już mnie wzywają do Łomży dla objęcia urzędu sędziego okręgowego. Jakoż istotnie w kancelarii sądu zastałem pismo prezesa Filochowskiego z poleceniem przekazania niezwłocznie Sądu Pokoju w ręce ławnika Stachelskiego i przyjazdu do Łomży. Wobec tego przyspieszę mój wyjazd z Kolna. Jutro po raz ostatni przeprowadzę sesję sądową; sesję piątkową poprowadzi już Stachelski. W sobotę dokonam aktu przekazania sądu Stachelskiemu. Wyjadę z Kolna w przyszłym tygodniu.
W Kolnie dowiedziałem się ciekawych nowin politycznych. W obecnych czasach co dzień – to niespodzianka. Byłem jeden dzień wczorajszy bez gazet, a już zaszły fakty nowe niezmiernie ciekawe. Dzisiejsze gazety dorzuciły do tego wiązkę dalszych faktów, coraz to ciekawszych. Pęd wypadków i ich ewolucja w kierunku radykalizowania się stosunków postępuje z zawrotną szybkością. Każdy dzień następny już w niczym niepodobny do poprzedniego. Oto pierwsze nowiny polityczne, które mnie doszły po przyjeździe do Kolna, głosiły o rozpoczęciu działań wojennych między Polakami a Ukraińcami w Galicji w walce o Lwów i Przemyśl. Jak wiadomo, po rozsypaniu się Austrii Polacy utworzyli w Galicji Polską Komisję Likwidacyjną[123] dla przejęcia całej Galicji niepodzielnej na rzecz Polski. Równolegle, a poniekąd konkurencyjnie do PKL, Rada Regencyjna mianowała generalnego komisarza[124] na Galicję i dowódców wojskowych. Wszystko to było zakrojone na całą Galicję wbrew dążeniom Rusinów do odrębnego upaństwowienia Galicji Wschodniej jako ukraińskiej. Rozpoczęło się samorzutne przejmowanie miast, twierdz i kraju całego z całą administracją w ręce polskie. Jednocześnie też, jak w całej Austrii, oddziały wojskowe austriackie rozpadały się na formacje narodowe. W Galicji oddziały austriackie żołnierzy Polaków przetworzyły się w oddziały wojska polskiego. Ale i Rusini nie drzemali. Ubiegli Polaków i zajęli pierwsi Lwów. Jaka jest sytuacja, dokładnie nie wiadomo. Tymczasem komunikacja ze Lwowem jest podobno przerwana. Wczorajsze gazety donosiły o rozpoczętych walkach zbrojnych pod Lwowem i Przemyślem, o posuwaniu się Ukraińców pod Zamość i na Chełm. Dzisiejsze gazety wniosły pewne uspokojenie. W Przemyślu podobno w drodze układu, usankcjonowanego przez dowódcę polskiego Puchalskiego[125], doszło do kompromisu, którego mocą zarząd miasta i powiatu objął komitet mieszany, złożony z czterech Rusinów i czterech Polaków, posługujący się milicją również z obu stron. Co do Lwowa – sytuacja nie jest dokładnie wiadoma. O posuwaniu się na Zamość i Chełm – nie ma, zdaje się mowy. Istotnie, byłoby to w najwyższym stopniu bezcelowym przelewanie krwi o Lwów lub inne kresy polsko-ruskie. Rozstrzygnie to kongres, względnie zostanie rozstrzygnięte

[123] Powołana w Krakowie 28 października 1918 r.
[124] Był nim ks. Witold Czartoryski.
[125] Stanisław Puchalski (1867-1931), od 1887 oficer armii austriackiej, w 1914 dowodził 20 Pułkiem Piechoty, następnie XXIV Brygadą i 12 Dywizją Piechoty, w okresie 1 II-18 X 1916 komendant Legionów Polskich, następnie dowódca okręgu wojskowego w Przemyślu, w listopadzie 1918 dowódca WP w Galicji podległy PKL, od 1919 m. in. Komendant Szkoły Sztabu Generalnego i Centrum Wyszkolenia.

przez sądy rozjemcze, postanowione w ramach zamierzonego związku narodów. Przesądzanie sporów faktami dokonanymi przelewu krwi i przemocy zbrojnej zapewne się w nowym ukształtowaniu Europy nie ostoi. Ale aspiracje i namiętności ludów są niecierpliwe i grają pobudki czynów.
Dzisiejsze gazety przyniosły nową ciekawą wieść. Oto Rada Ministrów, to znaczy rząd p. Świeżyńskiego wydał odezwę do narodu, odwołującą się do niego bezpośrednio, głosząc swoją decyzję ustąpienia na rzecz nowego gabinetu koalicyjnego, w którym przewagę ma otrzymać lewica. Odezwa nic nie wspomina o Radzie Regencyjnej i wyraża po raz pierwszy tezę Rzeczpospolitej. Zdaje się, że jest to bezpośrednie wystąpienie rządu z pominięciem Rady Regencyjnej, a więc *coup d'état*[126] w stosunku do niej. Równocześnie rozeszła się pogłoska o dymisji Rady Regencyjnej, pogłoska, której potwierdzenia w gazetach tymczasem nie ma. Nowy rząd zapowiadany w odezwie będzie czymś analogicznym do rządu Lwowa[127], a może nawet Kiereńskiego w etapach rewolucji rosyjskiej. Rozlana fala ruchu z pewnością się nie zatrzyma na tym punkcie. Pędzi ona dalej jak woda po płaszczyźnie pochyłej i jak po Lwowie przyszedł Kiereński, a po Kiereńskim Lenin[128] w Rosji, tak i w Polsce pójdzie coraz dalej. Ku czemu też idziemy!
Dziś druga rocznica tzw. aktu 5 listopada 1916, który pierwszy proklamował niepodległość Polski. Jakże dziś mizernie się on przedstawia w perspektywie zaledwie dwuletniej. Co za olbrzymi postęp w dziele wyzwolenia powszechnego! To, co przed dwoma laty wydawało się czymś wspaniałym, dziś wobec obecnej pełni aspiracji wolnościowych jest nędzne i mizerne jak ochłap godny pogardy. A jednak przed dwoma laty było to tak wielkie! Jak u Polaków, tak i u innych ludów. O czym przed dwoma laty ledwie marzyli Litwini i za co rok temu byli jeszcze wdzięczni, to dziś jest maltretowane, bo wyzwolenie i aspiracje przegnały dzień wczorajszy. I tak jest wszędzie. Wolność rośnie.
W Kolnie jeden tylko dziwak Zawistowski uczcił rocznicę 5 listopada 1916 chorągiewkami o barwach narodowych.

6 listopada, rok 1918, środa
Dziś po raz ostatni prowadziłem sesję sądową w Sądzie Pokoju w Kolnie. Zamknęła się karta mojej pracy w Kolnie. Wraz z nią zamknęła się jeszcze jedna karta mego życia, jeden długi rok, pracowity i odludny, jak na wyspie Robinsona. Bo też rzeczywiście ten epizod kolneński mego życia ma analogie do dziejów Robinsona na samotnej wyspie lub do jakiegoś zamknięcia klasztornego. Daleko od wielkich tęten życia, jak ślimak w swojej skorupie, tak ja spędziłem ten rok, pogrążony w Sądzie Pokoju. Wbrew mojej przeszłości, wbrew całym dziejom mego życia, utrzymałem się tu wyłącznie na poziomie pracy zawodowej sędziowskiej, daleki od politycznych i społecznych ruchów. Błogosławiony niech będzie ten spokój Kolna, ta skrzętna pracowitość mnisia, która wypełniła ten mój ostatni rok. Wypoczęty jestem i zdrów. Spędziłem tu w ukryciu i pracy najcięższy czas, kiedy wojna szalała, kiedy życie stawało się coraz trudniejsze, kiedy żadne błyski jaśniejszych perspektyw nie rozwidniały ciężkich chmur beznadziejnej, zdawało się, wojny. Aż błysnął świt i za nim szybko wschodzi słońce. I na tę właśnie chwilę wypadło moje przeniesienie się z Kolna. W sam czas. Bo teraz

[126] (fr.) zamach stanu. Odezwa rządu Świeżyńskiego z 3 XI 1918 r. była w istocie „zamachem stanu" wobec Rady Regencyjnej.
[127] Gieorgij Jewgieniewicz Lwow (1861-1925), książę, polityk rosyjski, premier i minister Rządu Tymczasowego (III-VII 1917), po rewolucji bolszewickiej działał na emigracji we Francji.
[128] Włodzimierz Iljicz Lenin, właśc. Uljanow (1870-1924), twórca partii bolszewickiej, organizator i pierwszy przywódca państwa sowieckiego.

nadal nie chciałbym już tu pozostać. Formalnie przechodzę do Łomży, ale czy tam długo wybędę, czy nie porzucę wszystkiego i nie udam się do Litwy – to się okaże. Jak najrychlej po przyjeździe do Łomży wybiorę się na zwiady do Wilna. Od tego zacznę. Tymczasem – żegnaj mój Sądzie Pokoju w Kolnie, moja przystani pracowita i cicha. Kochałem cię i oddałem ci się z całych sił. I tyś mi się odwdzięczył dobrze; byłeś w moim ręku giętki i posłuszny, rzetelny i prawy jak struna. Skojarzyłeś się ze mną, a owocem naszym była sprawiedliwość, która zjednała powszechne tu dla mnie uznanie ludu i miłość.
Ostatnia moja sesja dzisiejsza była karna. Zasiadali ławnicy: Stachelski i Orbik. Około godz. 3 po południu sesja była zakończona. Na ogół była nudna, jak nudnymi są zwykle sprawy karne w sądach pokoju. W obecności wypadków ostatnich dni, w obecności prądu wolnościowego, którego tchnienie upowszechnia się po wszystkich ludach, w obecności wreszcie proklamowania hasła Rzeczypospolitej nawet przez ministerium takie, jak Świeżyńskiego, w którym endecy stoją na czele, dziś po raz pierwszy wyczuwałem niemal fizycznie całą niewłaściwość urzędowych symbolicznych formułek, które używać musiałem w sądzeniu: mianowicie ferowanie wyroków „w imieniu Korony Polskiej" i tytułowanie sądu: „Królewsko-Polski". Brzmi to anachronizmem monarchicznym, nie pasującym zgoła do tego, co życie niesie. Przy narodzinach sądownictwa polskiego w mrokach beznadziejnej okupacji te formułki symboliczne zdawały się opromieniać ten sąd polski pewnym majestatem królewskości jako symbolu suwerenności polskiej, jak pewne światełka tejże w ciemnej nocy gwałtu i niewoli. Dziś one rażą jak urągowisko praw najwyższych i majestatu ludu.
Dziś nowe ciekawe wieści w gazetach. Rada Regencyjna wcale się do dymisji nie podała. Przeciwnie – wyciągnęła ona tę konsekwencję z samorzutnego kroku Rady Ministrów z d. 3 listopada, powziętego bez jej wiedzy i ministerialnej odezwy do narodu – że udzieliła dymisję całemu gabinetowi Świeżyńskiego, ogłaszając we własnej do narodu odezwie, że zatrzyma władzę aż do przekazania jej Sejmowi Konstytucyjnemu, i protestując przeciwko uzurpowaniu na rzecz partii – wolnej decyzji o Polsce, która jest atrybutem li tylko całego narodu, uosobionego w mającym się zwołać sejmie. Tymczasowo Rada Regencyjna poleca zarząd ministeriów najwyższym urzędnikom każdego ministerium zapowiadając usiłowanie rychłego utworzenia samego gabinetu demokratycznego, który działać będzie do czasu sejmu. Zwołanie sejmu ustala Rada Regencyjna na grudzień. Z doniesień prasowych zdaje się wynikać, że Rada Regencyjna zabiega o utworzenie ministerium wyłącznie lewicowego. Nie orientuję się jeszcze dobrze w podkładzie konfliktu między Radą Regencyjną a rządem endeckim Świeżyńskiego. Zdaje się, że obie strony zaczynają się licytować w radykalizmie. Jest to charakterystyczne znamię czasu.

7 listopada, rok 1918, czwartek
Dziś już tylko połowicznie urzędowałem sądzie. Byłem w sądzie w godzinach urzędowania, ale już sam skarg powodowych, których jak zawsze przy czwartku, wpłynęło dużo – nie protokołowałem. Robił to za mnie Miętkiewicz, ale jeszcze ja podpisywałem i jeszcze sam wydawałem decyzje.
Na dniu dzisiejszym jednak zakończyłem moją pracę w Sądzie Pokoju w Kolnie. Jutro – dzień sesji i sesję prowadzić już będzie Stachelski. Gdyby nie nastająca chwila dziejowa, z żalem bym się rozstawał z moim sądem w Kolnie. Ta chwila jednak sprawia, że już się stąd wyrwać pragnę. Byleby mi się tylko udało w jak najprędszym czasie dotrzeć do Łomży do Wilna.
I, ach, jakżebym pragnął zlikwidować już ostatecznie mój pobyt w Polsce i powrócić do Litwy. Marzę znów o tym i czekam. Nie chcę myśleć o osiedlaniu się moim w Łomży,

nie chcę żadnych planów na Łomżę sobie układać. Z niechęcią myślę o ewentualności dłuższego pozostania w Łomży lub pracy w Sądzie Okręgowym. Z drugiej jednak strony, tyle już czekałem na próżno, że nie odważam się planować już stanowczo tego upragnionego powrotu. A nuż jeszcze ta rozbudzona nadzieja znowu zawiedzie!
Na Litwie rozłam u Litwinów zaznacza się coraz ostrzej. Z jednej strony reakcyjna „Taryba", która się już zwie obecnie Radą Państwa albo Radą Stanu („Valstybės Taryba"), z drugiej – czynniki lewicy, do których, oprócz socjalnych demokratów, garną się też ludowcy (dawna partia demokratyczna). Analizuję ten spór na łamach dwóch pism litewskich, które wyrażają te dwa przeciwne obozy: organ Taryby – dziennik „Lietuvos Aidas" i socjalno-demokratyczny tygodnik „Darbo Balsas". Spór i przeciwstawienie sobie dwóch stanowisk – ujaskrawia się. Spór się toczy dokoła zasadniczej sprawy: zorganizowania rządu i władz państwowych Litwy, co już sami Niemcy zgodzili się w ręce Litwinów oddać. Lewica dąży do samorzutnego tworzenia budowy państwowej i władz z ludu, kieruje do sejmu, tymczasowo zaś żąda zwołania nowej konferencji krajowej[129], analogicznej do zeszłorocznej, ale utworzonej w drodze jak najszerszej, ile się da, demokratycznej reprezentacji dla wyłonienia z niej tymczasowej organizacji rządowej i państwowej w celu przejęcia wszystkich funkcji i doprowadzenia do sejmu, podkreślając też mocno sprawę dopuszczenia do współpracy mniejszości narodowych, podczas gdy Taryba usiłuje się tym szerokim demokratycznym i ludowładczym zamierzeniom przeciwstawić, zazdrośnie strzegąc swego przywileju i monopolu w tworzeniu państwa i organizowaniu władz. Jak ślepa, nie czując żywego prądu chwili, czepia się Taryba swych przestarzałych pełnomocnictw i na nich chce całe dzieło Litwy oprzeć. Zdyskredytowana, skompromitowana swoim monarchizmem i ugodowością do Niemców, daleka od wymogów czasu i demokracji ludowej – stara się w kostniejących rękach utrzymać ster Litwy. Najbardziej reakcyjnym okazuje się w Tarybie jej centrum i samo prezydium ze Smetoną[130] na czele i Jerzym Šaulysem[131] jako wiceprezydentem. Mniej od nich reakcyjni są nawet klerykali. Taryba chce sama wyłonić rząd, chce przywłaszczyć sobie stanowisko najwyższej legalnej władzy państwowej – do czasu zwołania sejmu, które też naturalnie chce odwlec. Śmieszne są i naturalnie jałowe, tchnące jakimś scholastycznym, suchym schematyzmem dyskusje i rozprawy w Tarybie na temat zasad i pierwiastku suwerenności, w których poznaję ćwiczenia mózgowe erudyty Šaulysa, ukrywającego karierowiczostwo w głębokiej sofistyce dialektycznej, popisywanie się subtelnością myślenia Šilinga[132]. Życie kipi, a oni gadają. Chcą scholastyką przegadać lud, a pod jej maską piec swoją pieczeń osobistej kariery. Smetona jest przynajmniej szczery, a w

---

[129] Mowa o konferencji litewskiej obradującej w Wilnie w dniach 18-23 IX 1917 r. Uczestniczyło w niej 214 delegatów, wśród których dominowali przedstawiciele ugrupowań umiarkowanych, konserwatywnych i nacjonalistycznych. Delegaci wypowiedzieli się za utworzeniem niezawisłego, opartego na demokratycznych podstawach państwa litewskiego w granicach etnicznych. Konferencja wybrała 20-osobową Radę Litewską (Tarybę).
[130] Antanas Smetona (1874-1944), prawnik, czołowy działacz litewskiego ruchu narodowego, w którym uczestniczył od wczesnej młodości. W latach 1917-1919 przewodniczący Rady Litewskiej (Taryby). Dwukrotny prezydent Republiki Litewskiej (1919-1920) i (1926-1940). Po aneksji Litwy do Związku Sowieckiego na emigracji w Niemczech i Stanach Zjednoczonych.
[131] Jurgis Šaulys (1879-1948), ekonomista, działacz polityczny, dyplomata, związany z Litewską Partią Demokratyczną. Sekretarz generalny i I wiceprzewodniczący Taryby. Sygnatariusz aktu niepodległości Litwy 16 II 1918. W Republice Litewskiej pracował w służbie dyplomatycznej, poseł w Niemczech i Szwajcarii (1918-1924), Watykanie (1927-1931), ponownie w Niemczech (1931-1938) i po nawiązaniu stosunków w Polsce (1938-1939). Od 1940 na emigracji w Szwajcarii.
[132] Stasys Šilingas (1885-1962), prawnik, działacz polityczny, w latach 1915-1917 przebywał w Rosji, w 1918 dokooptowany w skład Taryby, od jesieni tr. jej wiceprzewodniczący, w niepodległej Litwie minister sprawiedliwości w gabinetach A. Voldemarasa i J. Tubelisa .

szczerość jednak Šaulysa nie wierzę. Zdaje się, że Šaulys jest kandydatem Taryby na prezesa ministrów. Łączy on reakcyjność obecną z firmą demokraty z przeszłości. U socjalistów litewskich jest, zdaje się, także pewien rozdźwięk, który dziś jednak dopiero się szkicuje: jedni chcą sejmu, inni – bezpańswowego ludowładztwa w stylu bolszewickim.

8 listopada, rok 1918, piątek
Sesję dzisiejszą w Sądzie Pokoju prowadził już Franciszek Stachelski w asystencji ławników Jerozolimskiego i Nojdy. Przez całą sesję siedziałem na sali rozpraw w charakterze słuchacza. Obserwowałem, jak sobie sam komplet ławników bez przewodnictwa sędziego zawodowego daje radę. I stwierdziłem z radością, że funkcjonuje doskonale. Zarówno decyzje i wyroki co do istoty sądzenia, jak samo prowadzenie rozpraw, samo kierownictwo Stachelskiego – były bez zarzutu. Pomimo, że komplet ławników był nie najmocniejszy, sprawy na ogół poważne, a niektóre nawet bardzo skomplikowane, nieraz i adwokaci też swymi kruczkami wielce utrudniali zadanie sądu – sąd przecie pod kierunkiem Stachelskiego wywiązywał się z zadania i przezwyciężał trudności jak najlepiej. Chwilami nawet podziwiałem dokładność decyzji i wyroków sądu w kwestiach istotnie trudnych oraz zmysł taktu Stachelskiego w kierownictwie rozpraw. Boć przecie ławnicy nie wyłączając Stachelskiego – to profani, którzy zaledwie przy mnie coś niecoś ze szkoły praktycznej liznęli. A zaiste niejeden z sądów pokoju wiejskich mógłby się u nich sztuki sądzenia pouczyć. Jednak Stachelski jest ławnikiem wybornym. Ma też duży takt, umie zachować spokój i równowagę doskonałą przy stanowczości, nakazującej posłuch, jest pilny i staranny w tym, do czego się bierze, na sądzie wzorowo bezstronny i ma dużo zdrowego rozsądku i zmysłu mądrości życiowej, co go do czynności sędziego dobrze kwalifikuje. Wszystkie dzisiejsze sprawy były adwokackie. Goldberg stawał we wszystkich, z wyjątkiem jednej. W dwóch sprawach na ostatku stawali obaj adwokaci. Tak jeden, jak drugi w walce wzajemnej zapalali się, jak zwykle, i usiłowali wprowadzać sąd w błąd na rzecz tez, które bronili. Nie wytrąciło to sądu z drogi dokładnej orientacji prawnej. Z dumą stwierdzałem, słuchając rozpraw, że jednak w dobrym funkcjonowaniu sądu ławniczego jest także i moja poważna zasługa, bo przy mnie to i przeze mnie nabyli ławnicy tej umiejętności, która ich dziś na dobrych sędziów kwalifikuje. Jak radium[133] udziela promieni swoich ciałom, które były z nim w zetknięciu i na skutek tego same posiadły zdolności promieniowania, tak przez tych ławników teraz promienie mojej sztuki sądowej emanowały.
Jest coś w gazetach dzisiejszych o utworzeniu się w Krakowie jaskrawie radykalnego dyrektoriatu, złożonego z kilku osób z łona socjalistów, ludowców i najradykalniejszego skrzydła postępowców (pono Daszyński[134], Witos[135], Hipolit

[133] Radium (łac.) – rad.
[134] Ignacy Daszyński (1866-1936), działacz socjalistyczny, polityk, współzałożyciel i przywódca PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego, a po 1918 w PPS, w l. 1897-1918 poseł do austriackiej Rady Państwa, od 1901 blisko współpracował z J. Piłsudskim, w l. 1912-1914 jeden z przywódców Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (KSSN), od VIII 1914 w Naczelnym Komitecie Narodowym (NKN), popierał całkowicie wojskowe akcje Piłsudskiego, premier Tymczasowego Rządu Ludowego w Lublinie (7-17 XI 1918), w Polsce niepodległej poseł, marszałek sejmu, od 1926 w opozycji do rządów pomajowych.
[135] Wincenty Witos (1874-1945), działacz ruchu ludowego, polityk i publicysta, w l. 1908-1914 poseł do sejmu, a w l. 1911-1918 do Rady Państwa, od 1913 na czele PSL „Piast", od 1914 w NKN, następnie wycofał się z jego prac, w l. 1917-1918 w Lidze Narodowej, w l. 1918-1919 przewodniczący PKL w Krakowie, w Polsce niepodległej premier 1920-1921, 1923, 1926, od przewrotu majowego 1926 w opozycji, jeden z organizatorów Centrolewu, w l. 1933-1939 na emigracji, 1945 wybrany do KRN.

Śliwiński[136], wymieniają też Rydza-Śmigłego[137]). Dyrektoriat ten, jak się zdaje, przeciwstawił się Radzie Regencyjnej w Warszawie i dąży do objęcia władzy, powołując rząd radykalny. Doniesienia są jeszcze w prasie dość niejasne.
Słyszałem, ale nie z gazet litewskich, jeno od rejenta Płońskiego, który to gdzieś wyczytał w jakiejś gazecie polskiej, że na Litwie z ramienia Taryby prezesem ministrów miał zostać młody historyk Voldemaras[138]. Jest to człowiek odcienia społecznie umiarkowanego, zbliżony nawet, zdaje się, do klerykałów, w każdym razie nacjonalista, choć, o ile o nim wiem – człowiek szczery i uczciwy. Grał on jakąś rolę w układach pokojowych brzeskich, kręcąc się tam w delegacji ukraińskiej. Zdaje się to wskazywać na to, że to polityk szacherki i spekulacji, jaką w ogóle była polityka traktatu brzeskiego, a więc najmniej stosowna do chwili dzisiejszej, w której demokratyczny bezpośredni czynnik ludowy wypływa do roli twórczej. Człowiek to nie gardzący widocznie w polityce tzw. kombinacjami, choćby z samym diabłem, byle dojść do celu. Jest to więc ministerium w doskonałym reakcyjnym stylu Taryby i jej prezesa Smetony, rząd starej daty i innych zasadniczo metod, niż ludowo-demokratyczne. Co do osoby, to przecież wolę Voldemarasa, który jest w swej reakcyjnej metodzie szczery i stylowy, od neofity-państwowca Šaulysa o obłudnych frazesach demokratycznych (takie mam przynajmniej wrażenie o Šaulysie w jego fazie obecnej). Nie wróżę ministerium Voldemarasa trwałej i owocnej działalności, jak zresztą całej polityce Taryby. Wobec olbrzymich trudności organizacji państwowej Litwy metoda radykalnej lewicy litewskiej, polegająca na oparciu się natychmiastowym o szerszy zespół społeczny i sił ludowych przy organizowaniu państwa, wydaje mi się nie tylko zasadniczo trafniejsza i stosowniejsza do stanu rzeczy w obecnym układzie prądów i czynników politycznych, ale także o wiele praktyczniejsza, raczej jedynie praktyczna. Samotna garstka Taryby nie podoła ogromowi zadania, choćby nawet miała do rozporządzenia szerszą garść karierowiczów, chciwych posad. Z nimi nic nie wybuduje, a jeszcze oni sami się rozpierzchną, gdy spostrzegą ubóstwo tej władzy.

9 listopada, rok 1918, sobota
Dziś przekazałem formalnie sąd Stachelskiemu. Miętkiewicz z Ranikiem sprawdzili stan wszystkich akt, następnie spisany został w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach protokół, który został podpisany przeze mnie i przez Stachelskiego. Jeden egzemplarz protokołu pozostał w aktach Sądu Pokoju, drugi wziąłem ja. Na tym się skończyło. Odtąd ani już formalnie, ani faktycznie nie jestem sędzią pokoju w Kolnie i przestałem też być gospodarzem mego sądu.
Na wieczór Kolnianie uczcili mnie pożegnaniem zbiorowym, które upłynęło na ogół w bardzo miłej atmosferze, gdyby nie jeden nader przykry incydent, wywołany przez Mystkowskiego i Borawskiego. Zaproszony zostałem na godz. 7 na kolację zbiorową w

---

[136] Hipolit Śliwiński (1866-1932), inżynier, polityk, członek Związku Walki Czynnej i KSSN, w l. 1911-1918 poseł do Rady Państwa z ramienia Polskiego Stronnictwa Postępowego, od 1914 w NKN, w Polsce nieodległej poseł na sejm 1919-1927.
[137] Edward Rydz-Śmigły (1886-1941), żołnierz, polityk, od 1912 w Związku Strzeleckim, od VIII 1914 w I Brygadzie LP, w 1915 dowódca 1 Pułku Piechoty, w l. 1917-1918 Komendant Główny POW, w 1920 dowódca armii polskiej w wyprawie na Kijów, od 1921 inspektor armii, marszałek Polski od 10 XI 1936.
[138] Augustinas Voldemaras (1883-1942), polityk, historyk, działacz ruchu narodowego, profesor Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. Od 1918 w składzie Taryby. Pierwszy premier Litwy XI-XII 1918 i 1926-1929 oraz minister spraw zagranicznych 1918-1920, 1926-1929. Jej przedstawiciel na konferencji pokojowej w Paryżu, a później delegat litewski w Lidze Narodów. Od 1924 jeden z przywódców partii narodowców – Tautininkai. Uczestnik przewrotu w 1926. Od 1929 w opozycji wobec prezydenta A. Smetony. Aresztowany i więziony za próbę zamachu stanu w VI 1934. Potem na emigracji. Po powrocie do Litwy w 1940, aresztowany przez NKWD i wywieziony do m. Ordżonikidze. Zmarł w więzieniu Butyrki w Moskwie.

mieszkaniu, raczej połączonych mieszkaniach Borawskiego i Miętkiewicza. Koło godz. 7 przyszli po mnie uroczyście Stachelski i rejent Płoński, by mnie przyprowadzić do grona uczestników pożegnalnego wieczora. Zastałem tam następujące osoby: sekretarz sądu Miętkiewicz, kancelista Ranik, który po raz pierwszy dopuszczony został, bardzo słusznie, do towarzystwa tzw. inteligencji kolneńskiej jako równy, co mu się zresztą zupełnie słusznie należy, bo jest chłopak dzielny i pracą własną do poziomu inteligencji się podnosi, a szczególnie słusznym było dopuszczenie go do udziału w tym pożegnaniu sędziego, którego był współpracownikiem tak bliskim, dalej ze światka sądowniczego byli oprócz Stachelskiego i Płońskiego, obaj adwokaci – Goldberg i Lis, komornik sądowy Użarowski ze swym siostrzeńcem, pisarz hipoteczny Mystkowski, sekretarz sędziego śledczego Rainko, wreszcie spośród pozasądowej inteligencji Kolna lub tego, co się inteligencją zwie i do tego tytułu pretensje rości – obaj inżynierowie architekci, pp. Luft i Perkowski, od niedawna do Kolna przybyli w celu zainstalowania tu urzędowego biura odbudowy kraju na powiat kolneński z ramienia Ministerium Spraw Wewnętrznych, obaj z wyższym wykształceniem, mili i kulturalni, szczególnie Luft, podtatusiały jowialny kawaler, człowiek bardzo układny i grzeczny, a towarzysko przyjemny, pełny taktu, przypominający mi z gestu i wyrazu Karola O'Rourke'a[139], dalej weterynarz powiatowy polski p. Stasinowski, dalej nawet dwaj księża, a mianowicie sympatyczny, łagodny Litwin, wikary ks. Budrewicz i nowo mianowany wikary Bagiński, człowiek towarzyski i żywy, a nader krewki, może nawet za krewki, dalej felczer Borawski z żoną, gospodynią domu, druga gospodyni domu p. Miętkiewiczowa, żona naszego sekretarza, która niedawno wróciła z Rosji, młoda i efektowna, trochę zdaje się bałamutka, jasna z żółtawym odcieniem włosów blondynka o dużych czarnych oczach, dalej aptekarz Gołaszewski, sekretarz Rady Opiekuńczej Powiatowej Litwiński, sekretarz magistratu Antonowicz, no – i mój rodzony siostrzeniec Stefuś. Błyszczeli natomiast nieobecnością: dr Dąbrowski i sędzia śledczy Makowski, dwaj nieodłączni przyjaciele, unisono zawsze w Kolnie działający i myślący, niedostosowani do towarzyskiego grona kolneńskiego. Byli zaproszeni do udziału, ale dr Dąbrowski przyjść by nawet nie mógł z powodu swego ostrego zatargu z Borawskim, a gdyby przyszedł, to byłby zgorszony demokratyczną mieszaniną towarzystwa, bo to pyszałek nadęty, noszący się strasznie z wysoka i udający arystokratę, toteż znienawidzony w Kolnie powszechnie i jako człowiek, i jako lekarz, a skoro Dąbrowski nie przyszedł, to przez to samo nie przyszedł i jego cień wierny – sędzia Makowski, który przez to trzymanie się i wzorowanie Dąbrowskiego także jest w sympatiach Kolnian coraz bardziej zachwiany.

10 listopada, rok 1918, niedziela

Choć w dalszym ciągu wywiązują się niezwykle ciekawe wypadki, to przecie trzebaż w dzienniku udzielić coś miejsca i osobistym wspomnieniom i epizodom życia. Toteż nie tykając dziś tematu o dalszej ewolucji zamachu stanu w Lublinie[140] i związanych z tym faktem wypadków, ograniczę się tylko do zaznaczenia z zakresu wielkich wydarzeń faktu udania się pełnomocników niemieckich do głównego dowódcy francuskiego Focha, upoważnionego przez koalicję do podyktowania Niemcom warunków zawieszenia broni. Po zanotowaniu tego faktu przejdę do dalszego opisu wczorajszego żegnania mnie przez Kolnian.

---

[139] Karol O'Rourke, ziemianin, właściciel majątku Wsielub, krewny M. Römera, od 1897 mąż jego kuzynki Maryli z d. Tyszkiewicz.

[140] Mowa o powołanym w nocy z 6 na 7 XI 1918 Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej z I. Daszyńskim jako premierem.

Kolacja pożegnalna była obfita. Na przekąskę, czyli na wstęp były wędliny, wśród których poza pospolitą kiełbasą była doskonała polędwica i karkowina[141], szczupak na zimno po żydowsku z charakterystycznym sosem pieprzno-szafranowo-marchewnym, przyrządzony u Goldberga, wyborne jędrne ogórki solone z zapasów domowych p. Borawskiej, chleb pytlowy; wódki bogactwo ilości wielkie; na właściwe danie były kury gotowane na biało z białym sosem śmietanowo-grzybowym, zając z buraczkami, kompot z jabłek, owoce, naturalna kawa czarna. Kolacja upływała wśród ożywionej ogólnej rozmowy, pełno było humoru i ochoty. Zdawało się to towarzystwo tak doskonale dobrane, tak swobodne w swym gronie, jak żeby co dzień się schodziło. Chociaż nie brakło w nim osób, które po raz pierwszy się dopiero poznały. Nastrój był zarazem bardzo serdeczny, ożywiony szczerym tchnieniem uczucia dla mnie, którego żegnano. Czułem się tu zaiste mile wśród tych ludzi, w których sympatię i uznanie mogłem bez zawodu wierzyć. Bo też prawdziwie byłem lubiany w tym Kolenku poczciwym, które oto opuszczam. W toku licznych toastów wyłoniło się i parę mów pożegnalnych. Bardzo piękną mowę, pełną siły i wyrazu, wypowiedział Miętkiewicz, najbliższy mój w sądzie współpracownik. Ten w ogóle dobrze przemawiać umie. Podniósł zwłaszcza mój ludzki prosty stosunek do ludu, moją metodę uszanowania człowieka w każdym interesancie, sprawiającą, że sąd mój był bliski dla ludu, prosty dla jego potrzeb, sprawiedliwy rzetelnie; stąd ta miłość ogólna dla mnie; podnosił Miętkiewicz, że ludzkim bezpośrednim traktowaniem człowieka więcej zdziałać można i więcej wpływu wywrzeć, więcej dobrego zrobić, niż najuczeniej obmyślanymi programami działania. Za wzór mnie podawał. Mówił z głębi przekonania; wdzięczny mu byłem za to uznanie dla tej jednej istotnie z cech moich w stosunku do ludu, dla której lud mnie tak zawsze i wszędzie, czy tu, czy na Litwie, kocha i ufa. Przemawiał też Goldberg. Po kolacji towarzystwo zasiadło w dwóch grupach w dwóch osobnych pokojach do kart. I oto tu przy jednym stoliku kart, gdzie grała pośledniejsza część towarzystwa, wynikło przykre zajście między Mystkowskim a ks. Bagińskim; okazję do tego dało pewne niedokładne zachowanie się Borawskiego w grze; Borawski rzeczywiście niezbyt czysto gra; trudno to nazwać kręceniem, ale pozwala sobie na lekkie zboczenia, podglądanie czasem itp., co oczywiście w kartach dopuszczalnym być nie może. Ksiądz Bagiński wraz z kilku innymi partnerami, spostrzegłszy taką niedokładność, uniósł się, a że jest w gorącej wodzie kąpany, coś tam nagadał. Mystkowski ujął się za Borawskim, a że zawsze, gdy wypije, lubi zaczepki i skłonny jest do szukania awantur, cierpko się do księdza zaczął odzywać; ksiądz go w odpowiedzi nazwał „starym osłem”, na co Mystkowski pchnął księdza w pierś; lekko, ale pchnął. Ksiądz zapłonął gniewem i w wielkim podnieceniu wśród wrzawy chciał z protestem wychodzić. Ledwośmy to jakoś załagodzili i na poczekaniu doraźnie ukonstytuowany został sąd honorowy dla orzeczenia o zajściu; sąd ten w osobach Stachelskiego, Płońskiego, Litwińskiego i mnie jako arbitrów, i Lufta jako superarbitra, zaraz rozpoznał sprawę w sankcji wyroku potępił Mystkowskiego i kazał mu księdza przeprosić. Incydent ten z sądem honorowym był bardzo przykry; zajął też ze trzy godziny czasu w nocy. Potem wróciliśmy do kart. Gra była na ogół przyjemna i żywa, a gruba; ożywiało grę towarzystwo dwóch pań. Jeden bank Goldberg wziął w ilości 639 marek. Spłukałem się w grze tej porządnie i zły byłem na to na siebie. Siedzieliśmy aż do rana.

Ze Stefusiem była przygoda. Oto gdym wrócił rano, zastałem go już śpiącego w łóżku, a szybę w oknie wybitą. Od Pikulińskich dowiedziałem się o przygodzie nocnej Stefusia. Wrócił sam około godz. 3 w nocy. Nie mógł drzwi otworzyć, bo klucz został u

---

[141] Karkówka.

mnie. Będąc pijany, nie obudził Pikulińskich i nie poszedł do nich się przespać, lecz usiłował z zewnątrz otworzyć okno. Zerwał okiennicę, wybił szybę i wlazł przez okno. Pikulińscy, słysząc stuk i brzęk szyby w nocy, sądzili, że to rabusie okradają moje mieszkanie, korzystając z mojej nieobecności i lękali się wyjrzeć. Jakież było ich zdumienie, gdy rano spostrzegli na ganku obuwie i spodnie Stefusia. Myśleli na razie, że może mnie zabito i dopiero gdy zajrzeli przez okno, zobaczyli śpiącego Stefusia. Stefuś sam nic nie pamiętał po przebudzeniu i nie zdawał sobie sprawy z tych epizodów nocnych; nie umiał wytłumaczyć, skąd się jego spodnie i obuwie znalazły na ganku, dlaczego je zdjął, dlaczego boso wchodził przez okno itp.

11 listopada, rok 1918, poniedziałek
Wielki dzień. Wypadki biegną z szybkością piorunującą. Już nie tylko dzień jutrzejszy niepodobny do wczorajszego, ale nawet w toku jednego dnia wypadki, które zachodzą, po południu są takie, o jakich przed południem się jeszcze nie śniło. Tak oto było dziś, to znaczy w dniu, w którym się dokonał całkowity przewrót.
Wpierw jednak kilka słów o wielkich przemianach i wieściach ostatnich paru dni. Wspomniałem przed trzema dniami w dzienniku o dokonanym proklamowaniu się dyrektoriatu. Nie jest to dyrektoriat, jeno Rząd Narodowy Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, który się obwołał w Lublinie i ogarnął już faktycznie b. okupację austriacką i ewentualnie Galicję (zachodnią) z Krakowem. Powstał on z porozumienia stronnictw ludowych i socjalistycznych (PPS i Socjalna Demokracja galicyjska) i przeciwstawił się Radzie Regencyjnej, opierając się na POW i czynnikach wojskowych, które mu się na terenie b. okupacji austriackiej poddały. Rada Regencyjna formalnie nie ustąpiła, usiłuje się jeszcze utrzymać, paktując z Kołem Międzypartyjnym, aktywistami i NZR[142] o utworzenie innego rządu w Warszawie, ale już grunt się pod nią chwieje, a wypadki dni bieżących powalą ją z pewnością wraz z jej wysiłkami – w gruzy. W Lublinie Rząd Narodowy demokratyczny oddał dowództwo nad wojskiem w ręce pułkownika Śmigłego jako zastępcy Piłsudskiego (*notabene*: podług ostatnich gazet, które jeszcze dziś nadeszły, Piłsudski miał już wczoraj przybyć do Warszawy, uwolniony z niewoli niemieckiej). Ale oto rewolucja wybuchła w Niemczech. Wybuchła z siłą gwałtowną. Wilhelm abdykował. Zresztą – mniejsza o abdykację: rewolucja go zmiotła.
Ale oto przechodzę do wypadków w Kolnie. Rano było cicho na mieście. Nic jeszcze nie zwiastowało historycznego dnia. W sądzie była sesja karna, nudna i pospolita sesja. Prowadził ją Stachelski z ławnikami Jerozolimskim i Cieloszczykiem. Mówiono, że w nocy przyjechał do Kolna komisarz rządowy dla zorganizowania administracji, która ma być w końcu bieżącego tygodnia przejęta od Niemców. Kandydaci na urzędników administracji powiatowej, aspirujący do tych posad i rekrutujący się spośród pracowników urzędu powiatowego z czasów rosyjskich – wybierali się iść do niego się przedstawiać. Koło południa zabłąkała się kędyś do sądu, w którym z ciekawości przesiadywałem, pierwsza wiadomość o tym, że żołnierze niemieccy z załogi Kolna (konsystujący[143] tu w sile jakiejś kompanii) zwołali żołnierski wiec i obradują, co budziło konsternację władz powiatowych okupacyjnych i komendantury. Na obiedzie u Chodnickiej mówiono o tym samym. Dowiedziałem się też wtedy, że to przyjechał do

[142] Narodowy Związek Robotniczy – ugrupowanie powstałe w czerwcu 1905 z organizacji znajdujących się pod wpływem Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. W 1908 NZR przeszedł do opozycji wobec jawnie procarskiej polityki endeckiej, opowiadając się za orientacją na państwa centralne. Wchodził w skład Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, Zjednoczenia Organizacji Niepodległościowych, Konfederacji Polskiej, Centralnego Komitetu Narodowego. W 1917 zrywając formalny związek z tzw. stronnictwami niepodległościowymi, lawirował między linią polityczną Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych a stanowiskiem aktywistów.
[143] Konsystować – dawne, mieć postój, stacjonować,

Kolna nie komisarz rządowy dla organizowania administracji, ale oficer b. dowborczyk, z dwoma milicjantami w celu organizowania policji na Kolno i powiat. Niebawem po obiedzie ujrzałem ich na mieście w towarzystwie Litwińskiego. Zaszliśmy wszyscy razem do kancelarii Rady Opiekuńczej, dokąd przybyło wnet jeszcze kilka osób – Stachelski, Gołaszewski, Lis, Miętkiewicz. Oficer chciał się informować, wyglądał dość bezradny. Gołaszewski posłał po przedstawicieli POW, by oficera tego z nimi zetknąć w sprawie ewentualnego współdziałania POW w formacji milicji i straży bezpieczeństwa. W toku tego wkroczyła do kancelarii Rady Opiekuńczej delegacja Rady Żołnierskiej niemieckiej w osobach kilku żołnierzy z tłumaczem wraz z garstką ciekawej publiczności. Delegat Rady Żołnierskiej przemówił do zebranych, zawiadamiając o powstaniu Rady, która wyciąga dłoń zgody do ludności miejscowej, oświadcza, że przez samo powstanie swoje usunęła wszystkie dotychczasowe „władze", urzędy i organa okupacyjne wraz z komendantami, że stojąc na gruncie republikańskim i szanowania wolności, nie myśli o niczym innym, jak o wycofaniu się z Polski i powrocie do Niemiec i aby uniknąć niepotrzebnych nieporozumień i tym bardziej jakiegoś rozlewu krwi, zwraca się do ludności miejscowej o współdziałanie i bezpośrednie porozumienie, prosząc o podanie warunków. Oświadczyliśmy, że przyjmując z uznaniem wyciągniętą dłoń Rady Żołnierskiej, udzielimy im odpowiedzi jutro rano lub dziś jeszcze po naradzie. Zaraz też na godz. 5 zwołaliśmy wiec publiczny ludowy do gmachu teatru. W międzyczasie chodziły różne wersje, to o oporze urzędu powiatowego, o ściąganiu przez naczelnika powiatu ze wszystkich gmin – posterunków żandarmerii do Kolna, o usiłowaniu ewentualnego przeciwstawienia się Radzie Żołnierskiej przez okupacyjną władzę powiatową, o próbach wywożenia zapasów do Niemiec. Litwiński, jako urzędnik Rady Opiekuńczej, wraz z przedstawicielami Rady Żołnierskiej niemieckiej, opieczętował wnet wszystkie składy i spichrze publiczne z zapasami zboża. Koło godz. 5 morze głów ludzkich zgromadziło się przed gmachem teatru w oczekiwaniu wejścia na wiec. Trzeba było jeszcze zaczekać, bo wpierw sala była zajęta przez obrady Rady Żołnierskiej. Po zakończeniu tychże od progu sali teatralnej przemówił do ludu przez tłumacza rotmistrz niemiecki, dotychczasowy zastępca komendanta w Kolnie, który się poddał Radzie Żołnierskiej dobrowolnie i po złożeniu godności oficerskiej w jej ręce, przystał do niej. Ten przemówił do ludu w duchu poprzednich wywodów delegatów Rady, gorąco oklaskiwany przez lud polski, który w żołnierzach Rady wyczuł i powitał braci i towarzyszy wspólnej sprawy wolności. Lud wnet falą zapełnił salę teatralną. Na przewodniczącego wiecu wybrano mnie. Obrady nie były zbyt długie, bo chwila do sprężystego działania nagliła. Chwilami wprawdzie powstawał zamęt i rozgwar burzliwy na sali, ale energicznym kierownictwem opanowywałem zebranie. Przemawiali Stachelski, ksiądz Pomichowski, Miętkiewicz, Litwiński, Hałuszkiwicz, Goldberg i kilku innych. Zwłaszcza gorące i wspaniałe było przemówienie znakomitego istotnie mówcy – Miętkiewicza, pełne pięknego podniesienia czynnika wolności i równości z wielkim okrzykiem na cześć Piłsudskiego. Zresztą obrady były szybkie i rzeczowe. Wybrano zarząd tymczasowy do jutra z 36 osób, zapisanych na liście kandydatów do komitetu właściwego, mającego się składać z 12 osób. Ponieważ ja wyjeżdżam z Kolna pojutrze – do zarządu więc nie wszedłem. Zarząd ten ma stanowić władzę całkowitą na Kolno i powiat do czasu uregulowania i powstania władzy administracyjnej. Straż bezpieczeństwa, aprowizacja, likwidacja okupacji, uwolnienie więźniów – wszystko ma do niego należeć. Zarząd ten wybrał natychmiast ze swego łona czynną egzekutywę z 10 osób, która bezpośrednio do urzędowania w całym zakresie przystępuje. Żydów do zarządu weszło około 10, do egzekutywy – 2. Straż bezpieczeństwa, warty, posterunki, obowiązki milicyjne i zbrojne objęła POW, która się zmobilizowała natychmiast i z bronią w szyku przybyła i

przystąpiła do czynności. Kolno jest całkowicie w ręku ludu. Oporu nie było, tak się dokonał przewrót w Kolnie.
Pojutrze opuszczam Kolno. Zdecydowany jestem nie zostawać w Sądzie Okręgowym w Łomży, lecz bezpośrednio z Łomży ruszyć do Warszawy i stamtąd prosto do Wilna – na stałe.

12 listopada, rok 1918, wtorek
Noc upłynęła spokojnie. Wszyscy Niemcy zostali rozbrojeni bez oporu przez milicję POW działającą pod komendą przybyłego wczoraj komisarza dowborczyka z Warszawy, o którym pisałem. Wszystkim Niemcom, od najwyższych szarżą i stopniem b. hierarchii służbowej aż do najniższych, nie wyłączając ani żandarmów, ani członków Rady Żołnierskiej, odebrano całą broń, jaką posiadali, włącznie z bagnetami, rewolwerami i pistoletami. Gdy wczoraj Rada Żołnierska się utworzyła, wezwała ona na razie ludność cywilną do współdziałania i pomocy. Tymczasem skończyło się na zupełnym usamodzielnieniu się ludności, która już nie współdziałała, ale podporządkowała sobie wszystko, do Niemców włącznie. Naczelnik powiatu Cornberg stał się z butnego uległym i drżącym jak liść osiny. Nasz wczorajszy komitet 10-ciu był czynny niemal przez noc całą. Z wyższych powiatowych urzędników niemieckich jeden tylko, zdaje się, dr Rank usiłował się oprzeć oddaniu rewolweru, ale i ten skapitulował wobec wymierzonej mu w pierś broni. Nadleśn[icz]emu Hielscherowi powiodło się lepiej, bo komendant polski pozwolił mu zachować broń, a chociaż milicja go na ulicy zatrzymała, chcąc mu ją odebrać, Miętkiewicz mu ją ocalił. Rano nie było już w mieście ani jednego Niemca. Wszyscy byli odstawieni na dworzec kolejowy, skąd ich zabrał i odwiózł do Dłutowa za granicę specjalny pociąg. Stachelski z innymi członkami komitetu sprawdził i przejął od Niemców kasy i urzędy, jak powiat, pocztę, magistrat. Było kilka w nocy i rano wystrzałów, ale to tylko swawolnych na wiwat przez młokosów z milicji; niepotrzebnie denerwowały one tłum, utrzymując stan naprężenia. Zdaje się, że z odbieraniem i zabezpieczaniem odebranej broni nie zachowano należytej ostrożności i dużo broni zostało rozchwytanej, wymykając się z rąk odpowiedzialnej komendy. Rano widać było na bocznych uliczkach i na rynku końskim przemykające się chyłkiem postacie, przeważnie kobiet, które pod chustką coś nosiły: pomimo straży milicji, udało się ludności trochę dobytku, a zwłaszcza różnych drobiazgów po Niemcach rozchwytać.
Na dziesiątą był wyznaczony wiec jako konsekwencja i epilog wczorajszego. Dużo ludzi się zaczęło gromadzić przed teatrem. Dopiero wszakże koło godz. 11 zebrał się wybrany wczoraj zarząd tymczasowy w komplecie. Stachelski mu zakomunikował, że telegraficznie otrzymał mandat od starosty powiatu łomżyńskiego do objęcia starostwa, to znaczy zarządu powiatu w Kolnie, z poleceniem dobrania kogoś innego na kierownika aprowizacji, z tym, że ci dwaj w swoim zakresie mają w drodze kooptacji zorganizować służbę wszystkich potrzebnych wydziałów. Zarząd zaakceptował ten fakt i wybierając na kierownika aprowizacji Litwińskiego, podporządkował się władzy tymczasowej w powiecie tych dwojga, zrzekając się swej kompetencji na ich ręce, o czym został zawiadomiony wiec, który potwierdził tę decyzję przez aklamację. Wnet Stachelski i Litwiński rozpoczęli urzędowanie i przez dzień cały biura się organizowały i rozpoczęły czynności. Stachelski i Zakrzewski na przedwiecowym zebraniu zarządu zawiadomili tamże o wieściach i ewentualnościach, z którymi się liczyć należało natychmiast. Było więc jakieś doniesienie telefoniczne z Jańsborka[144] o wysłaniu rzekomo stamtąd do Kolna pociągu wojennego wobec alarmu, który powstał w

[144] Jańsbork, obecnie Pisz.

Jańsborku o rzekomych gwałtach, rzezi i wieszania Niemców w Kolnie. Nie wiedziano dokładnie, co oznacza ten pociąg wojenny: czy pociąg dla przyjęcia transportu Niemców z Kolna, czy pociąg zbrojny dla udzielenia pomocy Niemcom w Kolnie, względnie czegoś w rodzaju ekspedycji karnej. Były wnioski różne: albo uszkodzenie toru kolejowego dla niedopuszczenia tego pociągu do Kolna, albo też wysłania delegacji na dworzec kolejowy, która by na wypadek przybycia pociągu poinformowała załogę tegoż o sytuacji zupełnie spokojnej w Kolnie i w drodze układów starała się nie dopuścić do konsekwencji tej ekspedycji. Na mój wniosek postanowiono wysłać delegację do Wincenty, by ta na punkcie granicznym weszła w bezpośredni kontakt z organi [...][145] Mareckiego, Goldberga i Wileńskiego wysłano na szosę w kierunku Łomży, skąd według pogłosek miało iść 9000 cofających się z Łomży uzbrojonych żołnierzy, którzy się w Łomży rozbroić nie dali. Delegacja ta miała wejść w układy ze zbliżającym się wojskiem, by zapobiec ekscesom i ewentualnościom przy ich przemarszu przez Kolno. Z naszej strony postanowiliśmy nie próbować rozbrojenia tego oddziału, co byłoby oczywiście szaleństwem. Ten oczekiwany przemarsz uzbrojonej siły przez Kolno utrzymywał niemal przez dzień cały stan nerwowego napięcia. Istotnie po obiedzie zaczęły przechodzić przez Kolno – przeważnie przejeżdżać automobilami ciężarowymi – oddziałki niemieckie, ewakuujące się z Łomży do Prus, ale wszystko przeszło spokojnie. Zdaje się, że oddziałów uzbrojonych nie było.

13 listopada, rok 1918, środa
Dziś opuściłem Kolno. Wstałem raniutko, rozsegregowałem rzeczy, z których tylko część najniezbędniejszą ułożyłem do walizki do zabrania ze sobą, resztę zaś odesłałem do przechowania do Remby, bo ponieważ chcę usiłować dotrzeć z Łomży do Warszawy i do Wilna, więc chcąc mieć jak najmniej bagażu, zlikwidowałem umeblowanie mego mieszkanka kolneńskiego, odsyłając część mebli właścicielom tychże, inną zaś część przenosząc do nowego mieszkania Stefusia, który pozostał w Kolnie (Stachelski dał mu posadę w biurze powiatowym, gdzie pracować będzie pod ręką Miętkiewicza), wreszcie pochodziłem po mieście za ostatnimi interesami i – jazda. Wstąpiłem i do sądu też przed wyjazdem na pożegnanie. Dziś właśnie odbywała się tam sesja. Postanowiono bez względu na wypadki nie przerywać regularnego trybu funkcjonowania sądu, pomimo że mechanizm jego został bardzo uszkodzony. Stachelski bowiem z objęciem starostwa powiatowego zmuszony został nawałem roboty do zaniechania funkcji faktycznego zastępcy sędziego. Jednocześnie Miętkiewicz zaczął pełnić czynnie obowiązki sekretarza w powiecie, ustępując przez to z sądu. Na zastępstwo sędziego powołany więc został doraźnie bez żadnego mandatu ławnik Rainko, człowiek nieskazitelnej prawości, ale bez żadnych kwalifikacji na to stanowisko, na miejsce zaś Miętkiewicza – Ranik.
Z Kolna wyjechałem o 11 przed południem. Już wczoraj zaczęły się ukazywać i ciągnąć przez Kolno pierwsze grupy jeńców rosyjskich, zwolnionych przez rewolucję niemiecką z niewoli. Są to przeważnie Moskale lub ludzie innych narodowości z głębi Rosji lub Kaukazu, którzy wędrują pieszo z niewoli do ojczyzny. Z godziny na godzinę coraz więcej ich przepływa. Na razie to jeszcze nic, ale należy przewidywać, że fala tego przepływu przez Polskę jeńców wzrośnie do ogromnej liczby tłumów i że wtedy mogą oni stanowić istotnie groźne niebezpieczeństwo, bo się z głodu będą rzucać do rabunków masowych. Cała szosa od Kolna do Łomży roi się od tych jeńców. Płyną oni i płyną. W Łomży się widzi ich grupy i partie na każdym kroku. Niemców, śpieszących w przeciwnym kierunku – do siebie – spotkałem zaledwie kilku po drodze. Tak oto

---

[145] Słowa nieczytelne. Papier uszkodzony.

teraz płyną przez wyzwoloną Polskę w dwóch różnych kierunkach – Moskale i Niemcy, rozbrojeni jedni i drudzy, jedni i drudzy zwyciężeni. W Małym Płocku, Rogienicach, Kisielnicy – posterunki peowiaków. W lesie małopłockim chłopi rabują drzewo z lasu. O 3 przyjechałem do Łomży. Komunikacji kolejowej z Warszawą – nie ma.

14 listopada, rok 1918, czwartek
Od rana zajęty byłem myślą jak najszybszego wyjazdu do Warszawy. Nie ujawniłem prezesowi Filochowskiemu moich dalszych projektów dostania się z Warszawy do Wilna i ewentualnego pozostania tam na stałe. Nie chcę jeszcze niczym zachwiać mojej posady w Sądzie Okręgowym, bo nie mogę być jeszcze zupełnie pewny, czy w ogóle uda mi się jeszcze dotrzeć do Wilna i czy zastanę tam ewentualnie warunki, umożliwiające już pozostanie. Nie chcę więc jeszcze palić mostów za sobą, z drugiej zaś strony, nie chcę odwlekać mojej podróży do Wilna przez starania o urlop specjalny. Powiedziałem więc prezesowi tylko tyle, że jadę na kilka dni do Warszawy, a już stamtąd, jeżeli będzie możność, wyruszę bezpośrednio do Wilna, zawiadamiając prezesa listownie. W kasie Sądu Okręgowego wziąłem moją pensję i wszystkie należności z różnych rachunków diet, co razem wyniosło 970 marek. Jest to cały mój skarb, bardzo szczupły na zamierzone przedsięwzięcie podróży do Wilna *via* Warszawa przy dzisiejszej drożyźnie. Niestety – dowiedziałem się na dworcu kolejowym, dokąd się udałem, że komunikacja kolejowa na liniach bocznych, do których należy kolej łomżyńska i wszystkie drogi kolejowe między Małkinią, Ostrołęką i Łapami, uruchomiona będzie dopiero za dni kilka. Tymczasem podjęty został tylko ruch na magistralach. Przyszło mi wtedy na myśl, czy nie warto byłoby spróbować udać się końmi przez Zambrów do Czyżewa i stamtąd koleją do Warszawy, zamiast czekać w Łomży na uruchomienie bezpośredniej komunikacji kolejowej. Liczyłem, że co nadpłacę na furmankach konnych do Czyżewa, to zaoszczędzę na czasie. I akurat zdarzyła mi się szczęśliwa okazja. Dowiedziałem się, że jest w Łomży sędzia pokoju z Zambrowa, Wyszyński. Odszukałem go i uprosiłem, aby mnie zabrał ze sobą do Zambrowa. O godz. 3 ½ wyjechałem z nim i koło godz. 7 ½ byłem już w dobrze mi znanym Zambrowie, gdzie zajechałem na noc do jakiegoś zajeździku żydowskiego i skąd jutro rano wyruszę do Czyżewa. Mam tylko przykrość, że w Łomży w pośpiechu zostawiłem w hotelu moją drugą parę butów, co na dzisiejszą drożyznę obuwia jest wielką stratą. Spieszę do Warszawy, zarówno dla zorientowania się w sytuacji, która się tam po przewrocie wytworzyła, jak nie mniej dla zaopiekowania się córką Maryni, Ewą Römerówną[146], która wstąpiła w jesieni na uniwersytet na prawo; obecnie wyższe uczelnie warszawskie zostały, wobec uchwał młodzieży o wstępowanie do wojska, zawieszone, i Ewa poza tym jest odcięta od matki w Wilnie. Nie wiem, co myśli robić ze sobą. Muszę się o nią zatroszczyć, bo jestem dla niej najbliższy. Nie jest wykluczone, że i ona coś w związku z ruchem wojskowym młodzieży planuje.
Doszły dziś jakoś do Łomży gazety warszawskie z dnia wczorajszego, ze środy. Nie czytałem ich. Słyszałem, że już Foch warunki rozejmu Niemcom podyktował. Są one bardzo ciężkie. Tymczasem w Niemczech rewolucja jest w pełni rozwoju.
Ukazały się dziś plakaty o przekazaniu przez Radę Regencyjną Piłsudskiemu zwierzchniej władzy wojskowej, którą Piłsudski zobowiązał się złożyć w ręce Rządu Narodowego po jego utworzeniu. Piłsudski nie stanął więc bezwzględnie na stanowisku

[146] Helena (Ewa) Römer (1898-?), córka Marii i Witolda Römerów, w 1920 poślubiła zawodowego oficera WP Konstantego Meyera, w okresie międzywojennym mieszkała w różnych miejscowościach Polski, w końcu 1939 r., gdy jej mąż dostał się do niewoli niemieckiej, wraz córką Elizą przeniosła się do Wilna. Przez całą okupację niemiecką pracowała w litewskim „Valgisie". Wiosną 1945 r. repatriowała się do Polski. Dalsze losy nieznane.

ludowego Rządu Lubelskiego. Odezwa o przekazaniu władzy wojskowej Piłsudskiemu podpisana jest przez regentów i przez Piłsudskiego wspólnie. Podobno Piłsudski ma się zająć tworzeniem owego Rządu Narodowego. Nie powiem, aby te wieści mnie zachwycały. Boję się, że Piłsudski zaufa zbytnio swym zdolnościom politycznym i zacznie tworzyć kombinację łączenia ognia z wodą, co ani dla Polski, ani dla sprawy ludowej, ani dla jego cudownego wpływu, jaki ma w narodzie, na dobre nie wyjdzie. Piłsudski-człowiek czynu może się zmarnować i zatracać w Piłsudskim-polityku. A politykiem on nie jest. Prawica może chcieć wyzyskać jego popularność na zahamowanie rewolucji i utrzymanie części władzy, a on stając się bezwiednie narzędziem tego, nic nie wskóra, ale sprowadzi zamęt i sam się zdyskredytuje.

15 listopada, rok 1918, piątek
Rano, jak zamierzałem, opuściłem Zambrów, udając się na stację kolejową do Czyżewa. Po drodze od Zambrowa do Czyżewa nie spotyka się tych gromad jeńców rosyjskich, wracających z Niemiec, jakimi pełna jest szosa z Kolna do Łomży i Łomża sama. Gros tych mas podąża z Łomży wprost na Białystok. Dwóch tylko spotkałem jeńców, których mój woźnica wziął na furę. W drodze nie miałem pewności, czy będzie dziś w Czyżewie pociąg do Warszawy. Różnie mi o tym w Zambrowie wróżono. Słyszałem też w Zambrowie, a poprzednio nawet w Łomży, że jakiś oddział legionistów skierowany został do Białegostoku dla rozbrojenia tam Niemców i zajęcia miasta. Po przyjeździe do Czyżewa ucieszyłem się, gdym usłyszał, że właśnie oczekiwany jest zaraz pociąg na Warszawę. Radość jednak moja okazała się przedwczesna. Szedł to bowiem pociąg wojskowy, wiozący właśnie z powrotem tych legionistów, którzy byli skierowani na Białystok. Wracali nie spełniwszy zadania. Do Białegostoku nie dojechali, zawrócili z Łap, gdy się dowiedzieli, że tor kolejowy między Łapami a Białymstokiem został w nocy w jednym miejscu uszkodzony i że Niemcy są w Białymstoku w sile trzech pułków uzbrojonych, podczas gdy legionistów było tylko dwie kompanie. Podług wersji, którą powtarzano na dworcu kolejowym w Czyżewie, legioniści mają w większej sile znów się na Białystok zawrócić. Tymczasem do pociągu wojskowego, którym jechali legioniści, sprzedano tylko 10 biletów; ja się do tej liczby nie dostałem. Zmuszony więc byłem pozostać w Czyżewie, w niepewności przez dzień cały, czy będzie szedł dziś jeszcze jaki inny pociąg na Warszawę. Służbę komunikacji kolejowej zorganizował doraźnie związek kolejarzy polskich. O jakimś regularnym ruchu i rozkładzie jazdy – nie ma mowy. Pociągi idą i wracają, jak się da. Do dnia wczorajszego dochodziły one do Białegostoku; obecnie wobec uszkodzenia toru, dochodzą tylko do Łap. Kto i w jakim celu uszkodził tor – nie wiadomo. Jest domniemanie, że Niemcy, zapewne w celu uniknięcia rozbrojenia i konfliktów zbrojnych z oddziałami polskimi. Podobno, jak głosi fama, Białystok jest w ręku niemieckiej Rady Żołnierskiej, z którą współdziała milicja żydowska. Czy chodzą pociągi dalej, na przestrzeni od Białegostoku do Wilna, i co się tam dzieje – nikt w Czyżewie objaśnić nie mógł. Przez cały dzień na próżno czekałem na pociąg i nudziłem się straszliwie. Wieczorem już zapewniono, że pociągu już nie będzie. Chciałem już iść do Żydka nocować. Tymczasem z okazji pewnego zajścia, gdym ofuknął jakiegoś milicjanta-peowiaka, dokonującego bardzo brutalnie rewizję w rzeczach jakiejś przyjezdnej z Warszawy Żydówki, na co tenże zaczął mi się ostro stawiać, a za to potem, gdy się ze mną rozgadał, stał się moim serdecznym przyjacielem – nie przegapiłem pociągu, który przecie wreszcie nadszedł. Peowiak ów, b. legionista, zaprosił mnie na kwaterę warty peowiackiej przy dworcu, abym tam przenocował. Częstował mnie wódką i kawą, ja zaś chłopców – chlebem i wędliną. Nagle przed północą dano znać, że pociąg na Warszawę idzie od Łap. Choć byłem podchmielony

mocno, na pół przytomny – ruszyłem. Wkrótce siedziałem w wagonie i jechałem. Siedziałem w przedziale wśród jeńców-Polaków z b. wojska rosyjskiego, którzy byli przez Niemców trzymani w Baranowiczach i teraz stamtąd po wybuchu rewolucji przez niemiecką Radę Żołnierską uwolnieni.

16 listopada, rok 1918, sobota
Rano przyszedł nasz pociąg do Warszawy. Od 5-tej jednak rano do 8 ½ stał o jakieś 1 ½ kilometra od Dworca Wiedeńskiego[147], bo go nie wpuszczano na dworzec z powodu zajęcia toru. Tak jeszcze wszystko w ruchu kolejowym, doraźnie organizowanym i przeciążonym jeszcze ekspedycją rozbrojonych Niemców i rozpoczynającym się przepływem jeńców – nie uregulowane, że trudno żądać dokładności. Nie doczekałem się też wpuszczenia pociągu na dworzec i wreszcie o godz. 8 ½ wziąłem mój bagaż i ruszyłem pieszo. Przy stacji towarowej udało mi się znaleźć tragarza ręcznego za marek 10, który mi poniósł rzeczy do miasta.
Jestem więc w Warszawie. Zamieszkałem u Heli Ochenkowskiej[148] w mieszkaniu Ludwika Abramowicza[149]. Tego ostatniego nie ma. Wyjechał pozawczoraj automobilem przez Łomżę, Suwalszczyznę i Kowno do Wilna z mandatem przedstawicielstwa interesów polskich, raczej – nawiązania kontaktu. Odnalazłem Ewę, która mieszka razem z koleżanką Haliną Zasztowtówną, córką Aleksandra Zasztowta[150] z Wilna. Byłem z Ewą na obiedzie. Żyje skromnie, pracuje, daje sobie dzielnie radę, uczęszcza na różne kursa kroju, ratownictwa itp., studiuje też na własną rękę; pomimo zawieszenia wykładów na uniwersytecie, chce pozostać w Warszawie i ma nadzieję dostać zajęcie płatne w charakterze kancelistki u prokuratora.
Zmęczony byłem dziś bardzo, nieusposobiony zgoła do sterowania mych myśli i wrażeń w tym szalonym chaosie i wirze wypadków i prądów w Warszawie. Byłem oszołomiony i na poły nieprzytomny. Czułem się paskudnie. Czułbym się bodaj dobrze w mym cichym pokoiku w Kolnie, gotując sobie ze Stefusiem kolację w kafelku z

---

[147] Dworzec Wiedeński znany powszechniej pod nazwą Dworca Głównego, zbudowany w l. 1844-1845 według projektu H. Marconiego. Pierwotnie usytuowany na rogu Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej. Jego budynek rozebrano w końcu lat 20-tych XX wieku.
[148] Helena Römer-Ochenkowska (1875-1947), kuzynka Michała Römera, córka malarza Alfreda Römera i Heleny z Sulistrowskich, właścicieli Karolinowa w powiecie święciańskim. W młodości pracowała w tajnej oświacie, nauczając młodzież wiejską w rodzinnej miejscowości. Żona Henryka Ochenkowskiego, z którym od 1906 r. pozostawała w separacji. Absolwentka wydziału dziennikarstwa i nauk społecznych paryskiej École des Hautes Sciences Sociales (1908). Po powrocie do kraju pracowała jako dziennikarka i publicystka („Nasz Kraj", „Przegląd Wileński", „Słowo", „Kurier Wileński". Zajmowała się również twórczością literacką (powieść *Majaki, 1910,* zbiór nowel, *Swoi ludzie* (1922), *Tutejsi* (1931) i dramaturgiczną *Karylla* (1904), *Wesele na Wileńszczyźnie* (1929). Przez szereg lat była towarzyszką życia Ludwika Abramowicza.
[149] Ludwik Abramowicz (1879-1939), publicysta, dziennikarz, redaktor, działacz polityczny. Urodzony w Moskwie, studiował w Charkowie i Krakowie. Od 1905 r. zamieszkał w Wilnie, gdzie krótko pracował w „Gazecie Wileńskiej" M. Römera, następnie jako redaktor w „Kurierze Litewskim" i „Przeglądzie Wileńskim" (1911-1914). W czasie I wojny światowej aktywny działacz proaustriackiej Ligi Państwowości Polskiej. Od 1922 aż do śmierci redagował wznowiony przez siebie „Przegląd Wileński" propagując w nim konsekwentnie ideologię krajową.
[150] Aleksander Zasztowt (1877-1944), inżynier, absolwent Politechniki Ryskiej, działacz socjalistyczny, od 1905 pracował w Częstochowie jako urzędnik Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, po przeniesieniu do Wilna członek Rady Wileńskiego Towarzystwa Urządzania Mieszkań (1913). Od 1911 był członkiem wolnomularskiej loży „Litwa" , potem „Tomasz Zan". W latach poprzedzających wybuch wojny blisko związany z środowiskiem wileńskich krajowców. W 1920 uczestnik akcji gen. L. Żeligowskiego. W okresie międzywojennym poseł do Sejmu Wileńskiego, a następnie Sejmu w Warszawie. Współzałożyciel i przywódca Polskiego Stronnictwa Socjaldemokratycznego, następnie PPS Litwy i Białorusi 1920-1922, od 1923 członek OKR PPS, a w l. 1924-1937 przywódca Niezależnej Socjalistycznej Partii Pracy.

perspektywą łóżka cichego i snu. Tak jakoś dziwnie bezradny i głupi się poczułem w tym rozgardiaszu na bruku Warszawy.
Zastałem tu oczywiście nowiny. Nie ma już Rady Regencyjnej, która zrezygnowała ze swej władzy. Piłsudski objął władzę zwierzchnią. On mianował prezydenta ministrów w osobie Daszyńskiego, polecając mu utworzenie gabinetu. Przybyli posłowie poznańscy z Seydą[151] i Korfantym[152] na czele. Z Korfantego zrobiła Narodowa Demokracja bożyszcze, którym rozwalić usiłuje niedoszły rząd Daszyńskiego. Przeciwko nominacji Daszyńskiego, którego rząd stałby się przedłużeniem rewolucyjnego rządu lubelskiego i którego nominacja ma cechę sankcjonowania przez Piłsudskiego rządu lubelskiego, organizuje endecja namiętną demagogiczną kampanię. Kamieniem obrazy dla Narodowej Demokracji i wszystkich elementów burżuazyjnych, którym ona przoduje i w tej chwili łączy, jest rewolucyjny manifest b. rządu lubelskiego[153], obwieszczający program reform społecznych z socjalizacją fabryk i wywłaszczeniem obszarów dworskich. Walka rozgorzała na śmierć i życie. Pada zdaje się w proch nawet niedawna wielka popularność Piłsudskiego.

17 listopada, rok 1918, niedziela
Zmagały się dziś w kulminacyjnym punkcie przesilenia dwa kierunki, dwie metody, dwie wrogie sobie siły w tworzącej się Polsce. Pod tym znakiem żyje Warszawa od dnia przyjazdu Piłsudskiego, pod tym zwłaszcza znakiem w największym napięciu przeżyła dzień dzisiejszy. Cała burżuazja, cała reakcja, wszystko to, co żyje dniem wczorajszym i chciałoby jego panowanie jak najdłużej w odradzającej się Polsce utrwalić, wbrew rewolucji, którą płonie świat, stanęło po sztandarem endecji, wysuwając hasło rządu „narodowego", „bezpartyjnego" i wyśrubowując popularność posłów poznańskich, a zwłaszcza Korfantego. Z drugiej strony przeciwstawia się im idea rządu „ludowego", złożonego z socjalistów, ludowców i radykalnej inteligencji z tzw. Stronnictwa Niezawisłości[154]. Ten „rząd ludowy", tworzony z takim rozpędem rewolucyjnym pod egidą zwłaszcza PPS-u, jest przedłużeniem i utrwaleniem dzieła, którego zwiastunem i podwaliną był lubelski Tymczasowy Rząd Ludowy Rzeczpospolitej Polskiej. Burżuazja czepia się idei Konstytuanty, staje się jej rzeczniczką płomienną, w niej, w liczeniu na jej większość stateczną, wyłonioną z wyborów, w których uruchomione zostaną wpływy kleru i wszystkich potęg starej budowy społecznej, pokłada wszelkie nadzieje. Toteż Konstytuanta, ongi hasło rewolucyjne, przez reakcję ze strachem i

[151] Władysław Seyda (1863-1939), polityk, prawnik, jeden z przywódców ND w zaborze pruskim, w l. 1914-1918 prezes Koła Polskiego w parlamencie niemieckim, następnie członek Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu w l. 1918-1919 i minister dla byłej dzielnicy pruskiej w l. 1919-1920, poseł na Sejm w l. 1919-1922, oraz I prezes Sądu Najwyższego w l. 1924-1929.
[152] Wojciech Korfanty (1873-1939), polityk i działacz śląski. Syn górnika, studiował na politechnice w Charlottenburgu, potem prawo na Uniwersytecie Wrocławskim. W r. 1898 wstąpił do „Zetu", od 1901 w Lidze Narodowej. Redaktor „Górnoślązaka" i „Polaka". Pierwszy polski poseł do Reichstagu ze Śląska (1903). W czasie I wojny współpracował z Naczelnym Komitetem Narodowym. W 1918 wszedł do Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu jako jej komisarz. Poseł na Sejm Ustawodawczy. W styczniu 1920 r. mianowany polskim komisarzem plebiscytowym na Śląsku, faktycznie był dyktatorem III Powstania Śląskiego. Przywódca Chrześcijańskiej Demokracji, wicepremier w rządzie W. Witosa w 1923 r. Przeciwnik rządów J. Piłsudskiego po przewrocie majowym 1926 r. W latach trzydziestych na emigracji w Czechosłowacji. Jeden z inicjatorów Frontu Morges.
[153] Mowa o manifeście *Do ludu polskiego* z 7 XI 1918 r.
[154] Stronnictwo Niezawisłości Narodowej (do 2 XI 1917 r. noszące nazwę Partii Niezawisłości Narodowej) powstało w marcu 1917 r. w Królestwie. Jego trzon stanowił Związek Patriotów. Wchodziło w skład Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych. Grupowało głównie postępową inteligencję miejską. Było silnie powiązane z PPS-Frakcją Rewolucyjną, z której rekrutowali się liczni jego działacze. Przywódcami byli: Artur Śliwiński, Wacław Sieroszewski, Tadeusz Szpotański, Medard Downarowicz. Z ich organem prasowym „Widnokrąg" współpracował M. Römer.

niechęcią słuchane, dziś stało się jej konikiem ulubionym, którego chwyta się w zamęcie jak deski zbawienia. Z trwogą i nieufnością ogląda się burżuazja na powstające w kraju rady robotnicze, w których łonie dojrzewać będzie hydra dyktatury proletariatu. Zaiste bowiem zachodzą w drogach procesów państwowych w Polsce, jak w Niemczech, analogie duże z drogami, po których kroczyła i doszła do bolszewizmu rewolucja rosyjska. To napełnia burżuazję przerażeniem. Toteż rząd socjalistyczno-ludowy przyjmuje ona z nienawiścią. Rzuca na stół wszelkie stawki, aby nie dopuścić do tego rządu i oprzeć władzę rządzącą na czynniku zachowawczym posłów poznańskich. Podnosi alarm o Lwów, aby na tym punkcie walki polsko-ruskimześrodkować opinię i odwlec ją od procesów rewolucji społecznej. Woła o wojsko, o armię militarną, armię policyjną w narodzie, aby się na zbrojnej potędze przeciwko rewolucji ewentualnie oprzeć. Z chwilą, gdy się przekonała, że Piłsudski nie dał się skorumpować i za nasycenie pychą władzy pozyskać dla dzieła burżuazji, znienawidziła Piłsudskiego i nie śmiąc jeszcze zerwać z nim otwarcie i wystąpić przeciwko niemu kategorycznie, kopie pod nim dołki i coraz to czelniej usiłuje autorytet jego podważyć. Już nawet w niektórych pismach endecji zaczęły się jawne przeciwko Piłudskiemu wycieczki. Nie wątpię, że w kołach wojskowych, które w pewnych elementach (część wyższych oficerów i poniekąd dowborczycy) są szczerze reakcyjne, będzie usiłowała endecja zorganizować spisek na obalenie władzy Piłsudskiego.
Dziś był kulminacyjny punkt walki o rząd. Narodowa Demokracja obwołała na dziś „pochód narodowy", mobilizację sił burżuazji i klerykalizmu, chcąc zdobyć ulicę i ulicą poprzeć rokowania Poznańczyków z Piłsudskim i Daszyńskim w sprawie rządu. Do pochodu stanęła istotnie cała załoga burżuazji, wszystko, co jest klerykalizmem, obszarnictwem, mieszczaństwem, kupiectwem, kapitalizmem, paskarstwem. Pochód był duży i uroczysty, bogaty w sztandary, a jednak się nie udał. Brakło zapału, brakło ducha tłumu i ulicy. Nie tylko publiczność widzów, ale nawet uczestnicy pochodu wyczuli, że nie jest on manifestacją narodową, jeno narzędziem walki politycznej, inscenizacją partyjną. Toteż był mdły i oschły, bo sprawa, której służył, nie roznamiętniała ulicy. Jednocześnie odbył się wielki wiec PPS-u i pochód doraźny socjalistów spod tego znaku, nie tak uroczysty i barwny, ale gorący i namiętny, pulsujący wolą. Po licznych też salach i zebraniach publicznych endecy urządzali dziś przemówienia posłów poznańskich. Tymczasem z toku nieustających konferencji Poznańczyków z Piłudskim, Daszyńskim i grupą kandydatów gabinetu ludowego wyłoniło się zrzeczenie się przez Daszyńskiego misji utworzenia gabinetu, co było częściowym zwycięstwem Poznańczyków, wypłynęła natomiast kandydatura innego socjalisty – Moraczewskiego[155], a wreszcie – rzecz zła – kombinacja objęcia steru rządu – osobiście przez Piłsudskiego.

18 listopada, rok 1918, poniedziałek
Rezultat przesilenia okazał się inny, niż wczoraj prasa wieczorna podała. Na czele rządu stanął Moraczewski. Kombinacja kompromisowa zaproponowana przez posłów poznańskich, w której prezesem ministrów miał zostać Piłsudski z udziałem w gabinecie zarówno socjalistów i członków b. rewolucyjnego rządu lubelskiego, jak posłów poznańskich – nie utrzymała się. Kombinacja taka byłaby z pewnością z kilku

---

[155] Jędrzej Moraczewski 1870-1944), inżynier, działacz najpierw PPSD, później PPS. W l. 1907-1918 poseł do parlamentu austriackiego. Podczas I wojny światowej od 1914 r. w Legionach Polskich. W rządzie I. Daszyńskiego – minister komunikacji. W okresie 17 XI 1918 r. – 16 I 1919 r. – premier i minister kolei. W l. 1919-1925 członek Rady Naczelnej i CKW PPS. W 1927 wykluczony z partii, w roku następnym poparł utworzenie PPS – Frakcji Rewolucyjnej. Minister robót publicznych w l. 1926-1929. Poseł na sejm w l. 1919-1930. W 1931 r. utworzył prorządowy Zawiązek Związków Zawodowych.

względów wadliwa; po pierwsze bowiem, Piłsudski nie ma kwalifikacji na kierownika rządu; jest to żaden polityk, żaden kombinator; Piłsudski to Garibaldi[156], ale nie Cavour[157]. Po drugie, rząd, w którym by socjaliści (b. rząd lubelski) zasiedli do współpracy z endekami poznańskimi, mógłby być tylko rządem przejściowym. Dziś dwie przeciwstawiają się sobie i walczą o władzę potęgi: endecja i socjaliści z PPS. Te dwie siły są dwiema różnymi zasadami, dwiema metodami, które się pogodzić nie dadzą: to rewolucja i kontrrewolucja, albo – albo. Różnica w istocie sięga głębiej, niż rozbieżność formalnych haseł, wysuwanych przez obie strony. Pozornie bowiem między tezami endecji a PPS-u w tej chwili nie ma rozbieżności nieprzejednanej. Endecja, która przoduje całej burżuazji, gotowa jest przyjąć nawet program reform społecznych, przez PPS (rząd lubelski) wystawionych; z drugiej strony, PPS akceptuje zasadę konstytuanty, która jest burżuazji dziś najwyższym hasłem. Wszakże tak jest tylko pozornie. Burżuazja idzie na reformy społeczne (z utajoną myślą o ewentualnym ich zdławieniu) z obawy przed dyktaturą proletariatu. PPS akceptuje tezę konstytuanty, licząc się z siłą konkretną burżuazji, ale już w masach miejskich PPS-u narasta nieufność do konstytuanty i idea dyktatury proletariatu. Zwycięstwo więc socjalistów w rządzie torowałoby w istocie drogę do dyktatury proletariatu, zwycięstwo endecji – do utrzymania starego porządku rzeczy, w którym i te reformy społeczne z programu rządu lubelskiego byłyby zatracone. Nie ma więc tu pojednania i kompromisu. Walka wre i jeszcze do przesilenia nie doszło. W tym momencie tworzenie rządu wspólnego nie jest dziełem trwałym. Zwycięży albo jedna, albo druga metoda i zależnie od wyniku walki albo jedna, albo druga strona będzie górą i rząd wspólny upadnie. A wtedy powstałaby próżnia, o ile Piłsudski nie zachowałby władzy zwierzchniej ponad rządem. Kombinacja kompromisowa posłów poznańskich z Piłsudskim u steru rządu upadła z powodu zastrzeżenia Poznańczyków, że Ministerium Spraw Zagranicznych im przypaść powinno, na co socjaliści się nie zgodzili. Wobec tego stanęło na rządzie Moraczewskiego, jednostronnym. Rząd ten wszakże, niezależnie od osoby Moraczewskiego, który jest osobiście od Daszyńskiego radykalniejszy, jest pod względem rewolucyjnym stępiony w stosunku do b. rządu lubelskiego i pierwotnej perspektywy rządu Daszyńskiego. Jest on wytworem wyczuwalnego ustosunkowania sił w danym momencie walki, kiedy jeszcze endecja i kontrrewolucja złamane nie zostały.

19 listopada, rok 1918, wtorek

---

[156] Giuseppe Garibaldi (1807-1882), włoski bohater narodowy, generał, bojownik o wyzwolenie i zjednoczenie Włoch. W 1833 przystąpił do organizacji Młode Włochy, a w roku następnym uczestniczył w nieudanym powstaniu sabaudzkim. Uczestnik wojny włosko-austriackiej w l. 1848-1849, organizator obrony Rzymu, a po jego upadku pośpieszył na pomoc rewolucji w Wenecji. Następnie na emigracji. W 1860 r. stał na czele tzw. wyprawy Tysiąca, która wspomagała powstanie na Sycylii. Wyprawa ta i powstanie ludowe doprowadziły do obalenia dynastii Burbonów i przyłączenia Królestwa Obojga Sycylii do Włoch. W 1866 uczestniczył w wojnie włosko-austriackiej, w 1867 wkroczył do Państwa Kościelnego, w 1870 do Rzymu. Uczestnik wojny francusko-pruskiej w 1870-1871, gdzie dowodził Armią Wogezów.

[157] Camillo Benso di Cavour (1810-1861), czołowy polityk Królestwa Sardynii (Piemontu) oraz Włoch okresu zjednoczenia. Od 1852 r. premier i minister spraw zagranicznych Piemontu. Dążył do modernizacji kraju, kładąc nacisk na uprzemysłowienie. W 1855 wciągnął Sardynię do wojny krymskiej. W 1858 zawarł tajny antyaustriacki sojusz z Francją, wciągając Piemont do wojny. Po zawarciu przez Francję separatystycznego pokoju z Austrią w Villafranca (1859), jego plany zjednoczeniowe zostały przekreślone, a on sam podał się do dymisji. W 1860 powrócił do władzy, oddał Francji Sabaudię i Niceę za Lombardię. Przyłączył do Piemontu (po plebiscycie) Parmę, Modenę, Toskanię i Romanię. Wykorzystując wyprawę Tysiąca G. Garibaldiego na Sycylię zajął Państwo Kościelne i Sycylię. Po proklamowaniu zjednoczonego Królestwa Włoskiego (marzec 1861 r.) został jego premierem.

Nad ranem w mieszkaniu Ludwika Abramowicza i Heli Ochenkowskiej, w którym jak zwykle zamieszkałem – dzwonek. Hela otworzyła drzwi: to wrócił z nieudanej podróży do Wilna Ludwik Abramowicz. Nie dojechał. Był się wybrał z kilku oficerami polskimi w towarzystwie delegacji niemieckiej warszawskiej rady żołnierskiej dwoma automobilami *via* Kowno do Wilna. Miał mandat doraźnego przedstawiciela interesów polskich na Litwie i wiózł pół miliona marek do Wilna. Wyjechali oni z Warszawy w czwartek na Łomżę. W drodze jeden z automobilów się im zepsuł i podczas gdy oficer Górka[158] (delegat misji wojskowej) wraz z jednym towarzyszem i członkami rady żołnierskiej niemieckiej pojechali dalej wprost na Kowno, Abramowicz z majorem Mackiewiczem[159] udali się do Łomży samochodem POW na Białystok, zamierzając stamtąd udać się do Wilna koleją. W Łomży słyszeli, że Białystok zajęty jest przez wojsko polskie. Nie dojeżdżając do Białegostoku dowiedzieli się, że w mieście są Niemcy, którzy okupację nadal utrzymują. Porzucili więc automobil, ażeby go Niemcy w Białymstoku nie zarekwirowali i dojechali do Białegostoku furmanką. Tam wszakże Niemcy otoczyli ich opieką, równającą się aresztowi domowemu i nie puścili dalej, zawracając w stronę Łap. Odstawili ich do granic Polski, skąd Abramowicz jak niepyszny wrócił do Warszawy. Wiadomość o tym, że Białystok i cała Litwa jest nadal w ręku niemieckim i że okupacja niemiecka tam trwa, jak również fiasko wyprawy Abramowicza – przekonały mnie o tym, że liczyć na powodzenie mojej jazdy do Wilna trudno. Czy mi się uda dojechać – mocno wątpię. Przez czas jakiś nawet się wahałem, czy w ogóle nie odłożyć podróży na później, kiedy się wyjaśnią stosunki i otworzy komunikacja regularna, ale zdaje się, że się zdecyduję jednak spróbować.
Miałem wyjechać dziś. Tymczasem rano spotkałem Wysloucha (Szacha)[160], który mi poradził wziąć na zapas przepustkę od niemieckiej Rady Żołnierskiej. Ponieważ na wszelki wypadek nie zaszkodzi się w jakąkolwiek przepustkę zaopatrzyć, bo a nuż się przyda, skoro na Litwie są jeszcze Niemcy, postanowiłem usłuchać rady Wysloucha i spróbować udać się do rady żołnierskiej. Dziś okazało się już na to za późno – kazano mi przyjść jutro. Wobec tego zostałem w Warszawie do jutra.

---

[158] Olgierd Aleksander Górka (1887-1952), historyk, dyplomata, major Wojska Polskiego, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W l. 1914-1916 służył w Legionach Polskich, następnie był wicedyrektorem Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu i adiutantem Rady Regencyjnej w l. 1917-1918. W latach międzywojennych *attaché* wojskowy w Berlinie i Bukareszcie (1919-1923). W 1925 r. przeniesiony do rezerwy. Redaktor naczelny „Dziennika Lwowskiego" (1927-1930), od 1930 sekretarz generalny Instytutu Wschodniego. W czasie II wojny światowej na emigracji. Po powrocie do kraju konsul PRL w Tel-Awiwie (1946-1952).

[159] Mieczysław Mackiewicz (1880-1932), oficer zawodowy, generał brygady, od 1902 r. w armii rosyjskiej, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej. Współpracował z organizacjami rewolucyjnymi i niepodległościowymi. W 1913 r. wstąpił do Związku Strzeleckiego w Krakowie. W listopadzie 1914 r. dostał się do niewoli niemieckiej. Od kwietnia 1918 r. pracował w Komisji Wojskowej TRS. Po odzyskaniu niepodległości był m. in. dowódcą 41 pułku Strzelców Suwalskich, dowódcą brygady w 18 dywizji piechoty, dowódcą 30 dywizji piechoty. W l. 1919-1920 szefował kilku polskim misjom wysyłanym dla pertraktacji z Litwinami.

[160] Bolesław Wysłouch (1855-1937), publicysta, współzałożyciel i czołowy ideolog galicyjskiego ruchu ludowego. W l. 1886-1887 redaktor „Przeglądu Społecznego", w l. 1889-1902 „Przyjaciela Ludu" oraz współorganizator „Kuriera Lwowskiego". Od 1895 r. współorganizator Polskiego Stronnictwa Ludowego, główny twórca jego programu. Od 1908 r. przywódca tzw. frondy lwowskiej, a od 1912 r. PSL-Zjednoczenia Niezawisłych Ludowców, z którym w lutym 1914 r. przystąpił do PSL „Piast". W l. 1923-1925 związany z PSL „Wyzwolenie", z którym w 1925 r. przeszedł do Klubu Pracy. W 1927 r. wycofał się z życia politycznego. Senator RP w l. 1922-1928.

Wieczorem z Ewą i panną Zasztowt byłem w operze na „Pajacach”[161]. Wracając z teatru koło godz. 11 w nocy natknęliśmy się pod pałacem Kronenberga[162] na tłum manifestantów endeckich, ryczących dziko przeciw rządowi Moraczewskiego i wołających o pomstę Lwowa, pognębionego przez Rusinów[163]. Z tej sprawy Lwowa ukuła endecja nową bolączkę, którą jątrzy, by rozniecić namiętności i uderzyć nimi na rząd socjalistyczny.
Dziś ukazała się w druku deklaracja programowa rządu Moraczewskiego. Jest ona długa i rozwlekła; wprawdzie jest osnuta na motywach manifestu b. rządu lubelskiego, ale złagodzona w tonie. Pazury rewolucyjne zostały schowane. Deklaracja ta, jak sam rząd – robi wrażenie przyczajenia się socjalistów.

20 listopada, rok 1918, środa
Rano poszedłem do niemieckiej Rady Żołnierskiej po przepustkę. Chociaż Niemców już w Warszawie nie ma – oprócz ciężko chorych po szpitalach, obsługi szpitalnej i ewentualnie jeszcze jakichś innych przejezdnych oddziałków (na ulicy i w lokalach publicznych widuje się jeszcze sporo mundurów niemieckich, ale są to albo Polacy-Poznańczycy, albo Alzatczycy, którzy pozostali w Polsce) – niemiecka Rada Żołnierska w Warszawie jeszcze pozostała i pozostanie tak długo, aż się nie zlikwiduje całkowicie wyjazd wszystkich Niemców i kwestii z wyjazdem tym związanych, względnie do czasu ustalenia w Warszawie regularnego przedstawicielstwa Niemiec. Przepustkę udało mi się otrzymać. Żołnierz urzędujący w Radzie wydawał przepustki każdemu, kto tylko chciał: i jakimś paskarzom do Berlina po towary, i mnie do Litwy, i innym, którzy się zgłaszali. Uprzedził mnie, że w Litwie trwa „Deutsche Verwaltung”[164] zupełnie jak dotąd, bez żadnej zmiany, kierowany przez władze „Ober-Ostu” w Kownie, i że on nie wie, czy przepustka Rady Żołnierskiej w Warszawie będzie skuteczna, ale skoro życzę sobie, to on mi ją da. Napisał też i wydał mi, nie pytając o żadne dokumenty, kartkę głoszącą, że „gegen eine Reise des H[err] Rechtsamwalt (za takiego mu się przedstawiłem) von Römer nach Ober-Ost (Litauen) gegen Zahlung des Gebühren bestehen keine Bedenken”[165] (podpis, data i pieczątka). Czy mi się to przyda na co – nie wiem. W każdym razie jest to jedyny dokumencik niemiecki, który mam ze sobą.
O godz. 2 po południu zabrałem rzeczy (niestety – mam ciężką walizkę ze sobą, która w obecnych warunkach komunikacji będzie mi znacznie utrudniać ruchy, ale skoro ewentualnie mam pozostać w Wilnie, muszę mieć przecie trochę rzeczy) i pojechałem na Dworzec Wiedeński. Przyjechałem jeszcze wcześnie, toteż bez kłopotu wziąłem bilet i koło godz. 4 wyjechałem. Tłok był w pociągu wielki, ale miałem miejsce siedzące. Sporo jest osób jadących na Białystok i Wilno, nie mówiąc o gromadach jeńców wojennych, którzy płyną wszystkimi drogami na wschód ogromną rzeką. Będę miał towarzyszy podróży. Po północy pociąg się dowlekł do Łap, ostatniej stacji polskiej, do której pociągi polskie dochodzą. Na bocznicach komunikacja kolejowa w Polsce już jest uruchomiona. Z Łap, jak również przez Małkinię-Ostrołękę, do Łomży dojechać

[161] *Pajace* (*I pagliacci*) dwuaktowa werystyczna opera skomponowana przez Rugierra Leoncavallo, która przyniosła mu światową sławę. Jej prapremiera miała miejsce w Teatro del Verme w Mediolanie 21 V 1892 r.
[162] Pałac Kronenberga (obecnie pl. Małachowskiego 4) zbudowany w l. 1867-1871 według projektu I.H.F. Hitziga dla Leopolda Kronenberga, przemysłowca i bankiera. Budynek uległ zniszczeniu we wrześniu 1939 r.
[163] Mowa o toczonych od 1 listopada 1918 r. do początków kwietnia 1919 r. polsko-ukraińskich walkach o Lwów, w których przez długi czas inicjatywa należała do strony ukraińskiej.
[164] (niem.) niemiecka administracja, zarząd.
[165] (niem.) Co do podróży pana adwokata do Ober-Ostu (Litwa) nie ma mowy o należnościach.

pociągiem można. Jeżeli więc nie zdołam wydostać się na Białystok-Wilno, to będę miał drogę do Łomży otwartą.

21 listopada, rok 1918, czwartek
Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Raczej nie tylko nie zmrużyłem oka, ale nawet nie miałem gdzie usiąść, bo cała wielka sala poczekalni i bufetu w Łapach była przepełniona publicznością, która obsiadła wszystkie krzesła i ławki, rozłożyła się i spała na rzeczach, na podłodze, na stołach i pod stołami, a na moich rzeczach w zimnym przedsionku też spały jakieś panie. Przeważająca część publiczności, olbrzymia większość – to jeńcy wojenni. Między Łapami a Białymstokiem komunikacja kolejowa przerwana. W Białymstoku są Niemcy. Jak Polacy boją się wysyłać pociągi do Białegostoku, aby im je Niemcy nie zarekwirowali, tak odwrotnie boją się tegoż Niemcy z Białegostoku do Łap. Stosunki między Polską a okupacją niemiecką na Litwie są nieustalone. Jedna strona do drugiej się nie zbliża i nie styka, zachowując się nawzajem nieufnie i wyczekująco. Między Łapami, a właściwie Narwią a Białymstokiem ciągnie się pas nieokreślony, jak międzypole na froncie między dwiema liniami okopów. Pierwszym moim zadaniem było wyszukanie furmanki. Furmanek znalazło się kilka i rychło nawiązały się stosunki między pragnącymi jechać do Białegostoku a woźnicami. Nie było mowy o wynajęciu pojedynczo furmanki, bo woźnice, wyzyskując sytuację, żądają cen szalonych, dochodzących do 150 marek za furmankę. Trzeba było łączyć się podróżnym w kupy dla wynajmu poszczególnych furmanek. Ponieważ wcześnie się do tego zabrałem, to udało mi się jeszcze umówić za 20 marek od osoby. Później już było trudniej, bo między woźnicami nastąpiła zmowa, toteż podróżni, którzy się spóźnili z wynajęciem furmanek, płacili drożej. Oprócz jazdy furmankami z Łap do Białegostoku, jest jeszcze inny środek komunikacji. Mianowicie pociąg polski z Łap idzie jakiś kawałek drogi w kierunku Białegostoku, przechodzi za most na Narwi i wyrzuca podróżnych w szczerym polu, skąd mogą oni przejść pieszo około 8 wiorst i tam na ich spotkanie przychodzi i zabiera ich pociąg niemiecki. Ponieważ mam ciężką walizkę ręczną, więc oczywiście korzystać z tej drogi nie mogłem. Torem kolejowym jest do Białegostoku 3 mile, furmanką naokoło na szosę – przeszło 30 wiorst. Podróżni, z którymi jechać miałem i z których większość stanowili Żydzi, lękali się puszczać w drogę w nocy, toteż musiałem czekać do rana. Dopiero gdy się rozwidniło – wyjechaliśmy. W furmance, którą jechałem, miałem za towarzyszki podróży dwie Żydówki i jedną sympatyczną młodą Wiłkomierzankę Litwinkę, która po kilkuletnim pobycie w Rosji na uchodźstwie, wyszedłszy tam za mąż za Warszawiaka, wróciła świeżo do Warszawy i jechała teraz sama do swej matki. Szedłem z nią z Łap aż do szosy pieszo, bo koń był strasznie tępy i słaby. Wreszcie dotarliśmy do szosy, zrobiliśmy popas w jakiejś wsi przy szosie, gdzieśmy się zagrzali i posilili i ruszyliśmy dalej. Furmanek z podróżnymi do Białegostoku z Łap ciągnął cały sznur. Rychło dojechaliśmy do mostu na Narwi. Tu atoli zaszła przeszkoda nieprzewidziana. Komendant warty, jakiś dziecinny podoficerek, nie puścił za most nikogo, oprócz paru kobiet z dziećmi. Próżne były lamenty, targi i błagania podróżnych. Legionista nie puścił nikogo, tłumacząc się rozkazem i żądając formalnej przepustki od komendanta z Sokół. Legioniści byli przy tym niegrzeczni, nawet brutalni. Znać było, że to młode wojsko jest zupełnie niewprawne w służbie strażniczej, zresztą zdezorientowane, nie wiedzące dobrze, czego się trzymać. W ogóle jest jeszcze bajzel zupełny. Nikt, nie wyłączając warty, nie zna dobrze rozkazów i przepisów, bo jeszcze dokładnych nie ma. Nie pomogła moja legitymacja urzędnicza. Musiałem zawrócić także. Do Sokół nie pojechałem, jeno do Łap, zdecydowany zaniechać dalszych prób i wracać do Łomży. Wszakże w Łapach zwróciłem się do komendanta legionowego, który mi natychmiast

przepustkę do Białegostoku dał. W Łapach na stacji zaczepił mnie jakiś chłop z sąsiedniej wsi Uhowa za Narwią, proponując mi nocleg u siebie i odwiezienie mnie jutro rano do Białegostoku za 50 marek. Przyjąłem propozycję. Przeszliśmy z nim torem kolejowym za most na stronę litewską i w chacie tegoż chłopa we wsi Uhowa zanocowałem.

22 listopada, rok 1918, piątek
Doskonały miałem nocleg w Uhowie. Miałem przynajmniej prawdziwy wypoczynek w podróży. Chłop, który się wczoraj podjął odwiezienia mnie do Białegostoku, zaprowadził mnie wczoraj koło godz. 7 wieczór z Łap torem kolejowym przez most na Narwi do Uhowa, wioski położonej nad Narwią przy samym torze kolejowym – na nocleg do swej chaty. Była to chata gospodarska; w izbie niedużej, ale czystej, przepełnionej meblami i tak ciepłej i cichej, jak tylko wymarzyć można, zastałem całą rodzinę gospodarską mojego woźnicy: jego stary ojciec i matka, żona i siostra. Po obu brzegach Narwi jest niby jeden kraj – Podlasie i jedna ludność, czy to w powiecie mazowieckim, czy białostockim – podlaska; w istocie przecież linia Narwi i granica Litwy z Kongresówką, tędy przechodząca, dzieli bardzo widocznie tę ludność podlaską na etnicznie polską i *quand même* – białoruską. Od razu po tej stronie Narwi inna mowa, choć niby język przeważnie ten sam – polski: charakterystyczna śpiewność ruska wymowy, pewien styl rzewny i miękki charakteru ludowego, różny od temperamentu Mazurów na polskiej stronie Podlasia. Gospodarze, u których nocowałem mówili między sobą przy mnie po polsku; po polsku też rozmawiał mój woźnica dziś ze znajomymi i sąsiadami, których w drodze do Białegostoku spotykał. Ale gdy wczoraj wieczorem wszedł do izby ojciec mego woźnicy, stary gospodarz Uhowa, pierwsze jego przemówienie do syna, zanim mnie spostrzegł, było po białorusku. Gdy mnie zobaczył, mówił już dalej wyłącznie po polsku. Ten pierwszy wszakże odruch mowy domowej po białorusku wskazuje, że nawet tu, na samym pograniczu Kongresówki, iskierka Białejrusi jeszcze nie wygasła całkowicie. Posłano mi na łóżku, gdzie się wnet po wypiciu paru szklanek herbaty położyłem. O godz. 3 rano wstaliśmy z moim woźnicą – w podróż. Wypocząłem i głównie się zagrzałem dobrze, co mi bardzo dobrze zrobiło. Mróz bowiem od paru dni trwa ostry i jazda furmanką w moim lekkim palcie jesiennym jest męczarnią. Toteż zanim dojechałem do Białegostoku, byłem zziębnięty do szpiku kości. O godz. 8 byłem w Białymstoku. Po drodze nie spotkałem żadnych Niemców i przez nikogo o przepustkę lub jakieś dokumenty zapytywany nie byłem. Białystok natomiast jest całkowicie w niemieckim ręku; okupacja trwa tutaj w całej rozciągłości. Dowiedziałem się na dworcu, że pociąg do Wilna będzie dopiero jutro w nocy o godz. 3 ½. W kasie i od podróżnych, znajomych mi już z Łap, których tu zastałem, dowiedziałem się, że bilet do Wilna sprzedaje się tylko za okazaniem „Reise-Seheinu”[166]. Złożyłem rzeczy me na przechowanie i poszedłem na miasto. Byłem w kawiarni, zjadłem obiad w restauracji, robiłem zabiegi o „Reisesehein” do Wilna. W „Kreisamcie”[167] odmówiono mi przepustki, twierdząc, że jazda do Wilna jest od 8 dni dla ludności cywilnej zamknięta. To samo odpowiedziano mi w komendanturze, gdzie wszakże, po okazaniu przeze mnie przepustki od warszawskiej Rady Żołnierskiej, poradzono mi udać się na Zamek i zwrócić do miejscowej Rady Żołnierskiej. Udało mi się tam dotrzeć i istotnie załatwiłem, o co mi chodziło. W Radzie Żołnierskiej przepustka Rady warszawskiej zyskała uznanie zupełne. Zaraz mi tam dopisano „Genehmigt”[168], zaopatrzono w podpis

[166] (niem.) dokument podróży
[167] (niem.) urząd powiatowy.
[168] (niem.) pozwolenie.

i pieczątkę i zapewniono, że żadnych innych dokumentów podróżnych nie potrzeba i że z tą przepustką mogę jechać na Litwie dokąd mi się podoba. Wieczór spędziłem na dworcu. Przepełnienie olbrzymich sal i całego lokalu dworca jest niesłychane. Tysiące i tysiące jeńców przepełniają wszystko i coraz to większe tłumy ich się gromadzą. Utworzył się tu już zator olbrzymi jeńców, bo ciągle napływa więcej, niż się ekspediuje. Za mało odchodzi stąd pociągów na wschód i północ w stosunku do napływu.
Na Dworcu Brzeskim zgromadziło się już 12000 jeńców, wskutek czego ustanowiono już tam kolejkę na wyjazd, na Dworcu Wileńskim do nocy zebrało się ich chyba nie mniej. Oprócz jeńców, wracają duże partie robotników i robotnic przymusowych z Prus. Spotkałem też garstkę Litwinów pośród jeńców, z którymi nawiązałem po litewsku rozmowę i ku wspólnemu zadowoleniu gawędziliśmy o sprawach Litwy i stosunkach krajowych.

23 listopada, rok 1918, sobota
Po godz. 3 w nocy doczekałem się wreszcie pociągu. Ledwie z wielkim trudem wśród tłumów jeńców zdołałem wybrać moje rzeczy z przechowania i wyciągnąć je ku wyjściu. Szczęściem, że bilet miałem dzięki łapówce wzięty zawczasu. Przed samym podaniem naszego pociągu znów napłynęła olbrzymia fala jeńców, idących z Łap; takie masy się tego natłoczyły, że już musiano ich skierować na plac przed dworcem od strony miasta, na mróz, bo na dworcu wszystko już było pełne. Straszny widok nędzy przedstawiają te chmary nieszczęśliwych ludzi. Wyglądają jak szkielety; chudzi, niektórzy obrzękli, twarze żółte lub sine od mrozu, wielu nie ma żadnych płaszczy wierzchnich, nie ma nawet koców do okrycia się od chłodu.
Jak tylko podano pociąg, jeden z pierwszych dostałem się na peron. Ale nim dociągnąłem moje rzeczy do pociągu, już wagony się napełniły. W pierwszym rzędzie wagonów jechali Niemcy, wracający do swego kraju zapewne z głębi Ukrainy, z dalszych kresów zwijanej stopniowo okupacji. Wszyscy oni zmuszeni są kierować się na Wilno, bo przez Polskę wyjechać nie mogą, gdyż ich tam rozbrajają. Wszystkie inne wagony w mig się zapełniły jeńcami. Na próżno chodziłem od wagonu do wagonu, szukając miejsca. Nigdzie się wcisnąć nie było można, nigdzie nie pozwalano nawet zajrzeć do środka. Wreszcie nie mając innego wyjścia wpadłem na pomysł wdrapania się po schodkach żelaznych do gniazda konduktora, umieszczonego wysoko u szczytu jednego z wagonów. Było ono dzięki Bogu jeszcze puste. Wciągnąłem tam moje rzeczy, dopomogłem wdrapać się tamże mojej towarzyszce podróży, Żydówce, jadącej z Warszawy do Rzeżycy[169]; byłoby nam we dwoje dość wygodnie, choć zimno, bo jedna szyba była wybita, a z drugiej strony drzwi się nie domykały, aż trzeba je było sznurkiem przywiązać – ale zaraz po nas wpakował się tam jeszcze jeniec, a zanim odjechaliśmy, to i drugi jeniec się znalazł. Dla tego ostatniego już nie było miejsca, tak że musiał stać na schodkach. Wreszcie pociąg ruszył. Żal tych biednych jeńców; męką była ich niewola; tysiące i dziesiątki tysięcy jeżeli nie setki tysięcy ich zmarło, a ci, co ocaleli, są wyczerpani i wynędzniali ostatecznie. Męką też jest ten ich chaotyczny powrót masowy. Głodni, ziębnięci – ogromnym tłumem dążą na wschód. Wielu też w drodze umiera. Jednego z nich wyciągnięto wczoraj przy mnie w Białymstoku spod stołu na dworcu zmarłego, o dwóch zmarłych słyszałem też w Uhowie. Pomimo nędzy i prawie nieludzkiego wyglądu, robią oni w rozmowie wcale inteligentne wrażenie. Ciekawa rzecz, jaki wpływ wywrą oni po powrocie do kraju. O ile mogłem wywnioskować z rozmów z jeńcami-Rosjanami, są oni z jednej strony pełni goryczy i żalu do tych, co pozostali w kraju, wykręcili się od wojska bynajmniej nie dla

[169] Rzeżyca (łot. Rēzekne), miasto we wschodniej części Łotwy.

względów ideowych i wzbogacili na wojnie, podczas gdy oni cierpieli i z nędzy wracają do nędzy, z drugiej strony, mają uczucie gniewu dla bolszewików za pokój brzeski, który uważają za akt sprzedaży Rosji dla partyjnych celów, albowiem rozumują logicznie, że pomimo tego „pokoju" niewola ich, jeńców, nie ustała i trzeba było dopiero zwycięstwa koalicji, aby ich z niewoli uwolnić. Za każdy dzień swej niewoli po „pokoju" brzeskim mają oni w sercu po czarze goryczy dla bolszewików i bolszewickiej ojczyzny. Natomiast nie spotkałem u jeńców ani krzty tęsknoty za caratem, ani cienia poczucia tego, że ofiara ich męki i nędzy była dla jakiejkolwiek bądź idei celową. Straszne jest takie poczucie jałowości męczarni doznanej.
Przez całą drogę do Wilna nie było oczywiście mowy o zmrużeniu oka. Do Wilna przyjechałem o południu i naturalnie zajechałem do Maryńki, gdzie zastałem pełno osób z rodziny (Julek Komorowski, Henryś Wołłowicz, Romek Chełchowski[170], Lolo Wołodkowicz[171] i in.). Przeziębiony i zmęczony trzydniową podróżą, nie wychodziłem na miasto i po obiedzie zaraz spać poszedłem.

24 listopada. rok 1918, niedziela
Dziś był mój pierwszy dzień w Wilnie. Rozpocząłem od Zasztowta jako najbliższego mi ideowo człowieka. Oczywiście, że w każdym zetknięciu się z kimkolwiek w Wilnie nie tylko ja się dowiaduję o stosunkach i sytuacji na miejscu, ale przede wszystkim muszę sam informować o stanie rzeczy w Polsce i Warszawie. Tego są tu ludzie bardzo ciekawi, szczególnie wobec perspektyw rewolucyjnych, zarysowujących się w Polsce, które jednych przerażają lub trapią, u innych budzą różne aspiracje i nadzieje. W bardzo czarnych barwach przedstawił mi Zasztowt rozwój stosunków w Wilnie. Faktem jest istotnie, jak to już z różnych źródeł dziś stwierdziłem, że panuje tu jeszcze chaos całkowity. Okupacja niemiecka trwa, a wraz z nią trwa i Taryba litewska, i Komitet Polski[172] . I jedna, i druga z tych instytucji zwraca się do Niemców, z nimi konferuje i paktuje, od nich usiłuje coś wygrać na przeciwniku. Z obydwóch stron jest zacietrzewienie i nieprzejednanie. Kto będzie *tertius gaudens*[173] – nie wiadomo, ale bardzo prawdopodobne, że Rosja, którą ewentualnie odtworzy koalicja w razie zgniecenia przez nią bolszewizmu. Jeżeli zaś bolszewizm się ostanie, jeżeli koalicja nie stłumi tego pożaru, to Rosja rozciągnąć się może na Litwę poprzez bolszewizm. Ogniska bolszewizmu zdają się być bardzo silne w kraju. W masach włościańskich, zwłaszcza na Białej Rusi, szerzy się żywiołowo anarchia, która li tylko w bolszewizmie ujście i ewentualnie jakieś łożysko rozwoju znajdzie. Już płoną powiaty, z których Niemcy się wycofali. Mińszczyzna, a nawet wschodnie powiaty gub[erni] wileńskiej stają się areną żywiołowych strasznych ruchów agrarnych, idących samorzutnie z dołu. Dzień w dzień płynie do Wilna fala uchodźców ziemiańskich. Napady na dwory, niszczenie mienia dworskiego, palenie – są na porządku dziennym. Zresztą – kto wie, czy rozlanie się bolszewizmu na cały nasz kraj nie jest logicznym i koniecznym założeniem rewolucji, która odrodzi ludzkość. Ale etapy tej wielkiej sprawy są straszne.

---

[170] Roman Chełchowski, mąż Zuzanny z domu Wołodkowicz.
[171] Ludwik Wołodkowicz (1878-?), syn Józefa i Łucji z Tukałłów, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego.
[172] Komitet Polski w Wilnie – organizacja istniejąca w okresie XII 1915 – IV 1919 r., skupiająca szeroki wachlarz partii politycznych, z wyjątkiem skrajnej lewicy. Z czasem dominujący wpływ na jego działalność zdobyli przedstawiciele Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. 3 XI 1916 r. wystąpił z proklamacją, w której deklarował zasadę wspólnej państwowości Polski i Litwy. W d. 15 I 1917 w adresie do Tymczasowej Rady Stanu Komitet powtórzył postulat związku państwowego Litwy z Polską, co oznaczało odrzucenie idei niepodległości samej Litwy, ale jednocześnie sprzeciwiano się państwowości polskiej na Litwie. W IV 1918 r. Komitet Polski odrzucił propozycję współpracy z Tarybą.
[173] (łac.) dosłownie, trzeci cieszący się, co oznacza: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Niewiele, zdaje się, lepiej w Wilnie w obozie socjalistycznym. Jak rozdwojona jest narodowo burżuazja, tak rozkawałkowany i bezwładny jest w miotaniu się swoim socjalizm. I tu trochę sprawy narodowościowe utrudniają sprężystość jakiegoś czynu, a jeszcze bardziej utrudnia aktywność socjalistów to, że brak im oparcia o zorganizowany i mocny proletariat i że wszystkie odcienie prądu socjalistycznego są w pewnego rodzaju hamletowskim stosunku do bolszewizmu: bolszewizm je fascynuje i trzyma w jakimś bezwładzie; nie wiedzą, czy się go bać, czy iść za nim. Smutny jest bardzo stan Litwy. Jest on więcej, niż smutny. Jest okropny, bo nikt nie wie, czy linia, po której idzie, jest linią skuteczną i wiodącą do celu.
Z wielu ludźmi się dziś widziałem. Rozchwytują mnie i wyciągają nowiny o Polsce. Tworzy się tu tzw. samoobrona polska, połowicznie legalna i połowicznie konspiracyjna. Sformowała się ona ze stopienia dowborczyków z POW. Gotuje się ona do roli zbrojnej politycznej, nie maskując tego zbytnio. Dojrzewać się zdają tendencje do przesądzenia sporów orężem i siłą. Ba, skoro innych dróg nie ma! Realne wszakże zdają się być tylko dwie ewentualne siły: koalicja i bolszewizm. Nie wkroczyły one jeszcze do kraju, ale pod ich znakiem klasyfikuje się już zmysł społeczny. Od ich gry zależeć będzie zapewne los Litwy. I nie tylko Litwy. Miejscowe wysiłki i drogi – to coś niesłychanie wątłego wobec tych perspektyw.

25 listopada, rok 1918, poniedziałek
Nie mam dużo czasu na dziennik, bo cały dzień mam zajęty. Rozbiegany jestem, widuję się z ludźmi, orientuję się i badam stosunki, sam dużo opowiadać i referować muszę. Będę więc notować tylko w streszczeniu.
Widziałem się dziś z Bagińskim[174], Krzyżanowskim[175], Wróblewskim[176]. Z Litwinami jeszcze się nie widziałem. Byłem u Vileišisa Jonasa[177], lecz go w domu nie zastałem. Coraz więcej się przekonywam o chaosie, który tu dominuje dotąd. Zdaje się, że im dalej, tym on większy. Jest straszne ubóstwo sił i woli. Dochodzę do smutnego przekonania, że o losach Litwy zadecyduje nie taka czy inna wola tych czy innych odłamów jej ludności – ani Taryba, ani wileński Komitet Polski, ani masy ludności bądź polskiej bądź litewskiej, ani socjaliści miejscowi – lecz jedna z dwóch realnych potęg: koalicja albo bolszewizm, sprzymierzony z rewolucją powszechną. Która z tych potęg ubiegnie drugą – od tego wszystko zależeć będzie. Kraj nasz stać się może biernym

---

[174] Stanisław Bagiński (1881-1939?), adwokat, działacz PPS, członek Naczelnego Komitetu Narodowego w Wilnie w 1915 r. Członek wolnomularstwa. W l. 1920-1922 dyrektor departamentu ustawodawczego Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, w 1922 poseł na sejm z ramienia PPS, w 1939 r. uwięziony przez władze sowieckie, zmarł w nieznanych okolicznościach.
[175] Bronisław Krzyżanowski (1876-1943), adwokat, działacz polityczny, w młodości członek PPS, uczestnik zebrań Towarzystwa Szubrawców. Współpracownik „Gazety Wileńskiej" (1906) i „ Przeglądu Wileńskiego" (1911-1915). Członek lóż „Jedność" i „Litwa". Współorganizator Komitetu Obywatelskiego w Wilnie w 1915 r. Uczestnik rokowań w Paryżu (1919) i w Rydze (1920). Członek tzw. Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, wicemarszałek Sejmu Wileńskiego. Przedstawiciel PSL „Piast", a od r. 1923 PSL „Wyzwolenie" w Sejmie RP. Obrońca w wielu procesach politycznych, m.in. białoruskiej „Hromady". Współorganizator wileńskiego Klubu Demokratycznego i Stronnictwa Demokratycznego (1938-1939). Prezes nieoficjalnego Komitetu Polskiego w Wilnie (1939-1940).
[176] Tadeusz Stanisław Wróblewski (1858-1925), adwokat, założyciel biblioteki. W l. 1881-1883 przebywał na zesłaniu na Syberii. W 1900 założył Towarzystwo Szubrawców w Wilnie, nawiązujące do tradycji Tow. Szubrawców istniejącego na początku XIX w. Jeden z czołowych krajowców wileńskich. Obrońca w wielu procesach politycznych.
[177] Jonas Vileišis (1872-1942), prawnik, litewski działacz polityczny, członek stronnictwa demokratów ludowców. W 1915 r. członek Wileńsko-Kowieńskiego Komitetu Obywatelskiego, od 1917 r. członek Taryby i sygnatariusz aktu niepodległości Litwy. Minister spraw wewnętrznych i oświaty w gabinetach M. Šleževičiusa (1918/1919). W niepodległej Litwie burmistrz Kowna (1921-1923). Członek wolnomularskiej loży „Litwa", później „Lietuva".

narzędziem cudzych interesów, polem doświadczeń i apetytów obcych. Jestem usposobiony pesymistycznie. Obym się mylił.
Wilno coraz bardziej zapełnia się uchodźcami z powiatów wschodnich – ziemian. Ruchy agrarne i gwałty szerzą się w tych obszarach kraju, z których się wycofują Niemcy. Na kolejach ze wschodu do Wilna tłok straszny. Panika ziemian wyolbrzymia jeszcze bardziej grozę. Straszne są wieści z pow[iatu] dzisneńskiego, groźne też płyną prognozy z pow[iatu] borysowskiego, nawet wilejskiego i lidzkiego. Wilno tak przepełnione, jak nigdy. Prócz masowego napływu ziemian i inteligencji z Mińska, ogromny jest napływ do Wilna Rosjan.
Wieczorem byłem u Krzyżanowskiego, do którego przyszli też dla zobaczenia się ze mną i zasięgnięcia języka z Warszawy – Witold Abramowicz[178] i Jan Piłsudski[179]. Zreferowałem im stan rzeczy w Warszawie, głównie tło walki między ND a PPS, walki, która, zdaniem moim, kryje istotne przeciwstawienie dwóch metod: konstytuanty i dyktatury proletariatu. Większą część wieczoru zapełniła moja relacja. Na zreferowanie mi wzajemne przez Wilnian stanu rzeczy w Wilnie – mało pozostało czasu. Grupa Abramowiczowska przetworzyła się już obecnie w Stronnictwo Demokratyczne. Linia polityczna tego stronnictwa pozostała, zdaje się, bliska linii ideowej dawnego „Przeglądu Wileńskiego"[180], z którego się grupa ta, a następnie stronnictwo – wyłoniło. Społecznie program jest dość radykalny, ideologia zabarwiona dużą dawką nacjonalizmu, w którym się jeszcze kołatają stare elementy krajowości. Demokraci pod wodzą swego *leadera* Witolda Abramowicza należą do Komitetu Polskiego, w którym tworzą skrzydło lewe. Dwoistość krajowości i nacjonalizmu jest bardzo znaczna u demokratów: jedni z nich (na prz[ykład] Chomiński[181], Jundziłł[182]) mają przewagę

[178] Witold Abramowicz (1874-1940?), adwokat, działacz niepodległościowy, jeden z organizatorów PPS na Litwie, w 1911 r. należał do założycieli „Przeglądu Wileńskiego", członek loży „Litwa" (1911-1913). W czasie wojny objął komendę milicji miejskiej w Wilnie. Członek POW. 21 XII 1918 r. mianowany przewodniczącym Tymczasowej Komisji Rządzącej na Okręg Litwy Północnej. Pierwszy prezydent wyzwolonego w 1919 r. Wilna. Uczestnik wyprawy L. Żeligowskiego w X 1920 r. i przewodniczący TKR Litwy Środkowej. Senator RP z listy BBWR (1928-1935). Współorganizator wileńskiego Klubu Demokratycznego w 1938 r. W 1939 r. aresztowany przez NKWD, zmarł w nieznanych okolicznościach.
[179] Jan Piłsudski (1876-1950), brat Józefa Piłsudskiego, adwokat, działacz społeczny. W l. 1895-1897 studiował w Uniw. Moskiewskim, w 1897 r. aresztowany i zesłany na 3 lata, studia ukończył w Kazaniu w 1900. Po 1905 r. działał w ugrupowaniach demokratycznych na Litwie. Członek loży „Litwa" (1911-1913). W l. 1915-1916 członek Komitetu Polskiego w Wilnie, w 1919 komisarz cywilny Wilna. W l. 1920-1931 sędzia Sądu Okręgowego, a następnie Apelacyjnego w Wilnie. W l. 1931-1932 minister skarbu. W 1920 r. poseł Sejmu Wileńskiego z ramienia PSL „Piast", w l. 1928-1935 poseł na sejm z ramienia BBWR, jego wicemarszałek w l. 1930-1931. W 1939 aresztowany w Wilnie i więziony w Moskwie do 1941 r. Po zwolnieniu wyjechał do Wielkiej Brytanii. Po wojnie na emigracji w Londynie.
[180] Tygodnik „Przegląd Wileński" wychodził w Wilnie w l. 1911-1915 pod kierownictwem Ludwika Abramowicza.
[181] Ludwik Chomiński (1890-1958), dziennikarz, działacz ruchu ludowego, właściciel drukarni, bibliofil. Studiował w Uniwersytecie Jagiellońskim (1908-1911). W l. 1912-1915 działał w organizacjach rolniczych. Redaktor i wydawca m.in. dziennika „Nasz Kraj", „Gazeta Ludowa", czasopisma akademickiego „Alma Mater Vilniensis". W l. 1919-1920 stworzył w Wilnie Polską Drukarnię Nakładową „Lux". W l. 1918-1919 wiceprezes Polskiego Stronnictwa Demokratycznego. W 1922 r. poseł na Sejm Wileński, a następnie w latach 1922-1927 poseł na sejm RP z ramienia PSL „Wyzwolenie". W 1928 wycofał się z życia politycznego. Długoletni prezes Towarzystwa Bibliofilów Polskich w Wilnie i po wojnie prezes Związku Bibliotekarzy Polskich. Po 1947 r. członek Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.
[182] Zygmunt Jundziłł (1881-1953), prawnik, działacz społeczny i polityczny. Członek Polskiego Stronnictwa Demokratycznego w l. 1918-1919. Poseł na Sejm Wileński (1922). Profesor Uniwersytetu Stefana Batorego. Dziekan wileńskiej Rady Adwokackiej, od 1936 r. członek Komisji Kodyfikacyjnej oraz Naczelnej Rady Adwokackiej. W l. 1930-1935 senator RP. W listopadzie 1939 r. członek Komitetu Polskiego w Wilnie. Od 1944 na emigracji we Włoszech i Francji, a od 1949 r. w Londynie.

krajowości, inni (na prz[ykład] Adolf[183], Turski[184], Piłsudski) – przewagę nacjonalizmu, choć społecznie podział ten wpływu na wyrazistość i stopień radykalizmu wpływu nie wywiera. Dwoistość ta w sferze jednego z najważniejszych zagadnień kraju bardzo osłabia linię działania Stronnictwa Demokratycznego i wpływa na wzmocnienie się linii endeckiej w Komitecie Polskim, linii wyraźnie podziałowej co do budowy państwowej kraju.
U demokratów jedni stoją zdecydowanie na stanowisku podziałowym (odseparowanie Litwy etnograficznej – bez Wilna – na rzecz narodowego państwa litewskiego od Litwy polsko-katolicko-białoruskiej – z Wilnem – która winna do Polski być wcielona lub z nią połączona), inni chcą salwować[185] niepodzielność kraju, traktowanego przez nich jako całość państwowa, wszakże typu państwa nie narodowego, lecz narodowościowego (mieszanego), w związku federacyjnym z Polską. Stronnictwo urzędowo koncepcji krajowej na rzecz programu podziałowego nie odrzuciło, ale toleruje w swym łonie elementy koncepcji podziałowej i mam wrażenie, że grawituje w tym kierunku. *Leader* demokratów Witold Abramowicz zdaje się zwracać również w kierunku podziałowym.

26 listopada, rok 1918, wtorek
Rano dziś byłem u Jonasa Vileišisa. Zastałem go i pogawędziłem. Ponieważ jednak był u niego jeszcze ktoś inny, a zresztą Jonas się śpieszył do Taryby, więc obszerniejszej i wyczerpującej kwestię Taryby – rozmowy z nim nie miałem. Jonas Vileišis jest w Tarybie i reprezentuje w niej opozycję ludową w stosunku do reakcyjnej kliki rządzącej. Bądź co bądź jednak należy do Taryby i jest przeto tarybowcem; w zasadzie przeto instytucję tę uznaje i na jej gruncie staje, ewentualnie nawet, przez swoją w niej obecność, ją wzmacnia. Taryba jest instytucją zaiste ze wszech miar wadliwą, która jeno szkodzi sprawie Litwy, szczególnie w chwili obecnej. Pierwszą jej wadą jest jej budowa wewnętrzna, zdecydowanie reakcyjna, nie uzgodniona w najmniejszej mierze z prądami wolnościowymi, które obecnie we wszystkich krajach dokoła wieją i zmiatają ze sceny wszelkie reakcje; rząd wyłoniony przez Tarybę jest jakimś anachronizmem przedpotopowym, w tym samym czasie, gdy w Rosji, Niemczech, Polsce – dochodzą do władzy elementy robotnicze i chłopskie. Z taką Tarybą, jaka ona dziś jest i z jej rządem nie może wchodzić w rokowania żaden z sąsiadów. Wolnościowe rządy Rosji, Niemiec i Polski nie znajdą po prostu wspólnego języka do rozmowy z Tarybą. Drugą jej wadą są grzechy jej przeszłości i jej ścisły związek z przedrewolucyjnymi Niemcami. Jej kokieteria z rządami śp. cesarskimi w Niemczech, usiłowanie narzucenia Litwie króla, wiązanie Litwy wieczystymi konwencjami z Rzeszą Niemiecką, opieranie budowy państwa i własnej władzy na sile, zapożyczonej od Niemców, na czynnikach okupacji niemieckiej – wszystko to, choć może było złem koniecznym w dawnych warunkach potęgi niemieckiej, to przecież zdepopularyzowało Tarybę nawet w pojęciu ludu litewskiego i dziś, gdy władza niemiecka nad krajem została zachwiana, jest ciężkim spadkiem na rachunku Taryby. Dopóki jeszcze trwa okupacja niemiecka, dopóty jeszcze może się utrzymać cień bytu Taryby; ale [jej] dni są już policzone. Wreszcie

[183] Przypuszczalnie Adolf Narkiewicz (ok. 1880-1941?), lekarz, w 1906 r. współpracownik „Gazety Wileńskiej" (1906), w okresie międzywojennym naczelny lekarz sanitarny Wilna, wczesną wiosną 1941 r. aresztowany przez NKWD i w czerwcu tr. wywieziony w głąb Związku Sowieckiego, gdzie zaginął bez wieści. Ewentualnie chodzi o osobę o nazwisku Adolf.
[184] Ignacy Turski (...), leśnik, agronom, członek grupy demokratycznej, sekretarz Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego (1912), w czasie I wojny na terenie Rosji, m. in. wicedyrektor Dyrekcji Lasów w Tambowie (1918), po powrocie do kraju, redaktor dziennika „Nasz Kraj" (1919), członek PSL „Odrodzenie". Bliższych danych brak.
[185] (łac.) salvo; dawne – ratować, ocalać.

błędem Taryby, wykroczeniem jej przeciwko zasadom wolności i demokracji jest upieranie się na stanowisku narodowego państwa litewskiego, budowanego na terenie, wykraczającym daleko poza terytorium narodowe – aż po Białystok. To daje Polakom wielką moc argumentów przeciwko Tarybie, a nawet przeciwko państwowości litewskiej, która się rozciąga w trybie zaborczym na południowy wschód. A że Polacy na terenie tym są silni, upór narodowej tezy Taryby, tezy, która się utrzymać zapewne nie da, osłabia znacznie samą podstawę budownictwa państwowego Litwy, usiłowanego przez Tarybę.
Do niedawna lewica litewska, zwalczająca politykę Taryby, stawiała program zwołania ogólnokrajowej konferencji z wyborów dla wyłonienia z niej nowej ludowej Taryby (Rady Stanu), która by ujęła czasowo w swe ręce władzę i organizację państwową do czasu zwołania konstytuanty. Taryba przez długi czas walczyła z hasłem konferencji, gdy wszakże ostoja niemiecka, na której się ona opierała, została zachwiana, Taryba postanowiła się ratować konferencją i hasło to sama wystawiła. Oczywiście jednak chce ona przez tę konferencję wzmocnić siebie i dać sobie podłoże, którego jej z zachwianiem Niemców zbrakło. Przez zaakceptowanie postulatu konferencji udało się Tarybie pozyskać jednego z lewicy, Michała Biržiškę[186], który wstąpił do Taryby. Reszta wszakże lewicy z SDL z Kairysem[187] na czele dziś się już konferencją nie zadawala. Socjaliści-Litwini wystawiają hasło konferencji chłopsko-robotniczej dla narzucenia krajowi rządu ludowego. Kairysa w Wilnie nie zastałem. Żałuję bardzo, bo z tego, co o nim słyszę, wnioskuję, że ma on ewentualnie program najbardziej skrystalizowany i dąży planowo do zamachu stanu. W tej chwili bawi on na wsi, dokąd wyjechał na kilka tygodni dla spraw organizacyjnych. W obozie socjalistycznym w Wilnie panują również duże rozbieżności. Na skutek stanowiska socjalistów-Litwinów poszlakowanych przez ich towarzyszy innych narodowości o nacjonalizm, socjalna demokracja Litwy, w której łonie poprzednio obok Litwinów byli Polacy wraz z cząstką Żydów i ewentualnie Białorusinów, rozpadła się. Pozostali w niej Litwini, natomiast secesjoniści, którzy z niej wyszli, utworzyli Socjalną Demokrację Litwy i Białej Rusi (z Polaków należą do niej Edward Sokołowski[188] i Zasztowt); ta nowa partia zbudowana jest na zasadach międzynarodowości proletariackiej. Inny odłam (Bagiński i młody b[ardzo] sympatyczny socjalista Polak, adwokat z Petersburga, Kulikowski[189]

---

[186] Mykolas Biržiška (1882-1962), prawnik, historyk literatury, publicysta, działacz polityczny. Od 1905 r. członek litewskiej partii socjaldemokratycznej. W 1906 r. współpracował blisko z wydawaną przez M. Römera „Gazetą Wileńską". W l. 1906-1914 pracował jako adwokat w kancelarii T. Wróblewskiego. W latach 1915-1922 należał do czołowych postaci wśród Litwinów wileńskich, będąc w tym czasie dyrektorem gimnazjum litewskiego. W 1917 r. został członkiem Taryby, a w lutym 1918 r. był jednym z sygnatariuszy aktu niepodległości Litwy. W pierwszym gabinecie M. Šleževičiusa (XII 1918 – III 1919) był ministrem oświaty. W 1919 r. został przewodniczącym Komitetu Litewskiego w Wilnie. Wydawał tam szereg pism broniących stanowiska litewskiego w sporze o Wilno. W lutym 1922 r. wraz z grupą działaczy litewskich został deportowany do Republiki Litewskiej. W niepodległej Litwie profesor historii literatury na Uniwersytecie Witolda Wielkiego. Od 1944 r. na emigracji w Niemczech (do 1949 r.), następnie w Stanach Zjednoczonych.
[187] Steponas Kairys (1879-1964), czołowy działacz litewskiej socjaldemokracji, ukończył Instytut Technologiczny w Petersburgu (1908), od 1912 mieszkał w Wilnie, gdzie pracował w wydziale kanalizacyjnym samorządu miejskiego. Członek Taryby i sygnatariusz aktu niepodległości Litwy. W czwartym gabinecie M. Šleževičiusa (IV1919 – X 1919) minister aprowizacji. W l. 1920-1927 był posłem w sejmie litewskim oraz pracował w samorządzie miejskim Kowna 1923-1938. W czasie wojny był przewodniczącym VLIK (1943-1945). W 1944 r. emigrował na Zachód.
[188] Edward Sokołowski (1878-1932), inżynier agronom, publicysta, działacz Socjaldemokracji Litwy i Białorusi, w 1913 r. skazany na 3 lata zesłania do guberni tobolskiej.
[189] Leon Kulikowski (1883-po 1941), absolwent prawa Uniwersytetu Petersburskiego (1908), członek PPS od 1904 r. , uczestnik zjazdu PPS na Litwie w czerwcu 1906 r., na którym zmieniła ona nazwę na SDPL. Od 1914 r. praktykował w Petersburgu jako adwokat. W czasie wojny w l. 1916-1917 był

organizuje partię pod nazwą Polskiej Socjalnej Demokracji Litwy i Białej Rusi o zabarwieniu narodowo-socjalistycznym. Oprócz powyższych, działa kilka stronnictw socjalistycznych żydowskich i parę białoruskich; te ostatnie wszakże zdają się być tylko ekspozytorami[190] narodowego ruchu białoruskiego. Wreszcie zorganizowali się i stają się, jak się zdaje, coraz popularniejsi w masach komuniści (analogia do bolszewików), którzy już nawet wydają nielegalnie pismo[191]. Usiłowania do utworzenia zorganizowanego bloku socjalistycznego nie doprowadziły do rezultatów konkretnych. Utrzymuje się jeszcze współdziałanie partii socjalistycznych w sprawie tworzenia rad delegatów robotniczych SDLiB rozpoczyna w najbliższym czasie wydawnictwo pisma „Новая Эра"[192] w języku rosyjskim. Ponieważ w piśmie tym zgłosiło współpracownictwo paru Polaków (Sokołowski, Zasztowt, Kulikowski), powstało z tego powodu (język rosyjski) w kołach polskich ogromne oburzenie na nich. Pismo to wychodzić będzie po rosyjsku, ponieważ pieniądze na jego wydawanie zdobyło centrum rosyjskie partii.

27 listopada, rok 1918, środa
Wczoraj wieczorem spotkałem się u Bronisława Krzyżanowskiego znowu z Witoldem Abramowiczem i Zygmuntem Nagrodzkim[193]. Otrzymałem od Abramowicza w imieniu polskiego Stronnictwa Demokratycznego, którego on jest faktycznym i uznanym przez ogół partyjny *leaderem*, propozycję objęcia redakcji nowego pisma, które stronnictwo w najbliższym czasie w postaci dziennika wydawać zamierza. Nie udzieliłem kategorycznej odpowiedzi na propozycję, ale zapewne nie zdecyduje się na przyjęcie oferty. Dużo względów się na to składa, chociaż w zasadzie uważam istnienie takiego pisma, jako przeciwwagi endeckiej wstrętnej szmacie „Dziennika Wileńskiego"[194], za niewątpliwie dodatnie. W programie, czyli raczej postulatach demokratów polskich Abramowiczowskiego obozu dużo jest rzeczy niewyjaśnionych w zakresie najbardziej zasadniczych tez. Jedna z kapitalnych w krajowych stosunkach Litwy alternatyw – stanowisko podziałowe czy też niepodzielność – w istocie przesądzone dotąd nie jest. I

---

wiceprezesem i prezesem petersburskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. W 1918 r. powrócił do Wilna, gdzie był członkiem wileńskiego organu PPS „Przełom". W l. 1919-1921 był radcą prawnym Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich, a następnie w Komisji Rządzącej Litwy Środkowej. PPS opuścił w 1924 r., po czym działał w BBWR, a od 1933 r. w Partii Pracy. Zimą 1939-1940 był uczestnikiem rokowań polsko-litewskich (tzw. grupy kontaktowej). Dalsze losy nieznane.

[190] Przedstawicielami.

[191] Przypuszczalnie chodzi o wydawane przez K. Cichowskiego nielegalne pismo „Komunista".

[192] „Новая Эра", dziennik, organ Socjal-Demokratycznej Robotniczej Partii Litwy i Białorusi, wychodził w okresie 5 XII 1918 – 19 I 1919. Redaktor Edward Sokołowski i M. Nochimson.

[193] Zygmunt Nagrodzki (1865-1937), działacz gospodarczy, polityczny i oświatowy. W dzieciństwie towarzysz zabaw Bronisława i Józefa Piłsudskich w Zułowie. W 1899 r. założył w Wilnie skład narzędzi rolniczych. W 1908 r. wspólnie z Wandalinem Szukiewiczem założył księgarnię oraz wydawał kalendarze dla wsi oraz popularną tanią literaturę polską. Od połowy lat 90-tych członek Ligi Narodowej, w 1904 r. zerwał z nią i działał wśród postępowców wileńskich (krajowców). W 1911 r. wspólnie z M. Römerem i W. Abramowiczem współorganizował „Przegląd Wileński". Członek loży „Litwa", później „Tomasz Zan". W 1919 r. wydawca dziennika „Nasz Kraj". Uczestnik wyprawy L. Żeligowskiego w 1920 r. Poseł do Sejmu Wileńskiego w 1922 r. W l. 1922-1927 członek Rady Miasta Wilna. W 1924 r. współzałożyciel „Kuriera Wileńskiego".

[194] „Dziennik Wileński", ukazywał się w l. 1906-1911 pod redakcją Józefa Hłaski jako pismo polityczne i społeczno-literackie. Był organem miejscowego Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Ulegał częstym konfiskatom dokonywanym przez władze rosyjskie. Z tego powodu w l. 1908-1910 ukazywał się pod różnymi tytułami „Goniec Wileński", „Goniec Codzienny". W 1911 r. połączył się z „Kurierem Wileńskim" i wychodził pod red. Wojciecha Baranowskiego i J. Hłaski. W czasie I wojny światowej po wycofaniu się Rosjan na krótko przestał się ukazywać. W 1916 r. prawo do tytułu nabył Jan Obst, który wydawał go do 1920 r. Pismo zachowało swój charakter endecki, zdecydowanie jednak obniżyło poziom stając się pismem popularnym i demagogicznym.

jedno, i drugie jest w łonie stronnictwa tolerowane, a co zwycięży – będzie to zależało od okoliczności i warunków, w jakich się dokona decydujące przesilenie sprawy Litwy. Na stronnictwie tym ciąży grzechem śmiertelnym oportunizm zasadniczy jego twórcy i *leadera* – Witolda Abramowicza, który nigdy się nie śpieszy z wygrywaniem atutów i woli wszystkie możliwości jak najdłużej *in statu latendi*[195] utrzymać, nie przesądzając ich, aby w chwili decydującej móc rzucić na szalę te, które będą w danym układzie sił stosowniejsze. Tymczasem wszakże osłabia to wyrazistość stronnictwa, zachowuje sfinksowość jego oblicza na zewnątrz wobec szeregów obcych, na przykład wobec Litwinów, utrzymuje to nieufność do stronnictwa, bo nigdy nie można określić z góry, z jakim obliczem wystąpią ci demokraci polscy w chwili czynu; skądinąd znowu powoduje to zaśmiecanie szeregów stronnictwa, do którego się garną wszelkie elementy nieokreślone, dla których niewyraźność ideowa jest wygodną; wreszcie korzystają z tej nieokreśloności najbardziej ci, którzy są sami określeni i z którymi przygodnie z tych czy innych względów demokraci współpracują, jak w szczególności endecy w Komitecie Polskim. Oportunizm Abramowicza, jego odkładanie decyzji i określenia się kategorycznego jest wodą na młyn endeckiego programu. Drugim oto momentem ujemnym demokratów, wiążącym się z pierwszym. a utrudniającym mnie ewentualną pracę na ich stanowisku jest ich udział w Komitecie Polskim i rola, którą oni tam grają. Endecy są przynajmniej wyraźni i wiedzą, czego chcą. Są konsekwentni. Dążą oni do rozbicia Litwy, przynajmniej w zakresie Litwy etnograficznej i Białej Rusi Zachodniej, ogarniętej wpływami polskimi i katolickimi, na dwie części. Wyznają program podziałowy. Akceptują litewski twór państwowy jako państwo narodowe i lojalnie, w myśl zasady samookreślenia narodowego, nie narzucają mu unii z Polską ani innej formy związku. Ograniczają go jeno do terytorium niewątpliwie litewskiego, odcinając od niego Wilno z całą połacią polsko-białoruską kraju, którą pragną wcielić do Polski. Toteż w myśl koncepcji podziałowej dążą oni do utrzymania stanu doskonałej próżni na terenie przeznaczonym w ich programie na rzecz Polski, aby tę próżnię mogła automatycznie wypełnić państwowość polska. Rozumieją, że próżnia lepiej sprzyjać będzie inkorporacji do Polski, niż gdyby coś na tym terenie powstało, co następnie mogłoby się ewentualnie przeciwstawić ekspansji automatycznej polskiej i co trzeba byłoby łamać. Toteż organizując wyłącznie siły polskie na terenie wileńsko-grodzieńskim, przeciwstawiają się wszelkim ewentualnym zapoczątkowaniom krajowo-państwowym tamże. Znakomicie co prawda sekunduje w tym dążeniu endekom sama Taryba litewska, bo usiłując budować tamże formację państwową narodową (litewską), faktycznie uniemożliwia powstanie jakiejkolwiek bądź, bo litewskiej narodowej Polacy, mający tam przewagę, nie uznają i nic o niej słyszeć nie chcą, wobec czego, w myśl formuły endeckiej, trwa próżnia. Demokraci Polacy, sami niezdecydowani w alternatywie między podziałowością a niepodzielnością krajową, wzmacniają faktycznie – bo inaczej być nie może, dopóki Taryba upiera się na forsowaniu narodowego państwa litewskiego na całym terenie – próżnię programowo endecką. Ale oto nastaje chwila, kiedy ewentualnie demokraci, gdyby się oparli o postulat niepodzielności krajowej, mogliby złamać nacjonalistyczną formułę państwową Taryby. Taryba zwołuje konferencję na zasadzie wyborów powszechnych. W polsko-białoruskiej części Litwy Taryba i Litwini żadnych wpływów ani narzędzi władzy nie mają. Natomiast Polacy rozporządzają tam faktycznie krajem. Ktokolwiek zechce – może tam opanować wybory i wyzyskać je na swoje hasła. Nic by nie było łatwiejszego, jak stanąć Polakom do tych wyborów, poprowadzić je po swojej linii i

[195] (łac.) w stanie ukrycia, w tajemnicy.

uderzyć przez konferencję na Tarybę, obalając ją i zarazem jej system państwa narodowego budowanego na całym terenie Litwy.
Obalenie Taryby i dokonanie zamachu na jej koncepcję państwową byłoby tym łatwiejsze, że i w litewskiej części kraju reakcyjna społecznie Taryba nie jest popularna i że z pewnością wybory. a następnie konferencja u samych Litwinów pójdzie pod sztandarem opozycji Tarybie. Można więc byłoby przez tę konferencję dokonać zasadniczej poprawki w koncepcji państwowej Litwy, ale na to trzeba chcieć państwowości krajowej. Demokraci są niezdecydowani i skłaniają się do prostego bojkotu konferencji, co wypada na rzecz podziałowej koncepcji i endeckiego programu próżni.

28 listopada, rok 1918, czwartek
Słówko o konferencji, którą zwołuje Taryba. Jest ona co prawda bardzo spóźniona, bo przy największym pośpiechu robót przygotowawczych i wyborów może być zwołana dopiero na 28 grudnia, gdy tymczasem teraz okres miesięczny jest tak długi, że niepodobna przewidzieć, co do tego czasu będzie i czy w ogóle konferencja do skutku przyjść zdoła. Z łona socjalistów, z łona mas ludowych nawet litewskich, z łona dalej Polaków, z łona wreszcie potęgującego się w kraju wrzenia rewolucyjnego o wyraźnie bolszewickim obliczu, popularyzującym hasła komunizmu społecznego i politycznej międzynarodowej dyktatury proletariatu – dojrzewają szybko tendencje do przesądzenia spraw kraju metodami bądź zamachów stanu, bądź siły zbrojnej oręża, bądź rewolucji bezpośredniej z dołu. Wszystkie te czynniki, sprzeczne, a nawet wrogie sobie wzajemnie w założeniu, negują całkowicie Tarybę i jej dzieło organicznego budowania państwowości Litwy. Konferencja zwoływana przez Tarybę, chociaż również może doprowadzić do obalenia jej, co jest bardzo prawdopodobne, jednak jest ogniwem organicznego budownictwa i gdyby nawet dokonała zamachu stanu, wychodząc z ram określonego dla niej przez Tarybę statutu, to jednak byłby to zamach stanu w ramach pewnego legalizmu, pewnej ciągłości organicznej w budownictwie państwowym. Wszystkie bowiem inne siły i czynniki, o których wspomniałem wyżej, gotują się do przewrotu w drodze zamachów bezpośrednich, bojkotując wszelkie przedsięwzięcia Taryby i zarządzoną przez nią konferencję. Wątpliwe więc nawet, czy w ogóle dojdzie do tej konferencji. Sama bowiem Taryba, a więc i wszystkie jej zamierzenia (w tej liczbie i wybory oraz samo zwołanie konferencji) – trzyma się przeciwko zalewowi jej przez siły wrogie li tylko szczątkami siły okupacji niemieckiej, a siły te z dnia na dzień wątleją. Nie można nawet orzec, czy okupacja niemiecka się utrzyma przez miesiąc, bo chociaż Niemcy trzymają się kurczowo tej okupacji, która jest jedynym środkiem wycofania z dalekiej głębi Ukrainy rozlokowanych tam załóg niemieckich (dziś przez Litwę mają siły niemieckie na Ukrainie jedyną do wycofania się drogę), to jednak rozprzężenie okupacyjnych czynników niemieckich jest tak wielkie, że zdaje się lada chwila cała okupacja może runąć w gruzy. Dziw tylko, że nie ma śmiałka, który by uderzył na te rozkładające się szczątki okupacji. Wojska niemieckie w Wilnie i w kraju są w takim stanie rozprzężenia, w jakim były rosyjskie po wybuchu rewolucji. I nie tylko wojsko, ale wszystkie władze i urzędy. Każdy Niemiec na własną rękę rozprzedaje rabunkowo, co ma pod ręką, rozprasza dobro skarbowe, rzuca wszystko, nabija kieszeń i umyka „nach Heimat"[196], o nic nie pytając i z niczym się nie licząc. Usiłowanie utrzymania pewnego ładu, pewnej organizacji – rozbijają się o szerzącą [się] zaraźliwie anarchię coraz powszechniejszą , coraz mniej okiełznaną. Co będzie za miesiąc, czy się do tej pory zdoła jeszcze coś z tej okupacji niemieckiej utrzymać – nie

[196] (niem.) do ojczyzny.

wiadomo. Najbliższe tygodnie mogą przynieść wielką *tabula rasa*[197] na Litwie. A wtedy żegnaj Tarybo, żegnaj „rządzie" litewski p[ana] Voldemarasa, zawieszony w próżni, żegnaj konferencjo itd.! Wtedy z jednej strony bolszewizm, z drugiej zamach socjalistyczny, z trzeciej czynnik siły bezpośredniej zbrojnej, organizowany przez Polaków z ewentualną interwencją z Polski! Względnie wtedy przemówić zdoła również lud litewski, ale już nie drogami Taryby. Może więc nic z zaprojektowanej przez Tarybę konferencji nie będzie. Tym nie mniej zaznaczę parę rysów zasadniczych konferencji, charakteryzujących usiłowania Taryby. Zapoznałem się z projektem ustawy o konferencji, bo mi go wczoraj Jonas Vileišis dał do przetłumaczenia na język polski. Wybory mają być powszechne dwustopniowe (15 grudnia prawybory wyborców po tzw. Bezirkach, czyli częściach powiatów, 22 grudnia – wybory członków konferencji w powiatach). Wybory mają być dokonane w całej okupacyjnej Litwie, na którą się podług podziału administracyjnego okupantów, składają: Litwa północna i Litwa południowa (ta ostatnia ogarnia dzielnicę białostocką i grodzieńską). Charakterystyczna rzecz, że dla tej części Litwy południowej, która położona jest na lewym brzegu Niemna (to znaczy powiaty białostocki, sokólski, bielski, świsłocki, zdzięciolski i jeszcze tam jakiś), Taryba uznaje prawo samookreślenia o przynależności państwowej i stosunku swym do państwa litewskiego. Samookreślenie to ma być wykonane łącznie z wyborami do konferencji i od niego uzależnia się dopuszczenie przedstawicieli tych ziem na konferencję z głosem decydującym. Ten więc teren Taryba wyłącza z zakresu terenu narodowego i przyjmuje go do państwa litewskiego li tylko o tyle, o ile on swoje ciążenie do tegoż stwierdzi. Natomiast cały prawy brzeg Niemna od Grodna po Wilno uznaje za bezwzględny i bezsporny teren narodowy litewski. Ta konferencja, w myśl ustawy Taryby, może całkowicie Tarybę obalić wyrażając jej naganę i wybrać nową. Wszakże wszyscy członkowie obecnej Taryby mają na konferencji głos równy z wybranymi członkami konferencji.

29 listopada, rok 1918, piątek

Wczoraj byłem w Tarybie, która urzęduje w gmachu b[yłego] rosyjskiego Sądu Wojennego na rogu Wileńskiej i Świętojerskiej. Zgłosiłem się do Leonasa[198], b[yłego] adwokata z Kowna, który piastuje tekę ministra sprawiedliwości w tarybowym gabinecie Voldemarasa. Nie decyduję się obecnie na przyjęcie stanowiska w sądownictwie organizowanym przez Tarybę, ale chciałem zapoznać się bądź co bądź ze szkicem organizacji tegoż, ponieważ ewentualnie, gdy się już zdecyduję na powrót do kraju na stałe, najbardziej bym pragnął poświęcić się nie karierze ściśle politycznej, lecz pracy zawodowej w zakresie organizacji państwowej – prawdopodobnie właśnie w sądownictwie. Od Michała Biržiški, którego spotkałem w poczekalni Taryby, dostałem tekst projektu organizacji sądownictwa. Organizacja ta jest naszkicowana bardzo doraźnie. Projekt nie przewiduje wcale instancji kasacyjnej. Właściwość sędziów pokoju, którzy na wzór organizacji rosyjskiej sądzą jednoosobowo (nie przewidują się sądy pokoju kolegialne, jak w Polsce[199]) – jest niezwykle wysoka: sięga bowiem 10000 marek. W rozprawach są uprawnione języki lokalne – litewski, polski, białoruski – ale

---

[197] (z łac.) dosłownie – czysta tablica; tu niewiadoma, pustka.

[198] Petras Leonas (1864-1938), prawnik, działacz narodowy, polityk. Absolwent Uniwersytetu Moskiewskiego (1899). Od 1887 r. współpracownik pism „Lietuviškasis Balsas", „Varpas", „Šviesa". W 1907 r. wybrany posłem do II Dumy Państwowej z guberni suwalskiej. W l. 1915-1918 przebywał na terenie Rosji. W niepodległej Litwie kierował Sądem Najwyższym. W gabinetach Voldemarasa i Šleževičiusa (XI 1918 – III 1919) był ministrem sprawiedliwości, oraz ministrem spaw wewnętrznych w kolejnym rządzie Šleževičiusa (IV-IX 1919). Po odejściu z polityki był profesorem Uniwersytetu Kowieńskiego i wieloletnim przewodniczącym Rady Adwokackiej.

[199] Tak w tekście.

językiem akt sądowych i protokołów jest wyłącznie język państwowy, litewski. Jest to wprawdzie logiczne ze stanowiska państwa narodowego, na którym stoi Taryba, ale niedemokratyczne i bodaj niewykonalne w stosunku do Wilna i tych terenów, na których ludność używa mowy polskiej lub białoruskiej, słowem – nie litewskiej. Ten upór Litwinów w narzucaniu wschodnim i południowym częściom projektowanej Litwy charakteru narodowego litewskiego jest, zdaje mi się, jedną z największych przeszkód do realizacji państwowości kraju i jest dla sprawy może najgroźniejszym niebezpieczeństwem, bo żywi obstrukcję endecką tam, gdzie Polacy są przecież istotnie poważną siłą.
Leonas pokazał mi pismo władz okupacyjnych niemieckich (komisarza rządowego niemieckiego na Litwę Zimmerlego[200]), zawierającą propozycję przejęcia w kraju sądownictwa przez Tarybę. Mnie zaproponował posadę sędziego pokoju w stołecznym Wilnie. Żałował bardzo, że jeszcze się nie decyduję na natychmiastowe pozostanie w kraju i oddanie mu mej pracy. Ba, taka posada sędziego pokoju w Wilnie byłaby wymarzoną dla mnie. Daje ona powagę, stanowisko szanowane, które bym potrafił wzmocnić moim taktem i kwalifikacjami, i umożliwia jednocześnie działalność społeczną poza sferą ściśle politycznej spekulacji, której nie lubię i do której ani chęci, ani bodaj szczególnych kwalifikacji nie mam. Była chwila, gdym wyszedł od Leonasa, że się nawet namyślałem, czy jednak nie przyjąć proponowanej posady, bo właściwie tworzenie sądownictwa nie powinno zależeć od walk politycznych i sądy powinny by być zorganizowane i funkcjonować zgoła niezależnie od tego, jaki kierunek i jaka organizacja państwowa w kraju zwycięży i kto ogarnie rząd. Niestety jednak – tak nie jest. Naprężenie walk i rozbieżności dziś jest tutaj tak wielkie, że zaangażowanie się w cokolwiek, co się robi pod egidą tej lub innej instytucji naczelnej – a zwłaszcza Taryby na terenie Wilna i pozaetnicznej Litwy – jest faktycznie zaangażowaniem się w linię polityczną danej instytucji. Tutaj tak wszystko dojrzewa do przesilenia, które w najbliższym czasie, równolegle do likwidacji okupacji niemieckiej – musi wybuchnąć, i jednocześnie każda ze stron gotujących się do przesilenia jest tak niepewna swojej linii i swojego zwycięstwa w przesileniu, że dzisiaj leźć w to bagno, które dźwiga na sobie błędy przeszłości – nie ma sensu ani pożytku, i to ani dla siebie, ani dla sprawy ogólnej. Gdybym dziś przyjął bądź ofertę z ramienia Taryby bądź ofertę prasową Stronnictwa Demokratycznego, wziąłbym na siebie ciężar i odium grzechów bądź kierunku tarybowego, bądź kierunku Komitetu Polskiego. Gdy nie można przewidzieć, która z linii w przesileniu zwycięży (a prawdopodobnie żadna z tych dwóch nie zwycięży), i gdy się nie jest przekonanym o tym, że ta lub inna jest właśnie dobrą i skuteczną, to po co brać na siebie to odium. Lepiej przyjść do kraju z rękami wolnymi do pracy i bez żadnego piętna wtedy, gdy już się sytuacja po przesileniu wyklaruje. Powiadają mi niektórzy, że to stanowisko nie obywatelskie, stanowisko wygodne wprawdzie, bo zwalniające od odpowiedzialności, ale niemoralne, bo trzeba właśnie brać udział w wytwarzaniu i przesądzaniu przesilenia, a nie czekać, aż można przyjść do gotowego. Na to odpowiem, że wytwarzać coś dla przesilenia bez przekonania jest jeszcze mniej moralne, bo to jest sianiem li tylko chaosu, a w tej chwili nie umiem z przekonaniem powiedzieć, która z linii (Taryby, Komitetu Polskiego, socjalistów i bolszewizmu) jest istotnie dla Litwy wskazana. Z drugiej zaś strony, po przesileniu kraj będzie może potrzebował ludzi świeżych, którzy są wolni od dziedzictwa nieszczęsnych walk i chaosu okresu przejściowego. W mojej osobie świeżość ta będzie się łączyć z tradycją mojej dawnej pracy obywatelskiej i mojego imienia, tworzącego poniekąd sztandar w kraju. Lepiej mi tego sztandaru nie maczać w chaosie i bagnisku rozprzężenia

[200] Ludwig Zimmerle (?), niemiecki pełnomocnik ds. Litwy 1918-1919. Bliższych danych brak.

dzisiejszego. Dlatego też nie pozostanę jeszcze w Wilnie. Zaczekam. Może wybije moja godzina.